

*Fascynująca lektura, tak smakowita
i zdradziecka, jak trucizny warzone
przez jej bohaterkę*

SARA POOLE

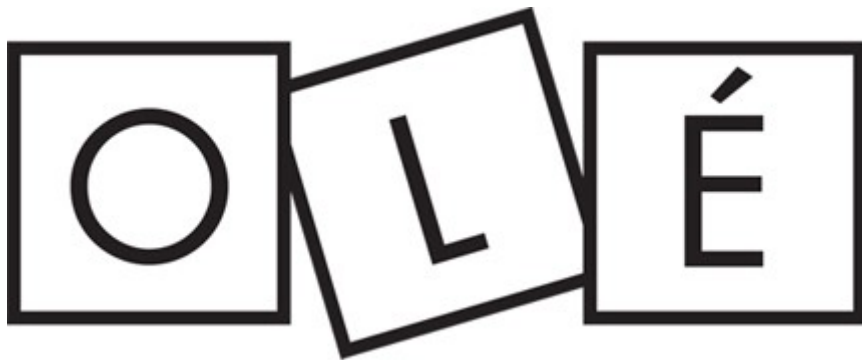
Trucizna

OPOWIEŚĆ Z CZASÓW BORGIOW

Sara Poole

Trucizna

Tłumaczenie: Jolanta Dąbrowska



OD AUTORA

Podczas pisania „Trucizny” korzystałam głównie z następujących prac: Sarah Bradford *Lukrecja Borgia: Life, Love, and Death in Renaissance Italy* oraz *Cesare Borgia: His Life and Times*; Ivan Cloulas *Cesar Borgia*; Mario Johnson *The Borgias*; E.R. Chamberlin *The Fall of the House of Borgia*; Clemente Fusero *The Borgias*; Michael Edward Mallett *The Borgias: The Rise and Fall of a Renaissance Dynasty* oraz *Christopher Hibbert The Borgias and Their Enemies*. Bezcenną pozycją i podstawowym źródłem okazała się książka Johanna Burcharda *At the Court of the Borgia*.

Również wiele osób odegrało ważną rolę, pomagając mi przebrnąć od załóżka pomysłu do ukończenia pracy. Jestem szczególnie wdzięczna mojej agentce, Andrei Cirillo, za jej nieustającą cierpliwość i rozsądne rady. Dziękuję również za niezwykle wsparcie redakcyjne Charlesowi Spicerowi i Allison Caplin, a także Anne-Marie Tallberg, która szczerze dzieliła się swoim doświadczeniem, za pomoc marketingową.

Moja rodzina jak zawsze doskonale radziła sobie z roztargnioną pisarką mamroczącą o truciznach i innych tajemniczych sposobach uśmiercania. Bez ich niesłabnącej zachęty ta książka i wiele innych nigdy nie zostałyby ukończone.

Wyzwaniem przy pisaniu powieści historycznych jest splatanie wydarzeń rzeczywistych i fikcyjnych, które ułożą się w spójną i – jak pragnę wierzyć – zajmującą fabułę. Francesca jest oczywiście postacią fikcyjną, ale większość książki bazuje na osobach realnych i wydarzeniach, które miały miejsce latem 1492 roku.

Papież Innocenty VIII zmarł 25 lipca tego roku po długiej chorobie, ale w okresie, kiedy opisuję śmierć ojca Franceski, stan zdrowia papieża naprawdę przejściowo się poprawił. Krążyły plotki, że w końcowej fazie życia Innocenty przyjmował mleko karmiących matek, żeby utrzymać się przy życiu. A mówiono też, że w swoich ostatnich dniach pił krew młodych chłopców. Oczywiście tak makabryczne pomysły pragnęłabym przypisać swojej wyobraźni, jednak czasem prawdziwa historia jest dziwniejsza niż fikcja.

Plotkowano też, że przyczyną śmierci papieża była trucizna, podobnie jak wierzono, że spowodowała śmierć wielu osób w tym okresie. Chociaż najprawdopodobniej Innocenty zmarł śmiercią naturalną, nie możemy być jednak tego bardziej pewni niż Francesca.

Nie ma dowodów na to, że Innocenty rozważał wprowadzenie edyktu papieskiego mającego wydrzeć Żydów z chrześcijańskiego świata, jednak wiadomo, że popierał decyzję Ferdynanda i Izabelli, żeby zmusić wszystkich hiszpańskich Żydów do zmiany wiary lub opuszczenia ich królestwa. W owym czasie antysemityzm szerzył się w całej Europie, ale żadna instytucja nie popierała go bardziej żarliwie i efektywnie niż Kościół katolicki.

Wydarzenia, które w książce mają miejsce w hiszpańskiej La Guardii i historia „Świętego dzieciątka”, są oparte na faktach. Tomas Torquemada, Wielki Inkwizytor Hiszpanii, jest postacią historyczną, ale jeśli nawet podróżował do Rzymu w okresie śmierci Innocentego, nie zachowały się o tym żadne zapiski.

Papieskie konklawe, na którym wybrano następcę Innocentego, zostało zapamiętane jako najbardziej skorumpowane ze wszystkich. Rodrigo Borgia zatriumfował, zostając Papieżem Aleksandrem VI, nie dlatego, że jedynie on był gotów płacić łapówki w celu pozyskania głosów, ale okazał się najbardziej skuteczny w umiejętności zrozumienia i wykorzystania chciwości innych książąt Kościoła. Wielkie bogactwa, które Borgia przekazał, aby zabezpieczyć swoje zwycięstwo, miały w części pochodzić od Żydów, w zamian za co zgodził się tolerować ich obecność w Państwie Kościelnym, a tym samym w całym chrześcijaństwie. Jeżeli podczas konklawe wystąpiła próba otrucia wielkiego rywala Borgii, Kardynała Giuliano della Rovere, umknęła uwadze historii.

Rodrigo Borgia i cieszące się najgorszą sławą jego dzieci, Lukrecja i Cesare, obok innych zbrodni oskarżani są o wykorzystywanie trucizn w celu zaspokajania swoich ambicji. Jednak ja wierzę, że Lukrecja była ofiarą niepohamowanej żądzy władzy swojego ojca i udało jej się przetrwać tak długo pomimo, a nie dzięki zepsuciu panującemu w tamtych czasach. Podczas gdy Rodri-

go i Cesare mogli być również skłonni wykorzystywać truciznę, zdecydowanie preferowali metody bardziej bezpośrednie, jak przekupstwo, zastraszanie, a kiedy była potrzeba, nawet otwartą wojnę.

Fabula „Trucizny” dzieje się w okresie początków wielkiej walki między siłami renesansu a inkwizycji; walki, która na wieki zdominowała Europę i odegrała znaczącą rolę w ukształtowaniu naszego dzisiejszego świata. Można się spierać, że po obu stronach konfliktu byli przyzwoici, pełni dobrych intencji ludzie, jednak inkwizycję w dużej mierze reprezentowały siły gotowe poświęcić nadzieję na lepsze życie dla wielu, żeby zachować władzę tych niewielu. Dzielni mężczyźni i kobiety, którzy się temu przeciwstawili i którzy często za swoją odwagę płacili życiem, zasługują na pamięć, ale na to, co wywalczyli, muszą pracować kolejne pokolenia.

Niniejsza powieść jest wytworem wyobraźni. Wszystkie postaci, organizacje i wydarzenia w niej opisane są albo wytworem wyobraźni autorki, albo wykorzystano je w sposób fikcyjny.

Preludium

Rzym

Lato 1483

Biały byk zbiegł z platformy prosto na piazzę. Tłum zatrząsł z rykiem rzędami wzniesionych wokół drewnianych siedzisk.

Dziecko mocno przyłgnęło do ojca, wyczuwając w jego ciele wibracje, gdy krzyczał wraz z resztą:

– Borgia! Borgia! Wiwat!

Pod bezchmurnym niebem tak rozjarzonym, że ostre promienie słońca wywoływały ból w osłoniętych powiekami oczach, odziany w czerwone szaty stał na podwyższeniu książę Świętego Kościoła Rzymskiego, przystrojony jedwabną materią w barwach rodu Borgiów.

Rozpostarł szeroko ramiona, jakby chciał nimi objąć wszystko wokół: tłum, plac, połyskujący złoto w słońcu trawertynowy pałac i sięgnąć jeszcze dalej, do najbardziej oddalonych zakątków starożytnego miasta, budzącego się do nowej świetności.

– Moi bracia i siostry – zaczął Rodrigo Borgia, a jego głos zabrzmiał jak uderzenie pioruna pośród zaległej nagle ciszy. – Dziękuję, żeście tu dzisiaj przybyli. Dziękuję wam za waszą przyjaźń i za wasze wsparcie. I daję wam...

Przerwał, a dziewczynka poczuła, jak tłum wstrzymał oddech, posłuszny woli człowieka, który, jak mówiono, aspirował do władania całym chrześcijańskim światem, chociaż bardziej pasowałoby mu królestwo piekielne.

– Daję wam, z moich ziem ojczystych, z przepięknej Walencji, największego byka, jakiego kiedykolwiek widziano w naszym ukochanym Rzymie! Daję wam jego siłę, jego odwagę, jego sławę! Daję wam jego krew! Niech odżywi nasze prześwietne miasto! Wieczny Rzym!

– Rzym! Rzym! Rzym!

Byk, grzebiąc kopytem, unosił pokłady letniego kurzu, potrząsnął wielkim łbem i prychnął głośno, gdy jego oczy napotkały tę szaloną scenę.

Plac spowił welon ciszy tak głębokiej, że dziewczynka mogła słyszeć skrzypienie upręży naciągających ze wszystkich stron koni, których strach przełamywały ostrogi mężów stojących na czele prywatnej armii Il Cardinale.

Ze szczytów murów palazzo rozbrzmiały dźwięki trąb. Grupa wieśniaków w kolorowych strojach i krzykliwych perukach wbiegła na plac, machając pelerynami i podskakując na tyle blisko byka, na ile byli w stanie się odważyć.

– *Andiamo, Toro! Andiamo!*¹

Osaczone przez nich zwierzę zwróciło się w stronę mężczyzn na koniach.

Jeden z nich, obdarzony godnościami, uniósł się wysoko w siodle, oddając cześć Borgii. Gdy ruszył do przodu, zabójcze ostrze jego lancy załśniło w słońcu.

Tłum krzyknął w podnieceniu. Byk, wyczuwając zagrożenie, pochylił łeb i rozpoczął szarżę. W ostatniej chwili mężczyzna mocno spiął wodze, skręcił i ponownie unosząc się w strzemionach, pchnął lancę w dół.

Zwierzę ryknęło z bólu, krew tryskała mu pomiędzy falujących fałd kłębu, spływając po białej sierści prosto w uliczny pył. Odbiegł, okrążając plac, rozglądając się – jak myślała dziewczynka – za drogą ucieczki, ale wszędzie napotykał kolorowo ubranych mężczyzn, którzy naparli na niego, machając ramionami.

– *Andiamo, Toro! Andiamo!*

Ponownie skierowali byka w stronę jeźdźca, który precyzyjnie wymierzonym pchnięciem utoczył dla spragnionego tłumu więcej krwi. I więcej, i jeszcze więcej, dopóki zwierzę nie za-

chwiało się i nie opadło najpierw na jedno kolano, później na drugie. W końcu jego olbrzymi zad poddał się i cielsko zważyło się w pył, który zamieniał się w błoto wraz z upływem rzeki życia byka.

Dziewczynka stała zmrożona w letnim upale, niezdolna odwrócić wzroku. Widziała białego byka umazanego krwią, czerwonego człowieka na piedestale grzmiącego triumfalnie, a wokół wirujące w jaskrawym świetle wykrzywione twarze gawiedzi z ustami otwartymi w żądzę.

Jeździec uniósł lancę do słońca i wymierzył śmiertelny cios. Ciałem byka wstrząsnął ostatni skurcz. Na ten widok kolorowo odziani mężczyźni zbiegli się, błyskając nożami.

Dziewczynka nie widziała, jak rozbierali ścierwo, odcinając uszy, ogon, jądra. Nie patrzyła na ociekające krwią łupy unoszone wysoko ku radości tłumu. Widziała jedynie morze krwi, purpurowy przypływ, który wirował wokół, wsysając ją w dół, niebaczny na jej krzyk, który przyciągnął do niej wzrok czerwonego byka.

Hiszpan umarł w agonii. Tyle można było odczytać zarówno z wykrzywionej, przystojnej niegdyś twarzy, jak i z czarnej piany pokrywającej mu usta. Z pewnością była to straszna śmierć, możliwa jedynie przy użyciu oręża, którego obawiano się najbardziej.

– Trucizna.

Kardynał Rodrigo Borgia, książę Świętego Kościoła Rzymskiego, który wydał ten werdykt, uniósł oczy, lustrując zebranych członków swojego domostwa.

– Został otruty.

Drżenie przeszło przez strażę, czeladź i całą służbę, jakby mocny wiatr wtargnął do zdobnej złoceniami sali, ocienionej tarasem otoczonym kolumnadą, i na chwilę schłodził upał rzymskiego lata roku pańskiego 1492, niosąc tu rześką bryzę z ogrodów wypełnionych zapachem egzotycznego jaśminu i tamaryndowca.

– W moim domu! Człowiek, którego wezwałem, aby mi służył, został otruty w moim domu!

Gołębie siedzące pod dachem pałacu wzbity się z łopotem skrzydeł na dźwięk jego gromkiego głosu. Uniesiony gniewem II Cardinale przedstawiał niezwykle widok, czystą siłę natury.

– Dowiem się, kto tego dokonał. Ktokolwiek się na to poważył, zapłaci! Kapitanie, pan będzie...

Borgia przerwał wydawanie rozkazu dowódcy swoich kondotierów. Właśnie w tej chwili przeszłam do przodu, przeciskając się między kapelanem domowym a sekretarzem, i stanęłam na przedzie zgromadzonych, przejętych grozą osób. Ten ruch go rozproszył. Popatrzył na mnie gniewnie.

Nieznacznie skinęłam głową w kierunku ciała.

– Wyjść!

Rozpierzchli się w popłochu, wszyscy, od starych weteranów do najmłodszego posługacza, potykając się o siebie, żeby jak najszybciej zniknąć sprzed jego oblicza, znaleźć się jak najdalej od jego przerażającej furii, która zamieniała krew w lód, żeby móc szeptać o tym, co się wydarzyło, co to mogło oznaczać i ponad wszystko, kto mógł się na to odważyć.

Zostałam tylko ja.

– Córka Giordano? – Borgia spojrzał na mnie z końca sali recepcyjnej.

Był to rozległy pokój pokryty dywanami na styl mauretański, na co niewielu było stać, z meblami z najrzadszych rodzajów drewna, najcenniejszymi tkaninami, najwspanialszymi naczyniami ze srebra i złota, a wszystko po to, aby głosić potęgę i chwałę człowieka, którego woli właśnie odważyłam się rzucić wyzwanie.

Kropla potu spłynęła między moimi łopatkami. W godzinę, która – jak się obawiałam – mogła okazać się ostatnią godziną mojego życia, miałam na sobie najlepszą dzienną suknię ze spodem z ciemnobrązowego aksamitu, dopasowaną ściśle w ramionach, z plisowanym gorsetem i szeroką spódnicą, która ciągnęła się lekko za mną po ziemi. Jasnożółta suknia wierzchnia była luźno spięta pod biustem, co wynikało z utraty wagi po śmierci ojca.

W przeciwieństwie do mnie Kardynał był odziany niechlujnie – rozchełstana koszula i pantalon z rodzaju, który preferował, przebywając w domu i oddając się relaksowi, co właśnie robił, gdy przyniesiono mu wiadomość o śmierci Hiszpana.

Skinęłam głową.

– Tak, Eminencjo, twoja sługa, Francesca Giordano.

Kardynał przechadzał się tam i z powrotem jak zwierzę, które nie może znaleźć sobie miejsca, przepelnione potęgą, ambicją i żądzą. Zerknął na mnie i wiedziałam, co widział: szczupłą kobietę, jeszcze nawet nie dwudziestolletnią, niczym się niewyróżniającą, z wyjątkiem wielkich brązowych oczu, kasztanowych włosów i wywołanej strachem bardzo bladej twarzy.

Wskazał dłonią na Hiszpana, który w tym upale zaczął już śmierdieć.

– Co o tym wiesz?

– Ja go zabiłam.

Nawet w moich uszach mój głos nieprzyjemnie odbił się od ścian wyłożonych tkaniną. Kardynał podszedł bliżej z wyrazem szoku wymieszanego z niedowierzaniem.

– Ty go zabiłaś?!

Przygotowałam przemowę, która miała wyjaśnić moje poczynania, ukrywając przy tym prawdziwe intencje. Zaczęłam mówić tak śpiesznie, że bałam się, że coś pokręcę.

– Jestem córką mojego ojca. Uczyłam się u jego boku, ale kiedy został zabity, nawet przez chwilę nie brano pod uwagę, że mogę zająć jego miejsce. Może gdybym była synem, ale jestem córką. I zatrudnił Eminencja tego... innego. – Nabrałam powietrza i wskazałam na zmarłego. Zatrudnił go, żeby chronił pana i jego rodzinę. Ale nie potrafił nawet ochronić siebie, nie przede mną.

Mogłam powiedzieć więcej. Że Borgia nie zrobił nic, żeby pomścić morderstwo mojego ojca. Że pozwolił na to, żeby pobito go na ulicy jak psa, porzucono w nieczystościach z rozbitą czaszką, i nie ruszył nawet ręką, żeby poszukać zemsty. Że taka bezczynność z jego strony była niesłychana i... niewybaczalna.

Wygzekwowanie sprawiedliwości zostawił mnie, córce truciela. Jednak aby to uczynić, potrzebowałam władzy, za którą zapłatą był jeden martwy Hiszpan.

Kardynał zmarszczył brwi, a jego oczy przypominały szparki. Wydawał się jednak całkiem spokojny, nie było widać śladu gniewu, który prezentował ledwie parę minut wcześniej.

Zadrgał we mnie przebłysk nadziei. Dziesięć lat życia pod jego dachem, obserwowania go, słuchania, jak mówił o nim ojciec. Te dziesięć lat przekonało mnie, że jest człowiekiem inteligentnym, który kieruje się rozumem i logiką; człowiekiem, który nie pozwala rządzić emocjom. Wszystko sprowadzało się do tej jednej chwili.

– Jak to zrobiłaś?

Sprawdzał mnie; to dobrze. Odetchnęłam i odpowiedziałam już bardziej spokojnie.

– Wiedziałam, że będzie zgrzany i spragniony po podróży, ale również, że będzie uważał na to, co pije. Dzban, który zostawiłam dla niego, zawierał tylko mrożoną wodę, wystarczająco czystą, aby przeszła każdą inspekcję. Trucizna była na zewnątrz, pokryłam nią szkło. Pocił się, co oznaczało, że pory jego skóry są szeroko otwarte. Od chwili, gdy dotknął dzbana, wszystko potoczyło się bardzo szybko.

– Twój ojciec nigdy nie wspominał mi o truciźnie, której można użyć w taki sposób.

Nie widziałam powodu, żeby mu mówić, że to ja, a nie ojciec, opracowałam tę szczególną metodę. Prawdopodobnie i tak by mi nie uwierzył. Nie wówczas.

– Żaden mistrz nie zdradza wszystkich swoich sekretów – rzekłam.

Nie odpowiedział od razu, ale zbliżył się do mnie; był tak blisko, że czułam parujące od niego ciepło, widziałam, jak jego rozłożyste, podobne byczym barki zasłaniają światło. Moje spojrzenie przyciągnął błysk złotego krzyża wiszącego na jego szerokiej piersi, nie byłam w stanie odebrać od niego oczu.

*Cristo en extremis*². Uratuj mnie.

– Na Boga, dziewczyno – powiedział Kardynał – zadziwiłaś mnie.

Doniosłe wyznanie, jak na człowieka, o którym mówiono, że jako pierwszy wiedział, która jaskółka najpierw siądzie na jakimkolwiek drzewie w Rzymie i czy ta gałąź będzie w stanie udźwignąć jej ciężar.

Pomimo zaciśniętego gardła wzięłam głęboki oddech, odwróciłam wzrok od krzyża, od niego i spojrzałam przez otwarte okno w kierunku rozlewających się wód rzeki i szerokich połaci łąd na przeciwległym brzegu.

Oddychaj.

– Mogłabym ci służyć, panie. – Zwróciłam głowę w jego stronę na tyle, aby napotkać jego wzrok. – Ale najpierw musisz pozwolić mi żyć.

Śludzy przychodzili i odchodzili, usuwając wszelkie ślady obecności Hiszpana. Wtaszczyli moje kufry, przynieśli jedzenie i napoje, a nawet odrzucili pokrycia łóżka w drewnianej ramie rzeźbionej w liście akantu, w którym sypiał mój ojciec, a które teraz miało służyć mnie.

Po wykonaniu zadania odeszli jeden po drugim, wszyscy, z wyjątkiem starej kobiety, której było wystarczająco blisko do nieba, żeby niewiele miała do stracenia. Drepcząc do drzwi, syknęła:

– *Strega!*

Wiedźma.

Przeszedł mnie zimny dreszcz, choć byłam na tyle ostrożna, żeby nie dać po sobie nic poznać. Takiego słowa nigdy by nie użyto ani w przypadku mojego ojca, ani Hiszpana, ani żadnego innego mężczyzny, który władałby groźnymi, ale poważanymi umiejętnościami zawodowego truciela. Jednak w moim przypadku znalazły zastosowanie teraz i na zawsze, i nie mogłam zrobić nic, żeby temu zapobiec.

Czarownice giną na stosie. I nie ogranicza się to tylko do kraju pochodzenia tej kary – Hiszpanii. Stosy rozbłysły w Niderlandach, na Półwyspie Włoskim, w całej Europie. Płomienie pożerały głównie tych, którym zarzucano herezję, ale jakże łatwo było postawić w stan oskarżenia mężczyznę czy kobietę – a w większości przypadków kobietę – czy nawet dziecko winione o jeszcze bardziej śmiertelny grzech kupczenia z Szatanem. Każda osoba biegła w sztuce uzdrawiania, za dobrze znająca się na roślinach albo po prostu za bardzo odróżniająca się od ogółu, mogła skończyć jako strawa dla ognia, który zwęglął ludzką skórę, topił ludzki tłuszcz, kruszył ludzkie kości i zamieniał w popiół wszystko, co wiązało się z nadzieją i marzeniami.

Odwróciłam się, pragnąc odciągnąć uwagę od myśli rozpakowaniem skrzyni, ale szybko odwróciłam się ponownie, przykładając dłoń do ust. Na kolanach wyszarpnęłam spod łóżka nocnik i pochyliłam się nad nim, a zawartość żołądka trysnęła ze mnie gorzką falą, którą dusiłam w sobie do tej pory.

*Disgustoso*³!

Nie myślcie, że mam skłonność do takiej słabości, ale wydarzenia dnia, rozpaczliwe ryzyko, które zmuszona byłam podjąć i strach przed grzechem śmiertelnym, który za tym szedł, przytłoczyły mnie. Leżałam, nie będąc w stanie się poruszyć. Zmęczenie obezwładniło mnie, jakby szybki odpływ unosił mnie z dala od brzegu.

Od razu naszły mnie senne mary. Ten sam sen, który dręczył mnie przez całe życie. Jestem w malutkiej przestrzeni za ścianą. Mam małą dziurkę, przez którą mogę zaglądać do pokoju pełnego cieni; niektóre z nich się poruszają. Ciemność jest przerywana błyskami światła wychodzącego z jakiegoś czerepu. Wylewa się z niego krew, wielka fala krwi pluskająca na ściany pokoju, grożąca mi utonięciem. Budzi mnie własny krzyk, który po latach praktyki potrafię już stłumić w poduszkach.

Wstałam tak szybko, jak mogłam. Nogi i ręce mi drżały, a na policzkach czułam ciepłe ślady łez. Czy ktokolwiek tu wszedł i zobaczył mnie w takim stanie? Czy ktokolwiek był tu teraz, czając się w cieniu? Hiszpan umarł tuż obok miejsca, w którym stałam. Czy jego duch wciąż tutaj był? A może cień mojego ojca niezdolny, żeby spocząć, dopóki nie dopełnię zemsty, którą poprzysięgam?

Z bijącym sercem zapaliłam świecę przy łóżku, ale nie znalazłam spokoju w niewielkim kręgu światła, jaki roztaczała. Za wysokimi oknami unosił się księżyc, obejmując srebrną wstęgą ogród i to, co poza nim. Rzym spał, tak samo jak zawsze. W wąskich alejkach i zaułkach pracownice uwijały się szczury, przegryzając jedno, ucztując na drugim, z drgającymi noskami, chwytynymi łapkami, a wszystko w cieniu Kurii. Uniosłam wzrok, wpatrując się w dal, gdzie, jak mi się zdało, widziałam lśniące w srebrzystym świetle, długie, wijące się macki, rozciągające się we wszystkich kierunkach, ogarniające potęgę i chwałę od początku do końca chrześcijańskiego świata. Ta wizja

była jedynie wytworem wyobraźni wyczerpanego umysłu, ale była też prawdziwa. Tak prawdziwa, jak szept, że pan tego wszystkiego, Namieśnik Chrystusa na ziemi, Papież Innocenty VIII jest umierający.

Z naturalnych przyczyn?

Nie mówcie, że jesteście wstrząśnięci. Żyjemy w wieku trucizn tego czy innego rodzaju. Każdy znaczący dom zatrudnia kogoś takiego jak ja dla ochrony albo, gdy to konieczne, żeby dla przykładu ukarać jakiegoś wroga. Tak się rzeczy mają. Tron Świętego Piotra też nie jest od tego wolny, będąc jedynie najwyższą nagrodą, o którą rody toczą walkę jak wściekle ujadające psy. Nikt, kto na nim zasiądzie, nie powinien mocno spać czy jeść, zanim ktoś inny nie spróbuje jego potrawy. Ale to tylko moja zawodowa opinia.

Cui bono? Kto zyska na śmierci papieża?

Wciąż zmęczona na ciele i umyśle zdjęłam ubranie i wślizgnęłam się do łóżka. Obejmując rękami kolana, czułam chłodny adamaszek poduszki pod policzkiem. Wokół mnie drzemał palazzo, a wkrótce i ja pogrążyłam się we śnie, bezpieczna w twierdzy człowieka, który przez całe dekady spiskował, żeby uczynić papieństwo najcenniejszym klejnotem w swojej ziemskiej koronie.

Rano zebrałam suknie, które porzuciłam na podłodze, rozprostowałam zagniecenia i starannie złożyłam je w skrzyni. Mając na względzie godność mojej nowej pozycji, ale również z myślą o wygodzie w upalny dzień, włożyłam prostą suknię spodnią z białego lnu i przykryłam ją niebieską suknią wierzchnią zdobioną na rąbkach rzędem kwiatków. Haft – zwodniczo łagodne paki różnych trujących roślin – był nieudolnym dziełem moich rąk; nigdy sprawnie nie władałam igłą. W ten sposób uczyniłam nudę wyszywania bardziej znośną, bo po każdej obyczajnej kobiecie spodziewano się, że osiągnie w nim mistrzostwo, niezależnie od jej naturalnych inklinacji.

Poprawnie ubrana, z włosami splecionymi w warkocz zwinięty na czubku głowy, zignorowałam burczenie w brzuchu i zabrałam się za moje nowe obowiązki, co – jak mam nadzieję – było wybaczalną gorliwością. Najpierw odszukałam kapitana kondotierów, żeby przyjrzeć się środkom ostrożności, które mój ojciec wprowadził w życie. Każdy kawałek jedzenia, każda kropla płynu, każdy przedmiot, z którym mógłby mieć kontakt Il Cardinale czy którykolwiek z członków jego rodziny, musiał być dokładnie sprawdzony i zabezpieczony. Wymagało to pełnej współpracy z kapitanem jego gwardii.

Vittoro Romano stał na zewnątrz zbrojowni w skrzydle pałacu, które mieściło również koszary.

Kilkunastu strażników wyciągnęło ławy na słońce i oddawało się polerowaniu elementów zbroi, nie spuszczać jednocześnie wzroku z dziewczek służebnych, które wynajdowały powody, żeby przechadzać się tędy, nosząc na rozchybotanych biodrach kosze z praniem lub zaopatrzenie kuchenne. Nieopodal drzemało kilka kotów, unosząc głowy jedynie po to, aby zerknąć na gołębie, które były poza ich zasięgiem.

Nie padało od wielu dni. Niebo przybrało odcień cytryny, częsty latem w Rzymie. Dziedziniec przed zbrojownią był zakurzony, mimo iż został wyłożony brukiem. Patrzyłam, jak wir pyłu unosi się w podmuchu nadchodzącej bryzy i tańczy po jego powierzchni, upadając niemal u stóp Vittoro.

Nie wydawał się tego zauważać. Po pięćdziesiątce, średniego wzrostu, posępny, kapitan straży sprawiał wrażenie, jakby ani nie był za bardzo zainteresowany, ani nawet nie zdawał sobie szczególnie sprawy z tego, co wokół niego się działo. Każdy, na tyle głupi, aby dać się oszukać tej ułudzie, powinien czuć się szczęściarzem, jeżeli pożył na tyle długo, żeby móc tego pożałować.

Vittoro rozmawiał z kilkoma porucznikami, ale odesłał ich, gdy mnie zobaczył.

Trochę się bałam zwrócić do niego, zastanawiając się, jak odniesie się do młodej kobiety, która nie zawahała się zabić, żeby dojść do swojej pozycji. Ku mojej uldze powitał mnie serdecznym ukłonem.

– *Buongiorno*⁴, Donna Francesca. Cieszę się, widząc panią w dobrym zdrowiu.

Pozwoliło mi to myśleć, że przynajmniej kapitan nie żałował decyzji Il Cardinale, aby pozwolić mi żyć, zamiast kazać poderznąć gardło i wrzucić moje ciało w wody Tybru albo jak tam zwykł był pozbywać się tych, którzy go urazili. Nie miałam jednak złudzeń co do tego, że reszta do-

mowników czuła podobnie. Stara kobieta, która nazwała mnie wiedźmą, na pewno nie była jedyna.

Stałam przed nim z powagą, wiedząc, że obserwują nas inni.

– Dziękuję, kapitanie, również cieszę się, widząc, że ma się pan dobrze. Jeżeli nie przeszkadzam, chciałabym porozmawiać o procedurach bezpieczeństwa.

Skinął lekko głową, wyprostował się szybko i powiedział z uśmiechem:

– Oczywiście. Czy chciałabyś pani wprowadzić jakieś zmiany?

– Wręcz przeciwnie, pragnę mieć tylko pewność, że nikt nie pomyli zaufania, jakie pokłada we mnie Il Cardinale, ze słabością. Gdyby tak się stało, nie miałabym innego wyjścia, jak tylko poczuć się dotkniętą.

– Jak bardzo dotkniętą? – zapytał Vittorio.

Nie miałam wątpliwości, co znaczył błysk w jego oczach. Znał mnie tak długo, jak mieszkalam pod dachem Borgiów, i widział, jak przeradzam się z niezgrabnego dziecka w trochę mniej niezgrabną kobietę. On i jego żona – szczerą, żywotną matrona – mieli trzy córki w wieku zbliżonym do mojego. Jako przyzwoite młode niewiasty wszystkie były zamężne, ale mieszkaly w sąsiedztwie z mężami i rosnącą gromadką dzieci. Były dla swojego ojca wielką radością. Czasem patrzyłam na nie z nostalgią, gdy składały wizyty w pałacu.

– Bardzo dotkniętą – odpowiedziałam.

Pozwoliłam sobie na lekkie westchnienie ulgi. Jego wsparcie było niezbędne, żebym mogła odnieść sukces, i byłam mu za nie wdzięczna.

Rozmawialiśmy dalej o procedurach, które przynajmniej dotychczas okazały się być efektywne w ochronie Borgii i jego rodziny.

Na przestrzeni lat podejmowano wiele prób zabicia czy choćby zdyskwalifikowania Kardynała, ale dzięki czujności mojego ojca żadna się nie powiodła. Jedno takie zdarzenie dotyczyło krawca sera, w który wstrzyknięto roztwór arsenu. Kolejne – beli tkaniny barwionej wywarem z bielunia. Były też inne, ale nie widzę powodu, żeby szczegółowo je omawiać.

I z pewnością będą następne. Było tylko kwestią czasu, zanim zostanie podjęta próba, aby wypróbować czujność nowego truciciela Borgii. Wiedziałam o tym aż za dobrze, mimo iż żyłam w obawie przed tym.

– D’Marco szuka cię, pani – ostrzegł mnie Vittorio, kiedy już skończyliśmy.

Skrzywiłam się, ku jego rozbawieniu, i odeszłam. Chciałam, żeby odbierano moją obecność jako, przynajmniej z mojej perspektywy, najbardziej zasadniczej części domostwa, więc z konieczności musiałam skupić uwagę na kuchniach. Dotarłam już do wiodącej do nich ocienionej ścieżki, gdy drogę zastąpił mi nieduży człowiek o wyglądzie szpicla.

Renaldo d’Marco był nadzorcą domu Borgii, nie bardzo lubianym, gdyż miał tendencję wściubiać nos we wszystkie zakamarki w poszukiwaniu uchybień. Zbieranie śmietanki jest dodatkową wartością zatrudnienia w tak czcigodnym domu, ale niezbyt wiele może zostać wybaczone, żeby nie spowodować bankructwa instytucji i nie zabić kury znoszącej złote jaja. Dzięki, przynajmniej sprawianiu pozorów, że naciska, iżby nic takiego w ogóle nie miało miejsca, d’Marco udawało się utrzymywać wszystko w granicach tolerancji.

Wypadł na mnie z cienia zalegającego pod przejściem. Tak cenił swoją godność, że pomimo upału nosił purpurową aksamitną suknię i pasujące do niej nakrycie głowy. Przytulał do wątlej piersi przenośny pulpit do pisania, jakby mógł nim powstrzymać wszelkie wymierzone w niego ciosy.

– Tu jesteś, Donna Francesca. Wszędzie pani szukałem – powiedział, marszcząc brwi. – Muszę stwierdzić, że byłem zdziwiony, gdy dowiedziałem się... Ale do rzeczy, to nie ma teraz znaczenia. Myślałam, że doradzano pani, aby skontaktowała się ze mną od razu dziś rano, a w przyszłości mam nadzieję, że pani tak postąpi. Jego Eminencja we wszystkim mi ufa, znam jego wolę i mogę służyć pani wielką pomocą.

Nie chcąc stać się przedmiotem jego wrogości, odpowiedziałam łagodnie.

– Oczywiście będę o tym pamiętać, panie. A teraz, czegoż to potrzebujesz?

Ułagodzony wyprostował się nieco.

– Jego Eminencja polecił, żebyś niezwłocznie sprawdziła stan domu Madonny Adriany de Mila, mając na względzie bezpieczeństwo i dobre samopoczucie Madonny Lukrecji i innych do-

mowników. Ponadto polecono mi przekazać pani to.

Z wyczuwalną niechęcią podał mi niewielki pakunek, który, jak szybko się zorientowałam, zawierał złote floreny.

Miałam wcześniej do czynienia z pieniędzmi. Kiedy szłam z ojcem na targ, często dawał mi monety i kazał nimi płacić. Gdy już byłam starsza, uczył mnie trudnej sztuki targowania się i powierzał uzyskanie najbardziej korzystnej ceny.

Wspominam o tym, żebyście zrozumieli, że nie zdziwiło mnie to, że dano mi pieniądze. Ciekawa byłam tylko, co miałam z nimi zrobić.

– To pensja za kwartał – powiedział Renaldo. Odwrócił do mnie pulpit. – Proszę podpisać tutaj.

Podpisałam, ciesząc się, że nie zadrżała mi ręka. Oczywiście rozumiałam, że otrzymam zapłatę; nie myślałam tylko nigdy o tym, jak dużą.

Ojciec zostawił pokaźną kwotę na koncie w rzymskim banku. Po jego śmierci przypadła mi. Z nią i moim nowym dochodem byłam wyjątkiem wśród płci pięknej – w tak młodym wieku stałam się kobietą niezależną finansowo.

„Co niezwykle mi odpowiada”, pomyślałam, uwalniając się od Renaldo.

Wróciłam do swojej komnaty, żeby zabezpieczyć większą część florenów w skrzyni, i podążyłam wykonać rozkaz Jego Eminencji.

W specyficzny sposób Il Cardinale był człowiekiem wielce roztropnym. Na przykład nie umieszczał obecnej kochanki, czy żadnego z wielu potomków spłodzonych z poprzednią, w swojej oficjalnej rezydencji na Corso. Były pod opieką jego kuzynki, a co również bardzo wygodne, wdowy po członku potężnego klanu Orsinich, która mieszkała nieopodal w stosownych warunkach.

Od śmierci ojca nie oddalałam się od palazzo, który, z wielkim budynkiem głównym i otaczającymi go przyległościami zamieszkałymi przez setki służby, czeladzi, dworzan, urzędników, mógł wydawać się miniaturowym miastem. Na zewnątrz rozciągał się wspaniały plac, który Borgia uważał za przedłużenie swoich włości, wykorzystując go do różnych form zabawiania gawiedzi: od walk byków, przez pantomimę aż po pokazy ogni sztucznych. Posunął się nawet do tego, aby odnowić inne budowle, które wychodziły na plac, żeby dostosować widok do własnych standardów. Jakby miały stanowić jego pomnik, fasady budynków były świeżo wyłożone trawertynem sprowadzonym z okolic Tivoli. Widywano go teraz w całym mieście – na mostach, kościołach, pałacach, nawet na parapetach skromniejszych domów i krawężnikach nowo brukowanych ulic. Jeśli odwiedzicie Rzym lub będziecie mieć to szczęście, aby zamieszkać w jego murach, radzę wam przy jakiejś okazji wstać wcześniej i obejrzeć, jak każdy nowy dzień przemienia miasto z jednobarwnej nocy w rumieniec barw, które słońce wyciąga z tego niezwyklego kamienia. Potem zobaczycie, jak kolory pogłębiają się niemal do odcieni purpury, zanim, pod koniec dnia, ukażą przyćmione złoto. Mówi się, że rzymska paleta barw góruje nad wszelkimi miastami. Nie znalazłam powodu, żeby się z tym nie zgodzić.

Jak zawsze, gdy opuszczałam granice placu, aby udać się do miasta, czułam się tak, jakbym przechodziła w inny stan. Rzym trwał w swoim zwykłym ruchliwym podnieceniu. Gdziekolwiek nie spojrzeć, gromadziła się ciżba ludzka – niektórzy pieszo, inni na końskich grzbietach, jeszcze inni w lektykach, powozach czy na furach, wywołując kakofonię dźwięków i morze ruchu, które mogło spowodować zawrót głowy. Księża, kupcy, pospólstwo, żołnierze i goście, otwierający na to wszystko szeroko oczy, tak samo walczyli o miejsce na ulicach i w zaułkach. Mówiono, że można tu usłyszeć wszystkie języki świata. Wierzyłam w to. Zagojenie się parę dekad temu ran po Wielkiej Schizmie, która rozdarła Kościół, przywróciło Rzym jako centrum chrześcijańskiego świata. To, co było zaniedbanym średniowiecznym miastem, pełnym nawiedzonych ruin i zmniejszającej się coraz bardziej populacji, zostało przekształcone, jakby w ciągu jednej nocy, w największe miasto całej Europy.

Nic lepiej nie oddawało odrodzenia Rzymu jak wspaniałe pałace wybudowane przez wielkie rody. Imponujący palazzo Kardynała, stojący całkiem stosownie w miejscu, gdzie niegdyś była stara rzymska mennica, powstał jako pierwszy. Ale obszerny i pełen luksusów Palazzo Orsini mógł bić się z nim o palmę pierwszeństwa. W zasadzie powinno się go nazywać Palazzi Orsini, bo składał

się z paru pałaców wybudowanych wokół wielkiego dziedzińca wewnętrznego, a każdy z nich należał do innej – jak niektórzy by powiedzieli konkurującej – gałęzi klanu Orsinich. Ja kierowałam się do skrzydła pałacu usytuowanego w wąskiej uliczce z widokiem na Tyber.

Ledwie weszłam w kojący chłód marmurowego przedsionka i zaanonsowałam się majordomusowi, wpadła na mnie smukła dziewczynka zbliżająca się już do kobiecości, której twarzyczka o kształcie serca otoczona była burzą jasnych loków. To śliczne stworzenie, pachnące fiołkami z nutką wanilii, rzuciło się na mnie i mocno przytuliło.

– Tak się o ciebie martwiłam! Dlaczego cię nie było? Płakałam za tobą... za twoim ukochanym ojcem... za wami obojgiem! Dlaczego nie było cię tutaj?

Jak wytłumaczyć uwielbianej, jedynej córce Il Cardinale, dlaczego była przeze mnie zaniebywana? Jak błagać ją o wybaczenie?

– Tak mi przykro – powiedziałam, tuląc dwunastolatkę. – Nie byłabym odpowiednią towarzyszką, ale wiedziałam, naprawdę wiedziałam o twoich myślach i modlitwach. Z głębi mojego serca dziękuję ci.

Ukojona tym Lukrecja uśmiechnęła się, ale wyraz szczęścia zniknął z jej twarzy, gdy mi się przyjrzała. Znałyśmy się przez całe jej młode życie. Dzieliliśmy wspólny los córek kochających i kochanych przez silnych, budzących strach ojców. To narzuciło nam izolację, z której wyciągnęłyśmy do siebie ręce, odnajdując pewien stopień miłości siostrzanej, co dawało nam obu komfort, nawet jeśli nigdy nie miało wymazać społecznej przepaści, która nas dzieliła.

– Jesteś zbyt blada – stwierdziła Lukrecja. Chociaż o siedem lat młodsza, nie wahała się zaznaczać autorytetu nadanego jej wyższą pozycją. – I schudłaś, jesteś teraz za szczupła. A twoje włosy, dlaczego zawsze nosisz ten warkocz? Masz piękne włosy – taki śliczny kasztanowy odcień – powinnaś je rozpuścić, wtedy można by je lepiej podziwiać.

Cofnęłam się o krok i uśmiechnęłam do niej.

– Moje włosy nie są piękne i nie szukam podziwu mężczyzn. Noszę je spięte, bo tak jest praktyczniej.

Dobry nastrój Lukrecji umknął, podobnie jak jej krótkotrwałe zainteresowanie moimi problemami. Z kokieterijną minką westchnęła.

– Chyba powinnam ci zazdrościć. Słyszałaś już?

– Słyszałam o czym? – zapytałam, chociaż znałam odpowiedź.

Nawet żałoba po ojcu nie uchroniła mnie przed plotkami rozsiewanymi w domu. Wzięłyśmy się pod ręce i poszłyśmy z przedsionka do komnat rodzinnych.

– Drugie zaręczyny zerwane! Przepadł kolejny mąż! Co ojciec sobie myśli? Obiecał mi dwóch mężczyzn, obaj szlachetni, honorowi lordowie, Hiszpanie tak jak my. A potem zmienia zdanie. Umrę jako stara panna, przyrzekam ci!

– Będziesz miała wspaniały ślub, a twój mąż będzie cię wielbił na zawsze.

– Naprawdę tak myślisz?

Czy tak myślałam? Nie było wątpliwości, że Il Cardinale zaaranżuje dla swojej jedynej córki najlepszą partię. Wszystko, co robił, służyło jednemu celowi: większej świetności La Famiglia. Może święcie wierzył, że powodzenie Borgiów będzie służyło dobru Kościoła i całego chrześcijaństwa. A może wcale go to nie obchodziło. Jakby nie było, korzyści dla La Famiglia powodowały całym jego działaniem. A czy miało to skutkować szczęściem osobistym Lukrecji – któż mógł to wiedzieć?

– Będzie tak, jak chce tego Bóg – powiedziałam. – Muszę spotkać się z Madonną Adrianą. Pójdiesz ze mną?

Rozmawiałyśmy, idąc galeriami wypełnionymi posągami; niektóre nowe, inne pozyskane niedawno z wykopalisk, na które można się było teraz natknąć w całym mieście. Po drodze próbowałam ocenić, czy Lukrecja miała jakiegokolwiek pojęcie o zmianie, jaką ostatni dzień wywarł na moją sytuację. Dziewczynka nie wspomniała nic o tym, szczebiocząc radośnie. Wciąż będąc dzieckiem, córka Kardynała była nad wiek rozwinięta i nie ujawniała swoich myśli. Nie można było być całkowicie pewnym tego, co wiedziała i skąd się o tym dowiedziała.

Wreszcie doszłyśmy do skrzydła pałacu zajmowanego przez członków domu Il Cardinale.

Strażnik stojący przed wejściem skłonił się, kiedy przechodziłyśmy przez wysoką bramę z brązu. Za nią rozciągał się świat tryskających fontann, tajemniczych ogrodów, jedwabnych buduarów i złożonych pokoi spotkań, tak niezwykle kobiecych, że zwykłam o nich myśleć jako o haremie, gdzie Kardynał, książę Świętego Kościoła Rzymskiego, jeden z najbardziej wpływowych ludzi w całym chrześcijańskim świecie, przychodził zmyć z siebie troski dnia w otoczeniu swoich słodkich kobiet.

Takie właśnie były. Poza słodką żywotnością jedynej córki cieszył się towarzystwem kuzynki, Madonny Adriany de Mila, wdowy po zmarłym Lordzie Bassanello, która jego władzę wykorzystywała do własnych celów. Wśród jej wielu cnót rządziła praktyczność. Z natury była tak wrażliwa, że nie składała żadnych obiekcji, kiedy Il Cardinale wziął za swoją kochankę zdumiewająco piękną Giulie Farnese, Giulia La Bella, jak ją nazywano, a mówiono o niej, że jest najwspanialszą kobietą w całej Italii, jeśli nie na całym świecie. To, że była żoną pasierba Adriany, mogłoby wywołać jej sprzeciw. Ale La Famiglia, jak zawsze, była górą. Adriana zgodziła się na przeniesienie pasierba do jego wiejskiej posiadłości, dając tym sześćdziesięcioletniemu Kardynałowi wolność cieszenia się powabami osiemnastoletniej Giulii, która z radością na to przystała.

Obie kobiety skryły się w cieniu wewnętrznego ogrodu, siedząc pod drzewem platanu, sącząc schłodzoną lemoniadę i obserwując parę kudłatych szczeniąt maltańczyków, które baraszkowały w trawie. Za paniami stali odziani w zdobione perłami turbany i pantaloney negrzy, którzy wachlowali je białymi strusimi piórami.

Lukrecja wystrzeliła do przodu i ze śmiechem opadła na ławkę obok Giulii, wołając, żeby podano jej coś do picia. Ja trzymałam się z dala, czekając, aż mnie zauważą. Madonna Adriana przypatrywała mi się dłuższą chwilę, zanim uniosła upierścienioną dłoń i wskazała na stołek u jej stóp.

– Nie ma potrzeby stosować takich formalności, *cara*⁵. Usiądź i powiedz nam, co nowego. Zrobiłam, co mi nakazano, i wygładzając spódnice, mruknęłam: – *Grazie*⁶, Madonna.

– Taki ciepły dzień – powiedziała Giulia. Wygięła smukłą szyję i przeciągnęła się leniwie. – Ledwo mogę utrzymać otwarte oczy.

I nic dziwnego, bo – jak głosiła plotka – nosiła w łonie dziecko. Kardynał ponoć był temu rad. Nie wiedziałam nawet, ile spłodził dzieci z różnymi kochankami, ale nie było wątpliwości, że miał wśród nich swoich ulubieńców. Było wielce prawdopodobne, że to dziecko zostanie jednym z nich.

Spojrzałam na Giulie z niechętną fascynacją. Naprawdę była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałam. Kombinacja złocistych włosów, ciemnych oczu, idealnie harmonijnych rysów i usposobienia ciepłego, chociaż powściągliwego, kreowała wokół niej aurę zmysłowej i duchowej perfekcji. Ta ostatnia z pewnością nie miała uzasadnienia, a co do pierwszej... Chyba tylko Il Cardinale mógł to naprawdę osądzić.

Chociaż nie można było odmówić jej rozumowi.

– Jakie to mądre ze strony Jego Miłości – powiedziała, patrząc na mnie. – Jakie odważne. Nie miałam pojęcia, że może wierzyć, iż kobieta podoła takim obowiązkom.

Więc wiedziały. Boże, to cudownie, bo czyniło wszystko o wiele prostszym.

– Jego Miłość – powiedziałam – jak zawsze jest nieskończenie mądry i sprawiedliwy.

Obie kobiety wymruczały swoją zgodę w taki sposób, jakby odmawiały modlitwę.

Lukrecja tylko patrzyła, przerzucając wzrok z jednej na drugą.

– Ale oczywiście nie mamy się tutaj czego obawiać – zaryzykowała Adriana, obejmując wzrokiem ogród otoczony wysokim murem.

– Oczywiście, że nie – powiedziałam szybko. – Chciałabym się tylko upewnić, że wszystko wygląda tak, jak powinno wyglądać.

– Za co jesteśmy ci szczerze wdzięczne – odparła Giulia. – Żyjemy w takich burzliwych czasach...

Adriana westchnęła na zgodę.

– Po prawdzie, kto może powiedzieć z dnia na dzień, jakie nowe zagrożenia nas dotkną? Ale starczy tego przynębnienia. Tylko dziś rano mój posługacz przyniósł wiadomość, że zdrowie Jego

Świątobliwości się poprawiło. Gorączka ustąpiła i mówią, że jest w dobrym nastroju.

Giulia uniosła szklankę do ust. Niewątpliwie cierpki ton jej odpowiedzi został wywołany lemoniadą, niczym więcej.

– Wspaniała wiadomość.

– Kto wie, co powoduje taką chorobę – powiedziałam ostrożnie. – Może modły świata chrześcijańskiego pomogły Jego Świątobliwości.

– Naprawdę tak myślisz? – spytała Lukrecja.

Rzuciła jednemu z psiaków małą czerwoną piłeczkę. Pobiegł za nią, dysząc i przebiegając krótkimi nóżkami.

Czy tak myślałam? Moja wiara w tym czasie była prosta jak wiara dziecka, choć już budziły się we mnie pytania.

– Musimy mieć nadzieję na wyzdrowienie papieża – powiedziałam wymijająco.

– A teraz, jeśli nie macie nic przeciw temu, chciałabym pomówić o bardziej doczesnych sprawach. Jak wicie, moim obowiązkiem jest pomoc przy ochronie tego domostwa. – Nie chcąc, żeby zabrzmiało to zbyt groźnie, dodałam szybko: – Oczywiście nie ma powodów do niepokoju. Chcę tylko prosić, że jeśli zatrudnicie nowego sługę, zmienicie swoje zwyczaje w jakikolwiek sposób albo zauważycie cokolwiek odbiegającego od normy, żebyście od razu mi o tym powiedzieli. Czy możecie wyrazić na to zgodę?

Przez chwilę w pachnącym ogrodzie panowała cisza... i jeszcze chwilę... dopóki nie rozległ się, zbyt często porównywany do dźwięku srebrnych dzwonek, śmiech Giulii.

– Droga Francesca, taka poważna! Jakże się cieszę, że nie muszę podejmować męskich obowiązków! Ależ oczywiście, nie obawiaj się, powiemy ci wszystko, co musimy.

– O tak, oczywiście powiemy – zapewniła mnie Adriana. – Ale teraz odsuńmy na bok te ciemne myśli. – Ponownie uniosła dłoń, wzywając jednego z negrów. – Przynieś coś, co by nas rozbawiło... Jakaś muzykę, gry, och, właśnie sobie przypomniałam, jest list od Cesare. Idź po niego.

Schyliłam głowę, koncentrując się na wzorze na spódnicy, wybrykach psów u moich stóp, zapachu cytryn wiszącym w powietrzu. Na wszystkim innym niż niepożądane przypomnienie Cesare, jeszcze nawet nie siedemnastoletniego syna Il Cardinale, przystojnego jak anioł ciemności, niebezpiecznego jak sam Szatan. Wspomnienie, które powinnam wymazać na zawsze.

– Cesare – westchnęła Lukrecja. – Tak bardzo za nim tęsknię!

Giulia roześmiała się, podobnie jak Adriana. Tylko ja siedziałam cicho, tam, w otoczonych murem ogrodach haremu Kardynała. Za nimi starożytny Rzym kipiał i wrzał, gotował się w letnim upale, jak zawsze czekając na to, co miało nadejść.

Kiedy rok wcześniej Cesare przebywał w Rzymie z krótką wizytą u ojca, pocałował mnie. Taka głupia rzecz, a tak dobrze ją zapamiętałam! Głupia i niebezpieczna. Zrobiłby pewnie znacznie więcej – jego język już tkwił w moich ustach, a ręka pod spódnicą, zbyt blisko miejsca, które wilgotnie teraz na samo wspomnienie o tym – ale uświadomiłam sobie, że nie jestem głupiotką dziewczką służebną, żeby dać się poniżyć dla paru minut prymitywnej przyjemności.

Nie mogłam jednak pozwolić sobie na to, aby go rozzłościć. Znałam go przez większość życia, tak jak jego siostrę. Jeszcze trzy lata wcześniej, zanim odesłano go do szkół, widywaliśmy się prawie codziennie. Częste wizyty w domu pokazywały, że jego charakter nie zmienił się w szerokim świecie. Był nieprzewidywalny, ten syn Kardynała, którego szykowano na księdza. Łatwo było go obrazić.

Dzięki Bogu nie jestem taką niewolnicą uczuć, za jakie często brane są kobiety. A z moich obserwacji wynikało, że to mężczyźni częściej myślą dolnymi partiami ciała niż mózgiem, którym obdarzył ich nasz Pan. Cesare należał właśnie do tego rodzaju. Poczekalam, aż uwolnił mi usta i skupił uwagę na piersiach, i powiedziałam:

– Bądź ostrożny, żeby nie stłuc fiołki w gorsiecie. Zawiera śmiertelną truciznę.

Uniósł wzrok, z twarzą napęczniałą namiętnością. Podobnie jak ojciec miał bardzo zmysłową naturę. Ledwie trzynastoletni już był biegły na ołtarzu Wenus. Od tego czasu podbijał legiony kobiet. Jednak nie odebrało mu to dozy rozsądku.

– Truciznę? – powtórzył.

Uśmiechnęłam się słodko.

– Nie wiedziałeś? Asystuję teraz ojcu w warzeniu naporów. Twierdzi, że całkiem dobrze sobie radzę.

W rzeczywistości już dawno przestałam być asystentką ojca. Opanowałam wszystko, czego mógł mnie nauczyć, i dużo więcej. Ale, oczywiście, nie chciałam tego przed nikim odkrywać.

Opuścił ręce i odsunął się, wciąż patrząc na mnie. Stale się uśmiechałam i nie zrobiłam żadnego gestu, żeby się zakryć. Nie chciałam, aby pomyślał, że mu odmawiam, bo próżność mogła go popchnąć do czegoś głupiego.

– Och, Francesca! – wymamrotał w końcu, odwrócił się i odszedł, a jego szkarłatny płaszcz powiewał za nim, gdy szedł korytarzem i zniknął mi z oczu.

Za każdym razem, gdy to wspomnienie pojawia się w moich snach, czuję, że się rumienię.

Z zachodu dochodziły uderzenia piorunów, ale nie spadła ani kropla deszczu, która złągodziłaby duchotę dnia. Zakończywszy to, co miałam do zrobienia w Palazzo Orsini, udałam się na targ. Szłam szybkim krokiem, patrząc wprost przed siebie, ignorując zaczepki młodych mężczyzn noszących różnobarwne pończochy i wybujałe pióra w kapeluszach. Wydawali się nie mieć nic lepszego do roboty niż wałęsanie się po ulicach, aby znieważać samotne kobiety i szukać okazji do bójki. Z uwagi na nich dawniej wolałam chodzić po mieście w chłopięcym stroju. Przyznaję się do tej praktyki z pewnym wahaniem, bo, jak wszystkim wiadomo, „zbrodnia” ubierania się po męsku była podstawowym zarzutem, na podstawie którego święta Joanna została postawiona przed sądem ledwie kilkadziesiąt lat temu, a potem uznana winną herezji i żywcem spalona. To, że Kościół od tego czasu zmienił swoją opinię wobec niej, nie jest dla niektórych z nas wielkim pocieszeniem.

Pomiędzy Bazyliką San Rocco, siedzibą biskupa Rzymu – czyli po prostu papieża – a Watykanem, mieści się kwitnący Campo de' Fiori, najważniejszy targ miasta – miejsce, gdzie – jak mówią – każdy w końcu trafi, choćby tylko po to, żeby być świadkiem, o ile nie przedmiotem jednej z odbywających się tu często egzekucji. Preferowano tu nie trawertyn, a porządne czerwone cegły robione z błota pozyskiwanego z Tybru, które w letnie dni połyskiwały jak zawstydzone złoto.

Jak zawsze na targu tłoczyli się sprzedawcy, kupujący, gapie i nieodłączni złodzieje, którzy

współzawodniczyli z uzbrojonymi w pałki patrolami zatrudnionymi przez kupców, aby stworzyć przynajmniej pozory bezpieczeństwa. Wszystko odbywało się na i w otoczeniu kup śmieci, odpadków, łajna, które dodawały swoje aromaty do wiszących koszy i niekończących się trejaży kwiatów wypełniających nawet najbardziej skromne zaułki.

Szłam alejkami handlarzy kusz i kufrów, rzuciłam okiem na ofertę sprzedawców tkanin i złotników, i skierowałam się w końcu w stronę Via dei Vertrarari, gdzie skupiali się wytwórcy szkła.

Byłam tam już wiele razy, ale zawahałam się, zanim skręciłam w uliczkę. W mieście, które żyje dla plotek, wieści o moim awansie w domu Borgiów krążyły już pewnie w powietrzu. Świadoma śledzących mnie spojrzeń minęłam szybko parę warsztatów, zatrzymując się przed skromnym, drewnianym budynkiem, ledwo widocznym pomiędzy sąsiednimi.

Nieduży, mniej więcej sześciolatek chłopiec z burzą ciemnych włosów i wciąż obecną w rysach dziecięcą miękkością, siedział po turecku na ziemi, grając w kulki i pilnując niewielkiego zestawu szklanych wyrobów. Przyglądał mi się przez chwilę, ale zaraz zerwał się na nogi i rzucił do mnie, obejmując mnie w talii. Kiedy uklękłam, aby go przytulić, zauważyłam, że się uśmiecham.

– Donna Francesca! – zawołał i odsunął się trochę, żeby mnie lepiej widzieć. – Dobrze się pani czuje? – Klepiąc mnie po policzku pulchną rączką, dodał: – Przykro mi z powodu pani papy. Musi być pani bardzo smutno.

Ścisnęło mi się gardło i przez chwilę nie mogłam wydobyć głosu. Widziałam, jak Nando rósł od dzieciątka w powijakach, śmiałam się z jego błazeństw i pocieszałam, gdy się zranił albo gdy coś go martwiło. Jeżeli kiedykolwiek zdarzały mi się chwile, kiedy tęskniłam za tym, aby sama mieć dziecko, było to w jego towarzystwie.

– Jestem smutna – powiedziałam; nie obraziłabym go nieszczerością – ale też bardzo się cieszę, że jestem tu z tobą.

Usatysfakcjonowany puścił mnie i wpadł do środka. Ledwo zdążyłam się podnieść, gdy wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna przed trzydziestką, z gołą piersią okrytą skórzanym fartuchem, wyszedł z głębi sklepu.

– Francesca!

Próbowałam się uśmiechnąć z nadzieją, że ukryje to moją niepewność. Rocco Moroni pojawił się w Rzymie przed sześciu laty, przynosząc ze sobą rzadki dar produkcji szkła i syna bez matki. Ojciec był jednym z jego pierwszych klientów. W czasie naszych licznych wizyt w warsztacie często przyglądałam mu się ukradkiem – był niezwykle przystojnym mężczyzną. Poprzedniej zimy zwrócił się do mojego ojca z prośbą o rozważenie naszego małżeństwa. Mogłam jedynie wnioskować, że w swojej niewinności nie zauważył, iż moje zainteresowanie rzemiosłem ojca wykraczało daleko poza obowiązki córki, bo jakież to małż z pełną świadomością wiązałby się z kimś tak biegłym w sztuce uśmiercania? Nie mógł też widzieć ciemności, która czaiła się we mnie, tego miejsca, gdzie żyły moje koszmary.

Przez dwa tygodnie po otrzymaniu propozycji Rocca próbowałam przekonywać siebie, że mogę być kobietą, na którą obaj, on i Nando, zasługują, ale później poddałam się z mieszaniną ulgi i żalu, który wciąż mnie prześladował. Rocco przyjął moją odmowę do wiadomości bez żalu czy gniewu, ale odtąd był w mojej obecności ostrożniejszy, jakby poniewczasie dotarło do niego, że moja natura jest bardziej skomplikowana, niż myślał.

Teraz wydawał się jedynie miły i przyjazny, chociaż zanim z powrotem wszedł do środka, szybko obrzucił wzrokiem obie strony ulicy.

– *Venite*, powietrze też ma uszy. Wejdz.

Podążyłam za nim w chłodny cień pokoju. Zamknął za nami drzwi i spojrzał na mnie uważnie. W jego ciemnych oczach tliło się współczucie.

– Tak mi przykro z powodu twojego ojca. Poszliśmy do palazzo. – Wskazał głową na Nando, który stał nieopodal, patrząc to na jedno, to na drugie z nas. – Chcieliśmy złożyć ci kondolencje, ale nie pozwolili nam wejść. Nie powiedzieli nawet, co się wydarzyło.

– Pochowali go w nocy. – Nie zamierzałam o tym mówić, ale w obecności człowieka, który był przyjacielem ojca i, jak odważyłam się myśleć, również moim, nie mogłam zaprzeczać bólowi

po doznanej stracie. – Na cmentarzu przy Santa Maria. Pośpiesznie, jakby myśleli, że mogą ukryć to, co mu się przytrafiło.

Rocco ze zrozumieniem pokiwał głową.

Wyciągnął rękę, jakby zamierzał mnie pocieszyć, ale opadła w powietrzu pomiędzy nami.

– Giovanni jest teraz z naszym Panem. Zostawił wszystkie problemy tego świata dla wiecznej radości w raju – powiedział cicho.

Niewątpliwie pił do mnie, która nie miałam żadnych.

Zazdrościłam mu, ale jednocześnie czułam się bardzo dotknięta tym, że akceptuje to, co ja mogłam jedynie kwestionować.

Jakby rozumiejąc obawy, jakie wywoływały we mnie moje wątpliwości, dodał:

– Twój ojciec w głębi serca był dobrym człowiekiem. Jestem pewien, że nasz Pan przyjmie go do siebie. Poza tym on...

– Wykonywał tylko rozkazy II Cardinale – wtrąciłam – księcia Świętego Kościoła Rzymskiego, który dał mu rozgrzeszenie. Przynajmniej tak to sobie tłumaczę. Mogę tylko mieć nadzieję, że to wystarczy.

Jeżeli chodzi o mnie, która zabiła bez rozkazu Kardynała, a nawet wbrew jego chęci, mogłam jedynie zastanawiać się, jaką cenę przyjdzie mi zapłacić na tamtym świecie.

Szeroka pierś wytwórcy szkła uniosła się i opadła w głębokim westchnieniu.

– *Cara*, ja wierzę w miłościwego Boga, Boga, który wybacza...

Mając na uwadze obecność syna, przerwał w tym miejscu, ale rozumiałam, co miał na myśli. Rocco również pragnął przebaczenia. Kiedy był dzieckiem, niewiele starszym niż teraz jego syn, został przyjęty do klasztoru dominikanów, gdzie żył jako brat zakonny przez kilka lat. Opuścił zakon z powodu miłości do kobiety, którą poślubił, a później opiekował się jej synem, dzieckiem tej miłości, którego matka umarła przy porodzie. Za spowodowane tą miłością czyny wciąż mógł być ścigany, nękanym i piętnowanym jako zdrajca wiary przez tych samych ludzi, którzy zasiadali na kościelnych stołkach, utrzymując jednocześnie swoje nałożnice i spiskując, aby dać wsparcie dzieciom, które im zrodziły.

Tyle na temat stanu Świętego Kościoła Rzymskiego. A co do stanu zwykłej duszy ludzkiej, któż mógł coś o tym powiedzieć?

Rzucając pokrępowany uśmiech chłopcu, który nie był w stanie oderwać od nas oczu, odeszłam, udając zainteresowanie szklanym wazonem ustawionym w niszy pod przeciwległą ścianą.

– Trochę się zapomniałam. Przyszłam porozmawiać o interesach.

Rocco zerknął na syna i skinął głową.

– Nando, idź do piekarni i kup ładny bochenek chleba, dobrze? Powiedz Marii, że chciałbym taki prosto z pieca, a jak już tam będziesz, możesz wziąć dla siebie biskopka.

Wyciągnął z kieszeni monetę i rzucił do góry, a dzieciak złapał ją z szerokim uśmiechem, wybiegł i popędził ulicą.

Gdy zostaliśmy sami, Rocco otworzył szafkę i wyjął butelkę wina oraz dwa kielichy. Napelnił oba i podał mi jeden.

– Mamy parę minut, nim wróci. Powiedz, czy to prawda, co słyszałem? Czy ty...

Bałam się tej chwili, gdy będę musiała wyznać, co zrobiłam, i zmierzyć się z możliwością, że Rocco odwróci się ode mnie ze wstrętem. Podobnie jak w obliczu Borgii mówiłam pośpiesznie.

– Zrobiłam to, co musiałam. Mój ojciec został zamordowany i nikt nie ruszył ręką, żeby wymierzyć sprawiedliwość jego zabójcom. Zostałam z tym sama. Ale jak mogłoby się to udać kobiecie bez władzy i wpływów? Nie miałam wyboru. Poza tym – dodałam, ośmielona tym, że patrzył na mnie w skupieniu i bez śladu odrazy – Hiszpan nie był niewinny. Z tego, co słyszałam, zabijał wiele razy.

Rocco przyglądał mi się dłuższą chwilę, zanim zapytał:

– Szukasz sprawiedliwości... czy zemsty?

Zrozumiałam, że dla niego to pytanie było rozstrzygające, dotyczyło bowiem stanu mojej duszy. Ale niechętnie przed nim stanęłam.

– Czy to jakaś różnica, przynajmniej jeżeli chodzi o mojego ojca?

Gdyby Rocco pozostał dominikaninem, podejrzewam, że wykazałby się talentem w debatach teologicznych. Ta jego skłonność czasem mnie drażniła, jednak muszę też przyznać, że kiedy coś trafiło moje sumienie, szłam właśnie do niego. Był, i zawsze będzie, jak magnetyt prowadzący mnie przez ciemne wody.

– Oczywiście, że jest różnica – powiedział. – Sprawiedliwość służy dobru wszystkich. Zemsta to sprawa osobista, jest więc egoistyczna. Nie znajdzie uznania Boga.

– Nie spodziewaj się po mnie braku osobistych uczuć w przypadku morderców ojca. Kiedy już za to zapłacą, a zapłacą na pewno, światu wyjdzie to tylko na dobre.

Rocco nie podważył tego, ale przedstawił kolejną obawę.

– A co z Borgią? Czy teraz, gdy jesteś na jego usługach, nie będzie oczekiwał od ciebie pewnych rzeczy?

Wzięłam łyk chłodnego wytrawnego wina w nadziei, że mnie uspokoi, i wzruszyłam ramionami.

– Nie może oczekiwać, że zrobię wszystko, czego tylko zechce. A wbrew temu, co się mówi, angażował ojca bardzo oszczędnie, wyłącznie jako ostatnią deskę ratunku. Nie widzę powodu, aby to się miało zmienić.

Ku mojej wielkiej uldze Rocco wydawał się uspokojony moimi odpowiedziami, przynajmniej na tyle, żeby ciągnąć dalej.

– Co wiadomo o zabójcach twojego ojca? – zapytał.

– Urzędnik Kardynała poinformował mnie, że to rzezimieszki, którym chodziło tylko o łup. Dlaczego by nie? Przecież wszyscy wiemy, że Rzym to niebezpieczne miasto.

– Tak, to prawda, ale... – Popatrzył na mnie z uwagą. – Ty w to nie wierzysz?

Zawahałam się. Ufałam mu, ale nie byłam pewna, czy chcę go wciągać w moje problemy bardziej, niż już to robiłam przez samą obecność w tym miejscu.

– Coś dręczyło mojego ojca w ostatnich dniach jego życia – powiedziałam w końcu. – Cokolwiek to było, sprawiało, że często się modlił. A to nie było do niego podobne. Wiele razy znajdowałam go na kolanach, ze łzami w oczach. Nie chciał mi powiedzieć, o co chodzi, ale zanim został zabity, planował wysłać mnie poza miasto.

– Myślisz, że miało to coś wspólnego z pracą Giovanniego dla II Cardinale?

– Trudno mi znaleźć inną przyczynę. Ojciec żył dla swojej pracy i dla mnie. W jego życiu nie było nic innego, a przynajmniej nic, o czym bym wiedziała.

– Ale służył Kardynałowi przez wiele lat. Dlaczego akurat teraz byłby tak niespokojny?

– Nie wiem – przyznałam. – Może miał już tego dosyć?

Czy stanie się tak i w moim przypadku?

Odstawiłam kielich i wyrzłam na podwórze, gdzie piec, w którym Rocco zmieniał zwykły piasek w dzieła niezrównanej piękności, palił się dzień i noc. W otwartych drzwiczkach widziałam tańczące płomienie i mogłam niemal poczuć ich oczyszczający żar. Pomimo tego zadrżałam, ogarnął mnie głęboki chłód.

– Wiem tylko – powiedziałam – że nie spocznę, dopóki nie odkryję, kto go zabił. Znajdę morderców i doprowadzę ich do tego, że za to zapłacą. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Chwilę później wrócił Nando, wpadając z dziecięcą żywotnością w ciszę, która nastąpiła po mojej deklaracji. Stał niepewnie, dopóki ojciec się nie uśmiechnął. Wziął z jego rąk bochen chleba i powąchał z wdzięcznością.

– Dobra robota, *mi figlio*⁷. Usiądźcie, zjedzmy.

Rozluźniłam się trochę, posilając się z nimi chlebem, serem, kiełbasą i winem, którego dołączył nam Rocco.

Do czasu, gdy skończyliśmy i odsunęliśmy talerze, mój nastrój zdecydowanie się poprawił.

– A czego sobie życzysz ode mnie? – zapytał Rocco, gdy już się odświeżyliśmy.

– Przede wszystkim potrzebne mi menzurki, takie cienkie, jak te, które zrobiłeś w zeszłym roku dla ojca. Są doskonałe, ale niestety czasem się tłuką. Muszę zastąpić te zniszczone, poza tym potrzebuję więcej pipetek, zlewek, kolb do ogrzewania i kilka soczewek.

Wyjęłam z kieszeni kawałek papieru i położyłam na stole.

– Mam tutaj listę. Kardynał był bardzo hojny, nie martw się o zapłatę.

Rocco machnął ręką, jakby to nie miało znaczenia, ale i tak byłam dumna, że mogłam to powiedzieć. Patrzyłam też, jak uważnie studiował listę.

– Nie będzie problemu z niczym prócz soczewek. Musiałbym znaleźć kogoś, kto by je dla ciebie zrobił.

Kiwnęłam głową.

– Byle tylko był dyskretny.

– Nie przetrwałby długo w naszym fachu, gdyby nie był.

Zawisła między nami świadomość, że sprzęt, jakiego ja szukałam, a który wytwarzał Rocco, jak powszechnie wierzone, był używany przez sługi Szatana. Bo kto inny chciałby zgłębiać tajemnice natury, przekształcać materię, stosując nowe i z pewnością niebezpieczne metody, a nawet próbować zrozumieć samą naturę stworzenia? To było domena boska, nie ludzka, o czym powinna przecież wiedzieć każda poprawnie myśląca osoba.

Ale i tu, w Rzymie, i w każdym innym miejscu Włoch, aż do La Francii i Niderlandów, a jak mówiono, nawet tak daleko jak w L'Angleterre, można było znaleźć śmiałków, zarówno mężczyzn, jak i kobiety, gotowych oddać życie za przekonanie, że wiara nie zastąpi wiedzy.

Szeptano nawet, że niektórzy odważyli się utworzyć grupy, w których wzajemnie się wspierali, nazywając się imieniem tego, co najbardziej pragnęli przynieść światu: Lux – Światłość. Jeżeli moje podejrzenia były słuszne, ojciec był jednym z nich.

Zakończywszy rozmowę o interesach, zostałam tam jeszcze, ciesząc się towarzystwem Rocco i Nando. Ich widoczna gołym okiem miłość przypominała mi, co sama straciłam, ale dobrze było wiedzieć, że takie uczucia wciąż były możliwe w świecie, który wydawał się zagłębiać w coraz większe ciemności.

Gdy w końcu wstałam, żeby ich opuścić, Rocco odprowadził mnie do drzwi. Dotknął lekko mojego ramienia i cicho, żeby nie usłyszał go chłopiec, powiedział:

– Morderstwo Giovanniego wszystkimi wstrząsnęło, ale do tej pory niewiele o nim mówiono. Nie potrwa to długo. Jeśli cokolwiek usłyszę, prześlę ci wiadomość. Pilnuj się, Francesco. Tego chciałby twój ojciec.

Z wdzięcznością skinęłam głową. Rocco sprawiał wrażenie prostego, skromnego człowieka, ale charakter jego pracy sprawiał, że miał kontakty na uniwersytetach, wśród członków znamienitych rodów, a mówiono nawet, że w samej Kurii. To oznaczało, że powierzano mu wiele tajemnic. Możliwe, że znał także tych, z którymi stowarzyszył się mój ojciec, a oni z kolei mogli mieć informacje dotyczące okoliczności jego śmierci. Nie wykluczałam też, że sam Rocco był częścią Światłości, oczywiście zakładając, że faktycznie istniała.

Ścisnęłam mu w podziękowaniu dłoń, pomachałam Nando i odeszłam w stronę pałacu Borgii. Chciałam rozpakować skrzynię, którą w pośpiechu spakowałam, gdy dowiedziałam się o śmierci ojca. Było w niej wszystko, co udało mi się zabezpieczyć, zanim straż Kardynała opieczętowały nasze komnaty. Przeszukali również skrzynię, ale znajdując w niej jedynie moje odzienie, nie mieli powodu, aby nie pozwolić mi jej zabrać. Gdyby tylko wiedzieli o komorze ukrytej pod fałszywym dnem, postąpiliby zupełnie inaczej.

Burzowe chmury oddalały się na zachód, a z północy powiało ożywczą bryzą. Zrobiło się trochę chłodniej, więc szło mi się teraz dużo łatwiej, co razem z moim zamyśleniem mogło wpłynąć na to, że nie zwracałam dostatecznej uwagi na otoczenie.

Zostałam zaskoczona, mając już niemal pałac w zasięgu wzroku, przez trzech mężczyzn, którzy nagle wyłonili się z zaułka.

Z szyderczym uśmiechem mierzyli mnie wzrokiem, blokując przejście.

– *Puttana* – powiedział największy z nich. – Co sobie myślisz, dziwko?

– Zostawcie mnie w spokoju – warknęłam.

W tej chwili jeszcze się nie bałam. Wydawało mi się, że to po prostu trzech głupcy zaczepiający kobietę. Moje odzienie nie świadczyło wprawdzie, że pochodzę ze szlacheckiego rodu, ale widać też było, iż nie jestem z pospólstwa; wskazywało na niewiastę, która miałaby jakąś ochronę.

Mogli być więc na tyle bezczelni, żeby mnie znieważać słowem, ale nie posunęliby się do niczego więcej. Nie czekałam jednak na ich odpowiedź i spróbowałam ich obejść.

Stojący najbliżej chwycił mnie za ramię.

– *Puttana* – powtórzył i rzucił mnie na ziemię.

W tej chwili wszystko się zmieniło. Iluzja bezpieczeństwa rozwiązała się. Powzięłam potworne ryzyko, zabiłam nawet człowieka, a wszystko po to? Wydawało się to niemożliwe, a jednak się działo, tu i teraz. Mój umysł krzyczał, żeby się podnieść i uciekać, ale szok mnie paraliżował.

Zanim zdołałam się otrząsnąć i zacząć działać, jeden z nich kopnął mnie w brzuch. Ból i niedowierzanie spowodowały, że głośno krzyknęłam, choć instynktownie skuliłam się, próbując się chronić.

– Co robicie?! Przestańcie!

Byłam sługą jednego z najpotężniejszych ludzi w całym chrześcijaństwie, chronioną jego mocą i własnymi umiejętnościami. Musieli być niespełna rozumu, żeby mnie atakować. Chociaż ojciec miał podobną ochronę, a przecież był martwy, pobity na miazgę w uliczce podobnej do tej, w której teraz leżałam, bezradna wobec ciosów, które spadały na mnie jak purpurowy deszcz.

– Przestańcie!

– Wybierz się do klasztoru, *puttana* – powiedział jeden z nich.

Pochylił się i chwycił moją spódnicę, unosząc ją i odsłaniając nogi oraz to, co nad nimi.

Ogarnął mnie pierwotny strach przed gwałtem i zupełnie przestałam myśleć, przeradzając się w zwierzę walczące tylko, żeby uciec.

Śmiali się, ten dźwięk mnie osaczał. Uniosłam wtedy oczy i zobaczyłam medalion wiszący na piersi jednego z nich. Usłyszałam swój jęk. To było odznaczenie papieskie, identyczne jak to, które ojciec otrzymał rok wcześniej z rąk samego Papieża Innocentego VIII, zaszczyt, o który Kardynał wystarał się dla swojego zaufanego sługi. Ojciec z szacunkiem je nosił, ale nie znaleziono go przy jego ciele. Jego zniknięcie było zagadką – aż do teraz.

– Nie rób więcej problemów – powiedział inny i kolejny cios wylądował na moim ciele, okuty metalem bucior wkręcił mi się w zębra. – Albo skończysz tak samo, jak ojciec.

Nie mogłam oddychać, serce waliło mi tak mocno, że myślałam, iż wyrwie mi się z piersi. Przepęłniał mnie ból rywalizujący z panicznym strachem. Jakby przez mgłę usłyszałam:

– Obeszliśmy się z tobą łagodnie. Zapamiętaj tę lekcję, a może jeszcze pożyjesz.

Skuliłam się, nienawidząc ich, nienawidząc siebie, nienawidząc potworności tego, co stało się z ojcem, co musiał odczuwać, gdy umierał.

I nagle wszystko się skończyło, mężczyźni zniknęli. Były tylko wilgotne kamienie bruku pode mną, smród ulicy i chłodny wietrzyk na mojej nagiej skórze. To i stara kobieta, która patrzyła na mnie z tarasu mieszkania nad sklepem, z którego wszyscy umknęli na pierwszy znak kłopotów. Tylko stara kobieta z robótką uśmiechała się bezzębnymi ustami, rozbawiona tym, co się działo.

Przemknęłam się do pałacu przez rzadko używane drzwi. Uciskając posiniaczony bok, wspięłam się po wąskich, ukrytych w ścianie schodach. Dotarłam do swoich pokoi niezauważona i wciąż się trzęsąc, opadłam na łóżko. Na krótką chwilę poddałam się atakowi dławiących mnie emocji.

Mężczyźni przyczaili się w ukryciu, czekając na mnie, albo śledzili mnie, choć nie byłam tego świadoma. Jakby nie było, zostałam z premedytacją wystawiona na ich atak, jak bez wątpienia również mój ojciec. Ale dlaczego? Co takiego robił, co doprowadziło do zamordowania go? Czemu ten ktoś chciał zapobiec w moim przypadku?

Chociaż dręczyły mnie te pytania, żal po ojcu niemal zrównał się ze strachem o własną skórę. Przedtem mogłam sobie tylko wyobrażać, co się stało. Teraz wiedziałam, jak wyglądały jego ostatnie chwile. Ta wiedza podsyciła jeszcze nienawiść, która rodziła się we mnie, stawała się silniejsza z każdym oddechem.

Nienawiść do zbirów, którzy sprawili, że kuliłam się ze strachu i szlochałam. Nienawiść do morderców ojca, którzy, jeśli nawet nie byli to ci sami mężczyźni, z pewnością byli z nimi powiązani.

A ponad wszystko nienawiść do tego, który wydawał rozkazy. Ten człowiek gdzieś, w ciemnym pokoju, z czystymi rękami, będzie musiał cierpieć bardziej niż wszyscy inni. Postaram się, żeby tak się stało!

W końcu usiadłam i otarłam oczy. Nie chcąc prosić o pomoc, aby nie wywołać zamętu ani zalewu plotek i spekulacji, zdecydowałam się sama zatroszczyć o rany. Zdejmując ubranie, jęknęłam i musiałam zagryźć wargi, żeby nie krzyknąć z bólu. Najbardziej ucierpiały żebra i brzuch, ale sińce formowały się również na ramionach, nogach, a kiedy spojrzałam w lustro ponad ramieniem, zobaczyłam, że na plecach już wykwitł zlepek ciemniejących plam wielkości i kształtu okuć buciorów.

Z wielką trudnością udało mi się nałożyć balsam na najbardziej poranione miejsca i obwiązać bandażem żebra, które, jak podejrzewałam, były pęknięte. Do czasu, kiedy skończyłam i ubrałam się w czyste odzienie, ręce mi się trzęsły i byłam tak wycieńczona, że mogłam jedynie położyć się na plecach na łóżku, z głową na podporce i modlić się, żeby nadszedł sen.

I tak się stało, choć na krótko. Szybko obudził mnie przejmujący ból całego ciała. Pomyślałam nawet, żeby zażyć opium, jednak w końcu zdecydowałam się tego nie robić. Zmniejszając ból, utraciłabym też kontrolę, a na to nie było mnie stać.

Zmusiłam się, aby wstać z łóżka, i uklękłam obok rzeźbionej drewnianej skrzyni. Otwarcie wieka zabrało mi niemal całą energię; musiałam się wstrzymać i powoli wciągałam powietrze, zmagając się z kłującym bólem, który wywoływał każdy oddech. Nabrawszy sił, wyjęłam ze skrzyni wszystkie ubrania i dotarłam do czegoś, co wydawało się być jej dnem.

Każdy, kto by podejrzewał, że dno jest fałszywe, szukałby jakiejś szpary, żeby podważyć drewno i odkryć ukrytą komorę. Ale próżno by szukał, bo skrzynia sama w sobie była genialnym mechanizmem zaprojektowanym tak, aby utrzymywać fałszywe dno na swoim miejscu. Żeby je zwolnić, trzeba było znać właściwą sekwencję ruchów, które wykonywało się na jej czterech zewnętrznych brzegach. Procedura wymagała między innymi przesuwania konkretnych partii drewna w różnych kierunkach, dopóki w końcu nie ukazał się sekretny zamek. Tylko wtedy dno przechylało się nieznacznie, ujawniając swoją obecność. Jedno błędne posunięcie i zamek by się ukrył.

Ojciec nauczył mnie tajemnicy skrzyni, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Powiedział, że została zrobiona przez żeglarza ze Wschodu, którego obdarzył przyjaźnią i który twierdził, że takie skrzynie były całkiem popularne w jego ojczyźnie. Jakie by nie było jej pochodzenie, była bezpieczniejsza niż jakikolwiek sejf i utrzymywała swoje sekrety nietknięte przez lata.

Kiedy dno zostało już uwolnione, ostrożnie jej uniosłam i odstawiłam na bok. Komora pod

nim była przystosowana do przechowywania zapieczętowanych fiolek i butelek, a każda z nich miała etykiety wypisane starannym pismem mojego ojca. A, co równie ważne, zawierała opisy naszych eksperymentów i odkryć.

Zapasy i notatki to wszystko, co udało mi się zgromadzić i ukryć, gdy tylko dowiedziałam się o śmierci ojca, zanim gwardziści Kardynała przybyli zabezpieczyć nasze komnaty. W niewielkim pokoiku, ukrytym za ciężkimi zasłonami, kondotierzy znaleźli półki pełne chemikaliów i kilka stołów ze sprzętem – były tam szklane naczynia, jakie wytwarzał Rocco, ale też wagi, mózdzierze, kamienie do ucierania i inne niezbędne sprzęty. Ich niewprawne oczy nie odkryły, że coś zniknęło. Usatysfakcjonowani wycofali się szybko, niektórzy robiąc przy tym nawet znak krzyża.

Jednak Hiszpan po paru godzinach zorientowałby się, że w zapasach są braki. Pewnych składników, które powinny tam być, nie było. Zrodziłyby się pytania. Ale nie pożył na tyle długo, żeby uczynić to odkrycie. Pozostało moją tajemnicą.

Siedząc na podłodze, uważnie czytałam ostatnie wpisy ojca datujące się na kilka miesięcy wcześniej. Jak mogłam zauważyć, nie było tam niczego niezwykłego, z wyjątkiem tego, że nie było późniejszych notatek.

Pilnując domostwa Kardynała, miał również czas na to, aby prowadzić badania nad alchaest, uniwersalnym rozpuszczalnikiem, w którym można by rozpuścić wszelkie substancje i który, jak wierzył, mógł być użyty do wytworzenia leków, które zdołają wyleczyć każdą chorobę.

To, że człowiek, który zarabiał na życie jako truciciel, starał się znaleźć klucz do ratowania życia, nie wydawało mi się dziwne, bo dobrze znałam złożoną naturę ojca. Niepokoiło mnie jednakże to, że jego badania prowadziły go do podawania w wątpliwość pochodzenia samej choroby, co było niezwykle niebezpieczne w świecie, który orzekł, że takie cierpienia są wynikiem woli Boga. Ale nie znalazłam tego w jego notatkach. W zasadzie znalazłam bardzo niewiele.

Sfrustrowana odłożyłam wszystko na miejsce i zamknęłam skrzynię. Wstanie wymagało ode mnie całej woli i siły. Znów pomyślałam o opium, ale usłyszałam pukanie do drzwi.

Otworzyłam je, znajdując za nimi kapitana kondotierów.

Sklonił uprzejmie głowę, ale jego oczom nic nie mogło umknąć.

– *Buonasera*⁸, Donna Francesca. Jego Eminencja wymaga twojej obecności.

I wysłała po mnie kapitana swojej straży? Wielce nieprawdopodobne, chyba że Kardynał przemyślał akt łaski wobec mnie, ale w tym przypadku Vittorio Romano by się nie uśmiechał.

– Jakże to miłe, że pofatygował się pan osobiście, capitano Romano.

Oficer nie starał się zaprzeczyć, że jego obecność w tak podrzędnej sprawie była niezwykła.

– Dostaliśmy wiadomość o niepokojącym wydarzeniu w pobliżu, ledwie parę godzin temu.

Zastanawiałem się, czy coś pani o tym wiadomo.

Gdy to mówił, jego wzrok skupił się na mojej twarzy, która, będąc tak sztywna i obolała jak reszta ciała, musiała również nosić jakieś ślady tego, co się stało.

– Niepokojące wydarzenie? Jakiego rodzaju?

– To nie do końca jasne, ale prawdopodobnie zaczepiono kobietę.

Czekał, dając mi tym sposobność, abym mu powiedziała o tym, co niewątpliwie sam już wywnioskował. Ale zdecydowałam się nic nie mówić. Poza upokorzeniem nie chciałam, żeby ktokolwiek, a najmniej ze wszystkich Kardynał, wiedział, że miałam świadomość, iż ojciec został obrany za cel morderstwa. Choć wydawało się to niemożliwe, istniała szansa, że sam Borgia był w to zamieszany. Poza tym był więcej niż prawdopodobnym źródłem tego, co dręczyło ojca w kilku ostatnich tygodniach życia.

– To straszne – powiedziałam. – Jeśliby tylko było więcej mężów takich jak pan, kapitanie, Rzym byłby bardziej bezpieczny.

Vittorio zamrugał ze zdumieniem, słysząc taki komplement. Był zbyt bystry, żeby nie wiedzieć, że odwracam tylko jego uwagę, ale nie mógł również nic na to poradzić. A przynajmniej nie w tej chwili.

– Nie każmy Il Cardinale czekać – powiedziałam i wyszłam z mieszkania, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Apartamenty Kardynała mieściły się na pierwszym piętrze pałacu, z widokiem na rzekę. Nie

szczędzono wydatków na ich wyposażenie i zdobienia. Parkiety wyłożono miękkimi dywanami na styl mauretański, ściany pokrywały wspaniałe arrasowe pościelone głównie scenom polowań, wszędzie rozstawiono wyściełane kanapy i bogato zdobione stoły. Gdzie nie spojrzeć, palazzo głosił, że jest rezydencją lorda potężnego nie mniej niż jakikolwiek świecki książę.

Vittoro zostawił mnie w przedpokoju udekorowanym freskami przedstawiającymi upadek człowieka. Obawiając się usiąść – i odkryć mój ból, kiedy będę znów musiała wstać – żeby rozproszycie myśli, studiowałam sceny, które choć skopiowane ze Świętej Księgi, przesycone były ziemską zmysłowością.

Ewa, w całej swojej prześwieczonej nagości, wydawała się być bardziej w kręgu zainteresowania artysty niż bezradny Adam, który pojawiał się tylko raz, w akcie odbierania nieszczęsnego jabłka. Do tego czasu jego nieodpowiedzialna żona była ukazana w zabawie pod wodospadem, na kwiecistej łące i wszędzie, gdzie mogła odkryć swoją powabną postać. Wąż też tam był, w większości łypiąc na nią okiem. Uważnie mu się przyglądałam, żeby sprawdzić, czy prawdziwe były plotki, że miał przypominać jednego z wrogich kardynałów.

Wciąż się nad tym zastanawiałam, gdy drzwi otworzyły się i sekretarz zaprowadził mnie przed oblicze kardynała. Borgia siedział za fornirowanym biurkiem wyłożonym marmurem. Wyglądał młodo jak na swoje lata i wydawał się pełen wigoru, mimo iż bez wątpienia miał za sobą pracowity dzień.

Patrząc, jak idę do niego po miękkich dywanach, zmarszczył brwi.

– Co ci się stało?

– Upadłam – odpowiedziałam. – To nic takiego.

Nie wydawał się przekonany – na tyle, że kazał mi usiąść na krześle z drugiej strony biurka. Takie niezwykle względy mogły być spowodowane jedynie niechęcią patrzenia na to, jak przewracam się tuż u jego stóp.

Przysiadłam na brzeжку krzesła wyprostowana, jakby mi kto kij pod plecy włożył, i spytałam:

– Czym mogę ci służyć, panie?

– Możesz zacząć od tego, jak się mają sprawy w domu mojej drogiej kuzynki.

Tego oczekiwałam, więc miałam gotową odpowiedź.

– Madonna Adriana łaskawie udzieliła mi audiencji. Poprosiłam, aby informowano mnie o jakichkolwiek zmianach, nowych sługach i innych zdarzeniach, a ona wyraziła zgodę. Zapewniłam ją, że nie ma szczególnych powodów do niepokoju.

Przerwałam i z uwagą spojrzałam na Kardynała.

– Wierzę, że miałam rację, signore? Druga audiencja w ciągu dwóch dni była oczywiście olbrzymim zaszczytem, ale sygnalizowała również, że Borgia miał jakieś problemy, które dotyczyły jego specjalisty od trucizn.

– Nie wiadomo mi o konkretnych zagrożeniach – odrzekł. – Jednakże...

O tak, zaraz to powie. Jaki był powód mojego wezwania. A pewnie również prawdopodobna przyczyna tego, że jeszcze żyłam. Kardynał potrzebował moich umiejętności.

– Jednakże – kontynuował – żyjemy w niepewnych czasach. Zdrowie Ojca Świętego podupada...

– Jeszcze dziś rano słyszałam, że ma się lepiej.

Borgia zmarszczył brwi.

Nie mogłam domyślić się, czy to z powodu tego, że miałam śmiałość mu przerwać, czy tego, co przed chwilą powiedziałam.

– To tylko bazarowe plotki. Giovanni ma pięćdziesiąt dziewięć lat, a jego kondycja nigdy nie była dobra.

Powstrzymałam się przed uwagą, że sam Kardynał jest o dwa lata starszy od umierającego rzekomo Papieża. Porównywanie obu mężczyzn nie byłoby na miejscu. Borgia był silnym człowiekiem, który doskonale się trzymał, podczas gdy Giovanni Battista Cibo, jak się nazywał, zanim wspiął się na Tron Piotrowy, wydawał się zniszczony przez nadmierne dogadzanie sobie. Ojciec przynajmniej dwunastki dzieci, niemal został krzyżowcem i pojechał wyzwalać Ziemię Świętą,

będąc w tym samym czasie opłacany przez sultana Turcji. Próbując napęłnić swój wciąż pustoszejący portfel, wykorzystywał praktyki handlu stanowiskami kościelnymi i sprzedaży papieskich urzędów. Jak mówiono, tak bardzo obawiał się śmierci i tego, co ma przyjść po niej, że był gotowy popełnić najbardziej nikczemne czyny, żeby tylko jej uniknąć.

– W takich czasach – mówił dalej Kardynał – wzmożona czujność jest ledwie ostrożnością. Mogę zaufać, że się tym zajmiesz?

Kiwnęłam głową z powagą.

– Oczywiście, signore. Możesz mi zaufać we wszystkim.

Borgia nie wydawał się przekonany. Jednak w tej chwili przynajmniej udawał, że mi wierzy.

– Dobrze, powiedz mi więc, co ci wiadomo o pracy, której oddawał się twój ojciec przed śmiercią.

Moja odpowiedź musiała być bardzo wyważona. Z jednej strony nie mogłam odkryć przed nim swojej niewiedzy. Z drugiej nie mogłam przyznać się do posiadania wiedzy, której nie miałam, pokładając nadzieję tylko w jego całkowitym zaufaniu.

– Rozwijał różne alchemiczne zainteresowania – powiedziałam. – Może mógłby mi pan przybliżyć, o które chodzi?

Ten wybieg nie zakończył się sukcesem. Kardynał oparł się w krzesło, popatrzył na mnie i rzekł:

– Więc nie powiedział ci... Ale przecież pracowaliście razem, nieprawdaż?

– Ja... asystowałam ojcu, tak.

Borgia obrzucił mnie spojrzeniem, które sprawiło, że przez chwilę zastanawiałam się, czy nie wiedział o mnie więcej, niż zamierzał odkryć.

Czy to możliwe, że przez te dziesięć lat, kiedy go obserwowałam, żyjąc pod jego dachem, on też przyglądał się córce truciela, tak głęboko wciągniętej w fach swojego ojca przez mrok drzemiący w jej duszy? Nigdy bym nie pomyślała, że mogłam być przedmiotem jego zainteresowania, ale możliwe, że się myliłam.

– Nie zostawił żadnych notatek? – zapytał.

Przełknęłam ślinę, żeby zwilżyć wyschnięte gardło, i napotkałam jego wzrok.

– Są notatki, ale urywają się kilka miesięcy temu. Nie napisał nic o tym, co robił później.

– Czy wydaje ci się to dziwne?

Teraz odpowiedziałam szczerze:

– Tak, to dziwne. Ojciec był zdania, że badania i eksperymenty to nie wszystko. Jedynie z dokładnym opisem mogą stać się zrozumiałe w perspektywie szerszych działań.

– Bardzo rozsądne podejście. Można więc przypuszczać, że zostawił notatki, ale nie u ciebie.

Wątpiłam w to. Charakter pracy ojca – która stała się również moją – sprawiał, że niełatwo było zawierać przyjaźnie, a jeszcze trudniej pozyskać kogoś godnego zaufania. Jeżeli nie powierzył mi wiedzy o tym, co robił, było mało prawdopodobne, że zaufał innej osobie.

– To bardzo ważne, żeby znaleziono te opisy – powiedział Kardynał. Ponownie jego wzrok spotkał się z moim. – Oczekuję, że zabezpieczysz je jak najszybciej.

– Oczywiście, zrobię, co w mojej mocy, signore. Ale dopóki nie dowiem się, jakie badania zajmowały ojca, nie mogę powiedzieć z całkowitą pewnością, że będę w stanie odkryć, czy w ogóle robił jakieś opisy, nie mówiąc o tym, co z nimi zrobił.

Miałam nadzieję, że Kardynał powie mi, co robił ojciec – zakładając, że sam wiedział. Ale tylko przesunął do mnie po biurku złożony kawałek papieru. Rozłożyłam go, znajdując tam nazwisko – S. Montefiore – wraz z adresem w Quarto Ebreo, Dzielnicy Żydowskiej. Zdziwiło mnie zainteresowanie Borgii tą okolicą. Podejrzywałam, że podobnie jak w przypadku innych książąt Świętego Kościoła Rzymskiego nie jest przyjazny Żydom.

– Udaj się tam – poinstruował mnie. – A kiedy będziesz to robić, pamiętaj, że idziesz tam jako moja służba, nie jako córka twojego ojca. Czy to jasne?

Oczywiście, że nie było, ale zapewniłam go, że tak właśnie jest.

Podniosłam się pogoniana przez sekretarza, kiedy Borgia wydał mi ostatni rozkaz.

– Francesca – powiedział, zaskakując mnie użyciem imienia nadanego mi na chrzcie.

Odwróciłam się tak gwałtownie, że każdy mięsień w moim pobitym, posiniaczonym ciele przeszył ból. Zaciskając zęby, spytałam:

– Signore?

– Od dziś nie wychodź na zewnątrz bez eskorty.

Która będzie śledzić każdy mój krok i raportować mu, gdzie byłam, z kim się spotkałam, co robiłam. Wszystko się we mnie buntowało na myśl o tym. Prawie wszystko. Wspomnienie ataku, wciąż żywe w mojej głowie, spowodowało, że niewielka część mnie akceptowała ograniczenie wolności. Poza tym tego życzył sobie Il Cardinale.

– Niech tak będzie, signore – powiedziałam i oddaliłam się.

Wejścia do Dzielnicy Żydowskiej były zamknięte między zachodem a wschodem słońca, więc musiałam poczekać do następnego ranka, żeby wypełnić polecenie Kardynała. Nawet wówczas potrzebowałam godziny w gorącej kąpieli, zanim byłam w stanie poruszać się bez dużego wysiłku.

Żebra wciąż bardzo mnie bolały, ale w reszcie ciała czułam jedynie tępe pulsowanie. Siniak na czole, na szczęście jedyny na mojej twarzy, zauważalnie ściemniał, mogłam go jednak zakryć kosmykiem włosów. Choć żeby tego dokonać, musiałam zrezygnować z warkocza.

Opuszczając mieszkanie, bawiłam się włosami, starając się przyzwyczaić do tego, że są rozpuszczone. W korytarzu weszłam prosto na Vittorio Romano.

– Kapitanie, coś za niespodzianka.

Nawet większa, bo nie miał na sobie zwykłego munduru. Zamiast niego kapitan kondotierów ubrany był w byle jaki kubrak i pończochy, które mógłby nosić ubogi sklepikarz lub rzemieślnik.

– Buongiorno, Donna Francesca – powiedział z uśmiechem. – Mam nadzieję, że lepiej się pani dziś czuje.

– Tak, zdecydowanie. Mogę spytać, co pana tu sprowadza?

– Ma pani coś do załatwienia poza bramami pałacu, prawda?

Oczywiście, że to była prawda, tak samo, jak prawdą było to, że kapitan wiedział o tym i rozkazie Il Cardinale, żebym chodziła z eskortą. Nie spodziewałam się jednak, że sam będzie ją stanowił.

– Myślałam, że wyznaczy pan kogoś, żeby mi towarzyszył – powiedziałam, kiedy szliśmy korytarzem w stronę schodów.

Po prawdzie miałam nadzieję nakierować go na osobę młodą i niedoświadczoną, kogoś, kto nie byłby do końca pewny, jak postępować z kobietą o pewnym znaczeniu, a dzięki temu łatwo mogłabym nim manipulować.

Vittoro przeniknął chyba moje myśli, bo uśmiechnął się, co było rzadko spotykanym zakłóceniem jego zwykle pośępnych rysów.

– Dawno nie byłem w Dzielnicy Żydowskiej. Ciekaw jestem, co tam się dzieje.

Zrozumiałam, do czego się odnosił. W okresie ponad trzech miesięcy po tym, jak ich najbardziej katolickie mości, król Ferdynand i królowa Izabella, wydali edykt wydalający wszystkich Żydów z Hiszpanii, dziesiątki tysięcy zrozpaczonych uciekinierów napłynęło do innych części Europy, w tym do Rzymu. Tu, podobnie jak w innych miastach, stłoczyli się w już przeludnionych gettach. Warunki w getcie, usytuowanym na bagnistym terenie za Tybrem, nigdy nie były dobre, ale jak mówiono, teraz gwałtownie się pogorszyły.

– Czy wie pan, co znajdziemy pod adresem, który dał mi Kardynał? – spytałam, gdy wychodziliśmy na ulicę.

Deszcz, który spadł tej nocy, zmył z bruku kurz i brud, a powietrze było chłodniejsze niż w ostatnich dniach. Lekka bryza niosła zapach sadów cytrynowych i oliwnych zlokalizowanych tuż pod miastem.

– Nie wiem – odpowiedział Vittorio na tyle szybko, że mu uwierzyłam. – Ale jestem pewien, że cokolwiek to będzie, odpowiednio sobie z tym poradzisz.

Zdumiała mnie szczerość tego oświadczenia. Nie znałam dobrze kapitana, obserwując go tylko przez lata dorastania w pałacu. Ale wiedziałam, że przyjaźnił się z ojcem. Regularnie grywali razem w szachy.

– Dziękuję – powiedziałam cicho. – Zrobię, co w mojej mocy.

Z Vittorio u boku spacer do dzielnicy Sant'Angelo, gdzie mieściło się getto, nie obfitował w niespodziewane wydarzenia. Mimo to nie mogłam się pozbyć niepokoju. U wejścia do każdego

ocienionego zaułka czy alejki, które mijaliśmy, ponownie przeżywałam chwilę, gdy wypadli na mnie napastnicy. Zanim doszliśmy do miejsca przeznaczenia, miałam wilgotne dłonie i przyspieszony oddech.

– Potrzebujesz pani odpocząć? – zapytał Vittorio.

Chwyć mnie lekko za ramię, żeby mnie zatrzymać.

– Nie – zapewniłam go. – Nic mi nie jest.

Spojrzałam do przodu, na ściany, które przed nami wyrosły i widoczne w oddali dachy domów. Pomimo słonecznego dnia nad gettem zdawał się unosić brudny cień rozpacz. Jeszcze tam nie weszłam, a już nie mogłam się doczekać, żeby stamtąd odejść.

– Chciałabym mieć to za sobą – powiedziałam.

– Oczywiście. – Pokiwał głową.

W owym czasie nie było jeszcze murów okalających getto, chociaż wiele ulic prowadzących tam zablokowano stertami kamieni i gruzu. Od czasu ogłoszenia edyktu nakazującego Żydom opuścić Hiszpanię wzmogły się żądania wzniesienia takich murów, ale na razie były to tylko słowa.

Mimo to poruszanie się między gettem a resztą Rzymu nie było łatwe. Furmankom wolno było przejeżdżać tylko przez jeden punkt kontrolny, którego strzegli kondotierzy, decydując, kto mógł przejechać, w zależności od tego, co wkładano im do ręki.

Piesi mieli tylko trochę lepiej. Jedyne unosząca się wokół Vittorio aura autorytetu i insygnia Borgiów, których nie wahał się okazać, pozwoliły nam dostać się tam bez przeszkód. Okazało się to niewielką ulgą.

W chwili, gdy weszłam do getta, zaczęłam się obawiać, że się udławię. Smród tak wielkiej ciżby ludzkiej stłoczonej na tak niewielkiej powierzchni był przytłaczający. Wszędzie walały się śmieci i odpadki, cuchnące kłody wyciągnięte z rzeki były pokryte chmarami komarów.

Każdy wylew Tybru powodował, że na dolne piętra wielu sklepów i domów czynszowych wdzierала się brudna woda, zostawiając tam pokłady błota i nieczystości. Nawet najmniejszy wietrzyk nie przemykał między budynkami stłoczonymi tak ciasno, że nie przepuszczały na ulice promieni słońca.

Ale wszystko to bladło w porównaniu z masą ludzką, która wylewała się z każdych drzwi i zapełniała ulice – wychudłe dzieci o pustym spojrzeniu; mężczyźni i kobiety przygarbieni i zniszczeni ponad swoje lata; i bardzo niewielu starców, skulonych pomimo upału, kiwających się w przód i w tył, jakby próbowali uciec przed nieznośną żalością, którą było ich życie.

– Mój Boże... – szepnęłam i chwyciłam dłoń Vittorio.

Pokiwał smutno głową.

– Księża mówią, że wyrzucenie Żydów z Hiszpanii jest karą boską za zabicie Chrystusa.

Słyszałam to już, ale nie mogłam powiedzieć, że to rozumiałam. Kapelani domowi, którzy odprowadzali msze w pałacu Kardynała, rzadko wspominali o takich sprawach. Preferowali ceremonie wychwalające mądrość władzy i konieczność bycia jej posłusznym. Ale okazjonalnie, niemal mimochodem, napomykali o tym, że Żydzi winni są wszystkim chorobom świata, bo zabili zbawcę ludzkości, Jezusa.

Spytałam raz ojca, dlaczego to zrobili, ale uśmiechnął się tylko smutno i przypomniał mi, że to żołnierze rzymscy stali u stóp krzyża.

Czyżby więc faktycznie Rzym był poddawany karze? Rzym Świętego Kościoła ze swoją plagą książąt i pałaców? Z ludźmi takimi, jak Rodrigo Borgia, który pragnął być jego władcą?

Nie śmiałam nawet o tym myśleć. Takich spraw nie powinien rozpatrywać nikt, kto chce pozostać przy życiu. Ale na tyle mnie zajmowały, że nie poczułam nawet ręki, która delikatnie wślizgnęła się w rozcięcie mojej spódnicy, a stamtąd do sakiewki, którą miałam pod spodem, gdzie chowałam monety, klucze i parę innych ważnych drobiazgów. Gdyby nie to, że w tym właśnie momencie potknęłam się o kamień, kieszonkowiec, który starał się pozbawić mnie mojej własności, mogłoby odejść niezauważony.

Poczułam jednak dłoń na udzie i chyba odruchowo krzyknęłam:

– Złodziej!

Winowajca próbował umknąć w tłum, ale Vittorio, mimo swojego wieku, był szybszy. Jego

ręce wystrzeliły do przodu, zaciskając się na brudnej szyi.

– Nie tak prędko! – Kapitan mocno potrząsnął chudym, obdartym stworzeniem wiszącym kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią. – Co ty sobie myślisz?

Niewiarygodne, chłopiec – który wyglądał na nie więcej niż sześć czy siedem lat, ale pewnie był o parę lat starszy – nie próbował nawet prosić o litość. Zamiast tego zawzięcie wymachiwał nogami, starając się kopać to, czego tylko mógł sięgnąć, i wrzeszczał:

– *Bastardo!* Puść mnie! Puszczaj!

Vittoro uniósł wolną rękę, żeby uderzyć dziecko, ale złapałam jego ramię w locie.

– Lepiej nie – powiedziałam cicho i wskazałam głową na otaczający nas tłum.

Kapitan podążył za moim wzrokiem i zobaczył to, co widziałam ja. Nikt z Żydów nie zrobił wobec nas żadnego wrogiego gestu, nie próbowali też ratować chłopca. Ale olbrzymia masa otaczająca nas ze wszystkich stron i ich milcząca czujność wywoływały pytanie, co mogliby zrobić, gdyby myśleli, że chłopcu grozi aresztowanie lub coś gorszego.

– To nam nie pomoże – powiedziałam wciąż ściszym głosem.

Vittoro przytaknął. Postawił chłopca na nogi, ale trzymał go mocno za ramię.

– Jak się nazywasz? – zapytał złodziejaska.

Odpowiedzią była wielka ilość flegmy, niezwykła jak na tak małą osobę, która wylądowała parę centymetrów od czubków butów Vittoro.

Kapitan westchnął i pokręcił głową.

– Dlaczego tak się zachowujesz? Zadałem ci grzeczne pytanie. – Spojrzał w dół na chłopca, który zaczynał się denerwować, że jego prowokacja nie odniosła pożądanego skutku. – Ale pewnie nie znasz swojego nazwiska – zasugerował Vittoro. – Może nie znasz swojego ojca.

– Nie jestem bękartem! – odwarknął mały. – Ty jesteś.

– Tak naprawdę to nie jestem – odrzekł cierpliwie kapitan. – Nazywam się Vittoro Romano. Ta pani to Francesca Giordano. A ty, kim jesteś?

Chłopiec odpowiedział niechętnie:

– Benjamin Albanesi.

– Dobrze – powiedział Vittoro. – Benjaminie Albanesi, mam zamiar cię uwolnić. Kiedy to zrobię, będziesz miał do wyboru dwie rzeczy. Możesz uciec i mieć to z głowy. Albo możesz zostać, pomóc nam znaleźć miejsce, którego szukamy, i zarobić za to srebrną monetę, zamiast ją kraść.

Benjamin gapił się na niego podejrzliwie.

– Pokaż mi tę monetę.

Westchnąwszy ciężko na wymagania dzieci, Vittoro zrobił to, o co go poproszono. Złodziejasek z uwagą spojrział na pieniądz i wyciągnął rękę. Kiedy moneta spoczęła w jego dłoni, z podobną uwagą zbadał jego ciężar i skinął głową.

– *Bene*⁹. Pomogę wam.

Tłum, widocznie usatysfakcjonowany, ruszył w swoją stronę.

Vittoro puścił chłopca, który pozostał na miejscu, przyglądając się nam.

– Czego szukacie? – zapytał.

Wyjęłam kartkę, którą dał mi Kardynał, i pokazałam ją chłopcu, zakładając, że będę musiała mu ją odczytać, ale Benjamin zadziwił mnie. Rzucił na nią szybko okiem i kiwnął głową.

– Wiem, gdzie to jest. Chodźcie.

Szliśmy za nim zatłoczoną ulicą, skręciliśmy w wąską alejkę i wyszliśmy na kolejną ulicę, głębiej i głębiej w labirynt getta, aż zaczęłam się zastanawiać, czy nie prowadzi nas w kółko. Po drodze widzieliśmy odmiennie ulice, na których nie widać było wylewów rzeki ani tłoczącej się ciżby. Za wysokimi ścianami wzniesionymi tak, żeby nie pokazywać tego, co za sobą kryły, żydowscy kupcy robiący interesy z L'Angleterre i nawet daleką Rusią czy bazarami Maroka i Istambułu, żyli, jak szeptano, w rozpasanych luksusach. Mimo tego, że mogli pozwolić sobie na większe wygody niż reszta pobratymców, nie byli bardziej od nich wolni – nie wolno im było mieszkać poza gettem, tak jak i wszystkim nienawróconym Żydom.

Jedyną drogą do wolności było wyrzeczenie się własnej wiary. Niewielu z nich poszło tą drogą i zostało *conversi*, ale i ci nie zrobili tego bez presji wielkiego zagrożenia. Byli pierwszymi,

których ogłoszono heretykami, i pierwszymi w kolejce do stosu.

W końcu weszliśmy w kręty zaułek cały ukryty w cieniu. Długa kolejka ludzi czekała przed czymś, co przypominało pracownię aptekarza. Kilkanaście osób trzymało na rękach chore dzieci. Inni podtrzymywali przyjaciół czy członków rodziny, którzy nie byli w stanie sami ustać.

– Zakryj twarz – rozkazał Vittorio, szybko unosząc rąbek swojej koszuli, a ja zrobiłam tak samo.

Moje oczy pobiegły wzdłuż kolejki i zwięzły się, widząc tę całą niedolę. Patrzyłam na ropiejące wrzody, niezagojone rany, oddechy, które sprawiały ból wychudzonym ciałom i ludzi tak bliskich śmierci, jakby już nic nie czuli. Z trudnością dotarliśmy do drzwi w chwili, gdy otworzyła je kobieta w średnim wieku.

– Benjamin! – wykrzyknęła. – Co ty tu robisz?

Chłopiec, który nie przejmował się zakrywaniem twarzy, spojrzał na nią ufnie.

– Benjamin, Signora Montefiore. *Per favore*¹⁰, mam na imię Benjamin.

– To czysta głupota. Nie masz tu nic do roboty. Tu nie jest bezpiecznie.

– Mam tu coś do zrobienia, signora. Przyprowadziłem tych dwoje. Chcą się z wami spotkać.

– Odsunął się na bok i teatralnym gestem wskazał na nas.

Kobieta zmarszczyła czoło. Jej wzrok, bez zastanowienia, spoczął na mnie. Zsunęłam szal z twarzy. Patrzyła na mnie przez chwilę, a potem spytała cicho:

– Co cię tu sprowadza, pani?

Przypominając sobie nazwisko napisane na kawałku papieru, który otrzymałam od Kardynała, odpowiedziałam:

– Poszukuję Signore Montefiore, zapewne pani męża.

Uśmiech przemknął po zmęczonej twarzy kobiety pod chmurą srebrnych włosów wymykających się spod luźno zawiązanej chustki.

– Tedy szukasz na próżno. Mój mąż zmarł dziesięć lat temu. Jestem Sofia Montefiore.

Myślę, że to ze mną chciałaś się spotkać.

Odsunęła się, robiąc nam przejście.

Kiedy już byliśmy w środku, rozejrzałam się szybko. To, co zobaczyłam, potwierdziło moje podejrzenia: pracownia funkcjonowała jako szpital dla poważnie chorych. Niemal każdy centymetr podłogi wypełniony był pacjentami leżącymi na siennikach albo na gołej podłodze. Większość z nich owinięta była zniszczonymi kocami. Inni, ci zmagający się z gorączką, zrzucili przykrycia. Między nimi uwijało się paru mężczyzn i kobiet, pomagając, jak mogli.

Vittoro szarpnął mnie za ramię.

– Musimy wyjść. Teraz.

Kusiło mnie, żeby się z nim zgodzić, ale potrząsnęłam głową.

– Jeszcze nie. Muszę się dowiedzieć, dlaczego Kardynał mnie tu przysłał.

– Nazywam się Francesca Giordano. Jestem...

– Wiem, kim jesteś – odrzekła. Wytarła czerwone, zniszczone dłonie w fartuch okrywający jej skromną szatę, obie rzeczy czyste, pomimo otaczającego ją chaosu, i wskazała na tyły pracowni.

– Możemy tam porozmawiać.

Zerkając szybko na Vittorio, dodała:

– Chyba że boicie się przeciagać swój pobyt.

Kapitan zarumieniał się, ale się nie zawahał. Poszłam za kobietą, wiedząc, że Vittorio zrobi to samo. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie poprosić go, żeby poczekał na zewnątrz, ale uraziłabym tym jego dumę i jego poczucie obowiązku. Razem towarzyszyliśmy Sofii Montefiore do małego pokoju.

Kiedy zamknęły się za nami drzwi, odgradzając nas od masy cierpiącej ludzkości, zapytałam:

– Poznaje mnie pani. Skąd?

Sofia Montefiore oparła się o zagrożony stół. Wydawała się bardzo zmęczona, ale głos miała silny.

– Znałam twojego ojca. Pewnego dnia, kiedy poszłaś z nim na Campo de' Fiori, wskazał mi

cię, gdy oglądałaś przyprawy. Był dobrym człowiekiem. Jego śmierć jest wielką tragedią.

– Dziękuję – powiedziałam i drażyłam dalej. – Co panią z nim wiązało?

Naprawdę nie mogłam sobie wyobrazić, co mogło przywieść Giovanniego Giordano do kontaktów z Żydówką, a jeszcze mniej, że mogli się na tyle przyjaźnić, że wskazał jej swoją córkę. Nie to, żeby ojciec kiedykolwiek mówił coś złego o Żydach. Chodziło o to, że w ogóle o nich nie wspominał.

– Mój zmarły mąż był aptekarzem – powiedziała Sofia. Miałam wrażenie, że starannie dobiera słowa. – On i twój ojciec znali się w młodym wieku. Ponownie nawiązali kontakt, kiedy Giovanni przybył do Rzymu, żeby służyć kardynałowi Borgii.

– To musiało być tuż przed śmiercią pani męża.

Ojciec służył Kardynałowi dziesięć lat, co oznaczało, że on i mąż Sofii Montefiore nie mogli mieć dużo czasu na odnowienie związków, zanim ten drugi umarł.

– To prawda – powiedziała Sofia Montefiore. – Kiedy zmarł mój mąż, Giovanni przyszedł złożyć mi kondolencje. Z uwagi na to, że przejęłam pracę Aarona, utrzymywaliśmy kontakty.

– Pani została aptekarzem? – zapytałam niezdolna ukryć zdziwienie.

Słyszałam o kobietach należących do cechów – farbiarskich, piwowarskich i tym podobnych – które odziedziczyły pozycję męża, gdy zostały wdowami. Ale napotykały one na wielkie trudności i zajmowały się tym tylko do czasu, aż ich synowie nie osiągnęli odpowiedniego wieku, żeby je zastąpić. Żydom, oczywiście, nie pozwalano zrzeszać się w cechach. Prawdopodobnie mieli własne zasady.

– Zostałam – powiedziała Sofia ze słabym uśmiechem. – Mniemam, że nie potępiasz kobiet wykonujących męskie profesje?

Sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, że zaczęłam podejrzewać, iż Sofia Montefiore wiedziała o moim awansie na stanowisko kobiety wykonującej męską pracę. Biorąc pod uwagę to, że plotka była podstawowym produktem Rzymu, przyćmiewającym wszystkie inne, nie powinno mnie to dziwić.

– Oczywiście, że nie. To, co pani robi, jest pani sprawą. Ale chciałabym wiedzieć, jakie kontakty miała pani z moim ojcem w ciągu ostatnich paru miesięcy, i o wszystkim, co mógł pani powiedzieć albo u pani zostawić.

Na twarzy kobiety pojawił się wyraz zaskoczenia. Powoli pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia, co masz na myśli. Ostatni raz widziałam twój ojca zimą.

Zesztywniałam. Sofia Montefiore mówiła mi, że Borgia naraził mnie na *una ricerca vana*, niepotrzebną stratę czasu. Jeżeli wziąć pod uwagę to, że Il Cardinale miał najszerszą i najbardziej skuteczną sieć szpiegów w Rzymie, Państwie Kościelnym i poza jego granicami, było wielce nieprawdopodobne, że to zrobił.

– Byłoby błędem – powiedziałam ostrożnie – nie doceniać zainteresowania Kardynała tą sprawą.

– Zapewniam, że nigdy bym się na to nie poważyła. A teraz, wybaczenie, muszę wrócić do moich pacjentów – odrzekła spokojnie Sofia.

Po chwili opuściliśmy pracownię tylnymi drzwiami. Wychodziły na wilgotną ciemną alejkę, która doprowadziła nas w końcu do większej ulicy, a stamtąd do bramy wiodącej do miasta. Kiedy tylko wyszliśmy z dusznych granic getta, odetchnęłam z ulgą. Nic nie przygotowało mnie na cierpienia rzymskich Żydów. Chociaż szybkim krokiem oddalałam się od tego miejsca, wiedziałam, że to, co tam zobaczyłam, będzie mnie prześladować.

W tych okolicznościach oraz z uwagi na to, że nie miałam nic istotnego do zakomunikowania Kardynałowi, nakłoniłam Vittorio, aby odprowadził mnie jedynie do warsztatu Rocco przy Campo. Zostawił mnie tam, gdy przyrzekłam, że nie wrócę do pałacu bez straży, które po mnie wysłę.

Zastanawiacie się może, dlaczego tam poszłam? Żeby przedstawić sprawę jasno, byłam przygnębiona i nie wiedziałam, do kogo jeszcze mogłabym się zwrócić. Praktycznie rzecz biorąc, pierwsza misja, z którą wysłał mnie Borgia, zakończyła się niepowodzeniem. Nie odkryłam niczego, co wskazywałoby na to, co robił mój ojciec, nie mówiąc już o jego zapiskach. Sofia Montefiore twierdziła, że nic nie wie o jego poczynaniach. Jedyną osobą, która, jak mogłam podejrzewać, coś

wie, był Rocco.

Pracował przy piecu na podwórzu i nie dostrzegł mnie od razu, co dało mi możliwość przyglądania się, jak obraca masywną piszczel szklarską, trzymając ją tak lekko, jakby była piórkciem. Mięśnie jego odkrytych pleców drgały, gdy wypełniał bryłę stopionego piasku oddechem, przekształcając ją w lśniącą szklaną bombkę ze smugami purpury i błękitu.

Według Pliniusza Starszego to Fenicjanie odkryli sztukę wyrobu szkła, chociaż niektórzy mówią, że była znana nawet wcześniej. Maurowie w Andaluzji udoskonalili technikę, wytwarzając dzieła o zdumiewającej czystości. Ale to Wenecjanie stworzyli szkło o tak zapierającej dech piękności, że porównywano je z wydechem aniołów. Rocco był prawdziwym mistrzem swojej sztuki i właśnie dlatego, a nie z innego powodu, z taką przyjemnością mu się przyglądałam.

Cofnęłam się, nie chcąc go zaskoczyć, dopóki nie skończył z kielichem i nie odstawił go na pobliski stojak do wystygnięcia. Dopiero wtedy uśmiechnęłam się i ruszyłam do przodu.

Przez krótką chwilę, choć zdał już sobie sprawę z mojej obecności, jego twarz była jak otwarta księga. Zobaczyłam na niej – właśnie, co? Oczywiście zdziwienie, bo nie mógł się spodziewać, że tak szybko znów mnie zobaczy, ale też coś więcej. Przebłysk ostrożnej przyjemności – może, a może była to jedynie sztuczka, jaką płatały plamki światła przenikające przez liście platana ocieniającego podwórze? Z pewnością nie było tam nic, co by mogło wywołać nagły przypływ ciepła, które pokryło moje policzki i sprawiło, że odwróciłam wzrok.

– Potrzebuję twojej rady – powiedziałam wprost i z ulgą przyjęłam, że odłożył narzędzia i skinął głową.

Znowu usiedliśmy przy stole w pobliżu drzwi od podwórza, z dala od ruchliwej ulicy. Nando bawił się na dworze z kolegami. W tej chwili byliśmy sami. Opisałam krótko wydarzenia poprzedniego dnia. Nie powiedziałam nic o ataku, ale zauważyłam, że zmarszczył czoło, ujrawszy si- niaka na czole, które odkryłam nieopatrznie, odrzucając na bok włosy.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

– Nic, mam się dobrze. – Skrępowana jego przeszywającym wzrokiem, szybko przesłam do przyczyny mojej wizyty. – Czy wiesz, nad czym ojciec pracował przed śmiercią?

– Nie wiem – powiedział. – Dlaczego cię to interesuje?

– Pojawiły się pytania – wyjaśniłam ostrożnie. – Próbuję znaleźć odpowiedzi.

– Dla Borgii? Czy to on zadaje pytania?

– Cóż, to chyba oczywiste. Nie chodziłabym w kółko, zadając pytania, gdyby poprosił mnie o to ktoś inny.

Brzmiało to bardziej zgryźliwie, niż zamierzałam, ale Rocco nie wydawał się tego zauważać. Oparł się na krzesło, przypatrując mi się, i powiedział:

– Robiłem wyposażenie dla twojego ojca kilka miesięcy temu, ale było tego samego rodzaju jak to, które właśnie zamówiłaś, i mogło być użyte dla różnych celów.

– Nie mówił, po co go potrzebuje?

Szklarz zawahał się chwilę, zanim odpowiedział.

– Giovanni był zawsze bardzo dyskretny. Rzadko coś mówił o swojej pracy, poza samymi ogólnikami.

– Nie zdarzyło mu się nigdy poczuć, że może powiedzieć więcej? Na przykład pośród przyjaciół o bardzo podobnych poglądach?

Jeżeli miałam nadzieję, że moja nieporadna próba wywołania tematu Światłości spowoduje jakiś oddźwięk, zostałam rozczarowana. Wzruszył tylko ramionami i powiedział:

– Pomógłbym ci, gdybym tylko mógł, Francesco, ale naprawdę nie wiem, co robił twój ojciec. Jeżeli Borgia także tego nie wie, to może Giovanni miał jakiś powód, żeby zatrzymać to dla siebie.

– Nie jestem w pełni przekonana, że Jego Eminencja nie wie – wyznałam. Znowu poniosłam porażkę, więc nie miałam wiele do stracenia. – Może tak, może nie. Myślę, że jest bardziej zainteresowany tym, czy ojciec zostawił zapiski.

Opowiedziałam mu w skrócie o misji, z którą zostałam wysłana. Kiedy skończyłam, zapytałam:

– Czy byłeś kiedyś w getcie?

– Parę razy. Mam tam klientów, a przynajmniej miałem, zanim zaczęły się problemy.

– Masz na myśli uchodźców?

Skinął głową.

– Słyszałem, że teraz jest tam prawdziwy bałagan.

– I będzie tylko gorzej. Za niecały miesiąc każdy Żyd, który zostanie w Hiszpanii, będzie poddany natychmiastowej egzekucji.

– Są szaleni, ci Hiszpanie.

– Możliwe, ale tutaj Żydzi też nie są witani z otwartymi ramionami. Warunki w getcie są przerażające.

Coś w moim głosie musiało ujawnić cierpienie z powodu tego, co tam widziałam, bo Rocco wstał, podszedł do szafki i nalał nam oboju wina. Wracając do stołu, postawił przede mną kielich.

– Wypij to, zanim powiesz coś więcej.

Z wdzięcznością zrobiłam to, co powiedział. Wino ciężko uderzyło w mój pusty żołądek, ale dało mi też niewielki dystans do rzeczywistości, której doświadczyłam.

– Wiedziałaś, że ojciec tam był?

– W getcie?

– Znał tam pewną kobietę, aptekarkę.

– Skąd o tym wiesz?

Opowiedziałam mu o Sofii Montefiore. Gdy skończyłam, powoli pokręcił głową.

– Mówi, że ostatni raz widziała twojego ojca zimą, ale Kardynał wierzy, że był tam niedawno?

Przytaknęłam.

– Muszę założyć, że tak właśnie jest, bo Borgia, wysyłając mnie do niej, mówił również o tym, że chce wszelkie notatki z ostatnich prac ojca, jakie mógł zostawić.

– Czy myślisz, że powiedziała ci prawdę?

Tu tkwiło sedno sprawy. Sofia Montefiore nie wykazała zdziwienia, że nagle się u niej zjawiłam. Niemal jakby się mnie spodziewała.

– Nie, nie sądzę – powiedziałam powoli.

Rocco westchnął i oparł się na krześle. Kręcił nóżką kielicha między swoimi mocnymi palcami pokrytymi bliznami przez lata pracy z ogniem i szkłem. Jego oczy spotkały się z moimi.

– To ciężkie czasy dla Żydów. Nie powie ci nic, dopóki jej nie przekonasz, że może ci zaufać.

Wzięłam ostatni łyk wina i posunęłam kielich w jego stronę. Dolał mi.

– A żeby to zrobić... – powiedział.

Obrazy tego, co tam widziałam, przesuwały się przed moimi oczami – cierpienie, okropieństwa, niezmienny brak nadziei getta, z którego nie było ucieczki innej niż śmierć.

– Żeby to zrobić – oznajmiłam – muszę tam wrócić.

Utwierdzona w postanowieniu, żeby odkryć to, co mogła wiedzieć Sofia Montefiore, następnego dnia wróciłam do getta. Vittorio poszedł ze mną – dla ochrony, ale dźwigał też leki, które ze sobą zabrałam. Chciałabym powiedzieć wam, że wzięłam je jako akt miłosierdzia, bo mamy przecież nakazane postępować z innymi tak, jak chcielibyśmy, żeby nas traktowali, jednak prawda była taka, że zabrałam je, aby przekupić aptekarkę.

Może przekupić to zbyt mocne słowo. Nazwijmy to zachętą w celu przekonania jej, żeby mi powiedziała to, czego chciałam się dowiedzieć, i dzięki temu zaoszczędziła nam obu wielu kłopotów. Ale zanim do niej dotarłam, musiałam narazić się na to wielkie cierpienie, którym było getto, i odnaleźć Via de Miseria, gdzie mieściła się jej pracownia.

Chociaż rozglądaliśmy się za Benjaminem, gdy tylko przeszliśmy przez bramę, nie było po nim śladu. Miałam przebłysk niepokoju, że okrada kieszenie gdzieś w mieście na zewnątrz, ryzykując potworną karę, ale zanim uszliśmy daleko, wyskoczył zza sterty śmieci z nonszalanckim uśmiechem na twarzy.

– Wszyscy o was mówią – powiedział.

Vittoro jedynie chrząknął, ale ja, kiedy jestem wzburzona, wdaję się w rozmowę.

– A co mówią?

Benjamin wziął głęboki wdech, który wyraźnie powiększył jego wątlą pierś, i zaczął recytować:

– Niektórzy myślą, że jesteś czarownicą, signorina. Inni mówią, że to za wcześnie, żeby coś powiedzieć. Jeszcze inni mówią, że jesteś szpiegiem Kardynała. Z tym właściwie wszyscy się zgadzają, ale nie mogą się dogadać, dlaczego taka wybitna persona miałaby nas szpiegować. A jeśli chodzi o pana, signore – wskazał na Vittorio – niektórzy mówią, że jest pan żołnierzem, a inni wierzą, że należy pan do rodziny signoriny.

To zwróciło uwagę kapitana, ale znowu tylko chrząknął i szedł dalej naprzód. Dotarliśmy w końcu do pracowni aptecznej. Kolejka przed wejściem wydawała się nawet dłuższa niż poprzedniego dnia. Było tam również kilkanaście spowitych całunem ciał leżących w pobliżu ulicy, czekających na kogoś, kto zbierał ciała w getcie. W mieście, na zewnątrz, zmarli chowani byli przy kościołach. Z wyjątkiem czasów zarazy nawet biedacy dostawali przyzwoity grób. Ale martwi Żydzi... Nie miałam pojęcia, co się z nimi działo.

– Nie powinniśmy zwlekać – powiedział Vittorio, gdy Benjamin otworzył drzwi i weszliśmy do środka.

Tym razem nie zakryłam twarzy. Podczas gdy wiele osób wierzy, że choroby spowodowane są złym powietrzem, ja nie jestem o tym przekonana. Z radością ochroniłabym się jednak przed odorem, gdyby nie to, że ukrywanie się za wypchnioną chusteczką wydawało się niemądrym pomysłem na pozyskanie zaufania Sofii Montefiore.

Ale i tak była zbyt zajęta, aby zwrócić na mnie uwagę. Młoda kobieta w trakcie porodu leżała w rogu pokoju między chorymi a umierającymi. Leżała na plecach, na cienkim sienniku, z twarzą tak szarą, jakby śmierć zbliżała się do niej wielkimi krokami; wyraźnie omdlewała. Sofia Montefiore klęczała między jej rozwartymi nogami.

Młody mężczyzna, który siedział obok, ściskając rękę kobiety, szlochał.

– Przyj! – ponaglała ją Sofia. – Na miłość do twojego dziecka, musisz przeć!

Ja ją słyszałam, ale nie mogłam przysiąc, że słyszała ją ta kobieta. Kałuża krwi sącząca się spod niej sugerowała, że ma już za sobą wszelkie troski.

Zatoczyłam się do tyłu i wpadłam na Vittorio. Szybko odstawił skrzynię z medykamentami i złapał mnie.

– Donna, wszystko w porządku?

Na litość boską, byłam specjalistką od trucizn samego kardynała Rodrigo Borgii, jednej

z osób, których najbardziej obawiano się w całym chrześcijańskim świecie. Zaledwie trzy dni temu zabiłam człowieka, żeby zyskać tę pozycję. Przetrwałam pobicie i poprzysięgam pomścić ojca. Nie jestem i nigdy nie byłam słaba.

A jednak byłam przerażona. Żyjąc jedynie z ojcem – bez matki, ciotek, sióstr, kuzynek – nie byłam zwyczajna realiów dawania życia dziecku, czego spodziewa się po każdej młodej kobiecie. Wprost przeciwnie – cierpienie, które zabiło moją matkę, odbierałam jako niepotrzebne i ohydne.

Nie odpowiedziałam Vittorio, ale zdołałam nad sobą zapanować na tyle, żeby móc samodzielnie ustać. Młody człowiek pochylił się, szlochając, a Sofia powiedziała coś, czego nie dosłyszałam; to mogło być przekleństwo. Kiedy nie odpowiedział, sięgnęła za siebie, wzięła nóż, który musiała tam mieć ukryty i...

Kobieta krzyknęła. Dźwięk unosił się, odbijał się od ścian i wibrował w powietrzu. Krzyk takiej udręki, że diabły w piekielnej otchłani musiały go słyszeć. Zabrał jej oddech życia i opadła z szeroko rozwartymi niewidzącymi oczami w ramiona mężczyzny.

W tej samej chwili dał się słyszeć inny krzyk, bardziej wątły, kwilenie nowego życia, które zrodziło się w śmierci. Zobaczyłam dziecię splamione krwią matki, zobaczyłam umazany krwią nóż, który upuściła Sofia, zobaczyłam jej twarz, a potem widziałam już tylko podłogę.

Takie upokorzenie! Później przez długi czas wmawiałam sobie, że nie zemdlałam na widok krwi. Po prostu usiadłam, zapominając, że nie ma tam krzesła. Vittorio, niech mu będą dzięki, nigdy o tym nie mówił. Znajdowałam ukojenie w swoich kłamstwach, mimo iż znałam prawdę.

Do czasu, gdy się pozbierałam, oczy kobiety zostały zamknięte, jej ciało okryte, a oszalały z rozpaczy mąż wyprowadzony; wyczerpana Sofia podała dziecko, owinięte w brudnawy kocyk, młodej bladej kobiecie, która ze znużeniem dała mu przywiedłą pierś.

Nie pytajcie, czy dziecko przeżyło; nie mam pojęcia. Ale trzymając się mojej nowej polityki szczerości, przyznam, że miało niewielkie szanse.

Pół godziny później siedziałam przy stole w pokoju na tyłach, naprzeciwko Sofii Montefiore. Powiedziałam jej, że może przyjąć pomoc, którą oferuję, albo zmierzyć się z gniewem Kardynała. Wybór należy do niej. Z początku nie byłam pewna, czy mnie zrozumiała, tak była zamknięta w sobie, przebywała w świecie, gdzie udajemy się, gdy życie za bardzo nas przygniata. Znałam to miejsce aż za dobrze, często w nie uciekałam po śmierci ojca, a po tym, jak zostałam pobita, znów nieodmiennie mnie kusilo. Gdybym chciała być miła, pozwoliłabym jej tam zostać chwilę dłużej, ale nie znalazłam w sobie wówczas wystarczającej uprzejmości.

– Musi pani zdecydować – naciskałam. – Mogę pani pomóc, dostarczając leki i jedzenie, ale w zamian musi mi pani powiedzieć o wszystkim, co mówił mój ojciec, i dać mi to, co zostawił pani na przechowanie.

Sofia uniosła wzrok, jej oczy były zapadnięte, a usta poszarzałe. Tak cicho, że musiałam pochylić się do niej, aby móc cokolwiek usłyszeć, powiedziała:

– Mówiłam ci, nie zostawił nic.

Wiedziałam, że przynajmniej to mogło być prawda. Ojciec był zawsze ostrożnym człowiekiem, a poza tym moja próżność była na tyle duża, że nie chciałam przyjąć do wiadomości tego, że mógł zaufać komuś bardziej niż mnie.

Jednak byłam przekonana, że nie mówi mi wszystkiego.

– To – powiedziałam, wskazując na skrzynkę z lekami – jest tylko skromną próbką tego, co może pani dostać. Przyniosę pani...

– Powiem ci, co przyniesiesz – przerwała Sofia. Jej głos dalej był cichy, ale przebijała przez niego siła. – Większość tego, co zwiemy lekami, jest bezużyteczna. Dam ci spis tego, czego potrzebuję.

Kiedy przytaknęłam, rzekła:

– Jak mogę być pewna, że kiedy już dostaniesz to, czego chcesz, dotrzymasz swojej części umowy?

– Dam pani moje słowo...

Jej śmiech był chrapliwy i nienaturalny, jakby nieczęsto go używała.

– Twoje słowo? Jedynym chrześcijaninem, jakiego kiedykolwiek znałam, który przejmował

się dotrzymywaniem słowa danego Żydowi, był twój ojciec, a jego tutaj nie widzę.

To mnie ubodło. To prawda, że nie byłam podobna do ojca – był ciemniejszy niż ja i bardziej tęgi – ale lubiłam myśleć, że miałam jego charakter. Co miałoby sens, bo przecież mnie wychował.

– Nawet, jeśli go tu nie ma – powiedziałam chłodno – nigdy nie splamiłabym jego pamięci.

Sofia zastanawiała się nad tym przez jakiś czas, wystarczająco długo, żebym zaczęła się obawiać, że odrzuci moje zapewnienia. Ale w końcu skinęła głową.

– Musimy porozmawiać na osobności – spojrzała na Vittorio. – Zupełnie same.

– Będę czekał na zewnątrz – powiedział do mnie.

Opuścił pomieszczenie, rzucając jej ostrzegawcze spojrzenie i zabierając ze sobą Benjamina.

W małym pokoju, gdzie zapach ziół zwieszających się z krokwi toczył daremną walkę ze smrodem choroby i śmierci, zaległa cisza.

Usłyszałam skrzypienie wozu w alejce i zduszony okrzyk gdzieś na zewnątrz.

W końcu Sofia rzekła:

– Ostatni raz spotkałam się z twoim ojcem w marcu, tuż przed świętem Purim. Wiesz, co to jest?

Pokręciłam głową. Z wyjątkiem oskarżeń, że zabili Chrystusa, nie wiedziałam o Żydach nic.

– Świętujemy wtedy wyzwolenie spod rządów Hamana, który służył potężnemu królowi Persji i pragnął zagłady ludności żydowskiej.

Wbrew sobie poczułam się zaciekawiona. To również stanowiło we mnie część mojego ojca.

– Dlaczego?

Sofia udała zdziwienie.

– Czy nie powinno mu wystarczyć to, że byliśmy Żydami? Czy komukolwiek potrzebny jest inny powód, aby nas zabijać?

Nie potrafiłam na nią spojrzeć i nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć, więc zrobiło jej się mnie żal.

– Jak to się czasami zdarza – powiedziała – zostaliśmy uratowani przez kobietę. Miała na imię Estera, a opowieść o niej znajduje się w waszej Biblii, ale wydaje mi się, że jej nie znasz.

Pokręciłam głową, czując się dotknięta tym, że wymagała ode mnie odpowiedzi na tak głupie pytanie. Było powszechnie wiadomo, że jedynie księża znają Biblię, a dzielą się z innymi tylko tym, co uznają za zbawienne dla swojej trzody.

– Nic nie szkodzi – powiedziała Sofia. – Zajmijmy się bardziej współczesnymi tematami. Jak mówiłam, widziałam twojego ojca w marcu. Przyszedł tu, żeby się pożegnać.

– Dlaczego miałby to robić? Nie planował opuszczać Rzymu.

A przynajmniej jak było mi wiadomo, ale zaczęłam już podejrzewać, że ojciec nie mówił mi wielu rzeczy.

– Nie powiedział, że wyjeżdża – odrzekła Sofia. – Ale niepokoił się tym, że sprawy przybrały taki obrót, że każdy, o którym wiadomo, iż był z nim związany, mógł znaleźć się w niebezpieczeństwie. Z uwagi na to powiedział, że już nie będzie do mnie przychodził.

– Jakie sprawy? – spytałam.

Wydawało mi się, że właśnie w tym czasie ojciec zaczął mówić o wysłaniu mnie do rezydencji Kardynała na wsi. Zaprotestowałam tak gwałtownie, nie życząc sobie rozstania z nim, że zgodził się odwlec tę decyzję. Ale obawiałam się, że już się zdecydował i powiedziałby mi w ostatniej chwili, żeby uniknąć sporów. To, że w ogóle się z nim kłóciłam, wciąż napawa mnie wstydem.

Sofia nie odpowiedziała od razu. Oparła się na krzesło i patrzyła ponad moim ramieniem, jakby coś widziała.

– Wiesz o tym, że twój ojciec bardzo interesował się przyczynami chorób? – zapytała.

– Rozmawiał z panią o tym?

W zasadzie nie powinny być zdziwiona. Ojciec musiał zdawać sobie sprawę z tego, że wśród niewielu osób, z którymi bezpiecznie mógł mówić o takich sprawach, byli ci żydowskiego

pochodzenia albo mahometanie. Obie te nacje znane są z tego, że wydały lekarzy o wybitnych zdolnościach, może ze względu na to, że pragną bawić się tym, co zakazane chrześcijanom.

– Wiedział, że podzielał jego zainteresowania – odrzekła Sofia. – Giovanni naprawdę chciał znaleźć sposób na leczenie chorób. Ale ostatnio szukał sposobu na to, żeby przynieść śmierć, która wyglądałaby jak naturalna.

Trudno mi było to zrozumieć, a przyczyna mojego rozumowania była prosta: kiedy decydujemy się zabić – czy to z pomocą trucizny, czy w jakikolwiek inny sposób – nie wystarczy usunąć ofiary z tego świata. Zwykle pożądane jest też, żeby było wiadomo, a przynajmniej, aby obawiano się, że dana osoba została celowo uśmiercona. Jedynie w ten sposób można sobie zapewnić wystarczające poważanie.

Widząc moją dezorientację, Sofia wyciągnęła dłoń i przykryła nią moją.

– Przykro mi, ale jest coś więcej.

I na pewno nie mogło to być miłe. Nie naruszyłaby dystansu między nami, aby dać mi luksus swojego dotyku, jeżeli to, co miała mi powiedzieć, nie byłoby przerażające. Miałam tego świadomość, ale nawet nie mogłam sobie wyobrazić ogromu potworności tego, co miała mi właśnie wyznać Sofia Montefiore...

Milczałam, idąc do pałacu. Vittorio uszanował mój nastrój i zatrzymał to, co myślał, dla siebie. Rozdzieliliśmy się na dziedzińcu. Nie poszłam do swoich komnat, a do małej kaplicy, w której zwykle uczestniczyłam w niedzielnych mszach. O tej porze była pusta. W powietrzu unosiła się nuta kadzidła. Ukłękłam przed marmurowo-złotym ołtarzem, wzniosłam oczy do zdobionego klejnotami krzyża i zaczęłam się modlić.

Nie jestem pobożną niewiastą. Dar głębokiej, trwałej wiary nie jest mi dany. Może mój umysł jest zbyt niespokojny, za bardzo podatny na pytania. A może po prostu nie próbowałam wystarczająco mocno. Jak by nie było, modlitwa nie przychodzi mi łatwo.

Ale tego dnia modliłam się, trochę niewprawnie, ale z najgłębszą szczerością. Modliłam się, żeby Odkupiciel Świata oszczędził mnie od wiedzy, którą tak bezmyślnie posiadałam. Albo, gdyby to nie wyszło, wskazał mi, jak z nią postąpić.

Oczywiście nie dostałam żadnego znaku. Zawsze zazdroszczę tym, którzy twierdzą, że znajdują odpowiedź na swoje modły, czasem w postaci nagłego przyływu zapachu, dźwięku czy czegoś, co zobaczą. Na przykład Święta Katarzyna ze Sienny, ta, która pomogła zagoić Wielką Schizmę i przywrócić papieństwo do Rzymu, mówiła o doświadczeniu mistycznego ślubu z Chrystusem i wizjach Nieba, Piekła i Czyśćca. Święty Tomasz z Akwinu, mistrz filozofii i teologii – o którym notabene mówiono, że zmarł od trucizny – składał całą swoją wiedzę na karb objawienia.

Ja na pewno nie byłam świętą, ale tego dnia modliłam się o przebłysk boskiego pojmowania. W końcu, gdy zdałam sobie sprawę z tego, że jestem tak samo wykończona, jak pozbawiona bożych względów, wstałam. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że musiałam klęczeć w kaplicy naprawdę długo. Kolana piekły mnie tak, jakby paliły je rozżarzone węgle, a dzień przeszedł w wieczór. Kiedy wymykałam się stamtąd, kaplicę zaczęli wypełniać mnisi schodzący się na nie-szpory.

Poszłam do mieszkania. Samotnie zjadłam kolację. Wykąpałam się i w końcu zasnęłam. Koszmar znowu mnie naszedł, jeszcze bardziej wyraźny niż zwykle. Obudziłam się w drgawkach i otarłam łzy z twarzy.

Nie mogąc już nawet myśleć o zaśnięciu, usiadłam przy małym stoliku przy oknie i przez dalszą część nocy czytałam, szukając w dziennikach ojca jakiegoś wglądu w potworności, o których się dowiedziałam.

Ale chcecie pewnie wiedzieć, o co chodzi. Co Sofia Montefiore wyjawiała mi tam, na cmentarzystwie getta.

Dobrze, ale pamiętajcie, że zostaliście ostrzeżeni. Wiedza taka jak ta jest przekleństwem. Wrywa nas z raju ignorancji, który tak beztrudnie zamieszkujemy, nie podejrzewając, że z jednym błędnym krokiem nasze życie może zostać unicestwione.

Ostatnim razem, gdy spotkałam twojego ojca – mówiła Sofia – był przytłoczony niepoko-
jem i bardziej zdenerwowany, niż kiedykolwiek widziałam. Przemawiał z najwyższą trudnością, co
było o tyle zrozumiałe, że kiedy mówimy o zlu, sprowadzamy je do życia.

Przeciągnęła po twarzy ręką i poprawiła się na krześle, zanim zaczęła mówić dalej.

– Spytasz pewnie, skąd wiedział to, co wiedział, więc powiem ci, że on nie mówił, a ja nie
pytałam. Wystarczyła wiedza o tym, co odkrył.

– Ale co to było? – zaczynałam się niecierpliwić.

„Boże, wybacz, wciąż nie rozumiałam”.

Jej oczy były podkrążone i zaczerwienione, ale to, co zapamiętałam najlepiej, to głęboki,
nieprzenikniony smutek, który w nich ujrzałam.

– Wydaje się – powiedziała – że nie wystarczy, że wszyscy Żydzi zostali wygnani z Hiszpa-
nii, ta cała męka, która na nas przysła. Jego Świątobliwość nie jest zadowolony. Żeby zbawić
swoją duszę, przygotowuje edykt mający wygnąć nas z całego świata chrześcijańskiego pod groźbą
śmierci dla tych, którzy tu zostaną. – Jej głos przybrał na sile, przepełniło go oburzenie. – Innocenty
wykorzysta swoją władzę, żeby usunąć Żydów z Państwa Kościelnego. Ale nie poprzestanie na
tym. Wezwie również wszystkich królów, książęta i im podobnych do wyczyszczenia całego
chrześcijaństwa ze skażenia, jakim jesteśmy. Jest gotowy zażądać tego w najbardziej brutalny
sposób, łącznie z groźbą ekskomuniki dla tych rządców, którzy mu się nie podporządkują. A jakby
tego było mało, spuści ze smyczy swoich wiernych, zachęcając ich, żeby starli Żydów z powierzch-
ni ziemi.

Położyła swoje zniszczone, wciąż poplamione krwią zmarłej matki ręce na stole i spojrzała
na mnie.

– Jeżeli ten edykt zostanie wydany, lud żydowski zmierzy się z eksterminacją.

Słyszałam, co mówi, oczywiście. Nawet mniej lub więcej rozumiałam. Żydzi... problemy...
eksterminacja. Tak, tak, to wszystko było dla mnie jasne. Boże, przebacz mi, jedyne, co w tamtej
chwili się dla mnie liczyło, to jaki to miało związek z moim ojcem.

Sofia Montefiore twierdziła, że trapiła go niedola Żydów. Podejrzywałam, że to było
możliwe. Miał współczujące serce, co nie zgadzało się z jego profesją. Pamiętam, jak opiekował się
ptakiem ze złamanym skrzydłem, lecząc go i wypuszczając na wolność, a w tym samym czasie sta-
raliśmy się opracować szybki sposób śmierci dla psów i innych zwierząt, które wykorzystywaliśmy
do testowania nowych trucizn.

Zalóżmy, że ojciec odkrył, iż taki edykt jest szykowany. Co by wtedy zrobił? Ostrzegł
Żydów? W to byłam w stanie uwierzyć, teraz, gdy już wiedziałam, że przynajmniej jednego z nich
miał za przyjaciela. Ale jeżeli Sofia Montefiore mówiła prawdę – a na to pytanie wciąż nie udzie-
liłam sobie odpowiedzi – posunął się dużo dalej. Tak daleko, że obawiał się, iż każdy z nim
związany wkrótce znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie.

Szukał, zgodnie z tym, co mówiła, sposobu na śmierć, która wydawałaby się zupełnie natu-
ralna.

Owinęłam się ciaśniej szalem, próbując utrzymać na wodzy strach, który się we mnie załgał.
Za oknem widziałam wieże Watykanu, bastionu chrześcijaństwa, wznoszące się w ciemnym cieniu,
gdzie – jak podejrzewałam – Jego Świątobliwość spokojnie spał, gdyż stan jego zdrowia poprawił
się od czasu gwałtownej śmierci mojego ojca.

Rankiem wymknęłam się z pałacu wcześniej, kiedy jeszcze czyściciele ulic, którzy znajdo-
wali zatrudnienie w bogatszych okolicach, rozpryskiwali wodę na bruku i przygotowywali się do
szorowania go gęstymi, ostrymi szczotkami. Pamiętając o nakazie Kardynała, zabrałam ze sobą
młodego strażnika, odmawiając jego niepewnym prośbom, aby przed wyjściem poinformować
dowódcę.

– Nie mam na to czasu – powiedziałam wyniośle. – Chyba że zechcesz wytłumaczyć kapitanowi Romano, dlaczego musiałam wyjść bez ochrony?

– Nie, nie, Donna – odparł i pospieszył za mną przez bramę strażniczą na ulicę.

Szłam szybkim krokiem przez całą drogę do Palazzo Orsini, ale nie pomogło mi to wyprzedzić myśli. Z każdym krokiem starałam się przekonać samą siebie, że moje podejrzenia były błędne, a obawy przesadzone. Nie pomagało mi również to, że żebra pulsujące bólem przy każdym oddechu przypominały o mojej przygodzie – i ostrzeżeniu, które wtedy dostałam.

Moja wizyta, podobnie jak wszystko, co robiłam, na pewno zostanie zgłoszona Kardynałowi. Mając to na uwadze, udałam się najpierw do pomieszczeń magazynowych, gdzie zajęłam się sprawdzaniem wszystkiego, co dostarczono tu w ciągu ostatnich kilku dni. Świeża żywność nie była głównym przedmiotem mojego zainteresowania, było niezwykle trudno ją zatruc bez pozostawienia śladu w zapachu, smaku, a nawet w barwie.

Jednakże możliwe jest ukrycie małych ilości trucizny na przykład w fałdach mięsa, więc każda tusza musi zostać uważnie zbadana.

Podobnie trudno jest skazić wino, choć nie jest to niemożliwe. Tutaj wskaźnikiem bezpieczeństwa jest jego klarowność i bukiet. Dodana do wina trucizna rozpuści się, ale nie całkowicie; zostawi swoiste zmętnienie, które wprawne oko od razu wyłapie.

W mojej pracy pomagało, gdy każdy kupiec, dostarczający dobra do znamienitych domów, w pełni zdawał sobie sprawę z potworności kar, jakie spadną na niego i jego rodzinę, jeśli choćby padną na niego podejrzenia, że spiskował w celu wyrządzenia jakiegokolwiek szkody. Pomimo tego żaden skrupulatny specjalista od trucizn nie pozwoli dokonywać zakupu gotowych potraw dla domu, którego strzeże. Kielbasy, wędzone mięsa, suszone ryby i temu podobne muszą być przygotowywane pod moim nadzorem. To tylko zdrowy rozsądek. Podobnie ma się rzecz z tkaninami. Trucizny, które mogą penetrować skórę, w przeciwieństwie do tych, które trzeba połknąć, są rzadkie, ale mogą mieć bardzo silne działanie. Jednej z nich użyłam, aby uśmiercić Hiszpana, ale o tym nie powiem już ani słowa.

Powiem jednakże, że najłatwiejszą drogą dostarczenia trucizny jest ukrycie jej w mocno przyprawionym daniu – na przykład w potrawce albo czymkolwiek innym, po czym spodziewamy się bogatego smaku. Takie potrawy są szeroko lubiane przez tych, których na nie stać, więc muszą być szykowane z najwyższą uwagą.

Rutynowo wszystkie dania i napoje muszą być najpierw podawane zwierzętom, które trzyma się specjalnie do tego celu. To część mojej pracy, której najbardziej nie lubiłam i cieszyło mnie, gdy obywało się bez problemów.

Po sprawdzeniu zapasy żywności były pieczętowane do czasu ich wykorzystania. Robiłam to osobiście, wykorzystując małe laski wosku i pieczęć, którą ojciec trzymał w tym celu. Po odpieczętowaniu za wszelkie zapasy odpowiadał mistrz kuchni albo, gdy wychodziły poza nią, major-domus. Biada im, jeżeli jakkolwiek krzywda dotknie członka La Famiglii.

Wypełniwszy swoje obowiązki, poczekałam, aż godzina zrobiła się na tyle przyzwoita, żebym mogła złożyć wyrazy szacunku Madonnie Adrianie i innym mieszkankom *il harem*. Ale jak się okazało, Jej Miłość przebywała z wizytą u przyjaciółki poza miastem, a Giulia la Bella, wstająca zwykle późno, była jeszcze w łóżku. Lukrecja jadła śniadanie w ogrodzie.

Pomachała do mnie, żebym się do niej przyłączyła.

– Francesca, podejdź i usiądź. Cieszę się, że cię widzę. Jesteś głodna? Truskawki są naprawdę pyszne.

Siedziałyśmy w cieniu balkonu, z widokiem na fontannę. Dzień, mimo wczesnej pory, był już ciepły. Lukrecja miała na sobie lekką koszulę z delikatnego lnu. Szczeniaki leżały u jej stóp z wywieszonymi jęczorkami.

– Co ci się stało w twarz? – zapytała, gdy usiadłam obok niej.

Podsunęła mi miskę truskawek, pewnie, żeby osłodzić pytanie.

Zanim odpowiedziałam, wybrałam jedną i ugryzłam. Siniak na czole już mnie nie bolał, chyba że go dotykałam, ale tak ściemniał, że nie mogłam już całkiem ukryć go pod włosami.

Z uśmiechem powiedziałam to samo kłamstwo, co jej ojcu.

– Upadłam. – I jak to bywa z kłamaniem, zaczęłam wymyślać historię. – Potknęłam się tylko. To było trochę żenujące. – Miałam nadzieję, że to ostatnie zdanie zapobiegnie dalszym pytaniom.

Idealnie wyrzeźbione brwi Lukrecji połączyły się. Ludzie rozpływali się nad urodą Giulii, co było zrozumiałe, ale Lukrecja też była śliczna. Była chudym dzieckiem, ale w ostatnich miesiącach zaczęła nabierać kształtów. Jej rysy były delikatne i bardzo kobiece, ale to włosy robiły największe wrażenie. Burza jasnych loków sprawiała, że przypominała anioła otoczonego świetlistą aurą. Później, kiedy zostanie oskarżona o potworne zbrodnie, ludzie będą to szeroko komentowali.

– Boli cię? – spytała, prezentując tym wytrwałość, która uczyniła możliwym jej przetrwanie w obliczu niedoli, jaka zniszczyłaby większość innych.

– W ogóle – zapewniłam ją.

– To dobrze. – Uśmiechnęła się tajemniczo. – Mam pewien sekret, który chciałabyś poznać.

Podejrzewałam, że córka Borgii miała dostęp do większej ilości tajemnic niż zwykle niewiasta w jej wieku, a w zasadzie nawet na to liczyłam. Ale byłam zdziwiona, że oferuje mi jedną z nich jak pudełko marcepanów, które miało sprawić mi przyjemność.

– Powiedz więc.

– Cesare chce przybyć do Rzymu, chociaż ojciec kazał mu zostać w Pizzie. Tak się nudzi na uniwersytecie i obawia się, że przegapi coś tutaj, że twierdzi, iż i tak przyjedzie.

Gdyby mówiła o kimkolwiek innym niż jej starszy brat, wzięłabym to za zwykłą brawurę. Ale Cesare był kombinacją impulsywności i bezwzględności, które mogły spowodować, że sprzeciwiłby się Kardynałowi i wyszedł z tego bez szwanku. Borgia pobrażał synowi, który miał pójść w jego ślady.

Jak zawsze myśl o Cesare w roli księdza wywołała mój uśmiech. Lukrecja od razu to zauważyła.

– Mój brat cię śmieszy? – spytała.

Cesare zrobił mi wiele rzeczy, a z czasem pewnie będę mogła mówić o nich wszystkich. Ale tak, w pewnych okolicznościach mógł mnie również śmieszyć.

– Przepraszam, Madonna – powiedziałam. – Myślałam o czymś innym.

– Na pewno nie – odrzekła całkiem słusznie. – Nawet nie próbuj udawać. Jesteś tak zafascynowana Cesare, jak wszyscy inni.

Zafascynowana? Tak, to chyba była prawda, ale byłam również ostrożna.

– Poinformowałam go o śmierci twojego ojca – powiedziała Lukrecja. – Píše, że mu niezmiernie przykro, ale jest pewny, że będziesz doskonale wypełniać swoje nowe obowiązki.

„Boże, przebacz”, zarumieniłam się. Widząc to, Lukrecja zachichotała. Ale chwilę później była już całkiem poważna.

– Nie jest naprawdę taki straszny, prawda, Francesco? Mimo wszystko Cesare ma dobre serce.

Jeżeli miała na myśli serce, które mocno biło i nie sprawiało swojemu posiadaczowi problemów, na pewno miała rację. Ale poza tym...

– Jestem przekonana, że jest cudownym bratem.

– Jest, ale słyszałam też, że jest bardzo dobrym kochankiem. Czy to również jest prawda?

Poczuliście się wstrząśnięci? Czy może wybiegacie myślami w przyszłość, zastanawiając się nad niegodziwymi plotkami, które roztaczano o Lukrecji i Cesare w późniejszych latach? Plotkach, które, pozwólcie, że was zapewnię, nie były prawdziwe.

– Skąd miałabym to wiedzieć?

Nie zabrzmiało to bardzo przekonująco, może dlatego, że nie było prawdą. Po naszym pierwszym zetknięciu, kiedy to wycofał się na przypomnienie o tym, że jestem córką truciciela, uznał, że mimo wszystko jestem warta zainteresowania. Co, jestem pewna, więcej mówi o jego zamiłowaniu do wyzwania niż o mojej własnej atrakcyjności.

Powiedzmy, że pewnej nocy, niedługo po tym, jak odrzuciłam propozycję małżeństwa z Rocco, kiedy moja dusza wciąż była poraniona, Cesare wpadł na mnie w bibliotece. Znów oddawałam się lekturze Dantego, na własną zgubę. Możecie założyć, jeśli taka wasza wola, że szukałam

ulgi od burzących się we mnie uczuć w podobnych intelektualnie zainteresowaniach. Ojciec był na górze, w naszych apartamentach. Kardynał odwiedzał La Bellę. Było bardzo cicho.

Cesare powinien być w Pizzie, gdzie miał mierzyć się z innym studentem, spadkobiercą rodziny Medyceuszy, a w tym samym czasie wyróżniać się w nauce. Jak wynikało z przekazów, dał sobie radę z oboma tymi zadaniami za pomocą wszechstronnego umysłu i biegłego języka.

Bardzo biegłego.

Wymknął się na parę dni do Rzymu, żeby spróbować przekonać ojca do zmiany planów. Nie śmieję się, a jeżeli już musicie, nie róbcie tego zbyt głośno, ale Borgia naprawdę zamierzał skierować swojego najstarszego syna na drogę Kościoła.

Gdy Cesare nie miał jeszcze nawet siedmiu lat, ojciec uczynił go protonariuszem apostolskim przy Papieżu. Nie mam pojęcia, jakie zadania ma wypełniać ten dostojny urząd, i jestem pewna, że Cesare też go nie miał. Wkrótce potem uzyskał prawa do biskupstwa Walencji i w tym samym czasie został rektorem i archidiakonem. W kolejnych latach zyskał biskupstwo Pampeluny z jego bogatymi przychodami. To, że nie miał jeszcze święceń, było nieznacznym szczegółem, który przeoczono.

Ale ojciec zamierzał spowodować, żeby przyjął święcenia, a w odpowiednim czasie został księciem Kościoła, podążając ścieżką przetartą przez Rodrigo ku papieżostwu. To, że Cesare widział przed sobą inną przyszłość, nie miało znaczenia dla Kardynała.

Cesare przyjechał, żeby przedstawić ojcu plany kariery wojskowej, ale – jak mówiono w kuchni – pokłócili się. Wpadł nie wiadomo gdzie, wrócił nie do końca trzeźwy i jakoś trafił do biblioteki.

Gdzie byłem ja. Wyobraźcie sobie wtedy, *vigro intacto*, cała i nietknięta w alabastrowym świecie, w którym jak niestety postanowiono, miałam pozostać. I wyobraźcie sobie jego, dzikiego i chmurnego, pachnącego winem i skórą, wnoszącego powiew szerokiego świata do mojego dziewiczego azylu.

Cóż mogę wam powiedzieć? Wszystko? Jak podszedł do mnie z uśmiechem i dzikością w oczach? Jak myślałam o tym, żeby umknąć, ale dziwnym trafem nie mogłam nawet unieść się z krzesła? Uklęknął przede mną, jego ciepłe i silne dłonie uniosły moją spódnicę, głąaskały skórę, odnalazły moje ciepło... Jak umarłam w jego ramionach.

Jak uśmiechnął się i powiedział, że jestem jego piękną, jego najdroższą dziewczyną, wychwalając moje wdzięki nawet wtedy, gdy się we mnie wślizgiwał? Tak, wślizgiwał, mimo tego, co słyszałam o rozdzierającym bólu, o którym szeptały pokojówki, przewracając oczami.

Jak później, gdy głąaskał moje włosy i nucił mi, świat wydał mi się rodzić na nowo w świetle zdumiewającego odkrycia. W przeciwieństwie do tego, czego się obawiałam, nie byłam odgradzona od wszelkiej bliskości przez zalegającą we mnie ciemność. Musiałam tylko ograniczyć się, tak jak Cesare, do czystej fizyczności, bez zagładania w jego serce, jak i on nie zagładał w moje. Możecie mną pogardzać za brak kobiecej czułości, ale, znając siebie, nie mogłam nawet pomyśleć o tym, żeby móc sobie na nią pozwolić.

– Proszę – powiedziałam do Lukrecji. – Pomówmy o ważniejszych sprawach.

Tak jak podejrzewałam, to ją zainteresowało. Gestem dłoni oddaliła stojącego obok służę.

– Naprawdę możemy? Nikt nie chce rozmawiać ze mną o niczym ważnym. Jestem przecież tylko dziewczyną, czyli, w domniemaniu, nie mam o niczym pojęcia.

– Obie wiemy, że tak nie jest. – Nie tylko jej schlebiałam. Umysł Lukrecji nie ustępował umysłom mężczyzn w jej rodzinie. – Poza tym wkrótce wyjdiesz za mąż, a mężatka musi zajmować się ważnymi sprawami, czy mężczyźni chcą przyjąć to do wiadomości, czy nie.

Wspomnienie o małżeństwie zwykle ją ożywiało, ale tym razem tylko westchnęła.

– Jeżeli mój ojciec nie zostanie papieżem, obawiam się, że nigdy nie znajdzie mi męża, który jego zdaniem będzie dla mnie wystarczająco dobry. Ale oczywiście, jeżeli nim zostanie, może się zdarzyć to samo.

Szczerść, z jaką własna córka mówiła o ambicjach Borgii, zaskoczyła mnie. Ale sprzyjało to moim planom poprowadzenia tej rozmowy.

– Będziemy szczęśliwe, jeżeli Boga zadowolą wprowadzenie Il Cardinale na Tron Piotrowy.

– Wyraziwszy stosowną opinię, drażylałam dalej. – Ale trudno nie myśleć również o brzemieniu odpowiedzialności, jaka spoczywa na Ojcu Świętym.

Lukrecja wybrała kolejną truskawkę, ugryzła ją i przełknęła, zanim odpowiedziała.

– Podejrzewam, że tak. Może dlatego mój drogi papa wydaje się taki podenerwowany w ostatnich dniach.

– Naprawdę? – spytałam, starając się, aby w moim głosie było słycać jedynie uprzejme zainteresowanie.

Potaknęła.

– Giulia mówi, że źle sypia, jeśli w ogóle śpi. Nigdy taki nie był. Nic nigdy nie wydawało się go martwić.

– Przykro mi to słyszeć. Wiesz, co może go tak bardzo niepokoić?

Przez chwilę obawiałam się, że może zrozumieć moje intencje, ale westchnęła i oparła się na krześle zamyślona.

– Wiem, że śmierć twojego ojca bardzo go przejęła. Był tu, kiedy przyniesiono mu wiadomość, i bałam się... Powiem tylko, że rzadko widywałam go w takim wzburzeniu.

Rzeczywiście? Czy mówiła o tym samym człowieku, który nie ruszył ręką, żeby znaleźć zabójców ojca, nie mówiąc już o ich ukaraniu?

– Śmierć każdego sługi byłaby powodem do zmartwienia, nieprawdaż? – powiedziałam ostrożnie.

– Twój ojciec był kimś dużo więcej niż zwykłym sługą – skarciła mnie Lukrecja. – Papa zawierzył mu nasze życie, ale również... powierzał mu tajemnice, które, jak myślę, nie umarły wraz z nim?

Spojrzała wprost na mnie, jej oczy złościły się w skąpanym w słońcu ogrodzie. Wtedy właśnie zdałam sobie sprawę z tego, że Lukrecja tak samo chciała wyciągnąć informacje ze mnie, jak ja z niej. Co więcej, ta córka Kardynała była daleko bardziej biegła w sztuce intryg, niż jakkolwiek mogłam mieć nadzieję, żeby być.

Chciałam zyskać czas na uporządkowanie myśli, więc zapytałam:

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bez szczególnego powodu – zapewniła mnie. – Tylko papa był taki zdenerwowany, gdy to się stało, a od tego czasu nie jest sobą.

– Ale nie powiedział nic konkretnego o śmierci mojego ojca?

Lukrecja zawahała się. Nieopodal stał sługa, czekając na jej rozkazy. Odesłała go gestem dłoni.

– Powiedział *Alea iacta est*.

Kości zostały rzucone. Słowa, które wypowiedział podobno Juliusz Cezar, stojąc u brzegów Rubikonu tuż przed atakiem na Rzym i przejściem nad nim władzy.

Lukrecja, którą kształcono na wielką damę, znała już kilka języków, w tym łacinę. Zrozumiałaby słowa ojca, ale nie było prawdopodobne, żeby udało się to komu innemu w il harem. Nawet w wielkim uniesieniu Kardynał zważał, żeby nie odkrywać swoich myśli.

Ja również byłam wykształcona i ja też to rozumiałam, aż za dobrze. Pomimo tego zapytałam:

– Jakie kości? Co miał na myśli?

Rzuciła maltańczykom słodką bułeczkę i wstrząsnęła ramionami.

– Może ty mogłabyś mi to powiedzieć.

Nie byłam zbyt doświadczona w grze intrygowania, wiedziałam jednak, że muszę dać jej w zamian informację, inaczej nie mogłam liczyć na to, że w przyszłości ona mi jakichś udzieli.

Powiedziałam więc powoli:

– Myślę, że to znaczy, że mój ojciec robił coś w imieniu Kardynała, coś, od czego nie ma powrotu.

– Ale czym to „coś” może być? – zapytała Lukrecja. Dziewczyna, która jak mogłam powiedzieć, szczerze kochała ojca, zmarszczyła brwi z niepokojem. – Oto jest pytanie, prawda?

Bardzo chciałabym, żeby tak było, ale wszelkie wątpliwości dotyczące potworności tego, co

robił mój ojciec, minęły. Służył człowiekowi, który nie zadowolili się, dopóki Tron Świętego Piotra nie będzie jego. A co więcej głęboko trapił go los ludzi, których jedyną nadzieją na przetrwanie było usunięcie z tego tronu tego, kto na nim zasiadał, za pomocą jedyne go możliwego środka – śmierci.

Mojego ojca już nie było, ale cała reszta pozostała: Borgia i jego wybujałe ambicje; Żydzi balansujący na krawędzi zagłady; i moja nieszczęsna osoba, która poważyla się na morderstwo tylko po to, aby odkryć, że została wmanewrowana w popełnienie kolejnego, które odbije się echem w całym chrześcijaństwie i na wieki wieków pogrzebie jej duszę.

Kiedy wróciłam z Palazzo Orsini, odkryłam, że wyrok został na krótko odroczone. Kardynał udał się wypełnić posługę w Kurii, ale przed tym wyraził niezadowolenie z faktu, że nie można mnie było znaleźć, gdy mnie wzywał. Miał wrócić po południu, a ja powinnam być wtedy na miejscu, gotowa na wezwanie. Tak przynajmniej poinformował mnie Vittorio, kręcąc przy tym głową z upomnieniem.

– Wykorzystałaś Jofrego – powiedział, odnosząc się do młodego strażnika, którego zmusiłam, żeby mi towarzyszył. – Teraz będę go musiał na tydzień skierować do czyszczenia latryn.

– Przepraszam – odpowiedziałam bez śladu skruchy. – Ale miałam ze sobą eskortę, a przecież chyba to jest ważne?

Kapitan straży westchnął z żalnością.

– Francesca, doskonale wiesz, że ważne jest tylko to, co Kardynał twierdzi, że jest ważne. Nic innego. Sugeruję, żebyś nie rozczarowała go ponownie.

Tę radę powinnam była dobrze zapamiętać, ale byłam tak wzburzona, że nie przyszło mi to łatwo. Znajdowałam się w stanie, który, muszę przyznać, nieczęsto mnie dotyka, a wtedy zwykle pomagają mi proste zajęcia.

Zajęłam się więc codzienną pracą, przeglądając zapasy, sprawdzając pieczęcie, obserwując, jak służby wypełniają swoje zadania. Czy któryś z nich nie sprawia wrażenia zbyt podenerwowanego albo skrepowanego? Czy zaszła jakakolwiek zmiana? Czy widać jakikolwiek znak, choćby niewielki, że szykuje się coś przeciw Kardynałowi?

W tym czasie straże patrolowały palazzo na zewnątrz i wewnątrz, czuwając bez przerwy. Poza ścianami pałacu, w mieście, szpiedzy uwijali się na targowiskach, w burdelach, kompaniach handlowych i w samym Watykanie, wyszukując wszelkie kąski, które mogłyby okazać się użyteczne dla Borgii. A wszystko to w jednym tylko celu: przetrwania i umocnienia La Famiglii.

Nie zapominajmy jednak, że były inne znamienite rody i te, które wkrótce miały nimi zostać. One też nie odpoczywały. Sojusze były zawiązywane i rozwiewały się jak mgła, która unosi się nad Tybrem nocą, żeby zniknąć w porannym słońcu. Dzisiejsi przyjaciele łatwo mogli jutro stać się wrogami. Rzym, jak większość chrześcijaństwa, tkwił w napięciu, rozdarty między dwiema potężnymi siłami. Z jednej strony był przedwieczny nakaz skłaniania głowy przed Bogiem i tradycją zdefiniowaną przez lepszych od nas. Z drugiej nowy, nie do końca jeszcze ukształtowany impuls, żeby wnieść twarz w stronę światła zmian, co niektórzy nazywali odrodzeniem świata, a co w mniemaniu innych było czystym pogaństwem. Każde wyzwanie rzucone autorytetem przerażało naszych ziemskich władców, więc odpowiadali na nie, starając się zdusić je w zarodku. Ale przynajmniej dotychczas nie odnieśli sukcesu; walka trwała.

Miałam w tym swoją rolę do odegrania. Gdy księża odmawiali nieszpory, ja udałam się do swoich komnat, aby stanąć twarzą w twarz z przerażającym pytaniem, którego nie mogłam dłużej unikać: jeżeli, jak teraz wierzyłam, mój ojciec próbował zgładzić Papieża Innocentego VIII, jak zamierzał to zrobić? Sofia twierdziła, że szukał nowej drogi zabijania, żeby spowodować śmierć, która miała wyglądać na naturalną. Nie znałam sposobu, w jaki można by to osiągnąć.

Niektóre trucizny oczywiście trudniej wychwycić niż inne. Arsenik jest faworytem od dawien dawna, a objawy po jego zażyciu mogą być mylone z malarią, ale taka już jest natura naszych czasów, że i tak każdy od razu podejrzewałby otrucie. Z tojadu otrzymuje się pożyteczną substancję, która w odpowiedniej dawce zatrzymuje serce; podobnie jak naparstnica, taki piękny kwiat – ale i w tych przypadkach nie obyłoby się bez natychmiastowych domysłów. Szczwól płamisty, zabójca Sokratesa, jest wysoce efektywny, ale całkowicie mija się z dyskrecją, powodując paraliż i potworne bóle, zanim nadejdzie śmierć. Belladonna, której niektóre głupie niewiasty używają, aby nadać blasku oczom, zanim zabije, może spowodować gwałtowne bicie serca i dezorientację.

Rozumiecie problem? Jeżeli celem jest jedynie zabić, są po temu nieskończone możliwości.

Ale zabić bez wzbudzania podejrzeń to zupełnie inna sprawa. Mogłabym powiedzieć więcej, ale obawiam się, że i tak mówię zbyt dużo. Boże broń, żebym dała wam okazję do popełnienia grzechu.

Chodzi mi o to, że gdyby ktokolwiek pomyślał, że śmierć papieża nie nastąpiła z naturalnych przyczyn, Borgia, z uwagi na swoją reputację, od razu znalazłby się w kręgu podejrzeń. Osiągnął już wiek, w którym miał ostatnią szansę na objęcie Tronu Piotrowego, a byli przecież inni, podobnie jak on potężni, którzy by się o to ubiegali. Jakich by nie oferował profitów za poparcie, istniała linia, której na pewno by nie przekroczyli. A zabicie papieża było na jej najdalszym, najciemniejszym końcu.

Moja wyobraźnia nie odważyła się tam dotrzeć. Mimo prób nawet się nie zbliżyłam do odkrycia tego, co robił ojciec. Zakładając, że naprawdę był odpowiedzialny za niedawną chorobę Innocentego. Nie mogłam bowiem całkowicie wykreślić możliwości, że była ona jedynie czystym przypadkiem.

Jednak spotkanie z Kardynałem nie zostało mi oszczędzone. Przyszło krótko po kompletach – czy ci księża nie robią nic innego, niż tylko się modlą? Nie było go ledwie parę godzin, ale Jego Eminencja nie był człowiekiem, który przychodzi lub oddala się bez zwrócenia należytej uwagi. Cały dom poderwał się na pierwsze krzyki eskorty obwieszczające jego przybycie.

Poszłam zorientować się, w jakim jest nastroju. Nie miałam szczęścia. Pośród stukotu podków na bruku, pobrzękiwania uprzęży, szczęk tarcz, kiedy straż stanęła na baczność, i szemrania głosów służby, czeladzi, przechodniów, Il Cardinale wydawał się posepny i chmurny. Rzucił wodze wystraszonemu chłopcu stajennemu i pośpieszył do swoich apartamentów, nie zamieniwszy z nikim słowa.

Zostałam wezwana chwilę później. Kiedy przybyłam, Kardynał wciąż był rozbierany z ciężkich szat. Stałam, patrząc w próżnię, dopóki nie został przyzwoicie odziany. Oddalił giermka ruchem dłoni, przyjął wilgotny ręcznik, który położono mu na karku, i chrząknął w moją stronę.

– Widziałaś się z Żydówką.

To nie było pytanie. Przytaknęłam.

– Jak rozkazałeś, Eminencjo.

Borgia pociągnął z kielicha duży łyk schłodzonego wina i skinął głową.

– Co ci powiedziała?

Nie byliśmy sami. Był z nami jeden z jego sekretarzy, giermek wciąż nie opuścił pokoju, nieopodal kręcił się niespokojny nadzorca, Renaldo, a prawdopodobnie poza zasięgiem mojego wzroku byli tam również inni. Ludzie pokroju Borgii mają skłonność brać sprawowane im usługi za taki pewnik, że zapominają o osobach, które je wykonują. Moje milczenie miało mu przypomnieć, że ci ludzie mają uszy.

Kardynał machnął ręką i, jak mag, sprawił, że zniknęli tak szybko jak deszcz, który wyparuje na gorących kamieniach.

– No i? – zapytał.

– Nie ma żadnych notatek. Jestem przekonana, że ojciec parę miesięcy temu po prostu przestał przelewać cokolwiek na papier.

Borgia ostro skinął głową.

– Co jeszcze ci powiedziała?

Długo i poważnie myślałam o tym, co powinnam mu przekazać. Nie pytajcie, dlaczego postanowiłam chronić Sofię Montefiore; nie potrafiłabym odpowiedzieć. Może dlatego, że była przyjaciółką ojca.

– Powiedziała, że Jego Świątobliwość ma zamiar wydać edykt wzywający do wygnania Żydów z chrześcijańskiego świata, a gdyby to nie przyniosło skutku, nawet do ich unicestwienia.

Nie spodziewałam się po nim zdziwienia i nie zostałam rozczarowana. Borgia tylko przytaknął i pytał dalej.

– Coś jeszcze?

– To wszystko. – Musiałam jednak rozliczyć się z czasu, który spędziłam sama z Sofią, więc dodałam: – Jak można sobie wyobrazić, była tym bardzo przejęta i wciąż do tego powracała.

– I nie powiedziała nic o tym, co robił twój ojciec? O jego pracy?

– Przykro mi, Eminencjo, nic nie wie o działaniach ojca. To dla mnie jasne.

Oczywiście nie była to prawda. Sofia wiedziała, czego ojciec szukał. Była inteligentna. Nie miałyby problemu z wyciągnięciem tych samych wniosków, co ja. Ale gdybym zdradziła to Kardynałowi, zacząłby traktować ją jako zagrożenie, które wiąże go z planami zgładzenia Papieża. Sofia mogłaby zniknąć w mgnieniu oka.

Borgia wyglądał... jak? Na pewno sfrustrowany, ale też w pewnej mierze na jego twarzy było widać ulgę, wierzył bowiem, że jego tajemnice wciąż są bezpieczne.

Zanim zdążył coś powiedzieć, wtrąciłam:

– Eminencjo, zastanawia mnie, skąd ojciec mógł dowiedzieć się o edyktie.

Z pewnością nikt z kręgu zaufanych Papieża nie dyskutowałby o takich sprawach z trucicielem służącym największemu rywalowi Innocentego.

Muszę przyznać, że Kardynał nawet się nie zawahał.

– Ja mu powiedziałem.

– Mogę spytać dlaczego?

Borgia oparł się w wielkim fotelu, wyciągnął nogi i patrzył na mnie niemal życzliwie. Mówię niemal, bo nic, co wiązało się z Kardynałem, nie było nigdy prawdziwie łaskawe.

– A jak myślisz, dlaczego mu powiedziałem? – zapytał.

Bawił się ze mną, to oczywiste, ale było w tym również coś więcej. Mimo iż żyłam w jego domu przez dziesięć lat, wciąż byłam dla niego trochę obca, przynajmniej w moim najnowszym wcieleniu, jako jego trucicielka. Chciał mnie sprawdzić.

Powiedziałam powoli:

– Myślę, że wiedział pan o przyjaźni ojca z Sofią Montefiore. – To było znacznie więcej, niż ja wiedziałam. – Pomyślał pan, że przejmie się losem Żydów i ostrzeże ich przed edyktem.

– A dlaczego miałbym chcieć, żeby zostali ostrzeżeni?

No właśnie, dlaczego? Borgia nie czuł do nich miłości. Dlaczego miałby się przejmować, czy będą żyć, czy umrzeć?

Odpowiedź spadła na mnie nagle, a gdy to się stało, dziwiłam się, że jej wcześniej nie dostrzegłam, była tak oczywista. Żeby przetrwać, nie mówiąc już o prosperowaniu w świecie, który znamy, niezbędna jest władza. Czy nie posunęłam się za daleko, żeby zabezpieczyć sobie z niej to, co mogłam, aby pomścić ojca? O ile dalej mógł pójść ktoś taki jak Rodrigo Borgia?

– Żydzi mają bogactwa – powiedziałam.

Warunki w getcie nie były wynikiem ubóstwa. Pochodziły raczej z surowych ograniczeń nałożonych na nich, regulujących to, gdzie mogli żyć i pracować. Jednak dzięki swojej pomysłowości dalej mogli zarabiać.

Najwyższa władza, jakiej pragnął Borgia, wymagała pieniędzy. Dużo pieniędzy.

– Zaoferował im pan swoją ochronę.

Nie mogłam sobie nawet wyobrazić, jakie bogactwa musiały zmienić ręce, żeby Kardynał roztoczył opiekę nad tym wzgardzonym narodem, byłam jednak pewna, że musiały być ogromne.

– Jeśli zostanę papieżem – powiedział. – Jeżeli nie, nic nie będę mógł dla nich zrobić. Przy odpowiednich zasobach finansowych mogę kupić papieństwo.

– Jak tylko Papież umrze. – Czułam, że muszę mu przypomnieć o drobnym warunku, który musi najpierw zostać spełniony.

Il Cardinale uśmiechnął się, jak do ucznia, o którym myślał, że nie jest zbyt rozgarnięty, a który jednak udowodnił zdolność myślenia.

– Tak, Francesco, kiedy Innocenty będzie martwy.

Dłonie miałam spocone i byłam przekonana, że mój głos zdradzi stan, w jakim się znajduję. Wzięłam głęboki oddech, licząc na to, że sprowadzi równowagę.

– Więc zadaniem mojego ojca było ostrzec Żydów przed edyktem. Ale śmierć Papieża...

Borgia przełknął łyk wina i uśmiechnął się. Bez najmniejszej zmiany wyrazu twarzy, niczego, co mogłoby mnie przestrzec, powiedział:

– Twój ojciec był *converso*. Nie wiedziałaś o tym?

Patrzyłam na niego oniemiała, z początku niepewna, czy dobrze go usłyszałam. Znałam mo-

jego ojca. Zostałam przez niego wychowana – jedyne dziecko, bez matki. Kształtował moją wiedzę o świecie, dał mi jedyną mądrość, którą posiadałam, i zawsze traktował mnie, jak byłam przekonana, z najwyższą szczerością.

Z wyjątkiem tego, że nigdy nie wspominał o przyjaźni z Żydówką i jej zmarłym mężem czy o pragnieniu chronienia wzgardzonego narodu Izraela.

Mimo wszystko nie mogło być prawdą to, że był jednym z nich. Żydem, który nawrócił się na chrześcijaństwo. Podejrzany odstępca, który, jak powszechnie uważano, odprawia w ukryciu bezbożne rytuały, udając, że jest jednym z nas. Kandydatem do płomieni, które trawia heretyków.

– Nie wierzę panu. – Mój głos był ostry i napięty, ale nie mogłam nic na to poradzić, gdyż spadła na mnie wiadomość, której w pełni nie pojmowałam.

Borgia nie próbował nawet tego odeprzeć. Wzruszył tylko ramionami.

– Z tego, co widziałem, jego nawrócenie mogło być nawet prawdziwe. Zdarzają się dziwniejsze rzeczy. Urodził się w rodzinie żydowskiej w Mediolanie. Zakochał się w dziewczynie z chrześcijańskiego domu, twojej matce, i ze względu na nią się przechrzczył. Ale po jej śmierci pozostał w Kościele i wychował cię w naszej wierze. – Zmrużył oczy. – A przynajmniej tak mnie zapewniał.

Powiedziałam szybko:

– Jestem chrześcijanką.

Niezbyt nabożną, nie wzorcową, ale nie jestem również jedną z nich. Nie jestem jednym z tych „innych”, jednym z kozłów ofiarnych dla naszych porażek i kłopotów.

Moje wyznanie wiary nie wydawało się mieć dla księcia Kościoła Świętego żadnego znaczenia.

– Jeżeli tak twierdzisz – powiedział lekceważąco. – Kimkolwiek byś nie była, jesteś córką swojego ojca.

A Kardynał spodziewał się, że przejmę jego zadanie. Ale jeśli można było wierzyć Borgii – a ja ani przez chwilę mu nie wierzyłam, nie wówczas – ojciec miał motywację, której mnie brakowało. Jako Żyd, były czy obecny, w sposób naturalny chciałby zapobiec zagładzie swojego narodu. Mnie również nie cieszyła myśl o ich cierpieniach i śmierci. Jednak nie byłam też gotowa narażać dla nich na niebezpieczeństwo mojej nieśmiertelnej duszy.

– Wiem, czego pan chce – powiedziałam, myśląc, że najpewniej mówi kłamstwa o ojcu, żeby zapewnić sobie moją współpracę. – W pełni to rozumiem, ale pan też musi zrozumieć: żeby zabić Papieża, trzeba by to było zrobić tak, aby nie było najmniejszej wątpliwości, że śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych. Nie mam pojęcia, jak tego dokonać. A nawet gdybym miała, igrałabym z wiecznym potępieniem.

– Za zabicie Innocentego? – Borgia wydawał się rozbawiony. – Za oczyszczenie ziemi z tego zdeprawowanego głupca? O, tak, anioły na pewno będą płakać, gdy odejdzie.

Powstał i podszedł do wysokiego okna wyglądającego na rzekę. Przezroczyście zasłony wydymały się w coraz mocniejszej bryzie. Nadchodziła kolejna burza, może silniejsza niż wszystkie, jakie do tej pory nawiedziły Rzym w tych czasach zmian i zamętu.

Kiedy odwrócił się do mnie, nie był zły, czego się obawiałam, a całkiem spokojny, jakby zrodziła się w nim jakaś decyzja. Powiedział niemal łagodnie:

– Przez pamięć wiernej służby twojego ojca dam ci czas na przemyślenie decyzji. Przemyśl ją z rozwagą, Francesco.

Byłam na tyle głupia, aby mu uwierzyć, i jak głupiec z wdzięcznością szybko się oddaliłam, żeby ukryć się w swoich pokojach i rozmyślać o potworności tego, czego ode mnie wymagał.

Wezwanie przyszło parę godzin później. Głośne stukanie w drzwi, mocne trzaśnięcie, gdy je otwarto, a potem światło nade mną, gdy zdezorientowana otworzyłam oczy, nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Musimy iść, teraz, signorina – powiedział znajomy głos.

– Vittorio...?

– Załóż to. – Przytrzymał mi szlafrok.

– Dlaczego? – zapytałam.

Z zaskoczenia i strachu nie mogłam pozbierać myśli. Odmówiłam Kardynałowi. Jaką karę dla mnie zaplanował?

Vittoro nie odpowiedział. Wyciągnął tylko szlafrok w moją stronę i powtórzył:

– Teraz.

Poszłam; bo jaki miałam wybór? Popychana korytarzem i schodami w dół, i kolejnymi schodami, z ręką Vittorio na krzyżu, walczyłam z ogarniającym mnie przerażeniem. Mgliście zdawałam sobie sprawę z obecności innych strażników, małego oddziału, który nam towarzyszył. Czy podejrzewali, że będę próbowała uciec? Na myśl o tym w gardle zaczął mi się rodzić paniczny śmiech. Zakryłam usta ręką i szłam dalej – w dół, i w dół, i w dół.

Byłam w podziemiach palazzo, gdzie często przechowywano towary. Ale wiedziałam, w sposób w jaki wiemy to, do czego nie chcemy się przed sobą przyznać, że poniżej jest jeszcze parę poziomów. Poziomów, na których, jak mówiono, zostały znalezione ślady naszych pradawnych rzymskich przodków i gdzie wrogowie Kardynała byli wysyłani, aby móc przemyśleć swoje grzechy.

Kiedy dotarło do mnie, gdzie zmierzamy, próbowałam zawrócić, ale Vittorio niewiele sobie z tego robił.

– Przykro mi, Francesca – powiedział tak cicho, że tylko ja mogłam go usłyszeć. – Ale Kardynał byłby temu przeciwny.

Miałam umrzeć – szybko, jeżeli będę miała szczęście, albo samotnie, głodując w ciemnościach. Byłam głupia, wykazując odwagę skrzyżowania mieczy z Borgią – biedna nieświadoma idiotka, która wkrótce będzie się modlić o śmierć.

Kamienna klatka schodowa skończyła się w niskim korytarzu, który przechodził w ciemność. Jeden ze strażników poszedł przodem z pochodnią. Podążyliśmy za nim. Na końcu wąskiego przejścia pojawiła się nagle obszerna sala. W górze rysowało się łukowe sklepienie, z kamiennych ścian ściekała woda, przypominając mi o bliskości rzeki. W cieniu chrobotwały szczury, ale ledwo to zauważyłam. Pochodnie umocowane w żelaznych uchwytach wzdłuż ścian oświetlały koszmarną scenę, która wyгнаła z mojej przepelnionej strachem głowy wszystkie inne myśli.

Dlaczego w ogóle sięgnęłam po Dantego? Dlaczego nie wystarczył mi romantyczny Boccaccio albo liryczny Petrarca? Dlaczego nie zadowolili mnie mistrzowskie poezje Lorenzo de' Medici, księcia i wizjonera, zmarłego parę miesięcy temu – od trucizny, jak mówiono. Dlaczego musiałam zasiać w swoim umyśle wizje torturowanych, wijących się w cierpieniu ciał potępionych, tak jaskrawo przywołane w *Boskiej Komedii*?

Męczarnie Czyścica i Piekła razem wzięte stanęły mi przed oczami, tam, w komnacie tortur Rodrigo Borgii. Rozpalone węgle żarzyły się w koszach ustawionych na wysokich trójnogach, obok wyboru narzędzi przeznaczonych do tego, aby wydobyć największy możliwy ból i cierpienie z kruchych ludzkich ciał. Przemknęłam wzrokiem po kołach, hakach, łańcuchach, metalowych skrzyniach najeżonych kolcami, ale ledwo zdałam sobie sprawę z ich istnienia, bo zobaczyłam coś, z czego nie mogłam zdjąć już oczu: nagiego mężczyznę rozciągniętego na kole do tortur, krzyczącego ochryplym głosem.

– Matko Boża, uratuj mnie! Jezu, uratuj mnie! Matko Boża, oszczędź mnie! Jezu...

Zamilkł, krztusząc się własną krwią. Jego twarz była opuchniętą siną masą, tułów i członki usiane cięciami tak głębokimi, że ukazywały kości; nogi, ręce i ramiona groteskowo wygięte, najwyraźniej wyciągnięte ze stawów i przemieszczone. Był łamany kołem, bity, przypalany i wykastrowany – tę ostatnią ranę brutalnie wypalono, żeby nie mógł wykrwawić się na śmierć. Oszalały z bólu i strachu podrygiwał bezradnie, pierś unosiła mu się i opadała w gwałtownych spazmach.

Jeden z oprawców pochylił się, podłożył mu pod głowę rękę i uniósł ją na tyle wysoko, aby mógł na mnie spojrzeć.

– Powiedz tej pani – zażądał. – Powiedz jej to, co nam powiedziałaś.

Vittoro pchnął mnie do przodu. Potknęłam się, ale złapał mnie za ramię, nie pozwalając upaść.

– Powiedz jej – powtórzył oprawca i skręcił szyję człowieka tak, że ten zawył.

– Innocenty! On to zrobił! On rozkazał zabić twojego ojca!

Ciągnięta siłami, którym nie mogłam się oprzeć, podeszłam jeszcze bliżej. Otoczył mnie fetor potu, krwi i nieczystości. Spojrzałam w dół na twarz wykrzywioną udręką i poczułam... Nic? Nie, to nie byłoby prawdą. Na pewno coś poczułam, ale było to dalekie od przerażenia czy litości, które przepelniały mnie jeszcze przed chwilą. Te proste ludzkie uczucia, naturalna odpowiedź na to, czego byłam świadkiem, wycofały się za ścianę, która zawsze we mnie tkwiła. Ich miejsce zajęła złowroga ogromna pustka, która przeraziłaby mnie, gdybym jeszcze w ogóle mogła coś czuć.

Moje oczy przyciągnął błysk złota. Vittoro uniósł w górę łańcuch. Wisiał na nim medalion, który dobrze znałam.

– Zabrali to z jego ciała – powiedział Vittoro i włożył mi medalion w dłoń.

Zamknęłam na nim palce i spojrzałam w dół, na to, co kiedyś było człowiekiem. Jakby z daleka dobiegło do mnie to, co mówię:

– Papież rozkazał zabić mojego ojca? Czy to właśnie mówisz?

– Tak, tak – załkał. – Na litość boską, pomóż mi!

Prawie go nie usłyszałam, bo z ciemności wyłoniła się właśnie postać. Odziana w purpurę i złoto, szerokie ramiona blokowały światło płynące z pochodni za jej plecami, twarz była więc ledwo widoczna. Jego Eminencja, Kardynał Rodrigo Borgia, książę Świętego Kościoła Rzymskiego, uśmiechnął się.

– Pomóż mu – powiedział.

Spomiędzy fałdów swojej szaty wyciągnął nóż i podał mi go.

Nie pamiętam drogi na górę.

Następną rzeczą, którą sobie przypominam, jest jak siedziałam w biurze Il Cardinale, na tym samym krześle, które zajmowałam ledwie parę godzin temu. Wciąż trzymałam w ręku medalion, ściskając go tak mocno, że odgniół mi się na dłoni.

Drugą rękę miałam splamioną krwią.

Nie było śladu noża; gdzieś zniknął.

Vittoro podał mi szklaneczkę brandy.

– Wypij – powiedział, a ja posłuchałam, wychylając całość jednym długim łykiem.

Trzęsłam się z zimna, co nie miało sensu, bo noc była ciepła. Musiało padać, bo taras za wysokimi oknami połyskiwał w świetle księżycy. Byłam trochę zdziwiona, że świat wciąż jak zwykle kręci się wokół, choć we mnie nic nie było na swoim miejscu.

Borgia siedział za biurkiem. Świece rzucały na ścianę cień jego ciężkich rysów. Bawił się małym ostrzem, takim, jakich używa się do otwierania pieczęci na listach.

– Poradziłaś sobie lepiej, niż myślałem – powiedział.

Kiedy mówię, że nie pamiętam, jak wróciłam do świata na górze, jest to prawda. Jednakże dokładnie pamiętam, co działo się w ostatnich chwilach w trzewiach pałacu. Ja, która nienawidziłam i ponad wszystko bałam się krwi, podciąłam gardło mordercy mojego ojca – tylko jednemu z nich, bo byłam pewna, że było ich wielu.

Czekała mnie dużo większa zdobycz.

Rzeka jego życia wylała się na koło tortur, na kamienną podłogę, niemal dotykając moich stóp. Przypominało mi to widziane niegdyś wyobrażenia starożytnego składania ofiar. Przepelniło

mnie niezwykle uczucie satysfakcji i ulgi, jednak nie mogłam go długo doświadczać, ponieważ Vittorio odciągnął mnie, wyrwał mi nóż z ręki i rzucił na ziemię. Nie czekając na pozwolenie Kardynała, szybko mnie stamtąd wyprowadził.

Teraz podał mi kolejną szklaneczkę brandy, którą przyjął, ale jej nie wypił. Całą uwagę skierowałam na Borgię. Jeżeli mnie nie docenił, ja zrobiłam to samo, gdy chodziło o niego. Nie wyobrażałam sobie, jak daleko może się posunąć, żeby zapewnić sobie moją współpracę.

– Dalej preferuję truciznę – powiedziałam, starając się ukryć uczucia kłębiące się we mnie.

Borgia i tak zbyt wiele już zobaczył. Nie chciałam dawać mu więcej.

– Zemsta jest zemstą – powiedział. – W jakiegokolwiek formie by nie przyszła.

Chart u jego stóp uniósł głowę i spojrzał na swojego pana, zanim znów ją położył. To był jeden z jego psów do polowań, trzymany w rezydencji na wsi, z wyjątkiem kilku ulubionych, które zawsze miał przy sobie. Borgia był wielkim miłośnikiem zwierząt, wyjąwszy te, które raczej wolał widzieć rozerwane.

– Moją jest zemsta, powiedział Pan – rzekłam po krótkiej chwili, z której ucieszyłby się Rocco.

Nie mogłam jednak podpisać się pod tym cytatem. Nie, dopóki człowiek, który zlecił zabójstwo mojego ojca, stąpał po tej ziemi.

Kardynał uniósł brew.

– Parę minut temu nie wahałaś się wziąć spraw w swoje ręce.

– Sprawiedliwość boska służy tamtemu światu. Na tym sami musimy się o siebie troszczyć. Spojrzałam na Vittorio, który patrzył na mnie z lekkim niepokojem.

– Nie powinniśmy rozmawiać na osobności, Eminencjo? – spytałam.

Myślałam oczywiście o sobie. Im mniej osób wiedziało, na co miałam się zgodzić, tym lepiej. Ale myślałam też o Vittorio. Nie mogłam sobie wyobrazić, żeby chciał stać się częścią tego, co Kardynał i ja zamierzaliśmy zrobić.

I znów Borgia mnie zadziwił.

– Kapitan cieszy się moim zaufaniem – powiedział i gestem dłoni kazał mu usiąść na krześle obok mnie.

Był to mistrzowski gest, stawiający nas wszystkich na tym samym poziomie. A jednak nie byliśmy równi, bo za swoim potężnym marmurowym biurkiem, w imponującym otoczeniu, w którym z taką łatwością dominował, nie można było mieć wątpliwości, że Kardynał jest tym, który tu rządzi.

Rozmawialiśmy niemal do rana. Borgia podkreślił to, co już wiedziałam – że śmierć Innocentego musi się wydawać całkowicie naturalna.

Ja ponownie odpowiedziałam, że nie mam pojęcia, jak ojciec zamierzał to osiągnąć, ale obiecałam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby to odkryć.

– Nie ociągaj się z tym zbyt długo – powiedział Kardynał. – Mogę podnieść w Kurii wystarczająco dużo pytań, aby trochę odciągnąć edykt, ale nie nazbyt długo.

– Ma pan wyobrażenie o tym, jak dużo mamy czasu? – zapytał Vittorio.

Do tej pory milczał.

– Niedawna choroba Innocentego wywołała pewien pośpiech – odpowiedział Borgia. – Mamy najwyżej parę dni.

Parę dni na znalezienie sposobu spowodowania śmierci, która nie wywoła pytań w umysłach najbardziej podejrzliwych i ostrożnych osób w całym chrześcijaństwie, które wietrzą spisek w najzwyczajniejszych wydarzeniach, a do takich na pewno nie należy śmierć Papieża.

– Ta choroba... – spytałam. – Wiadomo, czy wywołał ją mój ojciec?

Borgia pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, ale Innocenty musiał to podejrzewać, bo inaczej nie zleciłby zabicia Giovanniego.

Jeżeli zlecił.

Nie myślcie, że jestem głupia. Doskonale wiedziałam, że człowiek poddawany torturom powie wszystko, czego się od niego wymaga. Dlatego właśnie, moim zdaniem, tortury nie mają sensu.

Jestem w mniejszości tych, którzy w to wierzą, bo tortury jednak wciąż pozostają w modzie.

Dlaczego ten człowiek powiedział to, co powiedział, nie ma znaczenia. Wiedziałam, że brał udział w zabójstwie mojego ojca i w ataku na mnie. Oba te wydarzenia połączył z Papieżem, co mogło być, a mogło nie być prawdą, ale w połączeniu z tym, co wiedziałam o edykcje, na pewno wskazywało w kierunku Watykanu.

A jeśli miałam sięgnąć tak wysoko, żeby znaleźć morderców ojca, potrzebowałam pomocy Borgii.

– Czy znalazł już sposób na to, aby spowodować chorobę Papieża, czy nie, ojciec na pewno opracował jakiś plan na to, jak zbliżyć się do Innocentego. Ale musiał wiedzieć, że nikt nie pozwoli mu podejść do niego wystarczająco blisko.

– Zastanawiałem się nad tym – powiedział Kardynał. – Możliwe, że znał kogoś, kto mógł mu w tym pomóc; może innego *converso*.

Nie skomentowałam odniesienia do statusu mojego ojca i skoncentrowałam się na przydatności tego, co powiedział Borgia. Nie mogę udawać, że byłam zdziwiona. Wiadomo było – a przynajmniej o tym plotkowano – że ci, którym najbardziej zależało na tym, żeby uchodzić za chrześcijan, często przyjmowali święcenia kapłańskie. Każdy ksiądz, który nie mógł udowodnić swojego pochodzenia w kilku generacjach, mógł być skrytym Żydem.

– Czy wie pan to na pewno? – spytałam.

Borgia pokręcił głową.

– Nie wiem. Rozumiesz pewnie, że oni wszyscy dobrze się maskują.

Niewątpliwie, ale musiałam znaleźć tę osobę i to bezzwłocznie, a w tym samym czasie musiałam odkryć, czego szukał ojciec. I musiałam tego dopiąć, zanim skończy się nam czas – Żydom i mnie.

Poczułam się nagle bardzo zmęczona.

– Wkrótce zrobi się jasno. Muszę zastanowić się nad tym, co robić.

Oddaliłam się z przyzwoleniem Kardynała. Zanim zamknęły się za mną drzwi, zobaczyłam, jak podnosi jakiś dokument i zaczyna go czytać. Mówiono, że Borgia nie zna zmęczenia w dążeniu do spełnienia swoich ambicji, i wierzyłam w to.

Vittoro odprowadził mnie do moich komnat. Po drodze zebrałam się na odwagę i zapytałam go o to, co musiałam wiedzieć.

– Czy jest pan pewien, że chce brać w tym udział?

– Jestem wiernym sługą Jego Eminencji.

– To bardzo się panu chwali, ale nie myśli pan o swojej duszy?

Stał gwałtownie.

Młody strażnik idący za nami z pochodnią niemal na niego wpadł.

Vittoro wziął mnie pod rękę. Przeszliśmy razem do przodu, żeby mieć trochę prywatności.

– Moja dusza? – Wydawał się rozbawiony. – Masz pojęcie, ilu ludzi zabiłem, Donna?

Kiedy przyznałam, że nie, powiedział:

– Ja również. Jako młody człowiek walczyłem w wojnie papieskiej przeciwko Florencji i przeciwko Księciu Ferrary, kiedy i on obraził Papieża. Później z podobnej przyczyny walczyłem z Królestwem Neapolu. Poszedłbym na wojnę z Turkami, gdyby nie to, że kupili Innocentego i wciąż mu płacą. Patrzyłem, jak sprzedawał odkupienia za każdy z możliwych grzechów, włączając w to najwyższe deprawacje. Ale przecież on sam jest w tym ekspertem. Kurwił się, kradł, kłamał i bluźnił przez całe życie. Im szybciej stanie przed sądem najwyższym, tym lepiej.

Spojrzałam przez ramię. Strażnik był na tyle daleko, że nie mógł nas usłyszeć.

– A wierzy pan, że Borgia jest inny? – spytałam.

Vittoro odpowiedział z uwagą.

– Jest... praktyczny. To dobre określenie. Z pewnością lubi przyjemności, bo któryż mężczyzna ich nie lubi? Ale widziałas go, jak wychodziliśmy. Zabierał się do pracy. Właśnie taki jest. Wziąć się w karby i zrobić swoją robotę, takie ma podejście. A tego właśnie potrzebujemy. Rzym, chrześcijaństwo, my wszyscy. Zadba o nas.

– Już wcześniej próbował zostać papieżem i mu się nie udało – przypomniałam mu.

Vittoro pokiwał głową.

– I przegra znowu, jeżeli będzie musiał zbyt długo czekać. Kiedy edykt zostanie ogłoszony, będzie za późno. Potrzebuje żydowskich pieniędzy.

I potrzebuje śmierci Innocentego.

Innocentego, na którego Borgia zamierzał wysłać mnie, jak psa gończego na zająca.

Vittoro zostawił mnie przed drzwiami. W swoich pokojach stałam przez kilka chwil, patrząc na łóżko z rozrzuconą w pośpiechu pościelą. Opuściłam je jako jedna osoba, wróciłam jako inna. Nie był to jedynie akt zakończenia życia bez dystansu, jaki daje trucizna, chodziło również o to, czego się o sobie dowiedziałam.

Za życia ojca byłam kochającą córką, dzieliłam jego zainteresowania, uczyłam się od niego, wysoko przewyższając jego możliwości, ale zawsze chroniąc go przed samotnością, nawet jeżeli to on chronił mnie przed nieprzyjemnościami tego świata. Od jego śmierci żyłam, aby pomścić jego morderstwo – to był mój obowiązek. Ale coś jeszcze kotłowało się teraz we mnie, podsycone krwią, którą przelałam tej nocy.

Hiszpana usunęłam z potrzeby. Żeby zdobyć pozycję, która mi się należała.

Z zabicia człowieka na kole czerpałam przyjemność. Gdyby to było możliwe, zabiłabym go znowu i znowu. Było coś w pociągnięciu noża, którym władałam, i tryśnięciu krwi, które podążyło za cięciem... Coś, co sprawiło, że poczułam władzę i, co dziwne, spokój, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Gdybym miała wówczas zasnąć, jestem pewna, że nie nawiedziłyby mnie żadne koszmary.

Podeszłam do miski ustawionej na stoliku przy łóżku. Woda dawno już w niej wystygła, ale prawie tego nie zauważyłam. Szorowałam ręce, żeby zetrzeć z nich krew, dopóki moja skóra nie stała się piekąca i czerwona. Choć nie miało to znaczenia. Palce, które tak chętnie oplotły nóż, nigdy już nie będą czyste. Żadna ilość modłów czy rozgrzeszeń nie zmiecie grzechu, który z pełną świadomością i bez przymusu popełniłam.

– Kości zostały rzucone – powiedział Kardynał.

Jak się obawiałam, również moja dusza została rzucona w otchłań potępienia.

To dziwne, myśleć o sobie, że jest się potępionym. Strach się oddala, rozplywają się wątpliwości. Nadchodzi dziwne poczucie uwolnienia. Na jego skrzydłach wyszłam w krwisty wschód słońca wznoszącego się nad Rzymem.

Sofia bandażowała właśnie ropiejącą ranę na nodze starego mężczyzny, gdy przybyłam do pracowni aptecznej. Wydawało się, że nic nie zmieniło się tu od poprzedniego dnia – w kolejce czekających na pomoc stało tylu samo chorych i umierających, co wcześniej, a sterta ciał była chyba nawet większa.

Uniosła głowę, spojrzała na mnie i wskazała dłonią pokój na tyłach.

– Czy może poczekać pan na mnie na zewnątrz? – poprosiłam Vittorio, zdając sobie sprawę z tego, że Sofia nie będzie chciała rozmawiać w jego obecności.

Skinął głową, obrzucił mnie krótkim spojrzeniem, które zinterpretowałam jako przypomnienie o potrzebie bycia ostrożną, i poszedł zająć swoją pozycję.

Zanim to uczynił, włożył mi w ręce zapasy, które ze sobą przynieśliśmy. Poszłam na tyły, za ścianę, która oddzielała pokój od reszty pracowni. Zniszczony stół był zastawiony, ale było na nim wystarczająco dużo miejsca, żeby postawić tam mój ciężar. Kiedy to zrobiłam, przez chwilę rozglądałam się bardziej uważnie, niż mogłam to zrobić w czasie dwóch poprzednich wizyt.

Zauważyłam, że Sofia, pomimo rozpaczliwych warunków, była w stanie utrzymać tu wrażenie porządku i czystości. Wszystko było skrupulatnie oklejone etykietami – maści i balsamy na jednej półce, pastylki i czopki na innej, a surowe składniki na kilku kolejnych. Miała podstawowe instrumenty chirurgiczne – skalpele, szczypce, narzędzia do przyżegania i temu podobne – i lepszy niż zwykły zestaw wag. Byłam zdziwiona, że zwykła apteka może być tak dobrze wyposażona.

Wciąż o tym myślałam, kiedy otworzyły się tylne drzwi i zajrzał Benjamin.

– Signorina – powiedział, skłaniając głowę z uśmiechem. – *Viene prego*¹¹.

– O co chodzi, Benjaminie? – spytałam.

Ale już się cofał, dając mi dłonią znak, żebym za nim podążyła. Poszłam z lekką irytacją, niepewna tego, czego ode mnie chciał, albo dlaczego wyobrażał sobie, że z nim pójdę. Musiał przecież rozumieć, że byłam zbyt zajęta, aby oddawać się dzieciennym gierkom.

Najwyraźniej rozumiał to bardzo dobrze, bo ledwo postawiłam stopę w alejce za apteką, zostałaam chwycona od tyłu. Na głowę narzucono mi kaptur, który sprowadził na mnie całkowitą ciemność. Pamiętając niedawne pobicie, zawzięcie, walczyłam i próbowałam krzyczeć, lecz nadermno. Zanim zdołałam nabrać powietrza, wrzucono mnie do jakiegoś pojemnika. Zatrzasnęła się nade mną ciężka drewniana pokrywa i poczułam, że zaczynam się toczyć.

Przez kilkanaście minut mogłam jedynie starać się zachować równowagę w czymś, co jak sobie gwałtownie uświadomiłam, było dużą beczką do kiszenia. Chociaż wcześniej ją opróżniono, drewno było przesiąknięte zapachem solanki. Ledwo mogłam oddychać, nawet przez usta, a powstrzymywanie ciała od uderzania o jej ścianki wymagało ode mnie całej siły. Mimo to spróbowałam pozbyć się kaptura, lecz odkryłam, że owinięto mi go ciasno wokół szyi i związaneo.

W ten sposób przebyłam odległość, która nie była chyba wielka, ale podróż wydawała się ciągnąć w nieskończoność. Do mojej kolekcji sińców doszło parę kolejnych, gdy zepchnięto mnie w beczce ze schodów do czegoś, co jak odgadłam, musiało być piwnicą.

Zastanawiając się, czy to może zmiłowanie boskie, że dane mi będzie umrzeć, zanim popełnię śmiertelny grzech, próbowałam przygotować się na to, co mogło nastąpić. Wieko beczki zostało otwarte i wywleczono mnie z niej tak samo bezceremonialnie, jak mnie do niej wrzucono. Mocne ręce posadziły mnie na stołku. Przez chwilę nic się nie działo, a potem usłyszałam męski głos.

– Czego chcesz? – zapytał.

Czego ja chciałam? Czyż nie przywleczono mnie tu wbrew mojej woli? Dlaczego spodziewał się, że mogłam czegokolwiek chcieć?

Chociaż było coś, czego chciałam wystarczająco mocno, aby zaakceptować fakt, że ceną za to będzie wieczne potępienie.

– Chcę pomścić ojca.

Mój głos był przytłumiony, ale słowa były wystarczająco jasne. Zastanawiałam się, jaką wywołają reakcję.

Minęła dłuższa chwila. Kaptur został rozwiązany i zdarty z mojej głowy. Zamrugałam w przyćmionym świetle sącącym się przez szpary pod sufitem, które wychodziły na poziom ulicy.

– Przynajmniej jest szczerą – powiedział ktoś inny.

Dotarło do mnie, że jest tam więcej osób, kilkanaście sylwetek ukrytych w cieniu. Nie widziałam ich twarzy.

– Albo tak nas lekceważy, że może sobie pozwolić na prawdę – zasugerował pierwszy.

Zaśmiał się ponuro. – Czy tak jest, trucicielko? Czy jesteśmy tak malutcy w twoich oczach, że nie warto nawet podejmować wysiłku?

– Nie wiem, czy jesteście, czy nie – powiedziałam. – Nie wiem, kim jesteście.

– Jesteśmy Żydami – powiedział drugi mężczyzna. – Czy nie wystarczy ci ta wiedza, żeby nas osądzać?

Trafił w sedno. Przez całe życie słyszałam: „Żydzi to... Żydzi tamto”... Mówiono o nich jak o obcych istotach, tak samo nieczystych, wplątanych w te same spiski, zasługujących na ten sam los. Czy to świadomość, że ojciec mógł być jednym z nich sprawiła, że zaczęłam inaczej ich postrzegać?

– Czego chcecie? – zapytałam z nadzieją, że udało mi się ukryć niepokój.

– Tego samego, co ty – powiedział pierwszy mężczyzna i wszedł w krąg światła.

Był młody, jedynie parę lat starszy ode mnie, wysoki, z szerokimi ramionami. Przypominał Hiszpana, z ciemnymi kręconymi włosami, mocnymi rysami i przenikliwymi czarnymi oczami. Ale był Żydem, przystojnym Żydem, co było dla mnie taką nowością, że nie mogłam zdjąć z niego oczu.

– Kim jesteś? – zapytałam.

Usiadł na stołku naprzeciw mnie. Z bliska jeszcze bardziej przypominał malunek Botticelliego – błyszczące oczy i groźny czar. Botticelli dzieli moją fascynację Dantem do tego stopnia, że oburzył swoich współczesnych, ilustrując pierwsze drukowane wydanie *Boskiej Komедii* kilka lat temu. Nikt poważnie nie myśli, że mechaniczny druk kiedykolwiek zastąpi sztukę ręcznego tworzenia manuskryptów, ale jest to interesująca nowinka. Jednak koniec dygresji. Zawsze to robię, gdy coś wytrąci mnie z równowagi, a przystojny Żyd niewątpliwie to zrobił.

– Nazywam się David ben Eliezer – powiedział. – Przepraszam za sposób, w jaki tu panią sprowadziliśmy, Signorina Giordano, ale musimy być ostrożni.

– Jednak wysłaliście dziecko na przynętę. Tak się o nie troszczyacie?

Strach szybko mnie opuszczał, więc znalazłam schronienie w zgryźliwości, do której, przynajmniej, mam skłonność.

Ben Eliezer był zaskoczony moją bezczelnością, ale muszę przyznać, że szybko się pozbierał.

– Taki czuły niepokój o dobro żydowskiego dziecka? Zdziwiasz mnie, signorina.

Ledwie parę dni minęło, od kiedy to samo zrobiłam Borgii, a przynajmniej to samo powiedział, zanim zdecydował, że pozwoli mi żyć. Może i tym razem miałam mieć podobne szczęście.

– Wszystko wspaniale – oznajmiłam – ale nie powiedzieliście mi, co tu robię.

Chociaż już wtedy miałam jakiś pomysł. Nawet jeżeli ojciec był Żydem, dlaczego dalej nie mogłam dać wiary, nie sądziłam, aby mogli dzielić moje pragnienie zemsty za jego śmierć. Nie w tak rozpaczliwych okolicznościach i grając o tak wysoką stawkę. Co zostawiało tylko jedną możliwość. Czekałam, ledwo mogąc oddychać, z nadzieją, że los zrzędził, żebyśmy mieli wspólny cel.

Ben Eliezer przysunął stołek trochę bliżej i przyciszył głos.

– Wiesz o edykcji, o tym, co zamierza Innocenty. Nie można pozwolić na to, żeby to się stało. – Twarz mu stężała. – Już wystarczająco dużo Żydów umarło, umiera, umrze. Rabini i kupcy trzęsą się ze strachu, a w tym czasie ten szaleniec pozabija nas wszystkich.

Rozumiałam, o czym mówił Ben Eliezer – przywódcy getta nie byli skłonni bezpośrednio

uderzyć w Innocentego. Posunęliby się jedynie do zawarcia układu z Borgią, jednak nie dalej. Ale któż mógł naprawdę ich za to winić? Jeżeli tylko podejrzewano ich o to, że rozważają tak potworną zbrodnię, jak zamordowanie Papieża, zostałyby na nich spuszczone wszystkie ogary piekielne. Żaden mężczyzna, kobieta czy dziecko żydowskiego pochodzenia nie pozostałoby w Rzymie przy życiu. I na tym by się nie skończyło. Cały świat chrześcijański powstałby, aby przelać tyle krwi, ile nie widziano jeszcze w historii.

Choć edykt, który szykował Innocenty, miałby podobny skutek. Ben Eliezer i inni, skupieni za nim w cieniu, zdawali sobie z tego sprawę.

– Jest tylko jeden sposób na to, żeby go powstrzymać – powiedziałam.

Popatrzyliśmy na siebie.

Miałam świadomość, a podejrzewałam, że on również, potworności tego, co rozważaliśmy, każde z własnych powodów. Ale jeśli to, w co wierzyłam, było prawdą, nie byliśmy pierwsi.

– Wiesz, co robił mój ojciec?

Ben Eliezer odwrócił się i przywołał kogoś gestem. Sofia wyszła z cienia. Nie byłam bardzo zdziwiona. Ktoś musiał wskazać mnie Ben Eliezerowi i jego współnikom.

– Mam nadzieję, że nam wybaczysz – powiedziała. – Musieliśmy rozeznaczyć, na ile można ci zaufać, zanim zaryzykujemy, żeby się do ciebie zwrócić.

Wzięła stołek i usiadła obok nas, więc tworzyliśmy niewielkie koło, siedząc razem w kręgu światła oddzielonym od ciemności.

Staralam się przywołać trochę irytacji z powodu kłamstw, które mi mówiła, ale nic z tego nie wyszło. Sprawy posuwały się zbyt szybko, aby pozwolić sobie na małostkowość.

– Powiedziałam ci, że twój ojciec szukał sposobu na śmierć, która wydawałaby się naturalna. – Kiedy skinęłam głową, kontynuowała: – Rozumiesz, że nie wiemy, co powoduje choroby. Kiedy uderza zaraza, ludzie, którzy zamykają się w domach, są tak samo narażeni na to, że zachorują i umrą, jak inni. Ci, którzy uciekają na wieś, mogą przeżyć albo nie. Kiedy przychodzą letnie gorączki, atakują jednych, a nie innych. Ospa niektórych zabija, innych oślepia lub naznacza straszonymi bliznami, a jeszcze innych w ogóle nie dotyka. Nie ma w tym ładu ani składu.

– Wola Boga... – zaczęłam, ale Sofia pokręciła głową.

– Jeżeli powiemy, że to wola Boga – powiedziała – z jakim będzie to dla nas pożytkiem?

Wszelkie badania byłyby bezcelowe. Twój ojciec wierzył – podobnie jak ja – że możemy wykorzystać rozum, który dał nam Bóg, żeby odkryć, jak sobie pomóc. To jest wola Boga.

Była to zaskakująca myśl.

Święty Augustyn nauczał, że człowiek ma wolną wolę, która jest darem Boga. Ale nauczał też, że Bóg zna nasze przeznaczenie od samego początku. Jak coś, co jest wiadome tylko Bogu, może być przedmiotem ludzkiego wyboru? A jeżeli nie ma wyboru, jak możemy być sprawiedliwie rozliczani z naszych grzechów?

Widzicie, w jakie błędne koło wpadamy my, chrześcijanie, starając się poznać niepoznawalne?

Lepiej skoncentrować się na doczesnych kwestiach.

– Do czego przywiódł ojca jego rozum? – spytałam.

– Doszedł do wniosku, że niektórzy ludzie zachorują na pewne choroby z większym prawdopodobieństwem, gdy będą mieli bliski kontakt z tymi, którzy już na nie chorują.

To wydawało się oczywiste. Większość lekarzy, księży i im podobnych nie zbliży się do nikogo, kogo podejrzewa się o zarazę, chyba że im się za to dobrze zapłaci, a nawet wtedy nie wypełniają swoich obowiązków z należytą troską. W tym zakresie Sofia była wielkim wyjątkiem.

– Nikt, kogo podejrzewano by o chorobę, nie zostałby dopuszczony do Papieża – ciągnęła dalej. – Dlatego twój ojciec musiał znaleźć inną drogę przyniesienia mu zarazy.

– I znalazł ją?

Zawahała się na dłużej, aż zaczęłam się zastanawiać, czy odpowie, ale w końcu rzekła:

– Myślał, że można by do przeniesienia choroby wykorzystać krew.

– Dlaczego krew? – zapytałam. – Czy wszystkie cztery płyny ciała nie są równie ważne?

Z pewnością tak mnie uczono, ta wiedza datowała się aż do czasów greckich, do Hipokrate-

sa, i odtąd była propagowana przez wszystkich medyków.

– Tak się ogólnie uważa – zgodziła się Sofia. – Krew, żółta żółć, czarna żółć i flegma mają wpływ na zdrowie i temperament. Na przykład zbyt dużo żółci powoduje, że ktoś się łatwo złości, a nadmiar czarnej żółci sprowadza bezsenność i skłonność do nerwowości. Każdy z czterech płynów ma inne, ale równie ważne działanie na ludzkie ciało.

– Dlaczego więc ojciec brał pod uwagę tylko krew?

– Ponieważ – powiedział Ben Eliezer – to była nasza największa nadzieja na dopadnięcie Innocentego.

Wyraz jego twarzy – wyraźnie sprawiło mu to przyjemność – ostrzegł mnie, że nie spodoba mi się to, co za chwilę usłyszę.

– Już od wielu lat – mówił – wasz Papież szukał sposobu na zachowanie zdrowia i oddalenie śmierci przez ssanie piersi karmiących matek.

Słyszałam o tym, oczywiście. Kto w Rzymie nie słyszał? Miasto nurza się w plotkach; to nasz sport, nasza rozrywka, nasze narzędzie i nasza broń. Czasem wydaje się być jedynym powodem naszego istnienia.

Ben Eliezer jeszcze nie skończył.

– Ostatnio – powiedział – Innocenty był przekonany, że mleko nie wystarcza. Potrzebuje krwi, a dokładnie krwi młodych chłopców.

Chciałabym powiedzieć wam, że to mną wstrząsnęło, ale tak nie było. Ludzie robią różne rzeczy, żeby oszukać śmierć. A im są potężniejsi, tym uciekają się do dziwaczniejszych metod. Sama znałam takich, którzy jedli łożyska, łykali złoto i robili inne rzeczy, z których niektóre, jak podejrzewałam, przyspieszyły tylko ich zgon.

– Znasz szkołę cantoretti w Watykanie? – zapytała Sofia.

Słyszałam plotki te same, co wszyscy. Mówiono, że prowadzący chóry w Watykanie przyjęli bizantyjską praktykę kastrowania najbardziej obiecujących chłopców. Odmienione tym głosy kastratów pozostawały niezwykle czyste i elastyczne, dając, jak twierdzono, anielską muzykę.

Ta praktyka była wielce kontrowersyjna z dwóch powodów: pochodziła z innych światów – wykorzystywali ją muzułmanie – i była pogwałceniem woli Boga, żebyśmy byli owocni i pomnażali się. Wprawia również większość mężczyzn w odruchowe przerażenie.

– Co z tą szkołą? – spytałam, nie zdradzając się z moją wiedzą.

– Niektórzy chłopcy przeznaczeni do nauki w niej zostali skierowani do innego celu – powiedziała Sofia. – Takiego, który Innocenty uznał za wyższy.

– Utrzymywania go przy życiu? – zgadywałam.

Ben Eliezer przytaknął.

– Pozwala im się pozostać nietkniętymi, pewnie dlatego, że Papież obawia się, że jego własna męskość, czy to, co z niej zostało, może się zmniejszyć, jeśli dostanie krew kastrata. Jednakże niewielu z nich przeżywa procedurę, dzięki której otrzymuje swoje... dostawy.

– Dlaczego?

– Prawdopodobnie zbyt często spuszcza się im krew – odrzekła Sofia. – Tak czy inaczej, twój ojciec pomyślał, że można by zastąpić krew upuszczoną chłopcom krwią kogoś, kto umiera z powodu choroby. Z nadzieją, że Papież też zachoruje i umrze.

– Czy ten zamysł wprowadzono w życie? – zapytałam ją z zaciekawioną.

– Nie wiemy. Giovanni zerwał z nami wszelkie kontakty, żeby nas chronić, jak ci powiedziałam. Ale w Rzymie zawsze są choroby. Możliwe, że pozyskał skażoną krew gdzie indziej. Może nawet znalazł jakiś sposób na dostarczenie jej Innocentemu.

– Zdrowie Papieża pogorszyło się mniej więcej w tym czasie – przypomniał mi Ben Eliezer.

– Niestety nie wiemy z całą pewnością, czy stało się to w wyniku wysiłków twojego ojca.

W każdym razie Innocenty nie umarł.

Nie, nie umarł. A jeżeli można było wierzyć słowom rozsiewanym na ulicach Rzymu, cieszył się ostatnio poprawą zdrowia.

– Jak podaje mu się krew?

Mój umysł pracował już nad rozwiązaniem problemu.

Jak to zrobiono? Jak można by to było zrobić z większym powodzeniem?

– Pije ją – powiedział Ben Eliezer. – Wierzy pewnie, że Bóg zamienia ją w wino.

Zaśmiał się wtedy, a kilku innych, stojących w cieniu, zrobiło to samo.

Wyobrażenie Ojca Świętego, głowy całego chrześcijaństwa, oddającego się takiej karykaturze mszy świętej mogłoby także i mnie rozbawić, gdybym nie myślała wtedy o tych cierpiących chłopcach.

– Kto ją dla niego szykuje?

– Podejrzewamy, że jego medycy – powiedziała Sofia. – I nie, zanim zapytasz, żaden z nich nie jest Żydem. Innocenty nie dopuści do siebie nikogo z nas, podobnie jak żadnego mahometanina.

– A *conversi*? – spytałam, pamiętając, o czym mówił Borgia.

– To inna sprawa – zgodził się Ben Eliezer. – Są plotki, ale nie wiemy z całą pewnością, że tacy są w Watykanie.

– Wy wiedzielibyście ostatni. – Każdy *converso*, z natury rzeczy obawiający się odkrycia, unikałby jakichkolwiek związków z Żydami. Jeżeli mój ojciec był jednym z nich, a wciąż nie zaakceptowałam tego faktu, stanowił wyjątek. A chociaż nie chciałam o tym myśleć, mogłoby to tłumaczyć to, co mu się przydarzyło.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Myślałam o tym, czego się dowiedziałam i jak to wykorzystać do swoich celów.

Wtedy Sofia zapytała cicho:

– Pomożesz nam?

Nie wahałam się.

Moja odpowiedź była jasna i jednoznaczna:

– Nie, absolutnie nie.

To były albo najodważniejsze, albo najgłupsze słowa, jakie kiedykolwiek wymówiłam; pewnie jedno i drugie naraz. Nie posunęłam się tak daleko, nawet wyzywając Borgia, aby uczynił mnie swoją trucieliwą.

Ben Eliezer, Sofia i inni tkwili w desperacji, a jednak na granicy katastrofy zachowywali spokój. Z wiedzą, którą teraz miałam, jak najbardziej mogli widzieć we mnie niedopuszczalne zagrożenie. Jeżeli jeszcze do nich nie dotarło, że nie powinnam opuścić tej piwnicy żywa, wkrótce powinno się to stać.

Czułam jednak, że nie mam wyboru.

– Nie pomogę wam – powiedziałam. – Ta sprawa jest zbyt delikatna, żeby mogła spocząć w waszych rękach. – I dodałam, zanim mogli zaprotestować. – Jednakże pozwolę wam pomóc mnie.

W innych okolicznościach wygląd przystojnej twarzy Ben Eliezera wydałby mi się komiczny. Od razu stało się dla mnie jasne, że ma wspólne cechy z Cesare: nie przywykł do tego, żeby słyszeć „nie” od kobiety.

Natomiast Sofia wydawała się rozbawiona.

– Myślisz, że ty powinnaś tu dowodzić? – zapytała.

– Myślę, że muszę – powiedziałam jej szczerze. – Nie macie kontaktów wewnątrz Watykanu ani żadnych perspektyw ich pozyskania. A to jest klucz do naszego sukcesu. Co więcej, nie macie nawet poparcia swoich ludzi. – Wskazałam gestem nasze otoczenie. – Jeżeli byście mieli, nie spotykilibyśmy się w takim miejscu.

– Rabini myślą, że mogą nas od tego wybawić modlitwą, a kupcy myślą, że mogą nas wykupić – zaczął Ben Eliezer, ale Sofia go uciszyła.

– Ona mówi tylko to, co jest prawdą, Davidzie. Bądź za to wdzięczny. To zaoszczędzi nam mnóstwo czasu. – Odwracając się do mnie, powiedziała: – Czy jesteś przygotowana na to, aby podjąć próbę?

– Nie – odpowiedziałam. – Jeszcze nie. Nie wiem, czy ojciec miał jakiś kontakt w Watykanie. Będę musiała dowiedzieć się, czy jest taka osoba, a jeżeli jest, przekonać ją do ponownej współpracy. – Nie dodałam, że w tej chwili miałam nikłe wyobrażenie o tym, jak tego dokonać.

– Mamy bardzo mało czasu – ostrzegł Ben Eliezer. – Edykt może być wydany lada moment.

– Nie mamy więcej niż parę dni – odpowiedziałam mu. – Borgia jasno to określił.

Sofia i Ben Eliezer wymienili spojrzenia. Widziałam ich konsternację.

– Mówią, że Kardynał wie wszystko – powiedział Ben Eliezer. – Na pewno mógłby odkryć, z kim pracował twój ojciec?

– Borgia posuwa się najdalej, jak może, zatrudniając mnie w tej sprawie – odpowiedziałam.

Wszystko, co wiedziałam o Kardynale, kazało mi tak sądzić. W równej mierze rządziły nim bezwzględność i przezorność. Tylko dzięki nim zaszedł tak wysoko, mając w zasięgu ręki szczyt władzy nad całym chrześcijaństwem.

– Nie zrobi niczego więcej – ciągnęłam. – Jeżeli zostaniemy złapani, rzuci nas wilkom na pożarcie. Powinniście mieć tego świadomość.

– Niczego innego nie spodziewałbym się po księciu Świętego Kościoła Rzymskiego – odparł oschle Ben Eliezer.

I w porządku, bo kiedy porywaliśmy się na tak śmiertcioną misję, mogliśmy liczyć wyłącznie na siebie. W zasadzie mielibyśmy wielkie szczęście, gdyby którekolwiek z nas pozostało przy życiu.

Miałam właśnie to powiedzieć, ale wstrzymałam się. Chociaż Sofia, Ben Eliezer i reszta wykazywali wielką odwagę, mogli również obudzić się z tego koszmaru. Śmierć i rozpacz otaczały ich zewsząd, a perspektywy były jeszcze gorsze. Nie musiałam im przypominać, jak źle się sprawy

miały.

– Sofio – powiedziałam – w czasie, który nam pozostał, czy mogłabyś spróbować zbadać, jak zwiększyć nasze szanse na sukces? Jest jakiś sposób na odkrycie, jaka krew będzie najlepsza?

– Mogę spróbować, ale z całą szczerością nie mam nawet pojęcia, jak się do tego zabrać.

– Po prostu rób, co możesz, a ja będę również robić swoje.

– Jeżeli ktokolwiek powiedziałby mi, że złożę taką obietnicę Żydowi, pomyślałabym, że jest szalony. Ale właśnie to zrobiłam.

– Powinnaś już wracać – powiedział Ben Eliezer.

Wstał i poszedł otworzyć drzwi wiodące na ulicę. Wstałam i poszłam za nim.

Vittoro czekał przed pracownią apteczną, kiedy tam dotarłam. Nie było za to Beniamina.

– Niepokoiłem się – powiedział kapitan. – Rozmawialiście przez ten cały czas? – Jego nos lekko się zmarszczył, zwracając moją uwagę na fetor solanki, który do mnie przyłgnął.

– Miałymy parę tematów do przedyskutowania – powiedziałam mu tylko tyle.

Zwróciłam się następnie do Sofii.

– Wróć, jak będę miała jakieś wiadomości.

Skinęła głową i wyciągnęła rękę, ściskając moją. Powiedziała cicho:

– Idź z Bogiem, Francesco. Uczynił cię prawym gojem, a jako taka jesteś błogosławiona.

Nie miałam pojęcia, co miała na myśli, ale jej słowa znowu przypomniały mi o Świętym Augustynie, który napisał, że Żydzi byli ludźmi specjalnie wybranymi przez Boga, których nieprzerwana egzystencja przypomina nam o prawdzie biblijnych prorocत्व. Skoro służyli zamysłom Boga, nie było rozważnie znęcać się nad nimi, ale przecież nie jestem teologiem.

Wróciłam do palazzo zmęczona i brudna. Po kąpieli i lekkim posiłku wciąż bardzo potrzebowałam odpoczynku. Żebra pulsowały, a inne rany sprawiały, że każda chwila była pełna bólu. Mimo tego myśl o zaśnięciu mnie przerażała. Spać znaczy zapraszać sny albo, w moim przypadku, same koszmary.

Intuicja wyprowadziła mnie na słońce, a stamtąd do samego miasta. Vittoro wysłał ze mną młodego strażnika – nie bezbronnego Jofrego, który wciąż czyścił latryny, ale innego, którego przydzielił mi po tym, jak zapewniłam go, że chciałam tylko pospacerować, aby uporządkować myśli.

– Powinnaś raczej odpocząć – powiedział, ale nie próbował tego na mnie wymusić.

Wysłałam w światło dnia ze strażnikiem śledzącym moje kroki.

W to piękne popołudnie ulice były nawet bardziej zatłoczone niż zwykle. Wozy walczyły o miejsce na Moście Aeliusa, który rozciąga się ponad rzeką, tuż obok Zamku Świętego Anioła. Nie mogłam odwrócić oczu od tej fortecy z okrągłymi kamiennymi murami, która wznosi się nad Rzymem od czasów Cesarza Hadriana, choć bardzo nie chciałam na nią patrzeć. Na ulicach mówiono, że mieszkał tam teraz Innocenty, opuszczając ładniutki i niewielki palazzetto nieopodal Bazyliki Świętego Piotra dla dużo bardziej bezpiecznego zamku. Z pewnością jego komnaty miały znacznie przyjemniejszy widok niż na wewnętrzny dziedziniec, gdzie przyprowadzano więźniów na egzekucje. Mówiono, że coraz więcej odbywało się ich każdego dnia, i nie miałam powodu, żeby w to nie wierzyć.

W połowie mostu zatrzymałam się i obejrzałam przez ramię. Miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Widząc to, młody strażnik również się zatrzymał i rozejrzał wokół. W tłumie przechodniów nie dostrzegł niczego, co by go zaniepokoiło, ja również. Poszłam dalej przekonana, że moja nerwowość jest spowodowana przemęczeniem.

Przekraczając rzekę, zobaczyłam wspaniałą niegdyś Bazylikę Świętego Piotra. W dzisiejszych czasach jest w tak rozpaczliwym stanie, że można wybaczyć tym, którzy ją odwiedzają, iż nerwowo spoglądają w górę, przemykając z jednego miejsca w drugie w obawie przed spadającymi kawałkami jej murów. Pomimo tego ojciec i ja byliśmy tam częstymi gośćmi. Dzieliliśmy fascynację starożytnością, którą tysiącletnia bazylika oferowała w obfitości.

Jak zwykle dziedziniec przed nią wypełniony był księżmi, handlarzami i odwiedzającymi wszelkiego rodzaju. Wielu z nich zatrzymywało się w atrium, podziwiając wspaniałą mozaikę zwaną Navicella, przedstawiającą Świętego Piotra kroczącego po wodzie. Przemknęłam obok i weszłam do środka, stając na chwilę i patrząc wzdłuż nawy głównej w stronę głównego ołtarza.

Mówiłam już, że nie jestem pobożną niewiastą, ale nawet na mnie robił wrażenie wspaniały stół ofiarny z marmuru i złota. Stał tam otoczony kolumnami, które podobno zabrał ze świątyni Salomona sam wielki Konstantyn.

Ale takie wspaniałości nie były dla mnie. Przeszłam przez nawę boczną do jednego z wielu mniejszych ołtarzy ciągnących się po obu jej stronach. Ten był poświęcony Świętej Katarzynie ze Sienny, tej, która miała doświadczyć mistycznego ślubu z Chrystusem i która poświęciła życie trosce o ubogich i chorych. Ojciec dał mi medalik z jej wizerunkiem, wybity w dzień jej kanonizacji ponad dwadzieścia lat wcześniej. Powiedział, że należał do mojej matki. Wciąż go mam.

Tam, we względnej ciszy bocznej nawy, oddzielonej od głównej części bazyliki, próbowałam się modlić. Młody strażnik oddalił się, dając mi odrobinę prywatności. Jak zawsze modlitwa nie przychodziła mi łatwo. Im bardziej starałam się skoncentrować na wizerunku świętej i migoczących przed nią świecach, tym bardziej moje myśli zaczynały błądzić. Dumiałam o Hiszpanie i człowieku z medalionem, o Borgii i Innocentym, o Żydach, jako o narodzie, i o Sofii i Dawidzie w szczególności, i wreszcie o Cesare, z którego moje myśli przeszły na Rocco. Mam naprawdę krnąbrny umysł. Ponownie próbowałam naprowadzić go na właściwe tory, kiedy powróciło uczucie, że ktoś na mnie patrzy.

Przez chwilę klęczałam ze złączonymi dłońmi i oczami wzniesionymi na świętą, ale cała moja uwaga skierowana była gdzie indziej. Słyszałam szelest odzieży za mną, po lewej stronie. W powietrzu unosił się nikły zapach kamfory i cytryny. Kiedy się mocno skoncentrowałam, usłyszałam czyjś oddech.

Gwałtownie wstałam i odwróciłam się. Ten nagły ruch spowodował, że omal nie krzyknęłam z bólu na protest moich żeber, ale zacisnęłam usta i spojrzałam prosto w twarz anioła.

Nie przesadzam. Jego rysy były klasycznym przykładem męskiego piękna – prosty nos, kwadratowy podbródek, wysoko osadzone brwi i doskonale wyrzeźbione policzki. Jego oczy były duże i czysto niebieskie. Włosy, jak chmura złocistych pukli, obejmowały idealnie ukształtowaną czaszkę. Był, w skrócie, pokusą dla najczystszych dziewczyc.

Na szczęście nie byłam ani czystą, ani dziewicą. Co nie znaczy, że nie byłam skuszona.

Złocisty anioł rozejrzał się na wszystkie strony i zbliżywszy się do mnie, szepnął:

– Signorina Giordano?

Kiedy skinęłam głową, wciąż nie wierząc sobie na tyle, aby coś powiedzieć, uśmiechnął się. Umknęło mi parę słów, które wyrzekł, a pozbierałam się dopiero wtedy, gdy usłyszałam:

– ... musimy porozmawiać, ale nie tutaj. Tu nie jest bezpiecznie.

– Więc gdzie, ojcze...?

Czyżbym zapomniała wspomnieć, że był księdzem? Tylko oni noszą czarne sutanny, choć niewielu wygląda w nich tak męsko, jak on. A jeszcze mniej wydaje się pamiętać o ślubach, które składają, przywdziewając ten strój.

– Morozzi, Bernardo Morozzi. Byłem przyjacielem twojego ojca. Jego śmierć... Cóż mogę powiedzieć? – W oczach zabłyśły mu łzy. – Codziennie się za niego modlę.

Gardło mi się ścisnęło. Tak się martwiłam o duszę ojca, że poczułam wielką wdzięczność.

– Dziękuję, ojcze.

Chętnie bym tam stała i rozmawiała z nim jak najdłużej, ale jego wyraźny niepokój – ciągle rozglądał się wokół – przypomniał mi o niebezpieczeństwie.

– Mamy wspólnego przyjaciela – powiedział ojciec Morozzi. Spojrzał na mnie wyciekająco. – Wytwórca szkła. Znasz go przecież?

– Oczywiście...

Byłam podekscytowana. Jeżeli ksiądz uważał Rocco za swojego przyjaciela, to czy było możliwe, że był jednym z tych poszukiwaczy wiedzy, o których plotkowano, że ryzykują krytykę Świętego Kościoła w jego własnych murach? A jeśli przy tym uważał mojego ojca za przyjaciela, czy byłoby to zbyt wiele mieć nadzieję, że mógł być tym, którego szukałam?

– Spotkajmy się w jego warsztacie jutro, godzinę po tercjach – przynaglił mnie Morozzi.

Wskazał dłonią na nawę, gdzie czekała moja eskorta nieświadoma tego, co działo się ledwie parę metrów dalej. – Kardynał Borgia nie powinien dowiedzieć się o naszej rozmowie. Czy mam na to

twoje słowo?

Biorąc jego ostrożność za rozważną i konieczną, skinęłam głową.

– Oczywiście.

Jakiś dźwięk sprawił, że spojrzałam za siebie. Kiedy się znowu odwróciłam, ksiądz zniknął.

Kłęczałam przed Świętą Katarzyną jeszcze dłuższą chwilę, starając się opanować. Morozzi mnie odnalazł – byłam teraz przekonana, że musiał mnie śledzić od pałacu. Na pewno nie zrobił tego bez ważnej przyczyny. Jeżeli to on był kontaktem ojca w Watykanie, może przekonanie go, żeby mi pomógł, nie będzie takie trudne.

To by oznaczało, że bardzo szybko osiągnę punkt, z którego nie będzie już drogi powrotnej. Oczywiście tego chciałam, nad tym pracowałam, a mimo wszystko to mnie przerażało. Prawda jest taka, że nie mogąc sobie wyobrazić życia bez pomszczenia ojca, jednocześnie nie chciałam umierać.

A szczególnie nie chciałam takiej śmierci, jaką można było znaleźć w murach Zamku Świętego Anioła, którego grube ściany wchłonęły już tyle strasznych krzyków.

Myśląc o tym, wróciłam do pałacu i w końcu zrobiłam to, czego nie mogłam dłużej odkładać. W ciszy pracowni, którą dzieliłam z ojcem, wykorzystując składniki wyjęte z jego skrzyń, utarłam suszony tojad, modligroszek i śniadek za pomocą moździerza i tłuczka. Każda z tych trzech roślin jest trucizną; zmieszane razem zabijają ze śmiertelną szybkością. Kiedy mieszanka była gotowa, dodałam niewielką ilość osadu, jaki można znaleźć na dnie beczek z winem. Ta substancja ma efekt wiążący w przypadku niemal wszystkiego, z czym wejdzie w kontakt.

Dostałam na koniec małą brązową pastylkę, która w sam raz pasowała do otwieranego medalionu, podarunku od ojca, który powiesiłam na szyi. Dał mi go do bardziej radosnych celów, ale byłam zadowolona, że może posłużyć moim potrzebom. Pastylka włożona do ust i rozpuszczona w czymkolwiek, co połknę, zabije mnie w ciągu paru minut. Nie będzie to przyjemna śmierć, ale przynajmniej szybka.

Położyłam się po wykonaniu zadania. Koszmar nadszedł niemal natychmiast, tak potworny jak zwykle. Obudził mnie własny płacz. Odruchowo sięgnęłam po gładki złoty talizman spoczywający na piersi. Trzymając go, wreszcie spokojnie zasnęłam.

Obudziłam się przed świtem, gotowa wyruszyć na długo przed umówioną godziną, ale najpierw musiałam poradzić sobie z Vittorio.

Morozzi jasno powiedział, że nie chce, aby Il Cardinale poznał jego tożsamość – rozsądne posunięcie w tych okolicznościach. Podczas gdy Vittorio nie miał skrupułów przed usunięciem Innocentego z tego świata, bardzo wątpiłam, że zgodziłby się trzymać cokolwiek w tajemnicy przed Borgia. Musiałam więc znaleźć sposób, jak umknąć spod jego nadzoru.

Zastanawiałam się, czy go nie poszukać, ale postanowiłam nie robić tego, nie chcąc wzbudzać podejrzeń. Zamiast tego poczekałam, aż sam przyszedł, aby spytać mnie o plany na ten dzień.

– Mam dużo do zrobienia tutaj. – Wskazałam w kierunku pracowni. – Ale jeżeli zdecyduję się wyjść, prześlę panu wiadomość.

Jeśli Vittorio zastanawiał się, co mogło przez cały dzień zajmować trucicielkę, nie odważył się zapytać. Rzucając okiem na stół, na którym ustawiłam różnorakie butelki, pudełka i baryłki, odnalazł się pospiesznie.

Nie traciłam czasu, gdy zostałam sama. Z dna skrzyni wyjęłam chłopięce ubranie, które już wcześniej często nosiłam, choć nie na tyle często, żeby czuć się w nim komfortowo. Krótki kaftan, koszula i pończochy sprawiały, że wydawałam się sobie niemal naga i czułam się skrępowana, ale jednocześnie dawały mi nową tożsamość, z którą mogłam poruszać się swobodnie, bez obawy o zaczepki czy osady.

Na koniec upchnęłam włosy pod filcowym kapeluszem z szerokim rondem, co udało mi się dopiero z pomocą wielu szpilek. Rzut oka w lustro upewnił mnie, że jedynie najbardziej bystry obserwator mógł podejrzewać, że nie jestem szczupłym młodzieńcem, czeladnikiem albo może sługą goniącym w interesach swojego pana.

Gdy tylko upewniłam się, że korytarz przed apartamentem jest pusty, wymknęłam się i pobiegłam w dół schodami w jednej z zewnętrznych ścian. Po paru minutach dotarłam do tych samych drzwi, którymi wróciłam do palazzo po pobiciu. I jak wówczas, teraz też nikt mnie nie zobaczył.

Pamiętając o przebraniu, starałam się poruszać żwawo, z pewnością siebie, ale też z lekką niezdarnością, która wydaje się cechować młodych chłopców. Na szczęście nie wymagało to z mojej strony wielkiego wysiłku. Ojciec nie przejmował się zbyt zaszczepieniem we mnie wdzięków przystających damie, za co jestem mu bardzo wdzięczna. Kilka razy zerkałam przez ramię, ale raczej nie byłam śledzona. Zanim dotarłam na Campo de' Fiori, żebra mi pulsowały i z ulgą trochę zwolniłam.

Byłam też bardzo głodna. Nie chcąc przychodzić w takim stanie do Rocco, zatrzymałam się, żeby kupić świeży chleb i winogrona. Z zadowoleniem zauważyłam, że kobieta, która mi je sprzedawała, ledwo na mnie spojrzała, biorąc ode mnie pieniądze i podając zakupy tak szorstko, jakby miała do czynienia z jakimkolwiek chłopcem. Zanim weszłam w uliczkę wytwórców szkła, zjadłam kawałek chleba i strząsnęłam okruchy z kaftana.

Było wciąż wcześnie i sklepy dopiero się otwierały. Rocco podpierał daszek, który osłaniał stół, na którym wystawione były próbki jego produktów. Nando pomagał ojcu. Zmierziłam mu włosy, kiedy się ze mną witali.

– Jesteś teraz chłopcem, Donna Francesca? – zapytał Nando z chichotem.

Przyklęknęłam przed nim i uśmiechnęłam się.

– Jestem w przebraniu. Czy to nie zabawne?

Niepewnie zmarszczył brwi.

– Jak na maskaradzie?

– W pewnym sensie. Jak myślisz, wyglądam jak chłopiec?

Nando zawahał się. Jak wynika z mojego doświadczenia, dzieci są dużo bardziej szczere niż

najbardziej prostolinijni dorośli. Zbyt często są za to ganione, więc uczą się kłamać.

– Wyglądasz jak... Donna Francesca – powiedział wreszcie.

Westchnęłam głęboko i podniosłam się. Rocco nie wydawał się zdziwiony moim strojem, widział go już wcześniej. Wziął ode mnie winogrona i chleb, uśmiechając się, gdy zobaczył brak piętki, i wprowadził mnie do środka.

– Napijesz się cydru? – zapytał.

Było zbyt wcześnie na wino, więc skinęłam głową. Wkrótce siedzieliśmy przy stole, wpatrując się w dziedziniec, na którym żarzył się piec. Rocco zaczął dopiero rozpalać ogień przed codzienną pracą. Jego ciemne włosy były zaczesane do tyłu i związane na czole opaską. Kiedy nalewał cydr, szykował chleb i winogrona, mięśnie jego ramion, odkryte przez skórzany kaftan bez rękawów, lekko falowały.

Odwrócił się, i zauważył, że mu się przyglądam, przez co się zarumienił.

Kiedy Nando skończył jeść, ojciec wysłał go na zewnątrz z garścią winogron i przykazaniem, żeby się zbytnio nie oddalał. Zaczekał, aż zamkną się za nim drzwi, i zapytał:

– Byłaś znowu w getcie?

Przytaknęłam.

– Myślę, że odkryłam, co i dlaczego robił ojciec. Jest przygotowywany edykt, który ma usunąć wszystkich Żydów z całego chrześcijańskiego świata. Innocenty jeszcze go nie podpisał, ale zamierza wkrótce to zrobić.

Oczy Rocco przykryła chmura. Przez dłuższą chwilę patrzył na mnie, chłonąc wagę tego, co powiedziałam. Wygnanie z Hiszpanii było wystarczająco potworne i skutkowało dziesiątkami tysięcy uchodźców, z których wielu umierało z powodu głodu i chorób. O ile więcej byłoby nieszczęść, gdyby taki sam los miał spotkać wszystkich Żydów w całej Europie?

– Gdzie będą mogli się udać? – zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

– Turcy pozwolili u siebie zostać niektórym wypędzonym z Hiszpanii, ale nie mam pojęcia, jak wielu więcej mogliby przyjąć. Pewnie i tak nie miałyby to znaczenia. Żydzi, z którymi rozmawiałam, wierzą, że prawdziwą intencją jest zniszczenie ich rasy.

– I Giovanni o tym wiedział?

– Wiedział. – Zapytałam z wahaniem: – Czy kiedykolwiek słyszałeś o tym, że mógł być *converso*?

Ku mojemu zdziwieniu Rocco sięgnął przez stół i przykrył mi dłoń swoją dłonią. Jego dotyk był ciepły i mocny. Zabrać rękę byłoby niegrzecznie. Poza tym nie miałam ochoty tego robić.

– Twój ojciec bardzo cię kochał i jedyne, czego chciał, to cię chronić. To powód, dlaczego nie powiedział ci o sobie wszystkiego.

Matko Boska i wszyscy święci, czy wszyscy wiedzieli o moim ojcu z wyjątkiem mnie?!

Odkąd Borgia po raz pierwszy o tym wspomniał, w mojej głowie kielkowała myśl, że to może być prawda. Mimo to ciągle miałam problem z jej zaakceptowaniem.

– Nie powiedział mi... ale powiedział tobie?

Rocco zabrał rękę i oparł się na krzesło. Starannie dobierał słowa.

– Kiedy pierwszy raz spotkałem twojego ojca, przeżywałem właśnie kryzys wiary. Wyczuł to i mi pomógł. W tym czasie dobrze się poznaliśmy.

– Więc był prawdziwym chrześcijaninem...?

Rozpaczliwie pragnęłam w to wierzyć. Wszystko, czego kiedykolwiek mnie uczono, podpowiadało mi, że jeżeli ojciec nie był wyznawcą jedynej prawdziwej wiary, jego dusza była stracona na zawsze. Choć kiedy się nad tym zastanawiałam, miałam problem ze zrozumieniem, dlaczego Bóg miałby w ogóle spowodować, żeby tak się stało.

Nie powinniśmy rozmyślać o takich rzeczach. Ale podejrzewam, że więcej niż paru z nas to robi, zwłaszcza gdy tęsknimy za Bogiem, który kocha wszystkie swoje dzieci bez warunków i zastrzeżeń.

– Twój ojciec widział w naukach naszego Pana dowód na to, że Zbawiciel naprawdę przyszedł. Chociaż ciągle szanował wiarę swojego ludu i chciał im pomóc.

I za to, już teraz byłam pewna, umarł.

Później będę o tym wszystkim rozmyślać, teraz mogłam tylko przeć dalej.

– Myślę, że ojciec szukał sposobu na to, żeby wstrzymać edykt. Jeżeli Innocenty ma go wkrótce podpisać...

Czekałam, wiedząc, że złoży to wszystko w całość, ale niepewna tego, jak zareaguje.

W końcu mówiliśmy o Papieżu, pomazańcu bożym, którego ręka przywiodła go na Tron Piotrowy, aby rządził nami wszystkimi. To, co rozważał ojciec, nie było tylko zabójstwem, mogło to również zostać uznane za najgorszego rodzaju świętokradztwo. Nie byłabym zdziwiona, gdyby Rocco wyraził wstrząs i oburzenie, może nawet kazał mi wynosić się z jego domu. Ale powinnam była pokładać w nim więcej ufności.

Na pewno zbladł, ale się nie zawahał.

– Kiedy Giovanni radził mi w sprawach wiary, wyjął nauki Świętego Augustyna, którego pisma zrobiły na nim duże wrażenie. Zgadzał się z konkluzją Augustyna, że zło nie jest odrębnym bytem. Jest po prostu brakiem dobra. Rodzi się tylko wtedy, gdy odrzuca się dobro.

Nie interesowałam się za bardzo teologią, ale nawet ja rozumiałam, że niezaprzeczalne istnienie zła w naszym świecie mogło zaprzeczyć wierze w nieskończenie dobrego Boga, gdyby Augustyn tak błyskotliwie nie wykazał, że to nie Bóg tworzy zło, ale sam człowiek przez odrzucenie dobroci bożej.

– Jak Innocenty może wykorzystywać zło, a jednocześnie służyć Bogu? – spytałam ostrożnie.

Rocco odpowiedział bez wahania.

– Nie może. Nie może tego żaden człowiek, żaden król czy książę... ani papież.

Z ulgą, że jesteśmy zgodni, choć wciąż do niczego nie dochodząc, zmieniłam temat i powiedziałam:

– Spotkałam księdza, który nazywa się Bernardo Morozzi. Mówił, że znał ojca i zna ciebie. Wie również, co robił ojciec, i twierdzi, że chciał mu pomóc.

– Znam Morozziego – powiedział Rocco. – Robiłem dla niego aparaturę.

– Jest alchemikiem?

Naprawdę chciałam zapytać, czy jest członkiem Światłości, tajemnego stowarzyszenia alchemików, w którego istnienie chciałam wierzyć i do którego, jak miałam nadzieję, należał ojciec. Ale nie mogłam się na to odważyć.

– Ma takie aspiracje. Poznałem go zeszłej jesieni, gdy tutaj przyszedł. Był bardzo miły, zadawał dużo pytań, nawet zaprzyjaźnił się z Nando. Z początku nie mogłem domyślić się, czego chce, aż wreszcie przyznał, czego szuka.

– Był ostrożny.

– Tak przypuszczam – powiedział Rocco. – Kupił u mnie parę rzeczy. Wydaje się całkiem uczciwy. Któregoś dnia zapytał, czy mógłbym przedstawić go innym osobom o podobnych zainteresowaniach.

– Zrobiłeś to?

Zastanawiał się chwilę.

– Twój ojciec wpadł, kiedy Morozzi właśnie tu był. Przedstawiłem ich sobie i zaczęli rozmawiać. W ten sam sposób poznał jednego czy trzech, ale to wszystko.

Skinęłam głową, rozumiejąc, o czym mówi Rocco. Jedną z wielkich przeszkód w postępie wiedzy jest potrzeba zachowania tajemnicy. Uczeni albo boją się dzielić swoją wiedzą ze strachu przed potępieniem, albo nie chcą tego robić przez zawodową rywalizację. Obie te przyczyny sprawiają, że postęp jest niezwykle trudny. Jeżeli Światłość naprawdę istniała, z pewnością byłoby to głównie ze względu na to, aby to przezwyciężyć.

– Ojciec Morozzi zasugerował, żebyśmy się tu spotkali – powiedziałam. – Ale jeżeli wolisz, wyjdę teraz.

Abyście nie mieli o mnie zbyt złego mniemania, powinniście wiedzieć, że nawet wtedy częśćka mnie żałowała, że muszę w jakikolwiek sposób wciągać w to Rocco. Aż za dobrze wiedziałam, że robiąc to, wykorzystuję jego naturalną dobroć. Ale ta większa część, ta, która mną kie-

rowała, nie widziała alternatywy. Taką miałam naturę. Przez lata, które minęły od tego czasu, trochę się poprawiłam, ale nie tak bardzo, jak mogłabym sobie tego życzyć.

Zawahał się, a ja obserwowałam, jak podsumowuje w myślach to, do czego zmusiłam go, żeby zdecydował: z jednej strony życie, które udało mu się zbudować dla siebie i swojego syna, które zostałyby wystawione na straszne ryzyko, gdyby zdecydował się mi pomóc; z drugiej życie niezliczonych tysięcy, które wisiało na włosku, a ponad wszystko możliwość, że wielkie zło ogarnie sam Święty Kościół i na zawsze oddali nas wszystkich od światła bożego.

– Zostań – powiedział. I patrząc mi w oczy, dodał: – Rób to, co musisz.

Skończyliśmy jeść i pomogłam mu uprzątnąć naczynia. Parę minut później drzwi się otworzyły i do środka wszedł ksiądz. Nie miał na sobie sutanny, a skromny kaftan kupca. Pomyślałam, że to rozsądny środek ostrożności. Nie byłam pewna, ile wiedzieli inni wytwórcy szkła o tym, co robił Rocco, a pojawienie się w jego warsztacie księdza w sutannie mogło unieść parę brwi. Jednak z uwagi na swój wygląd Morozzi i tak nie mógł zostać niezauważony.

– Ojciec – powiedział uprzejmie Rocco. – Dobrze cię znowu widzieć.

– I ciebie też, mój synu – odpowiedział Morozzi. Jego uśmiech wydawał się ciepły i szczerzy, ale zmarszczył czoło, kiedy mnie ujrzał. – A ty jesteś...?

– To ja, ojciec, Francesca Giordano. Przyszłam bez eskorty, jak prosiłeś, i zabezpieczyłam się, zmieniając tożsamość.

Jakakolwiek ważna by nie była przyczyna przebrania się za mężczyznę, jasne było, że ksiądz tego nie pochwała. Popatrzył na mnie wstrząśnięty i szybko odwrócił wzrok.

– To niewłaściwe – zaprotestował.

Rocco uniósł brwi, ale mądrze pozwolił mi uspokoić Morozziego, jak najlepiej umiałam.

– To trudne czasy, ojciec. Jestem pewna, że wszyscy rozumiemy potrzebę bycia ostrożnym?

Kiedy i to poskutkowało jedynie potępiającym spojrzeniem, moja cierpliwość się skończyła.

Dodałam ostro:

– Proszę, popraw mnie, jeżeli się mylę, ojciec, ale czy stanowisko Świętego Kościoła nie jest takie, że kobieta może założyć męskie odzienie bez grzechu, jeśli robi to, aby ochronić się przed groźbą molestowania?

Doskonale wiedziałam, że tak było. Kościół był zmuszony to przyznać, aby unieważnić wyrok skazujący Joannę D'Arc za herezję i wprowadzić ją na drogę do świętości.

Rocco wydał z siebie dźwięk, który można było uznać za chichot.

– Muszę sprawdzić piec – powiedział. Spojrzał na mnie wymownie. – Ogień na nikogo nie czeka.

Odszedł na podwórze, a ja wciąż zastanawiałam się, czy w jego słowach ukryte było ostrzeżenie. Morozzi wydawał się skrępowany, ale nie zamierzał dyskutować ze mną o doktrynie. Albo może tylko mu się spieszyło, żeby zrobić to, po co tu przyszedł, i odejść.

Odetchnął głęboko i chyba wreszcie się trochę rozluźnił. Mój wygląd już nie powodował, że się wzdrygał.

Zapytał cicho:

– Ile wiesz o działalności swojego ojca, *signorina*?

Zastanawiając się, ile on wie, odparłam z rozwagą:

– Wystarczająco dużo. Dlaczego ojciec chciał się ze mną spotkać?

– Jego śmierć jest wielką stratą.

– Tak jak powiedziałeś, panie. – Jakkolwiek poruszony mógł być Morozzi, nie zamierzałam dłużej mu folgować. – Proszę mi powiedzieć, co ojciec wie o morderstwie mojego ojca.

To żądanie – nie można było tego z niczym pomylić – zaskoczyło go. Najwyraźniej założył, że to on będzie kontrolował naszą rozmowę. Odruch, wykształcony przez lata spędzone pod dachem Kardynała, sprawił, że temu sprawnie zapobiegłam. Zamiast odpowiedzieć, zaczęłam nerwowo sprawdzać ubranie.

– To wielka tragedia...

– Wiem o tym. Proszę mi powiedzieć, kto je zlecił.

Ksiądz był zdumiony. Jego wygląd i święty urząd zapewniały, że każda kobieta, którą spo-

tką, będzie się do niego zwracać z najwyższym szacunkiem. Najwyraźniej ja nie przystawałam do jego doświadczeń, ale zdziwiło mnie, jak szybko się pozbiarał.

– Nie wiesz? – zapytał.

– Może tak, może nie. A co ojciec wie?

Jak powiedziałam, człowiek poddany torturom wyzna wszystko, żeby powstrzymać ból. To nie znaczy, że koniecznie musi to być nieprawda. A jeśli nawet, rozważna osoba szuka współpracy.

– Papież obawiał się, że aby zdobyć papieństwo, Borgia zamierza wykorzystać swojego truciela – powiedział Morozzi. – Zabijając twojego ojca, wysłał Kardynałowi wiadomość, że mu się to nie uda.

Było tak, jak podejrzewałam, ale mimo wszystko niełatwo mi było tego słuchać. Musiałam zmusić się, żeby mówić dalej.

– Dlaczego Innocenty nie kazał mnie zabić, chociaż objęłam stanowisko ojca?

– Nie obawia się ciebie – odparł ksiądz. – Nie tak, jak twojego ojca. Jesteś tylko kobietą.

Boże, dopomóż. Uśmiechnęłam się.

Innocenty będzie miał całą wieczność na rozmyślanie nad swoim błędem.

– Gdy zdałem sobie sprawę z tego, że twój ojciec i ja mogliśmy dążyć do wspólnego celu – ciągnął Morozzi – zaoferowałem mu swoją pomoc. Przyjął ją. Niestety nie udało mu się dokończyć przedsięwzięcia. Ten... problem pozostał.

– Więc coś już w tym względzie zrobił?

Czekałam na odpowiedź, ledwo oddychając, żeby dowiedzieć się, czy ojciec naprawdę próbował zabić Papieża.

Morozzi pokręcił głową.

– Wiem tylko, że był gotowy do działania. Niestety został zabity, zanim to się stało.

O dziwo, poczułam ulgę. Dusza mojego ojca była wolna przynajmniej od tego grzechu. Choć jednocześnie byłam teraz nawet mniej przekonana, że metoda, którą, jak wierzyła Sofia, chciał zastosować, mogła się sprawdzić.

– Co miał ojciec na myśli, mówiąc o wspólnym celu? – spytałam księdza.

Morozzi wyglądał na zdziwionego.

– Przecież wiesz?

– Może i wiem, ale chciałabym usłyszeć odpowiedź.

Dotarło do niego, że dalej go sprawdzam, i zaczerwienił się. Czułam, że jego cierpliwość się kończy.

– Edykt... Wiesz o nim?

Przytaknęłam.

– Dlaczego ojciec miałby się przejmować Żydami?

Podejrzewałam, że znam odpowiedź, ale chciałam usłyszeć, jak to mówi.

Powiedział, ale nie przyszło to łatwo. Myślałam przez chwilę, że udławi się własnymi słowami.

– Jestem *converso*. – Szybko, jakby chcąc oczyścić język, który to wypowiedział, dodał: – Całym sercem i duszą wierzę w jednego Boga, Ojca Wszechmogącego i Jezusa Chrystusa, jego jedynego syna, i w Ducha Świętego. Chcę tylko zapobiec wielkiemu złu.

Cząstka mnie pamiętała o potrzebie ostrożności, ale nie mogłam nie czuć się poruszona tym, co powiedział. Miałam szczerą nadzieję, że mówił też w imieniu mojego ojca.

– Rozumiem – powiedziałam mu. – Innocenty jest starym, chorym człowiekiem. I tak długo nie pożyje. Ale wciąż mógłby mieć czas, żeby uczynić dużo krzywd.

– Twój ojciec był zdecydowany, aby temu zapobiec.

– I przegrał.

Morozzi przytaknął. Wydawał się głęboko nieszczęśliwy, choć nie pozbawiony nadziei.

– Zamiar wciąż może się powieść... jeżeli chciałabyś spróbować?

Nadeszła propozycja, na którą czekałam. Droga zemsty za ojca i osiągnięcie celu, za który umarł – przetrwania Żydów. Jeżeli miałabym dużo szczęścia, może nawet udało by mi się pożyć na tyle długo, żeby mieć szansę wybawić duszę, ale za bardzo na to nie liczyłam.

– Możesz mnie przybliżyć do Innocentego? – zapytałam.

Morozzi był bardzo blady, ale bez wahania skinął głową.

– Tak blisko, jak trzeba.

– Jak to możliwe?

W Watykanie były setki księży. Niewielu z nich miało bezpośredni dostęp do Papieża, a nawet jeszcze mniejszej ilości pozwalano na to teraz, gdy przeniósł się do zamku.

– Od przybycia do Rzymu – zaczął Morozzi – miałem szczęście przyciągnąć uwagę Ojca Świętego.

To mnie nie zdziwiło. Jak było mi wiadomo, Innocenty nie był sodomitą, ale podobnie jak inni rzymianie miłował fizyczne piękno. Morozzi przypominał anioła. Zauważono by go wszędzie, gdziekolwiek by się udał.

– Papież jest starym człowiekiem przerażonym śmiercią – kontynuował. – Jest otoczony ludźmi, którzy nie mogą się doczekać, aż to wreszcie nastąpi, żeby mogli zabezpieczyć swoje pozycje w nowym papieżstwie. Wspieram go w tym, żeby uwierzył, że zyska odkupienie w oczach miłosiernego Boga.

– Czy ojciec naprawdę w to wierzy?

– Jako chrześcijanin – powiedział Morozzi – muszę wierzyć, że przebaczenie jest dostępne dla wszystkich. Tak czy inaczej straż papieskie są przyzwyczajone do mojej obecności w jego komnatach. Nie zatrzymają nas.

Nabrałam powietrza i wypuściłam je powoli. Od tej chwili nie będzie już odwrotu. Kości naprawdę zostaną rzucone. Ale przecież powzięłam decyzję jakiś czas temu – kiedy klęczałam nad zakrwawionym, pobitym ciałem ojca i poprzysięgłam pomścić jego śmierć. Każdy krok, który od tej pory zrobiłam, prowadził w tym kierunku.

– Wyślę wiadomość przez Rocco, kiedy już będę gotowa – powiedziałam.

Bardzo żałowałam, że muszę wykorzystywać go do takich celów, ale nie miałam innego wyjścia.

Ksiądz skinął głową. Widziałam, że się poci, ale nie czułam w nim słabości.

– Jak to zrobisz? – zapytał.

To pytanie mnie zdziwiło. Zakładałam, że wiedział, co zamierzał ojciec.

– Tak samo, jak przedtem – powiedziałam ostrożnie.

Przytaknął.

– Więc trucizna. Coś, co działa szybko i daje pewność?

Ojciec raczej nie myślał używać trucizny przeciw Innocentemu, jeżeli jego śmierć miała wydawać się naturalna. Ale wyraźnie Morozzi o tym nie wiedział. Nie mogłam nie zastanowić się dlaczego, nawet jeśli postanowiłam zatrzymać to w tajemnicy.

– Tak – oznajmiłam. – Oczywiście.

– Dobrze, więc będę czekał na wiadomość od ciebie.

– Nie zajmie to długo.

– Mam nadzieję. Mamy bardzo mało czasu.

Zapewniłam, że rozumiem pośpiech, i odprowadziłam go do drzwi. Zanim je otworzył, zapytałam niby mimochodem:

– Proszę mi powiedzieć, czy to prawda, co słyszę, że Papież pije teraz krew?

Myślałam, że może zaprzeczyć plotkom, ale zamiast tego wyglądał na poirytowanego.

– Innocenty jest przekonany, że to utrzyma go przy życiu, ale z każdym dniem robi się słabszy.

– Może Bóg Wszechmogący będzie miłosierny i zabierze go do siebie, zanim bardziej nagrzeszy.

Morozzi obrzucił mnie ostrym spojrzeniem.

– Nie licz na to. Jak powiedziałem, musimy działać szybko.

Kiedy już wyszedł i zamknęły się za nim drzwi, oparłam się o nie i parę razy głęboko odechnęłam. Nogi mi się uginały i potrzebowałam chwili, żeby dojść do siebie. Pod każdym względem to spotkanie okazało się sukcesem. Miałam teraz sposób na osiągnięcie Papieża. Ale

miałam również więcej pytań niż wcześniej.

Dlaczego ojciec nie powiedział Morozzemu, jak zamierzał zabić Innocentego?

Czy miał jakiś powód, aby nie ufać księdzu?

Rocco właśnie wrócił. Nie byłam przygotowana na nagłą potrzebę, którą poczułam, żeby poszukać spokoju w jego ramionach. Zamiast tego owinęłam się swoimi i z dużym wysiłkiem starałam się odzyskać równowagę.

On się nie zawahał i szybko zmniejszył dystans między nami. Stał tuż przede mną tak blisko, że mogłam widzieć równomierne unoszenie się i odpadanie jego szerokiej piersi. Nawet w takich straszliwych czasach była w nim siła i stabilność, której mogłam mu tylko zazdrościć.

– Co powiedział Morozzi? – zapytał.

Biłam się ze swoim sumieniem. Najlepiej było powiedzieć Rocco tak mało, jak możliwe. Żebyśmy zbliżyli się do potępienia w przyjemniejszy sposób. Byłam mu jednak winna więcej.

– Że mi pomoże.

Zbladł i przez chwilę myślałam, że krzyknie w trwodze. Oczywiście miał rację. To, o czym myślałam, było szokujące. Tak, papieże przez całe wieki umierali na różne przykre sposoby, pewnie nawet więcej z nich, niż moglibyśmy zgadywać. Ale to była historia, a to do czego zmierzałam, rozgrywało się teraz.

To byłam ja, Francesca Giordano, córka truciciela. Kobieta, która samotnie zamierzała zmienić na lepsze chrześcijański świat.

– Powiedz tylko słowo – rzekłam do Rocco – a nigdy więcej się tu nie pojawię.

Przez chwilę obawiałam się, że to właśnie zrobi.

Na pewno nie miał powodu, żeby dalej pomagać kobiecie, która go odrzuciła. Ale nie doceniłam odwagi dobrego człowieka, który wciąż wierzył, że potęga Kościoła ocali nas wszystkich, jeżeli najpierw sama będzie mogła zostać ocalona.

Jego duże dłonie, tak silne, a jednak zdolne do najbardziej delikatnego dotyku, zamknęły się na moich ramionach. Powiedział z najwyższą powagą:

– Nigdy tak nie mów. Byłem przyjacielem twojego ojca i jestem również twoim. To, co zamierza Innocenty, jest złe. Zachowaj wiarę, Francesco, że Bóg wybrał cię, żebyś to ty go powstrzymała.

Miałam pewność, że gdyby chociaż podejrzewał, co skrywałam – tę ciemność gdzieś wewnątrz, która domagała się krwi i śmierci – Rocco nigdy by tego nie powiedział. Ale słaba, jak byłam wówczas, mogłam jedynie dziękować za fałszywe światło, w jakim mnie widział.

Pozwolił mi wtedy odejść. Ja wymruczałam słowa pożegnania, on przypomniał mi znowu, że jego drzwi były zawsze otwarte.

Zadowolona z tego, co osiągnęłam dzięki tej wizycie, ale też wystraszona drogą, na którą nieodwołalnie weszłam, przemknęłam się z powrotem do palazzo.

Ledwo wróciłam do pokoju, pojawił się Vittorio, żeby powiedzieć mi, że Madonna Lukrecja wysłała wiadomość, domagając się mojej obecności.

Czy jest rzymianin, który nie kochałby *la campagna*? My wszyscy, dumni mieszkańcy miasta, chwytamy wszelkie okazje pozwalające na wypad na wieś, aby przyglądać się oraczom, ganiać spłoszone ptactwo i ogólnie robić z siebie głupców. A kiedyż jest na to lepszy czas niż latem, gdy miasto smaży się w upale, i co tu ukrywać, po prostu śmierdzi?

Giulia la Bella wymyśliła taką wycieczkę, żeby podnieść na duchu swojego zapracowanego kochanka, a Lukrecja mnie na nią zaprosiła. Nie byłam temu zbyt rada, bo obowiązki wymagały, żebym pozostała na miejscu, ale moja odmowa mogła wzbudzić podejrzenia. Poza tym na czele wyprawy stał Il Cardinale, a moje miejsce było tam, gdzie on.

Płynęliśmy w kilku łodziach w górę Tybru. Odnosiłam wrażenie, że towarzyszą nam wszyscy mieszkańcy obydwu domów – strażę, czeladź, służba, muzykanci, kucharze i księża, nie wspominając o psach, kilku koniach, papudze La Belli, która darła się przez całą drogę, i jednej świni. Nie mam pojęcia, co ta ostatnia tam robiła, ale ponieważ towarzyszyła nam również w drodze powrotnej, przypuszczam, że była czymś ulubionym zwierzątkiem.

Kilka kilometrów na północ od miasta przybiliśmy do brzegu w pobliżu niewielkiej, ładnej willi, którą La Bella dostała od swojego nieobecnego męża. Była położona wystarczająco daleko od granic Rzymu, aby mogły otaczać ją bujne lasy i miłe uchu strumienie, ale też dogodnie blisko na jednodniową wycieczkę. Słudzy ustawili się wzdłuż brzegu, żeby nas powitać i pomóc nosić niezliczone skrzynie, kosze i pakunki, niezbędne nawet na tak krótki wypad na wieś.

Sama La Bella została sprowadzona z łodzi przez Kardynała, który krzątał się wokół niej z czułą troską. Jej brzusek dopiero zaczął się zaokrąglać, ale wzmacniała efekt wyginając się do przodu, gdy się do niego uśmiechała. Borgii daleko było do rozkochanego starego pryka, ale wiedział, jak rozgrywać grę w wymaganych okolicznościach.

Lukrecja pobiegła przodem, wołając, żebym za nią poszła. I tak zrobiłam, ale dopiero po tym, jak zamieniłam szybkie słowo z nadzorcą willi, który przerwał doglądanie przeładunku, żeby mi towarzyszyć. Wiedział, kim jestem.

Dostrzegłam, że jest podenerwowany moją obecnością, ale w moim zawodzie należy tego oczekiwać. A po prawdzie często jest to nawet korzystne. Przyjął moje instrukcje bez najmniejszych obiekcji – żadnej strawy, napojów, naczyń, przyborów czy pościeli, z wyjątkiem tych, które ze sobą przywieźliśmy, chyba że je wcześniej sprawdzę – i zapewnił mnie, że w willi nie było nowych pracowników. Vittorio wysłał z nami porucznika, który miał przetrząsnąć kwatery Kardynała, zanim Borgia do nich wejdzie, szukając jakichkolwiek ukrytych tam pułapek czy broni.

Gdy zrobiłam już wszystko, co do mnie należało, poszukałam Lukrecji. Odnalazłam ją na małym centralnym dziedzińcu. Wirowała wokół własnej osi z twarzą uniesioną do nieba i szeroko rozłożonymi ramionami. Gołębie uniosły się z parapetów, przefruając na gałęziach drzew. To był ładny widok.

– Prawda, że tu jest wspaniale, Francesca?! – krzyknęła Lukrecja. – Czy nie byłoby wspaniale przez cały czas mieszkać na wsi?

– Nie sądzisz, że szybko byś się tym znudziła? – zapytałam, uśmiechając się do niej.

Przestała się obracać i powiedziała poważnie:

– Oczywiście, że nie. Miałabym przecież męża i dzieci, których musiałabym doglądać.

Jeżeli wydaje wam się ironią, że kobieta, która pragnęła jedynie być oddaną żoną i matką, została potem potępiona przez świat za rozwiązłość i jeszcze gorsze rzeczy, zapewniam was, że mnie też.

Jej nastrój znowu się poprawił. Posłała mi kokieteryjne spojrzenie, które – jak wiedziałam z doświadczenia – znaczyło, że ma tajemnicę, którą niecierpliwie chce się ze mną podzielić.

– La Bella ma dla papy niespodziankę – zdradziła.

Myślałam, że wystarczającą niespodzianką dla sześćdziesięcioletniego Borgii była in-

formacja, że znów zostanie ojcem, ale widocznie Giulia miała w zapasie coś jeszcze.

– Przedstawienie – ogłosiła Lukrecja i klasnęła w dłonie. – Przywieźliśmy kostiumy i próbowaliśmy sceny z *romanzos*. Muzykanci skomponowali specjalny utwór i mamy nawet dekoracje. To będzie cudowne!

– Jestem o tym przekonana – powiedziałam, chociaż jeśli chodzi o mnie, obawiałam się takich rzeczy.

Tę awersję odziedziczyłam po ojcu, który nie popierał tego typu wydarzeń na chronionym przez siebie terenie, bo kiedy ludzie noszą kostiumy i maski, nie można być pewnym, kim są i jakie mają zamiary. A wewnątrz maski jest szczególnie dobrym miejscem do umiejscowienia trucizny, która szybko wnika w śluzówki oczu, nosa, ust i...

Przepraszam. Nie zamierzałam dostarczać wam takich instrukcji. Boże broń. Wystarczy powiedzieć, że moje posępne myśli nie mogły powstrzymać entuzjazmu Lukrecji. Złapała mnie za rękę i zaangażowała do pomocy przy tym i tamtym. Musiałam też wysłuchać jej kwestii, ocenić taneczne kroki i w ogóle poczuć się potrzebna nie tylko po to, aby badać wszystko, czego zamierzali użyć. Dopiero po wielu godzinach domyśliłam się, że celowo starała się odwrócić moją uwagę od innych spraw.

– Jesteś ostatnio taka smutna – rzekła, kiedy jej to powiedziałam. – Chcę tylko podnieść cię na duchu.

– To bardzo miłe z twojej strony – odrzekłam, choć nie do końca jej wierzyłam.

Nie to, żeby Lukrecja miała skłonność do kłamstwa; była dużo bardziej szczerą niż większość ludzi, których znałam. Ale jak w przypadku każdego z nas, jej działaniem mogło kierować wiele powodów.

W tamtej chwili wydawała się zainteresowana jedynie ubraniem mnie w kostium, który dla mnie przygotowała.

– Musisz – upierała się, gdy zaprotestowałam. – Wszyscy będą dzisiaj kimś innym. Papa ma być Jowiszem, Giulia, oczywiście, Wenus, a ja będę Dianą. Mam gustowny srebrny łuk. A ty będziesz Minerwą. Mam nawet dla ciebie sowę, ale nie martw się, jest w klatce.

To, że wybrano mnie, abym przedstawiała boginię mądrości, pochlebiło mi wystarczająco, żeby uspokoić obiekcje. Chociaż nie czułam się dobrze w cieniutkiej lnianej tunice, spiętej na ramionach małymi złotymi broszkami i związanej w pasie. Z pewnością w takim upale była wygodniejsza niż moje zwykłe ubranie, ale sprawiała, że czułam się prawie naga.

Kiedy zebraliśmy się na kolację i przedstawienie, nie zauważyłam, żeby inni w swoich przebraniach czuli się skrępowani. Wprost przeciwnie. Borgia zachowywał się swobodnie w obszytej purpurą todze, która chyba bardziej mu pasowała niż jakikolwiek strój duchownego. Zaśmiewał się z La Bellą, która, muszę przyznać, była wspaniałą Wenus. Jej suknia była nawet cieńsza niż moja, na tyle cienka, że ukazywały się pod nią ciemne aureole stuków. Nosila ją z pewnością siebie.

Samo przedstawienie udało się wyśmienicie, wszyscy klaskali w uznaniu dla takiego wysiłku. Nawet służba, również w przebraniach, wydawała świetnie się bawić. Muszę przyznać, że trochę się obawiałam, iż przyjęcie może okazać się nieprzyzwoite, jak to podobno Kardynał czasem lubił. Ale prawdopodobnie z uwagi na obecność jego młodzieńczej córki oszczędzono nam tańców nagich kobiet i innych rozrywek tego rodzaju.

Zaczynałam już naprawdę się rozluźniać i dobrze się bawić, kiedy kątem oka zauważyłam mężczyznę, którego wcześniej tam nie widziałam.

Jego twarz była ukryta pod maską z kutego srebra, ale widziałam, że jest wysoki, czarnowłosy i bardzo dobrze zbudowany, co wyraźnie rzuciło się w oczy z uwagi na to, że był ubrany w krótką togę. U boku miał miecz, a do pleców przymocowaną tarczę, przez co zgadłam, że miał uosabiać Marsa, boga wojny.

Posilaliśmy się na dziedzińcu, na wzór starożytnych Rzymian spoczywając na kanapach. Mężczyzna wyszedł z cienia rozciągającego się między pochodniami rozstawionymi wokół nas w sporych odstępach. W tym samym czasie, gdy go spostrzegłam, Kardynał wstał, powiedział słówko Giulii i wszedł do willi. „Mars” musiał zrobić to samo, bo kiedy podniosłam wzrok, już go nie było.

Wstałam kierowana odruchem. Tłumaczyłam sobie, że jestem niemądra, bo willa była strzeżona i nikt nie mógł się tu przemknąć niezauważony. Nie było żadnego niebezpieczeństwa. Mimo wszystko szłam z nadzieją, że spotkam porucznika Vittorio, który lepiej ode mnie będzie wiedział, co zrobić.

Niestety nigdzie go nie było. Przed sobą, w końcu wyłożonego drewnem korytarza, zauważyłam zamykające się drzwi. Podkrađłam się bliżej, wstrzymując oddech, i przyłożyłam ucho do rzeźbionego drewna.

Czy podsłuchiwałam? Tak, oczywiście, ale nie z dziecinnej ciekawości, a przynajmniej nie tylko.

Nie spodziewałam się, że Borgia wyjawi mi wszystko, co robi, i opowie o każdym, z kim się widział, ale nie mogłam nawet myśleć o tym, aby go odpowiednio chronić, jeżeli obce osoby mogły do niego wchodzić i wychodzić bez żadnych ograniczeń. W palazzo był cały regiment straży pod wodzą bardzo kompetentnego Vittorio, który zapobiegał takim zdarzeniom. Ale tu, w willi, sprawy się miały zupełnie inaczej.

Wszystko, czego potrzebowałam, to jakaś wskazówka, że Borgia znał tego człowieka i że jego obecność nie była groźna. Mogłabym wtedy spokojnie i z przekonaniem odejść, zostawiając ich dyskutujących – a może raczej spiskujących – aż do woli.

Drzwi były bardzo grube, więc głosy z ich drugiej strony słabo do mnie docierały. A jednak od razu byłam pewna, że to, co słyszę, jest kłótnią. Dwa głosy, obydwaj męskie, obydwaj podniesione, obydwaj w złości.

A potem huk.

Z trzaskiem otworzyłam drzwi i bez zastanowienia weszłam do środka.

Nie pytajcie, co zamierzałam zrobić, nie mogłabym na to odpowiedzieć.

Nie miałam broni, a nawet gdybym miała, jaki pożytek mogłabym z niej zrobić w obliczu boga wojny? Ale podjęłam się zadania ochrony Borgii i nie mogłam pozwolić na to, żeby doznał krzywdy, przynajmniej bez próby, aby temu zapobiec.

– Signore... – zaczęłam, żeby zamilknąć gwałtownie na widok sceny, którą miałam przed sobą.

Kardynał stał tam w przebraniu Jowisza i nie był sam. Był z nim Mars, a może powinnam powiedzieć Cesare?

Ojciec i syn odwrócili wzrok od wazy, którą jeden z nich musiał właśnie strącić, żeby spojrzeć na mnie.

Pierwszy odezwał się Borgia:

– Co, u diabła...?

Cesare pozbierał się szybciej, zawiesił na mnie spojrzenie swoich ciemnych oczu i uśmiechnął się.

– Signorina, jak miło. Proszę, wejdź.

Dopiero wtedy dotarło do mnie, że – w odróżnieniu od nich – wciąż mam na twarzy maskę.

Próbowałam szybko się wycofać.

– *Scusa*¹² – powiedziałam i zdołałam nawet wydać z siebie chichot. – Trafiłam nie tam, gdzie chciałam. *Scusa*.

To mogło nawet zadziałać. Borgia był rozproszony, zdziwiony obecnością syna, który powinien znajdować się w Pizzie, zajmując się rodzinnymi interesami, a Cesare był... Cesare. Nie miałam powodu, aby myśleć, że mnie rozpozna, w masce czy bez niej. Na pewno nasze spotkanie w bibliotece nie wywarło na nim aż takiego wrażenia, żebym miała trwać w jego myślach po tylu miesiącach.

– Francesca?

*Ay, il mio dio!*¹³ Zrobiło mi się zimno, potem gorąco, poczułam, jak palą mnie policzki, i kurczowo złapałam się drzwi.

Ten, który pozbawił mnie dziewictwa, nic sobie z tego nie robił. Śmiejąc się, podszedł do mnie, chwycił obie moje dłonie jedną ręką, a drugą zdarł mi maskę.

– Francesca! – powiedział triumfalnie. – Wiedziałem, że to ty.

– Pomyliłam się – odparłam szybko. – Myślałam...

– Że mój ojciec jest w niebezpieczeństwie – domyślił się Cesare. – Prawda?

Udało mi się tylko skinąć głową, ale to mu wystarczyło. Wciąż mnie trzymając, odwrócił się do Kardynała.

– I pomyśleć, że miałem wątpliwości, czy można jej powierzyć twoje bezpieczeństwo. Powinienem być wiedzieć lepiej.

Borgia chrząknął. Nie wyglądał ani na zadowolonego, że mnie widzi, ani na szczególnie niezadowolonego. Całą uwagę skierował na syna.

– Nie masz tu nic do roboty, Cesare – rzekł. – Powiedziałem ci jasno, że musimy być dyskretni, przynajmniej przez jakiś czas.

– Wiem, papa, wiem – odparł syn bez śladu skruchy. – Ale, jak dobrze wiesz, pewnych spraw nie można powierzyć listom.

– Twoje skargi mogą poczekać na inną okazję – odpowiedział Kardynał. Ze znużeniem machnął ręką. – Nie mogę uwierzyć, że Giulia zaaranżowała to za moimi plecami...

– Nie zrobiła tego – zaprzeczył Cesare. – Lukrecja to zasugerowała. Jest dobrą siostrą.

– Jest dla ciebie zbyt wyrozumiała – warknął Borgia. – Podobnie jak ja byłem. Idź, Cesare, i nie chcę cię widzieć, dopóki po ciebie nie poślę. *Capisca*¹⁴?

Palce Cesare tak mocno zacisnęły się na moich nadgarstkach, że omal nie krzyknęłam. Niepomny tego, co robi, powiedział:

– Rozumiem, ojczu. Ale ty też musisz zrozumieć. Ja nie...

– Idź! – zagrzmiął II Cardinale.

I poszliśmy, ja skrzywiona z bólu i próbująca się uwolnić, Cesare z chmurną twarzą i zbyt zajęty swoimi myślami, aby zauważyć, że wciąż jestem jego więźniem. Ale tylko dopóki byliśmy w przejściu prowadzącym do drzwi Borgii. Potem się zatrzymał, spojrzał w dół na swoją rękę na moich dłoniach i pchnął mnie na ścianę.

– Nie słucha mnie! Dlaczego? Jestem jego synem! Mam prawo...

Naciskał na mnie mocno, ten chłopak, którego duma, ambicja, zazdrość i żądza były częścią napędzającego go szału; nie tylko wtedy, a przez całe życie. Później, jako mężczyzna, miał nad sobą trochę większą kontrolę, ale jeszcze nie wtedy.

W tych okolicznościach widziałam tylko jeden sposób na to, żeby to zakończyć, i nie bardzo mi się on podobał. Ja też miałam swoją dumę.

Pochyliłam się do przodu, zbliżyłam usta do jego ucha i syknęłam:

– Puść mnie.

W tym samym czasie przycisnęłam kolano do jego intymnych miejsc.

Do dziś, zawsze jak przypomina mi się wyraz jego twarzy, nie mogę powstrzymać śmiechu, choć w owym czasie daleko mi było do rozbawienia.

Spojrzał na mnie oniemiały. Jeszcze mocniej nacisnęłam kolanem.

– Nie zapominaj, kim jestem – powiedziałam.

Brawo, Francesco! Wyrazy uznania dla młodej, bezbronnej dziewczyny, którą byłam! I pomyśleć, że dopiero się uczyłam, jak załatwiać sprawy prywatnie i zawodowo. Brawo!

Cesare puścił moje dłonie. Zrobił szybki krok w tył i gapił się na mnie, jakbym była jakimś rzadkim stworzeniem, którego jeszcze nigdy nie wiedział.

– Nie zamierzałem... – zaczął.

Machnęłam tylko ręką. Osiągnąwszy to, o co mi chodziło, musiałam działać szybko, żeby przywrócić mu godność.

– Na Boga, Cesare, co sobie wyobrażałeś? Czy nie wystarczy, że przyjechałeś tu bez pozwolenia ojca? Chcesz jeszcze zostać złapany in flagranti z jego trucicielką? Musieliby w Rzymie ogłosić święto, bo i tak wszyscy byliby zbyt pochłonięci plotkami, żeby pracować.

Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, a potem odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem. Byłam przekonana, że Kardynał to usłyszał i każe mu się uciszyć, ale złapał mnie za rękę, tym razem delikatnie, i popędziliśmy razem wzdłuż korytarza. Nieokiełznana energia Cesare, jego pasja życia i lekceważenie krytyki, która powstrzymuje innych śmiertelników, nigdy nie przesta-

wały robić na mnie wrażenia. Wpadał i wypadał z mojego życia jak silny wiatr wiejący po domu, zmiatający pajęczyny i przestawiający meble. Wymaga to późniejszych porządków, ale sam moment jest niezwykle.

Brakowało mi tchu i śmiałam się jak szalona, dopóki nie zatrzymaliśmy się w kącie ogrodu, z widokiem na uczujących, jednak ukryci przed nimi w cieniu.

Przechodzący obok sługa wystraszył się, gdy Cesare wyciągnął rękę, chwytając butelkę wina. Za nią podążyły kielichy i taca mięs.

– Umieram z głodu – powiedział Cesare, siadając na trawie. – Jechałem cały dzień, założyłem to przebranie – poklepał togę – i po co to wszystko? Mówię ci, zaczyna mnie opuszczać cierpliwość. – Ale jego nastrój, zawsze nieprzewidywalny, wydawał się poprawiać. Klepnął trawę u swojego boku.

– Nie musisz od razu uciekać, prawda? Dotrzymaj mi towarzystwa.

Jak mówiłam wcześniej, świadomość potępienia jest dziwnie wyzwalająca. To, i fakt, że jestem w wystarczającym stopniu rzymianką, aby wierzyć, że należy oddawać się przyjemnościom życia, gdy tylko jest po temu okazja. Usiadłam i przyjął kielich, który mi podał, przyglądając mu się nad jego brzegiem, gdy zajadał się mięsem. Był naprawdę pięknym mężczyzną.

Pomiędzy kęsami powiedział:

– Naprawdę mi przykro z powodu śmierci twojego ojca. Wstrząsnęła mną wiadomość od Lukrecji. Gdyby nie ona, nie wiem, czy wiedziałbym połowę tego, co tutaj się dzieje.

Jak zwykle w przypadku Borgiów współczucie dla innych było podporządkowane ich własnym potrzebom. Ale rozumiałam to, podobnie jak myślałam, że rozumiałam Cesare.

– Twój ojciec chce cię tylko chronić – powiedziałam. – To trudne czasy.

– A kiedy nie były trudne? – zapytał drwiąco. – Ale to nasze czasy, czasy Borgiów. Ojciec musi teraz objąć papieżstwo, później nie będzie już na to szansy.

– Innocenty... – zaczęłam, ale Cesare nie chciał nawet słuchać.

– Ten gnijący eunuch. – Wykrzywił z obrzydzeniem usta. – Dlaczego nie ma na tyle przyzwoitości, aby umrzeć?

– Ludzie mówią, że boi się stanąć przed sądem bożym.

– Bo i powinien! Rzeczy, które robił... – Nappełnił nam kielichy i spojrzał na mnie z powagą.

– Nie może żyć dużo dłużej, prawda?

Zawahałam się niepewna, jak dużo wiedział Cesare albo przynajmniej podejrzewał.

Decydując się raczej zgrzeszyć nadmiarem ostrożności, powiedziałam:

– Wszystko w rękach Boga.

Cesare zmarszczył brwi. Przysunął się tak blisko, że mogłam poczuć jego oddech na policzku.

– Jaka z ciebie trucicielka? – szepnął.

Odsunęłam się trochę i poczułam na plecach jego rękę. Nie pamiętałam, żeby ją tam kładł, ale nie próbowałam też mu tego wyperswadować. Przez chwilę ujrzałam w myślach nie Cesare, a Rocco, który przekształcał ogień w czyste jak kryształ światło. Przedemną rozciągała się ścieżka pociągająca mnie swoją słodyczą, ale czułam się niegodna po niej stąpać. Byłam, kim byłam. Tym, czym nazwał mnie Cesare: trucicielką. I tu nie kończyły się moje grzechy. Miałam ręce zbroczone krwią, w pełnym tego słowa znaczeniu. Budziłam się z krzykiem z koszmaru, którego nie mogłam powstrzymać ani zrozumieć. Byłam, jak bardzo nie pragnęłabym, aby było inaczej, tworem ciemności.

Tak jak Cesare.

On akceptował swoją naturę. Mnie nie do końca to się udawało, ale nie mogłam również odrzucić jedynej osłody, jaką potrafiłam znaleźć.

Nasze usta już prawie się dotykały, kiedy powiedziałam:

– Najbardziej niebezpieczna... śmiała, nieprzewidywalna... – Sięgnęłam w dół, pod jego krótką tunikę. – Pełna wyobraźni...

Śmiał się, kładąc mnie na pachnącej trawie. Z drugiej strony ogrodu grali muzykanci. Nad moją głową wirowały robaczki świętojańskie. Patrzyłam na nie przez chwilę, a potem już nic nie

widziałam.

Następnego dnia wróciliśmy do miasta, to znaczy wszyscy oprócz Cesare, którego nie było już, gdy się obudziłam. Miałam nadzieję, że pojechał do Pizy i miał na tyle rozsądku, żeby pozostać tam, dopóki jego ojciec nie zdecyduje inaczej.

Towarzystwo było bardziej przygaszone niż poprzedniego dnia, ale tak to już jest z podróży. Oczekiwania są zawsze bardziej ekscytujące niż samo doświadczenie.

No, może nie zawsze. Czasem doświadczenie spełnia najwyższe oczekiwania.

Gdy przyszedłam na dziedziniec na śniadanie, Lukrecja spojrzała na mnie i zachichotała. Próbowałam zgromić ją wzrokiem, ale wątpię, żeby zrobiło to na niej wrażenie. Była przynajmniej na tyle uprzejma, żeby nic nie mówić. Jeżeli ktokolwiek inny zauważył obecność Cesare albo to, z kim spędził noc, był zbyt zajęty własnymi intrygami, aby to skomentować.

Jedynym wyjątkiem był sam Kardynał. Gdy wsiadaliśmy na łódź, aby powrócić do Rzymu, odwrócił się do mnie i powiedział:

– Może ty będziesz w stanie przemówić mu do rozumu.

Nie byłam zdziwiona, że Borgia wiedział o moim związku z Cesare, chociaż wołałabym, żeby pozostał on w sekrecie. Il Cardinale miał oczy wszędzie. Ale nie chciałam brać żadnej odpowiedzialności za krnąbrnego najstarszego syna, który odrywał kaski władzy, która mu się należała z racji urodzenia.

Wejść pomiędzy Cesare a jego ojca w każdym przypadku byłoby szaleństwem.

– Bardzo wątpię, signore – odpowiedziałam.

Borgia zmarszczył brwi, ale nic więcej nie powiedział. Wkrótce zobaczyłam go siedzącego z La Bellą pod daszkiem przy dziobie. Karmiła go jagodami, a on wydawał się być w lepszym nastroju.

To samo można by powiedzieć o mnie. Uległam głupio, jednak bardzo przyjemnie. Ale teraz naszły mnie jaskrawe wspomnienia nieprzyjemnego tygodnia, jaki przeżyłam po wcześniejszej przygodzie z Cesare w bibliotece, dopóki nie odkryłam z wielką ulgą, że nie będzie miała żadnych konsekwencji. Tym razem nie byłam pewna, czy powinnam się niepokoić, czy nie. Jeżeli powiedzie się to, co zamierzałam, była duża szansa, że nie pożyję długo, więc martwienie się o wszystkie inne sprawy było dyskusyjne.

Jednak na wszelki wypadek przy pierwszej sposobności zrobiłam sobie irygację z octu i anyżówki. Tę mieszkankę niektórzy uważali za skuteczną, ale ja miałam wątpliwości. Dysponowałam bardziej drastycznymi sposobami, ale jako trucicielka wiedziałam, jak trudno było skutecznie z nich korzystać bez ryzyka trwałego uszczerbku na zdrowiu. Postanowiłam, że w przyszłości – jeżeli się okaże, że będę ją mieć – zrobię krążek z wosku pszczelego, ulubione wyjście rozsądnych niewiast, i będę go zawsze miała pod ręką. Możecie z tego wnioskować, że wróciłam do Rzymu rozdarta pomiędzy determinacją, aby trwać na wybranym kursie, a naturalnym pragnieniem pozostania przy życiu. Mielibyście rację, ale wiedźcie również, że postanowiłam się nie poddawać.

W towarzystwie Vittorio wróciłam do getta i szybkim krokiem szłam do pracowni Sofii. Chociaż od mojej ostatniej wizyty minęły ledwie dwa dni, było jasne, że warunki znowu uległy tu pogorszeniu. Nie to, żeby wszyscy uchodźcy z Hiszpanii przybywali do nas. Kilka innych miast chciało ich przyjąć – w szczególności Amsterdam – a paru szczęśliwców pożeglowało do Turcji pod protekcją Sultana Bajazyda II. Jednak tu przybyło wystarczająco wielu, żeby stało się jasne, iż jeżeli wkrótce coś się nie zmieni, pojawi się bardzo realna groźba zarazy, która zawsze wydaje się wybuchać tam, gdzie biedni i zrozpaczeni gromadzą się razem.

Bałam się myśleć, co może się stać, gdyby przyszła zaraza. Oczywiście winą obarczono by Żydów i rozpętałoby się piekło. Niewykluczone, że getto stałoby się ich stosem pogrzebowym, chyba że znalazłby się papież, który by ich obronił.

O tym właśnie myślałam, idąc wzdłuż kolejki czekającej przed pracownią apteczną. Sofia była w środku, zajmując się chorym dzieckiem. Dołączyła do mnie w pokoju na tyłach tak szybko, jak mogła. Przyniosłam obiecane zapasy, a nawet więcej. Zauważyła to, ale przeszła prosto do rzeczy.

– Mamy czerwonkę, puchlinę wodną, febrę i obawiam się, że przynajmniej jeden przypadek influenzy.

Ta ostatnia zwróciła moją uwagę. Choroba, która wywołuje dreszcze, wysoką gorączkę i płyn w płucach pojawiła się we Florencji parę lat temu, ale tam nie została, przenosząc się do Mediolanu i Rzymu. Ma tendencję do szybkiego rozprzestrzeniania się, ale też szybko wygasa. Wielu nią dotkniętych umiera, ale większość przeżywa. Medycy łączą tę chorobę z niekorzystnymi astrologicznymi wpływami – influenzami, stąd też nazwa. Dla mnie oznacza to tylko tyle, że nie mają większego pojęcia, co ją powoduje, podobnie zresztą jak w przypadku innych chorób.

– Puchlina nie zabija wystarczająco szybko – powiedziałam poważnie.

Krwisty obrzęk tkanek, szczególnie w okolicy serca, zwykle kończy się zgonem, ale może to zająć nawet lata, a przynajmniej tak rozumiałam z bardzo niewielu zatwierdzonych sekcji, które wykonano na uniwersytetach w Bolonii, Padwie i Salerno.

– Febra i czerwonka mają objawy, które za bardzo przypominają otrucie – ciągnęłam. – Jeżeli Innocenty umrze na którąś z nich, od razu będzie się podejrzewać udział Borgii. A jeśli chodzi o influenzę...

Nie przypominała trucizny, ale niestety wydawała się bardziej związana z flegmą niż z krwią.

– Nie wydaje mi się, żeby podziałała – powiedziałam jej dłaczego.

Sofia zgodziła się ze mną. Odciągnęła mnie trochę dalej, na tyle daleko, żeby mieć pewność, że nie usłyszy nas Vittorio.

– Jesteś całkowicie pewna, że chcesz to zrobić? – zapytała.

Przytaknęłam.

– Czas ucieka, musimy działać teraz. Wierzę, że znalazłam sposób na dotarcie do Innocentego, ale nie mogę go wykorzystać, dopóki nie mam tego, czego szukamy.

Wahała się dłuższą chwilę i szybko skinęła głową. Biorąc mnie za rękę, zaprowadziła do siennika ułożonego w kącie, z dala od innych pacjentów i otoczonego zasłoną.

– Zajrzyj tam – powiedziała.

Zobaczyłam mężczyznę, który mógł mieć dwadzieścia parę lat. Nie było łatwo odgadnąć jego wieku, tak był chory, ale na pewno był młody. Jego ciemne włosy w spoconych pasmach przylegały do czaszki, skóra była zaczerwieniona i roztaczał się wokół niego cuchnący, słodkawy odór. Uklęknęłam przy nim i dotknęłam ręką jego czoła. Szybko ją zabrałam, gdy poczułam rozpaloną skórę.

– Co mu jest? – spytałam.

– Nie wiem – odpowiedziała Sofia.

Wśród wielu cech jej charakteru, które zaczynałam cenić, gotowość przyznania się do ignorancji była jedną z najrzadziej spotykanych.

Ona również przy nim przyklękła i delikatnie odsunęła okrywający go koc wystarczająco, aby odsłonić ramię. To, co zobaczyłam, spowodowało, że skrzywiłam się z nieukrywanym obrzydzeniem. Wciąż było widać, że ciało było niegdyś bardzo umięśnione, ale większość tkanki została zjedzona przez czarną zgniliznę, która wydawała się rozszerzać, wysyłając czerwone macki wzdłuż całej ręki.

– Co mu się stało? – zapytałam.

– Ma na imię Joseph. Wczoraj przyszedł tutaj pod naciskiem żony. Miał rozcięcie na ramieniu, mniej więcej sprzed tygodnia. Teraz nawet nie można go zobaczyć, ale tam było, całkiem dobrze widoczne. Skóra wokół była twarda i gorąca w dotyku. Miał gorączkę i wydawał się zdezorientowany. Przekonałam go, żeby się położył, i od tego czasu nie wstał. Żona poszła do domu zajmować się dziećmi, ale wysłałam jej wiadomość, aby wkrótce wróciła, a przynajmniej, jeśli chce go jeszcze zobaczyć żywego.

– Masz jakiegokolwiek pojęcie, co może go zabijać?

– Nie mam – odpowiedziała. – Jego tętno było bardzo gwałtowne, ale teraz osłabło. Opuchlizna przemieszcza się wraz z czerwonymi liniami, które układają się wzdłuż naczyń. Słuchałam serca, ono także słabnie. Płuca są przekrwione i nie może już oddawać moczu. Umrze w ciągu paru godzin. – Westchnęła i usiadła na piętach, patrząc na to, co jeszcze niedawno było młodym mężem i ojcem. – Nic nie mogę dla niego zrobić.

– Myślisz, że to, co go zabija, zatrulo jego krew?

– Nie wiem, gdzie jeszcze mogłoby to być. – Spojrzała na mnie. – Zabija bardzo szybko i nie przypomina objawów trucizny, prawda?

Prawda, nie przypominało. Żadna znana mi trucizna nie wywoływała takich objawów. Co więcej, wierzyłam, że miała rację i zaraza była we krwi.

Ale nie mogłam być pewna.

A to przyprowadziło mnie do tego, o czym nie chciałam myśleć, ale co, jak to często bywa, zajęło w mojej głowie pierwsze miejsce.

– Prawdopodobnie będziemy mieli tylko jedną szansę – powiedziałam.

Sofia ściągnęła usta.

Po tym prostym geście poznałam, że jej myśli podążają tą samą ścieżką.

– Będzie wystarczająco trudno zbliżyć się do Innocentego nawet ten jeden raz – ciągnęłam jednak, bo tak samo starałam się przekonać siebie i ją. Patrząc znowu na cierpiącego młodego człowieka, powiedziałam cicho: – Musimy mieć pewność.

Był tylko jeden sposób, żeby tę pewność uzyskać.

– Co chcecie zrobić? – zapytał niedługo później David ben Eliezer, po którego posłała Sofia. Mogłam zrozumieć, że nie chciała, żeby ta decyzja należała tylko do niej.

Rozmawialiśmy w pokoju na tyłach, starając się mówić jak najciszej, żeby nikt nas nie usłyszał.

– Musimy to sprawdzić – powiedziałam. Sam pomysł napawał mnie odrazą, ale nie widziałam innego wyjścia. – Musimy mieć pewność, że krew tego człowieka rzeczywiście zawiera chorobę wystarczająco potężną, żeby zabić. Jeżeli nie, nawet nie ma sensu próbować przy tak wielkim ryzyku.

– Wypróbować to na zwierzęciu? O tym myślicie?

Pokręciłam głową.

– Wiemy, że są choroby, które dotyczą ludzi, ale nie robią nic zwierzętom i na odwrót. To musi zostać sprawdzone na człowieku.

– Zgłaszasz się na ochotnika? – zapytał.

Rozumiałam, że przemawia przez niego usprawiedliwiona zgroza wywołana moją propozycją, ale nie mogłam się poddać.

– Ja zaniosę to do Zamku Świętego Anioła. Ja znajdę sposób, aby podmienić ją na krew, którą pije Papież. Nie będę mogła tego zrobić, jeżeli będę martwa.

Sofia położyła mu dłoń na ramieniu.

– Żadnemu z nas nie jest łatwo o tym mówić – powiedziała cicho. – Ledwo mogę wytrzymać tę myśl. Ale przez cały czas wiedzieliśmy, że przyjdzie nam zapłacić wysoką cenę za to, co musimy zrobić.

– Nie to – powiedział David. – O czymś takim nigdy nie myśleliśmy.

Oczywiście miał rację. Jak bardzo ja nie bałabym się o swoją duszę, Żydzi próbowali jedynie ratować swoje życie. Na pewno Bóg to zrozumie i im wybaczy.

Ale teraz prosiłam ich, żeby zabili kogoś, kto nie zrobił nikomu żadnej krzywdy, niewinną osobę.

– Ja to wypróbuję – powiedział David. Jego oczy przypominały ciemne jeziora, tak blada stała się jego twarz. – W końcu to wszystko mój pomysł. Nie mogę prosić nikogo innego, aby podjął takie ryzyko.

– A my nie możemy pozwolić sobie na to, żeby cię stracić – odrzekła Sofia. Spojrzała na niego z matczyną czułością. – Kto inny będzie naszym lwem, Davidzie? Kto inny będzie nas chro-

nił?

Jego oczy zaszyły łzami, a ku mojemu zdziwieniu, moje również.

Zanim mógł się dalej z nami spierać, powiedziałam:

– Nie ma sensu testować tego na kimś młodym i zdrowym, bo Papież nie ma ani jednego, ani drugiego. Jest stary i słaby. Powinno się to wypróbować na kimś w podobnym stanie.

– To nie jest właściwe – odrzekł David. – Starych też trzeba chronić.

Poczułam na ramionach mroczny ciężar. Rozumiałam, jak się czuł, z całego serca popierałam jego współczucie. Ale wiedziałam też, że w realnym świecie, nie w takim, jakim chcielibyśmy go widzieć, czasem trzeba robić straszne rzeczy. Po prostu nie ma wyjścia. Możemy tylko wybrać mniejsze zło.

Nie mogłam jednak przestać się zastanawiać nad tym, jakim jestem człowiekiem, że swoje bardziej ludzkie odruchy szczelnie zamykam za zimnym praktycyzmem.

– Nie możemy prosić kogokolwiek, żeby to zrobił – powiedziała Sofia – zanim w pełni mu tego nie wytłumaczymy.

Oczywiście istniało tu pewne ryzyko. Nawet sugestia takiego działania mogła podnieść wrzawę. Jeżeli rabini i kupcy dowiedzieliby się, co robimy, na pewno staraliby nas powstrzymać.

– Czy masz... kogoś na myśli? – spytałam.

David wzdrygnął się i odwrócił wzrok, ale Sofia spojrzała mi w oczy.

Powoli pokiwała głową.

Stara kobieta leżała na sienniku w jednym z pokoiów na tyłach domu, gdzie została przeniesiona z głównego pomieszczenia pracowni. Pomimo ciepłego dnia była przykryta kocem, który pod warstwą brudu ukazywał najlepszej jakości owczą wełnę. Jej siwe włosy były rozrzucone. Chociaż policzki i oczy były zapadnięte, a skóra porwana siecią drobnych zmarszczek, można było zgadnąć, że kiedyś była piękna.

– Rebeka – powiedziała z czułością Sofia, klękając obok niej i biorąc ją za rękę.

Powieki zadrgały i powoli się uniosły.

– Pamiętasz, o czym niedawno rozmawialiśmy? – zapytała Sofia.

Mówiła po katalońsku, w języku, który rozumiałam, ponieważ był rodzinnym językiem Borgia, których w Hiszpanii nazywano de Borya. Rzymianie nigdy nie pozwolili im zapomnieć o hiszpańskim pochodzeniu, więc trzymali się go z wyzywającą dumą.

Kiedy stara kobieta przytaknęła, Sofia powiedziała:

– To Francesca. Ona nam pomoże.

– Więc to mi się nie śniło? – spytała Rebeka. Jej głos był tak słaby, że musiałam się pochylić, aby ją usłyszeć, ale w miarę, jak mówiła, wydawał się nabierać na sile. – To, co mi powiedziałas... było prawdziwe?

Sofia musiała wcześniej z nią rozmawiać. Nie wiem, jaki był tego przebieg, ale cieszyłam się, że to nie ja musiałam jej wytłumaczyć, czego potrzebujemy.

– Zagrożenie jest dla nas wszystkich aż nazbyt prawdziwe – powiedziała. – Chciałabym, żeby było inaczej, ale nie jest. Wiem, że to, o co cię prosimy, jest potworne...

Rebeka z trudem uniosła dłoń naznaczoną niebieskimi żyłami.

– Cała moja rodzina... mój mąż, dzieci, moje piękne maleńkie wnuki... już ich nie ma... – Łzy spłynęły po jej zniszczonych policzkach.

– Trafiła do nas tydzień temu. Została przyniesiona przez ludzi, którzy znaleźli ją na ulicy – wyjaśniła mi Sofia. – Jest z Lizbony. Jej rodzina została zatrzymana, gdy chcieli opuścić miasto. Oskarżono ich o to, że próbują wywieźć pieniądze. Nie wiem dokładnie, co się dalej stało, ale świadek powiedział, że tylko ona przeżyła.

Nie byłam zdziwiona.

Ich najbardziej katolickie mości Ferdynand i Izabella zarządzili, że Żydzi mogą opuścić ich królestwo żywi, pod warunkiem, że zrobią to przed wyznaczonym terminem, który mijał za parę tygodni. Ale nie mogli wziąć ze sobą niczego, co miało jakąkolwiek wartość – żadnych monet, klejnotów, niczego, co mogłoby pomóc im urządzić się gdzieś indziej. Mieli odejść jako nędzarze, nie mając wiele więcej niż ubranie na sobie.

Oczywiście wielu udało się przemycić bogactwa, ale ci, którzy nie mieli szczęścia i zostali schwytani przez zachłannych *mercenarios*, zatrudnionych w celu patrolowania portów i miast przygranicznych, rzadko uchodzili z życiem.

Z pełnym wyrachowaniem odwróciłam myśli od tego, co musiała wycierpieć starsza kobieta, i skoncentrowałam się na tym, co było do zrobienia.

– Jaki jest jej stan? – zapytałam Sofię.

– Jest niedożywniona i ma słabe serce.

Spodziewałam się, że powie coś więcej, i nie mogłam powstrzymać zdziwienia.

– Więc przy odpowiedniej opiece mogłaby przeżyć?

– Nie! – krzyknęła gwałtownie Rebeka. – Nie, proszę, Boże, nie! Nie mogę... nie będę... – Ze wzburzeniem chwyciła mnie za ramię. – Bóg Abrahama i Izaaka jest sprawiedliwym Bogiem. Wie, jak cierpię. Nie poskąpi mi wyzwolenia.

– Odmawia przyjmowania wody i pokarmów – powiedziała cicho Sofia. – Spotkałam się z tym już wcześniej. Wiele starszych osób tak robi. Nie ma sposobu, żeby ich powstrzymać.

– Mimo to...

Gdy stanęłam twarzą w twarz z rzeczywistością tego, na co naciskałam, ogarnęły mnie wątpliwości. Hiszpan, człowiek z medalionem, nawet Innocenty, to jedno. Ale była wielka różnica między mówieniem o wypróbowaniu metody zabójstwa na anonimowej osobie a zrobieniu tego tej kruchej starszej kobiecie, która tyle już wycierpiała.

Ręka Rebeki zacisnęła się mocniej na moim ramieniu. Bardzo wyraźnie, żebym musiała ją zrozumieć, powiedziała:

– Nie odmawiaj mi szansy uratowania innych od losu, który dotknął tych, których kocham.

Musiałam wtedy wstać i odejść. Przeszłam w alejkę, gdzie spędziłam kilka minut, dopóki nie odzyskałam nad sobą kontroli. Kiedy wróciłam, podeszłam do Vittorio.

– Proszę wracać do pałacu – powiedziałam. – Jeżeli Kardynał spyta, gdzie jestem, proszę mu powiedzieć, że zajmuję się jego sprawami. Nie będzie chciał wiedzieć więcej.

Vittoro nie wydawał się urażony, że osmielałam się wydawać mu rozkazy, i wzruszył lekko ramionami.

– Kardynał lubi wiedzieć wszystko.

– Nie to. Jeżeli kiedykolwiek będą mu zadawać pytania, będzie chciał bardzo powiedzieć, że w ogóle nic o tym nie wiedział.

Doszłam do wniosku, że postanawiając wystawić mnie przeciw Innocentemu, Borgia działał z niesłychanym sprytem. Jeżeli zamach na życie Papieża by się nie powiódł i zostalibyśmy złapani, Kardynał mógł zawsze powiedzieć, że byłam zrozpaczona śmiercią ojca i działałam wyłącznie z własnej inicjatywy i pragnienia zemsty. Mógłby nawet twierdzić, że jestem skrytą Żydówką, która chciała zniszczyć go tak samo, jak Innocentego. To by nie wystarczyło, aby dalej mógł kandydować do Tronu Piotrowego, ale wywołałoby na tyle dużo wątpliwości, żeby mógł uratować swoją potęgę i prestiż, nie mówiąc już o życiu. Moje było do pełnej dyspozycji.

– Czy coś jeszcze powinienem przekazać Kardynałowi? – zapytał Vittorio.

Zaczynałam już mówić „nie”, ale zastanowiłam się głębiej i odezwałam się:

– Proszę mu powiedzieć *Alea iacta est*.

Vittoro nie skorzystał z dobrodziejstw klasycznej edukacji. Powtórzył te słowa trzykrotnie, żeby mieć pewność, że dobrze je zapamięta. A potem odszedł, zostawiając mnie na cmentarzu moich wspomnień.

Zawsze czułam awersję do krwi. Nie pytajcie dlaczego. Upuszczanie krwi ma być pomocne przy wszelkiego rodzaju chorobach, a jednak z całej siły go unikałam. Moja odraza sięga jednak dalej. Uczestnictwo w mszy zawsze było dla mnie trudnym przeżyciem. Chleb, który staje się ciałem, toleruję dobrze, ale co innego z winem zmieniającym się w krew... Nie jestem w stanie go wypić, ledwo mogę go dotknąć ustami.

Kiedy klęczałam przy ciele ojca i kąpałam ręce w jego krwi, coś się we mnie nieodwołalnie zmieniło. A może powinnam raczej powiedzieć, że coś się obudziło. Musiałam zabić dwa razy, Hiszpana i – co ważniejsze – człowieka, któremu podciąłam gardło, zanim zdałam sobie sprawę z tego, co się ze mną działo. Chociaż wcale nie było mi łatwiej patrzeć, jak Sofia upuszcza krew umierającemu Josephowi.

David przeniósł go do pokoju na tyłach i położył na sienniku w pobliżu Rebeki. Szczęśliwie był nieprzytomny i nie zareagował, gdy Sofia wzięła jego zdrową rękę, robiąc głębokie, szerokie cięcie, żeby krew szybko wypłynęła do miski, którą postawiła na podłodze. Zapach miedzi sprawił, że zaczęłam się krztusić.

– Jak myślisz, ile potrzeba? – zapytała.

Twarz miałam odwróconą, a usta przykryte dłonią. Powiedziałam przez palce:

– Wątpię, żeby Innocenty wypijał dużo naraz.

Widząc, co się ze mną dzieje, David zapytał:

– Nic ci nie jest?

Nic nie mówiąc, skinęłam głową i starałam się skoncentrować na oddechu. Miałam nadzieję, że to pomoże mi uniknąć kompromitacji.

W końcu miska została napełniona i przykryta czystą szmatką. Sofia obandażowała rękę Jo-

sepha, chociaż krew dalej przeciekała przez opatrunek. Wzięła miskę i uklękła obok Rebeki.

Dyskutowaliśmy o tym, jak dalej postąpić. David sugerował, żeby zmieszać krew z winem, aby łatwiej było ją przełknąć, co mnie również wydawało się rozsądne. Choć daję głowę, że kiedy przygotowywano mocne czerwone wino, wciąż czułam zapach miedzi.

Sofia uniosła głowę Rebeki, żeby mogła się napić. Na początku się zakrztusiła – najwyraźniej dalej było czuć smak krwi – ale wino szybko poskutkowało i dokończyła całość.

Czekaliśmy. Dzień biegł dalej. Sofia wyszła zając się pacjentami w pierwszej izbie, ale David został ze mną. W południe przyszła żona Josepha i spędziła z nim około godziny. Wyszła zapłakana, pocieszana przez siostrę, która jej towarzyszyła. Nie było mnie przy tym, jak żegnała się z mężem; daliśmy im przynajmniej tyle prywatności. Choć, o ile mogłam powiedzieć, Joseph też nie był obecny, trawiła go straszliwa gorączka.

Benjamin przyniósł nam jedzenie i napoje, upierając się, żebym jadła i piła. Udało mi się przełknąć trochę wina i parę kęsów chleba. Mój żołądek nie chciał przyjąć nic więcej. Do późnego popołudnia trzymałam Josepha za rękę. David modlił się w języku, którego nie rozumiałam. Ja modliłam się na swój sposób, do Matki Świętej, przypominając jej, że Joseph też miał matkę, która pewnie już nie żyła, i że był dzieckiem bożym, tak jak jej syn. Prosiłam ją o opiekę nad nim. Umarł krótko potem. Jego śmierć była chyba spokojna, ale nie stanowiło to dla mnie dużego pocieszenia. Jeszcze zanim przykryliśmy jego twarz, Rebeka straciła przytomność. Pogorszyło jej się bardzo szybko po tym, jak wypila krew.

W ciągu godziny już nas nie rozpoznawała, a przed upływem dwóch paliła ją gorączka. Kiedy odszedł Joseph, przeniosłam się do niej, obmywając jej twarz i członki chłodną wodą.

– Nie czuje już tego – powiedział David.

Był bardzo blady, prawdopodobnie tak jak ja. Trzęsły mu się ręce, gdy podtrzymywał mi miskę.

– Nie możesz tego wiedzieć – sprzeciwiłam się. – Żadne z nas nie było na tyle blisko śmierci, żeby wiedzieć, jak to jest.

– Skąd wiesz? – zapytał. – Może ja byłem blisko.

Spojrzałam na Rebekę i pokręciłam głową.

– Jest bardzo daleko stąd, za daleko, żeby kiedykolwiek wrócić.

Wtedy weszła Sofia i siedziała z nami przez ostatnie chwile życia Rebeki. Kiedy przyszedł czas, stara kobieta otworzyła oczy i spojrzała na nas. Ale cokolwiek zobaczyła, na pewno nie byliśmy to ani my, ani żaden świat, który zamieszkivaliśmy. Mogę wam tylko powiedzieć, że umarła szybko, bez walki. Klęcząc przy niej, odmówiłam modlitwę, żeby odnalazła tych, których kochała i straciła.

Ledwo zakryliśmy jej twarz kocem, przywołałam do siebie Benjamina. Wręczyłam mu notatkę, którą napisałam na kawałku papieru otrzymanym od Sofii, i przekazałam mu dokładne instrukcje.

– Idź na Via dei Vertrarari. Znajdź wytwórcę szkła o imieniu Rocco i oddaj mu to. Będzie wiedział, co robić.

Kiedy Benjamin poszedł, czekałam, aż Sofia upuści krew Rebeki. Postanowiłyśmy wykorzystać jej krew, ponieważ myślałyśmy, że powinna być tak świeża, jak to możliwe, kiedy dotrę do Zamku Świętego Anioła.

Do tego czasu zapadłam w błogosławione odrętwienie.

– Muszę stąd odejść, zanim posterunek kontrolny zostanie zamknięty na noc – powiedziałam, gdy Sofia ostrożnie przelewała krew do butelki i szczelnie ją zamykała.

Przez cały ten długi i bolesny dzień byłam świadoma tego, że słońce chyli się ku zachodowi. Jeżeli zbyt długo będę zwlekać, ja też zostanę tu zamknięta. Krew zacznie się psuć. Moje szanse na podmienienie jej, już niewielkie, jeszcze się zmniejszą, będą się zmniejszać z każdym ziarenkiem piasku, które opadnie w klepsydrze.

– Idę z tobą – zdecydował David.

Bez przekonania próbowałam się temu sprzeciwić, co całkowicie zignorował.

Wyszliśmy przez bramę, na parę minut przed tym, jak została zamknięta, wiążąc w środku

Żydów do wschodu słońca. Gdyby się nam nie powiodło i zostalibyśmy odkryci, co mógł im przynieść wschód? Wściekłość oszalałego tłumu? Ogień i śmierć? To i wiele więcej było bardziej niż możliwe.

Obejrzałam się, myśląc o Sofii i Benjaminie, o chorych i umierających w pracowni aptecznej, o wszystkich cierpiących ludziach, których widziałam w czasie moich wizyt.

Naprawdę drogi boskie są niezbadane.

David wziął mnie za rękę. Weszliśmy razem w noc, która zapadała nad Rzymem.

Zanim natknęliśmy się na pierwszy patrol, byliśmy już w połowie drogi do warsztatu Rocca. Do tej pory spotykaliśmy tylko zwykłych pijaczków, prostytutki i szczury, które władają ulicami nocnego Rzymu. Ludzie zbierają się wokół tawern i burdeli, podczas gdy szczury wylewają się na ulice z miejsc swojego schronienia w antycznych kanałach i katakumbach. Nieważne, jak wielkie sterty ścierw szczurołapy zgromadziłyby na publicznych placach, zawsze gdzieś, poza zasięgiem wzroku, czai się ich dużo więcej, czekając na zapadnięcie zmroku.

Nienawidzę szczurów, co mnie trochę dziwi, bo lubię wszystkie zwierzęta. Z wyjątkiem węży, ale nawet one są lepsze od szczurów. Ale i jedne, i drugie są lepsze niż piesze patrole, opłacane przez bogatych mieszkańców i kupców, żeby penetrować okolicę uzbrojeni w miecze i pałki, wymuszając pieniądze i robiąc jeszcze gorsze rzeczy małuczkiemu śmiertelnikom, na których się natkną.

Widząc jeden z nich, wcisnęliśmy się w cień obok tawerny na skraju Campo de' Fiori. Gdy zniknęli nam z oczu, odczekaliśmy jeszcze parę minut przed wyjściem na ulicę.

Zakryty chmurami księżyc nie oświetlał nam drogi promieniami srebrnego światła. Ale chłodny wiatr z zachodu rozpędził większość dymu i oparów, które unoszą się nad miastem w bezwietrzne dni. Dzięki blaskowi gwiazd i własnej pamięci byliśmy w stanie odnaleźć drogę do ulicy wytwórców szkła.

Rocco zostawił przed sklepem zapaloną lampę, zbyt małą, żeby przyciągnąć uwagę sąsiadów zajętych pewnie kolacją albo szykowaniem się do snu. Kiedy zapukaliśmy, otworzył drzwi i szybko wpuścił nas do środka.

Z początku wydawał się dostrzegać tylko mnie, a ciepło jego spojrzenia ogrzało mi policzki. Ale szybko odwrócił ode mnie uwagę.

– Kto to jest? – zapytał, patrząc na Davida.

– Przyjaciel – powiedziałam. – Dostałeś moją wiadomość?

Przytaknął.

– Wysłałem wieści do ojca Morozziego. Powinien wkrótce tu być.

– Nando...?

Myśl o niebezpieczeństwie, na jakie narażałam dom Rocca, chwyciła mnie w szpony, ale nie widziałam innego wyjścia.

– Posłałem go na wieś, do babki.

Odetchnęłam z ulgą. Czekaliśmy na przybycie księdza, siedząc w ciszy przy stole.

Wślizgnął się nerwowo i zmarszczył brwi, gdy zobaczył Davida.

– Co to jest?

Drobny szczegół, niewart nawet wspomnienia, a jednak zapadł mi w pamięć. Rocco, zadając to samo pytanie, powiedział „Kto?”.

Złożyłam to na karb strachu księdza, który w tych okolicznościach był całkiem zrozumiały. Był tak przestraszony, jakby miał zaraz uciec, ale nie mogłam go za to winić. Pomyślałam, że jako *converso* musi zmagać się z każdym dniem na krawędzi odkrycia i katastrofy.

– Przyjaciel – powiedziałam szybko. – Można mu zaufać.

– Nie powinnaś była... – zaczął Morozzi, ale nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo David podszedł do niego.

– Nie stanowią dla ciebie zagrożenia, księżu. Żywię nadzieję, że ty nie stanowisz żadnego dla mnie.

Cisza wisiała między nimi, dopóki nie wtrącił się Rocco.

– Przejdźmy do rzeczy.

– Bardzo dobrze – powiedział Morozzi, choć jego niechęć była wyraźna. Odwrócił się do mnie. – Jesteś gotowa? Masz to, co trzeba?

Zapewniłam go, że tak jest, i miałam właśnie zapytać, jak zamierza wprowadzić nas do zamku, kiedy mi przeszkodził.

– Chcę to zobaczyć.

– Zobaczyć co? – Zaskoczona zrobiłam to, co zawsze robię w takiej sytuacji – grałam na zwłokę, żeby zebrać myśli.

– To, czego masz zamiar użyć. Chcę to zobaczyć. – Kiedy dalej się w niego tylko wpatrywałam, powiedział z niecierpliwością: – Nie możesz oczekiwać, że zaryzykuję wszystko, prowadząc cię do Papieża, jeżeli nie będę pewny, że możesz tego dokonać.

– Nie wystarczy ci, że mówi, że to zrobi? – zdenerwował się David.

Rocco też wydawał się zaniepokojony.

– Francesca nie byłaby tutaj, gdyby nie była do tego przygotowana.

Położyłam dłoń na ramieniu Davida, uspokajająco uśmiechnęłam się do Rocca i sięgnęłam pod suknię. Powoli wyjęłam spod piersi złoty medalion.

Wzrok księdza skupił się na nim.

– Chce ojciec to zobaczyć? – zapytałam. – Bardzo proszę. – Otworzyłam medalion, pokazując tabletkę, którą zrobiłam dla siebie. – Proszę się nie zbliżać. To najbardziej śmiertelna trucizna, jaką znam. Zabija w ciągu paru minut. Nie poniosę porażki.

Morozzi przypatrywał się jej przez dłuższą chwilę, a jego pożądliwy wzrok mnie niepokoił. Nie licował z naszym ważnym i trudnym zadaniem.

W końcu powiedział:

– Dobrze, możemy iść.

Zamknęłam medalion i wsunęłam go z powrotem pod suknię. David przyglądał mi się z zainteresowaniem. Gdybyśmy byli sami, powiedziałabym mu, że uważałam, iż to lepiej dla księdza, jeżeli nie będzie wiedział więcej, niż musi. Teraz jedynie lekko rozłożyłam ręce, tak aby tylko on mógł to zobaczyć, z nadzieją, że zrozumie, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam. Powierzałam Morozziemu nasze życie, ale nie ufałam mu na tyle, żeby zdradzić mu sposób, w jaki Innocenty miał umrzeć. Czy David rozumiał, czy nie, wydawał się akceptować moją decyzję, bo chwilę później bezgłośnie przytaknął.

W tym czasie Morozzi wyjął brązową szatę i wyciągnął ją w moją stronę.

– Nie miałem pojęcia, że będzie was dwoje – powiedział. – Przyniosłem tylko jedną.

Podał mi mnisi habit, szeroką sukmanę z brązowej wełny, która bardziej niż wystarczająco mogła zakryć moje kobiece kształty. Strząsnęłam ją i przygotowałam do założenia.

Zapytałam:

– A co z Davidem? Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby go przebrać.

Ksiądz i mnich wchodzący razem do zamku mogli zwrócić uwagę, ale nikt by ich nie zatrzymał. Natomiast człowiek w zwyczajnym ubraniu, bez liberii albo chociaż insygniów któregoś z wielkich rodów, zostałby potraktowany zupełnie inaczej.

– Zaczekajcie – powiedział Rocco i poszedł na tyły warsztatu, gdzie mała drabina prowadziła na stryszek.

Wrócił chwilę później, niosąc białą sukmanę i czarną pelerynę.

Podał je Davidowi i powiedział:

– Myślę, że będą na ciebie pasowały.

– To habit dominikanina – zdziwił się Morozzi. – Skąd go masz? – Najwyraźniej nie znał historii Rocca.

– Ktoś go tu zostawił – odpowiedział.

David zawahał się, zanim przywdział szaty. Rozumiałam jego niechęć do włożenia cokolwiek związanego z dominikanami, bo członkiem tego zakonu był odrażający Tomas de Torquemada, główny inkwizytor Hiszpanii i jeden z autorów edyktu wydalającego Żydów z tego kraju. Ale nie było innego wyjścia i David o tym wiedział. Szata okryła go od stóp do głów. Kiedy naciągnął kaptur, stał się tylko jednym z anonimowej masy kleru przemierzającej się między zamkiem a Watykanem bez zwracania uwagi i wywoływania pytań.

– Dziękuję – powiedziałam i uścisnęłam dłoń Rocca.

Pomimo ciepłej nocy jego skóra była chłodna.

Rzucając okiem na pozostałą dwójkę, odciągnął mnie na bok, żebyśmy mogli zamienić słowo na osobności.

– Cokolwiek zamierza Bóg, ty zrobiłaś już wystarczająco dużo, Francesco. Pozwól mi iść zamiast ciebie. Wyłumaczysz mi, co mam robić, i zrobię to.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, dodał:

– Morozzi nie będzie miał nic przeciwko temu; i tak nie czuje się dobrze w towarzystwie kobiety. A jeśli powiesz Ben Eliezerowi, że może mi zaufać, nie będzie miał wyjścia.

Ogrom tego, co mi ofiarował, niemal mnie przygniół. Bo nie tylko chciał zająć moje miejsce w tak niebezpiecznych okolicznościach, ale i narazić własną duszę na konsekwencje czynu, którego zamierzałam się podjąć, uśmiercenia Papieża; nie mogłam się nad tym nawet zastanawiać. Tak jak Rocco, chciałam wierzyć, że wolą Boga było to, żeby Innocenty umarł zanim popełni coś, czego skutkiem byłaby śmierć setek tysięcy ludzi. Ale jeśli się myliliśmy? Gotowa byłam zaryzykować własną nieśmiertelną duszę, ale nie zaryzykowałabym duszy Rocca.

Były po temu również inne względy.

Uśmiechnęłam się słabo i uniosłam dłoń, żeby dotknąć jego policzka; poczułam odrośnięty pod koniec dnia zarost.

– Dziękuję ci z głębi mojego serca. Jesteś prawdziwie męznym przyjacielem. Ale jesteś również ojcem, a nigdy nie zgodziłabym się na nic, co mogłoby uczynić Nando sierotą.

Pozwoliłam opaść dłoń i cofnęłam się.

– To jest moja walka i ja muszę się z nią zmierzyć. – Odwróciłam się, nie dając mu szansy na odpowiedź.

Wyszliśmy – Morozzi, David i ja – w ciemność nocy. Rocco stanął w drzwiach i przyglądał się nam. Kiedy przekraczałam próg, zobaczyłam, jak unosi rękę, i pomyślałam, że będzie próbował mnie zatrzymać. Ale pozwolił jej opaść, a smutek w jego oczach mówił mi, że zaakceptował to, co nie mogło zostać zmienione.

Morozzi szybko i pewnie poruszał się ulicami. Nie wydawał się zaniepokojony pieszymi patrolami – i faktycznie, kiedy natrafiliśmy na jeden z nich, szybko się przed nim rozstąpili. Jego maniera – miał naturalną arogancję tych, którzy w nadmiarze otrzymali dary natury – podobnie jak księża sutanna, odstraszały wszystkich, którzy mogliby zechcieć nas zaczepić.

Przeszliśmy mostem Aeliusa, że użyję tej starej rzymskiej nazwy, kierując się prosto do głównej bramy zamku. Ciemna masa kamienia wznosząca się nad miastem była oświetlona tysiącem pochodni, odbicie ich światła tworzyło na spokojnych wodach rzeki falujące srebrne kręgi. Myślałam, że Morozzi znał jakieś tajemne wejście, które z pewnością musiało istnieć w budowlu mającej ponad tysiąc lat. Ale jeśli je znał, nie miał zamiaru z niego skorzystać. Przeprowadził nas przez posterunek straży, które zgodnie z moją nadzieją nie przeszkodziły nam przejść.

Nie można było lepiej zaprojektować masywnej konstrukcji, której ściany wznosiły się ponad nami, żeby wywołać lęk we wszystkich, którzy tu wchodziłi nawet z najbardziej niewinnych powodów. Zaplanowana jako mauzoleum dla Cesarza Hadriana i jego rodziny wciąż nosiła ślady klasycznej elegancji, z której większość zniknęła jednak wieki temu, gdy przemianowano ją na fortecę i więzienie. Kiedy przeszliśmy na mały dziedziniec zaraz za wejściem – Dziedziniec Zbawiciela, jak go zwano, raczej ironicznie dla tych, którzy nigdy nie mieli opuścić zamku żywi – miałam wrażenie, jakby mury nas przygniotły, odcinając od wszelkiej nadziei. Stamtąd podłoże lekko schodziło w dół, prowadząc do przedsionka. Temperatura spadła i drżałam lekko, choć niekoniecznie z zimna. Tu również były straże i też pozwoliły nam przejść.

– Jest ojciec dobrze znany – powiedziałam cicho do Morozziego.

Przytaknął.

– Włożyłem w to wiele wysiłku. Co znane i normalne, nie budzi podejrzeń.

Szliśmy dalej, mijając wielką statwę Hadriana, mocno zniszczoną w czasach, gdy król Wizygotów, Alaryk, najechał na Rzym. Cesarz wydawał się patrzeć z góry na nas, potomków tych, którzy nie potrafili obronić jego dziedzictwa. Przed nami ciągnęła się szeroka spiralna rampa, wybudowana przez starożytnych, która owijała okrągłą fortecę, dając dostęp do wyższych poziomów.

Pochodnie umieszczone na ścianach oświetlały nam drogę wzdłuż zniszczonych marmurowych kolumn, które pamiętały inne, świetniejsze czasy.

Wiedziałam, podobne jak każdy w Rzymie, że na pierwszym piętrze mieściły się cele więzienne. Nie widziałam wejść do nich, co dodało wagi twierdzeniu, że więźniowie byli opuszczani na linach do swoich żywych grobowców. Ta myśl przepęliłaby mnie strachem, gdyby wydarzenia dnia nie sprawiły, że byłam jakby odrętwiała. W tym stanie cieszyłam się z cichej obecności Davida u mojego boku.

Następny poziom mieścił kwatery wojskowe i zbrojownię. Przynajmniej tutaj była otwarta przestrzeń w postaci rozległych dziedzińców, ale zanim mogliśmy do nich dotrzeć, musieliśmy przejść przez pozbawioną okien kryptę, gdzie zostały złożone cesarskie szczątki. Oczywiście nic z nich nie zostało, co było skutkiem dawnych grabieży, ale przytłaczające poczucie śmierci wciąż wisiało w powietrzu.

Odetchnęłam z ulgą, gdy zatrzymaliśmy się na Dziedzińcu Honoru. Z uwagi na to, że zamek był zarówno fortyfikacją wojskową, jak i więzieniem, na dziedzińcu stało kilkanaście dużych dział, które mogły, w razie potrzeby, zostać wycelowane ponad miastem dla odparcia wroga. Kwatery oficerów i żołnierzy wychodziły do środka, na dziedziniec. Miałam nadzieję, że nikt, komu zdarzy się wyjrzeć przez okno, nie zakwestionuje naszej obecności.

Zanim opuściliśmy dziedziniec, spojrzałam w górę na rzeźbę wznoszącą się nad zamkiem. Archanioł Michał, w całej swojej świetności, chował miecz do pochwy, aby oznajmić koniec zarazy, która zdziesiątkowała Rzym prawie tysiąc lat temu. Po jej odejściu zamek został nazwany jego imieniem i odtąd jego wizerunek albo jego różne wcielenia rządziły rzymskim niebem. Patrzyłam teraz na tę sylwetkę na tle rozgwieżdżonego nieba i pomodliłam się w myślach, żeby chroniła nas jego siła i ognisty miecz.

Za dziedzińcem weszliśmy do holu oficerskiego, umeblowanego potężnymi stołami i ławami, ze ścianami malowanymi w bitewne sceny.

Siedziało tam kilkunastu kapitanów i poruczników popijających w wolnym czasie. Spojrzeli na nas, gdy ich mijaliśmy, ale znów nikt nas o nic nie zapytał.

Miałam czas na to, żeby pomyśleć, że *castel* zaprojektowano w ten sposób, żeby zmusić najeźdźców, którzy by się do niego wdarli, do wejścia w samo serce siły zbrojnej, gdzie jeden po drugim mogli zostać wylapani. Sam Dziedziniec Honoru byłby dogodnym miejscem do zabijania – wszyscy, którzy mieliby to nieszczęście, żeby tam wejść, zostaliby na nim uwięzieni.

Kiedy minęliśmy hol oficerski, Morozzi przyspieszył.

Zakładałam, że tak mu pilnie do miejsca naszego przeznaczenia, jak i mnie było, więc podążyłam za nim. Podobnie David.

Dogoniłam go.

– Daleko jeszcze? – spytałam go.

Twarz miał zaczerwienioną, a wzrok stanowczy; pokręcił głową.

– Już prawie jesteśmy.

Skinęłam, starając się przygotować na to, co miało nadejść. Wkrótce trzeba będzie powiedzieć Morozziemu, czego naprawdę szukam. Musiałam znaleźć tych biednych chłopców, a w szczególności zlokalizować krew i podmienić ją na tę, którą przyniosłam. Jeżeli będzie tam medyk albo inna osoba, trzeba będzie sobie jakoś z nimi poradzić. Nie podobała mi się ta myśl, ale rozumiałam potrzebę takiego działania. Każdy alarmujący krzyk, każdy sygnał, że coś jest nie tak, i cały garnizon zważyłby się nam na głowę.

Przeszliśmy przez jeden pokój, później przez drugi. Przed trzecim Morozzi zatrzymał się i uniósł rękę.

Ostrożnie podszedł do drzwi i zajrzał do komnaty. To, co zobaczył, musiało go uspokoić, bo gestem pokazał, że mamy iść przodem.

David poszedł pierwszy, ja za nim.

Kiedy mijalam Morozziego, ten wyciągnął rękę i zerwał mi z szyi medalion.

W tej samej chwili pchnął mnie do środka.

– Co robisz...? – sapnęłam, ale przecież już to wiedziałam.

Nasza droga była zbyt prosta, wszystko poszło zbyt gładko. To, co jak chciałam wierzyć, miało być przychylnością Boga albo zwykłym szczęściem, okazało się zdradą.

Morozzi chwycił dźwignię w ścianie obok wejścia i pociągnął w dół, opuszczając żelazną kratę, która miała uwięzić nas w środku.

– *Deus vult!* – wykrzyknął ksiądz, a jego twarz była zmieniona fanatyzmem religijnym.

Bóg tak chce! Zawołanie każdego krzyżowca i inkwizytora. Usprawiedliwienie dla wszelkich potworności czynionych w imię Stwórcy.

David rzucił się przez pokój, próbując zanurkować pod kratą, zanim się w pełni opuści. Prawie mu się to udało i Morozzi był przez mgnienie oka przerażony, że tak się stanie. Ale zanim David mógł się precyzyjnie, ciężka metalowa konstrukcja opadła na miejsce, a on leżał rozciągnięty na podłodze prawie u stóp księdza.

Morozzi odrzucił do tyłu głowę w chorym uniesieniu.

– Najpierw Giordano, a teraz jego córka czarownica i Żyd do skopania! Doprowadzę do upadku twojego pana, zupełnie go zniszczę, a w tym samym czasie rozbudzę wściekłość całego chrześcijaństwa przeciw zdrajcom naszego Pana. Wy...

Moje dłonie zamknęły się na prętach kraty. Patrzyłam na księdza, nie myśląc o niczym innym, jak tylko o przyprawiającym o mdłości podejrzeniu, które rodziło się w mojej głowie. Od chwili, gdy stanęłam nad człowiekiem z medalionem i usłyszałam wydarte z niego torturami wyznanie, nachodziły mnie wątpliwości. Ale nigdy nie wyobrażałam sobie takiej prawdy.

– Co masz na myśli, mówiąc: najpierw Giordano? Czy to Innocenty zlecił śmierć mojego ojca... czy ty?

– Innocenty? – Morozzi z pogardą wypluł jego imię. – Ten odrażający starzec nie robi nic innego, jak tylko szlocha nad swoimi grzechami i błaga mnie, żebym mu powiedział, jak uniknąć potępienia, na które w pełni zasługuje.

Ogarnął mnie chłód. Nawet wykrzywiony nienawiścią ksiądz ciągle miał twarz anioła, ale takiego, który, jak już teraz widziałam, dzierżył straszliwy miecz.

– Co mu powiedziałaś? – Domagałam się odpowiedzi. – Że może się uratować, skazując na śmierć wszystkich Żydów?

– Bóg przekazał mi swoją wolę! – ogłosił Morozzi. – Jestem Jego posłańcem. Wszyscy zabójcy Chrystusa muszą umrzeć za to, co uczynili naszemu Panu!

David usłyszał już wystarczająco dużo. Przeturlał się do księdza, który odskoczył od kraty w ostatnim momencie, żeby nie zostać przez nią przeciągnięty.

– Bóg mnie chroni! – wrzasnął Morozzi. – Oddaję mu świętą posługę!

Czy zauważyliście, że ci, których morderstwa można liczyć w tysiącach, nieodmiennie twierdzą, że to łaska boża, podczas gdy ci, którzy zabijają na znacznie mniejszą skalę, włączając w to mnie, w głębi serca wiedzą, że Bóg płacze nad naszymi grzechami?

Morozzi nie był obciążony takim brzemieniem. Uwięziwszy nas, popędził dalej – jak podejrzewałam, wezwać strażę – zostawiając nas, żebyśmy zastanowili się nad kaźnią, która miała wkrótce nadejść.

Potworność tego, co miało nas czekać, gdy wróci Morozzi, zdjęła ze mnie ochronny płaszcz otepienia i pchnęła do działania.

– Szybko – powiedziałam, a mój głos odbił się cichym echem od kamiennych ścian. – Musimy znaleźć jakieś wyjście.

David miał już plan.

– Idź w lewo – polecił. – Ja pójdę w prawo.

Poświęciłam chwilę na podziękowanie za to, że jeśli już byłam uwięziona w takim miejscu, to przynajmniej z mężczyzną, który nie tracił głowy. Poszliśmy w przeciwnych kierunkach, macając ściany ciemnego pokoju bez okien. Moje dłonie były zimne i spocone. Morozzi wróci za parę minut i przywiedzie ze sobą pomoc. Będzie miał świadków naszej obecności w zamku w przebraniu, miał też mój medalion ze śmiertelnością tabletką. Nic, co my lub Borgia, byśmy powiedzieli, nie mogło tego wytłumaczyć.

Miałam nadzieję odkryć drzwi, przejście, cokolwiek, co mogłoby nam pomóc, ale dotarłam do rogu pokoju i posuwałam się dalej, nie znajdując niczego poza kamienną ścianą.

– Chyba wiem, gdzie jesteśmy. – Usłyszałam w ciemności głos Davida.

Ku mojej wielkiej uldze brzmiał niezwykle spokojnie.

– Gdzie? – Mój głos lekko się trząśł.

– To pomieszczenie, z którego spuszcza się więźniów do cel. Właśnie potknąłem się o otwór w podłodze.

Więc była droga wyjścia, ale ta by nas pogrzebała, dokładnie tak, jak spodziewał się tego Morozzi.

– Muszą być jakieś inne drzwi – upierałam się. – Jakiś sposób na dotarcie do innych pokojów, za tym.

– Mogą być do nich inne przejścia – powiedział David. – To miejsce jest jak labirynt. Przez wieki ciągle je przebudowywano. Komnaty były zamurowywane, wznoszono ściany, podnoszono albo opuszczano stropy. Wątpię, żeby ktokolwiek znał je dokładnie.

Obawiałam się, że ma rację. Trzeba by mieszkać w zamku całe lata, mieć wolność zaglądania we wszystkie kąty, aby mieć jakiegokolwiek pojęcie o tym, co zawierał.

W tej chwili spadła na mnie mroczna myśl, która nie chciała już mnie opuścić. Próbowałam ją odpędzić, ale bezlitośnie mnie się trzymała, zmuszając do stanięcia twarzą w twarz z tym, czemu nie można już było zaprzeczyć.

Nie kwestionowałam odwagi Davida i myślałam, że sama miałam jej sporą dawkę, ale bałam się, że każde z nas może zostać zmuszone do mówienia za pomocą tortur. Ja z pewnością nie zdołałabym przetrzymać męki, jaką miałam okazję zobaczyć w komnacie tortur pod palazzo.

Kiedy zaczęłabym mówić – nie jeśli, ale kiedy – los rzymskich Żydów byłby przesądzony, Sofia, Benjamin i cała reszta musieliby umrzeć.

Potworna prawda była taka, że Morozzi miał rację. Gdy będzie mógł przedstawić dowody spisku w celu zabicia Innocentego, motłoch sam powstanie przeciwko gettu i zniszczy każdego, kogo tam znajdzie. Ale na tym się nie skończy. Z edyktem, czy bez niego, Żydzi doświadczą aktów przemocy w całej Europie.

Nie pomylcie się, cenię swoje życie tak samo, jak każdy inny. Z rozpacz po śmierci ojca byłam gotowa zaryzykować wszystko, aby go pomścić, ale to samo w sobie było tylko egoistycznym aktem powodowanym własną potrzebą. To, co działo się teraz, było inne. Gdyby Żydzi zginęli, co mi do tego? W swojej masie byli bezimiennymi, anonimowymi ludźmi, z którymi nie czułam żadnego związku. A może jednak czułam?

Przestałam chodzić wzdłuż ściany i opuściłam ręce. Ostrożnie, jakby stosownie do sytuacji, w której balansowała moja dusza, rozpatrywałam swoje położenie. Samobójstwo jest śmiertelnym

grzechem, tak głosi Kościół Święty. Ponieważ wszystko, co nas w życiu spotyka, jest wolą Boga, akt samobójstwa umieszcza człowieka ponad tym, co boskie. Pogwałcenie natury jest najwyższą zniewagą wobec Boga.

Zbyt wyraźnie pamiętałam jaskrawe wizje Siódmego Kręgu Piekła Dantego, które wyszły spod ręki Boccaccia, gdzie samobójcy zmienieni są w rozdarte krzewy i drzewa. Przez całą wieczność są rozrywani przez Harpie, uskrzydłone demony śmierci. Ich grzech jest tak niewybaczalny, że są sami między martwymi. Jedynie oni nie zostaną wskrzeszeni w dzień Sądu Ostatecznego.

Chociaż... Jeżeli decyzja, żeby zakończyć życie, nie jest czysto egoistyczna? Co, jeśli przez ten akt można uratować tysiące i więcej istnień? Na pewno Bóg ważyłby ciężar jednego życia jako piórko, gdyby przeciwstawić je tak wielu?

W murze mojego smutku błysnęło światło. Zapytałam cicho:

– Masz nóż?

W ciemności ledwie widziałam zarys sylwetki Davida, ale dobrze go słyszałam.

– Znalazłaś coś?

– Nie.

Nie powiedziałam nic więcej. Był inteligentnym mężczyzną; znał sytuację tak samo, jak ja. Wierzyłam, że mnie zrozumie.

Po chwili ciszy usłyszałam jego odpowiedź.

– Mam nóż.

Wstrzymałam oddech. Objęłam się ramionami, żeby zapanować nad drżeniem. Trucizna w medalionie nie była przyjemna, ale przynajmniej nie byłoby krwi.

– Mamy bardzo mało czasu – powiedziałam.

Znowu chwila ciszy, zanim zapytał:

– Czy słyszałaś kiedyś o Masadzie?

Pomyślałam, że stara się odwrócić moją uwagę, i byłam mu za to wdzięczna.

– Czy to w Lombardii?

Zaśmiał się, naprawdę, zanim mnie oświecił.

– To była forteca na szczycie wzgórza w Ziemi Świętej. Grupa żydowskich bojowników utrzymywała się w niej przez całe lata. Kiedy rzymski generał, którego wysłano, żeby ich zgładził, zdobywał twierdzę, popełnili samobójstwo.

– Wszyscy?

Czy dla Żydów samobójstwo również nie było grzechem śmiertelnym? Tylu rzeczy o nich jeszcze nie wiedziałam.

– Wszyscy – powiedział David. – Mężczyźni ciągnęli losy. Wybrani zabili innych, włączając w to kobiety i dzieci, a później siebie nawzajem. Ostatni sam odebrał sobie życie.

Serce waliło mi o obolałe żebra. Nie mogłam sobie wyobrazić, jak to jest iść pomiędzy tych, których się kocha, i zabijać jednego po drugim. Czy dzieci płakały ze strachu? Czy ich matki wcześniej utulały je do śmiertelnego snu, zanim wystawiły własne gardła pod nóż? A co z tym ostatnim mężczyzną? Jak długo stał na cichym szczycie wzgórza pomiędzy umarłymi, zanim zakończył ten koszmar, którym stało się życie?

Boże, daj mu przebaczenie i wieczny odpoczynek w obliczu Pana.

– Chcesz ciągnąć losy? – zapytałam, przyznając, z wielką trwogą o to, jak dam sobie radę, kiedy się zgodzi i los padnie na mnie.

David objął mnie bez wahania. Również go objęłam, z taką samą pewnością. Byliśmy dwiema istotami ludzkimi zanurzonymi w ciemności, na skraju przepaści, dającymi sobie jedyne wsparcie, jakie mogliśmy.

– Nie, Francesco – powiedział cicho. – Będzie dobrze.

Pewnie mimo wszystko jestem tchórzem, bo załała mnie fala ulgi. Ulgi i wdzięczności za brzemię, jakie był gotów na siebie wziąć.

Powiedziałam jednak:

– Potrzebuję chwilkę.

Żeby się pomodlić? Spróbować targować się z Bogiem, albo zwrócić się przeciw niemu?

Nie jestem pewna, ale myślę, że próbowałam robić wszystkie te trzy rzeczy naraz.

Możecie śmiać się z mojej głupoty, ale przez mgnienie oka, tam, w ciemności, byłam wystarczająco wzburzona, żeby pomyśleć, iż usłyszałam głos Wszechmogącego i że On nie był w najmniejszym stopniu taki, jak mnie uczono. Daleki od wszechwiedzącego majestatu, przed którym musimy drżeć w ślepym uwielbieniu, brzmiał jak pełen troski, choć trochę poirytowany pasterz, który szuka nas, Jego błędzającej trzody.

Oczywiście wiem, że się myliłam. Ale nigdy coś takiego mi się nie zdarzyło.

Jednak ta myśl pozostaje: na pewno Bóg, który stworzył Niebo i Ziemię, może przemawiać ustami człowieka? No bo jak inaczej mógłby do człowieka mówić? Albo, w tym przypadku, do jednej konkretnej kobiety?

Spojrzałam zdziwiona w górę. W ciemności przebijał kwadracik światła odkrywający otwór niemal sześć metrów w górę ściany, tuż pod sufitem. Wraz ze światłem ujrzałam spoglądającą na nas znajomą twarz.

– Vittorio! – krzyknęłam. – Jak...?

Przed nami upadła lina.

– Później, Donna. Teraz musimy iść.

David złapał mnie wpół i podsadził. Chwyciłam linę i wspinałam się do najdroższego życia. Serce waliło mi boleśnie, ramiona paliły z wysiłku, ale wreszcie, po, jak mi się wydawało, nieskończenie długim czasie, choć pewnie nie trwało to więcej niż parę minut, mój nos wsunął się przez otwór do pasażu. Vittorio wciągnął mnie do wyłożonego kamieniem przejścia, zbyt niskiego, żeby móc się wyprostować.

Chwilę później pojawił się David. Ścisnęliśmy się we trójkę obok wąskiego otworu.

Vittoro wziął lampę, którą miał ze sobą, i wskazał w ciemność za nami.

– Ta droga prowadzi na zewnętrzną ścianę. W krótkim czasie znajdziecie się na zewnątrz.

Usłyszałam, jak pod nami otwiera się krata. Morozzi wrócił ze strażą.

– Przynieść więcej pochodni! – krzyknął, a potem: – Gdzie oni są?! Gdzie oni są?!

Przemykaliśmy się tak cicho, jak tylko możliwe, zgięci niemal wpół, za Vittorio, który poruszał się z niezwykłą jak na jego wiek szybkością.

Moje kolana i łokcie uderzały o kamienie i szybko zaczęły pulsować bólem. Wyobrażałam sobie, o ile to trudniejsze dla Davida, który był wyższy niż Vittorio czy ja, ale oddech, który słyszałam za sobą, upewniał mnie, że dawał sobie radę, a nawet mnie pospieszał.

Pasaż wznosił się w górę, co sprawiło, że droga stała się jeszcze trudniejsza. Mnisi habit oplątywał mi się wokół nóg, więc wspinaczka była żmudna i męcząca.

Gdy byliśmy już na tyle daleko od więziennej komnaty, żeby móc bezpiecznie mówić, złapałam oddech i szybko spytałam:

– Gdzie jesteśmy?

Vittoro odpowiedział przez ramię.

– Wewnątrz jednego z szybów wentylacyjnych, które biegną przez wszystkie ściany zamku. Starożytni Rzymianie, którzy zbudowali to miejsce, nie byli głupcami. Chociaż pomyślano je jako dom zmarłych, ludzie przychodzili tu, aby składać hołd staremu cesarzowi. Bez powietrza nie mogliby palić pochodni, nie mówiąc o oddychaniu. Te szyby rozwiązywały problem.

Pomyślałam o komnatach bez okien, przez które przechodziliśmy, i przytaknęłam.

– Jak nas znalazłeś? – zapytał za moimi plecami David.

W migającym świetle lampy zobaczyłam, jak Vittorio się uśmiecha.

– Miałem jakieś wyobrażenie o tym, co zamierzacie zrobić, i pomyślałem, że będę miał na was oko w razie, gdyby wasz „przyjaciel”, ten w dole, okazał się kłopotem.

Dzięki Bogu, że miał taki pomysł, ale wciąż byłam zdumiona.

– Nie rozumiem. Skąd w ogóle wiedziałeś, gdzie szukać?

– Przez dziesięć lat służyłem w tutejszym garnizonie, w większości była to straszna nuda. Żeby nie zwariować, zabawiałem się, myszkując po całym zamku, odkrywając wszystko, co było do odkrycia. Wiedziałem, że jest tylko parę miejsc, w które mógł was zabrać Morozzi, żebyście nie nabrali podejrzeń, że wiedzie was w pułapkę, jeśli to było to, co zamierzał. Po prostu szukałem,

dopóki was nie znalazłem.

Tak prosto przedstawił misję, która uratowała nasze życie i wiele więcej istnień. Miałam to właśnie powiedzieć, gdy doszliśmy do otworu w zewnętrznej ścianie i spojrzałam na miasto, w kierunku Świętego Piotra. Wyraźnie widziałam podniszczoną bazylikę. Po mojej lewej stronie rzeka zakręcała w ciemność.

– Czy jeszcze ktoś o tym wie? – zapytał David.

Rozumiałam, do czego zmierza. Morozzi podniósł alarm. Jeżeli strażnicy wejdą do szybu, znów znajdziemy się w pułapce.

– Bardzo niewielu – odpowiedział Vittorio. – Większość chłopaków nie była tak ciekawska, jak ja. Ale nikt, kto o tym wie, nie piśnie słówka temu oszalałemu klesze.

David nie wydawał się przekonany.

– Dlaczego nie?

Kapitan się uśmiechnął.

– Bo chcą, żeby Borgia został następnym papieżem, właśnie dlatego. Wiedzą, że lepiej o nich zadba niż którykolwiek inny kardynał.

– Borgia nie może zostać papieżem – powiedziałam. – Nie teraz. Morozzi oskarży go, że wysłał nas, żebyśmy zabili Innocentego. Nieważne, ile ma złota – nie wystarczy, żeby zmusić ludzi, żeby o tym zapomnieli.

– Morozzi nie powie ani słowa – odparł Vittorio. – Och, na pewno by chciał, ale będzie też rozumiał, że po twojej ucieczce nie ma dowodu.

Myślałam nad tym i doszłam do wniosku, że to może być prawda.

Wtedy David powiedział:

– To dalej nie pomoże moim ludziom. Nie, jeżeli Innocenty pożyje na tyle długo, żeby wydać edykt.

Mówiąc to, spojrzał na mnie. Wiedział teraz równie dobrze, co ja, że to Morozzi, nie Innocenty, wydał wyrok śmierci na mojego ojca, więc mogę mu wybaczyć, że zwątpił, czy będę gotowa działać dalej. Ale mylił się.

Gdzieś pomiędzy dniem, gdy pierwszy raz weszłam do getta, a kiedy opuszczałam je, niosąc krew Rebeki, Żydzi stali się dla mnie istotami ludzkimi. Mój nowy stosunek do nich nie zmniejszył pragnienia zemsty, ale stworzył palącą potrzebę wypełnienia zadania, za które ojciec oddał życie. Co odebrałoby również zwycięstwo Morozziemu.

Chwytnąjąc Vittorio za ramię, powiedziałam:

– Nie możemy odejść, jeszcze nie. Musimy skończyć to, po co tu przyszliśmy.

Vittorio spojrzał na mnie, jakbym była szalona.

– Nie mogę was doprowadzić do Innocentego, zwłaszcza teraz. Morozzi nie wysunie żadnych oskarżeń, ale upewnij się, że Papież będzie bezpieczny.

– Może tak być, ale jest przekonany, że ma truciznę, którą zamierzałam zabić Innocentego. – Opowiedziałam Vittorio w skrócie o medalionie. – Będzie wierzył, że nas rozbroił, ale bardzo się myli.

– Jak bardzo? – spytał Vittorio.

Z miękkiej sakiewki ukrytej w fałdach sukni wyjęłam butelkę, którą napelniła Sofia. Vittorio wpatrywał się w nią, kiedy powiedziałam:

– Ponieważ wciąż mam swój środek, nie muszę iść do Innocentego. Muszę się tylko dostać tam, gdzie trzymani są chłopcy, którym upuszcza się dla niego krew.

Kapitan nabrał głęboko powietrza i powoli je wypuścił. Widziałam, jak na jego twarzy gra niepewność. Wiedział, że najbezpieczniej byłoby wyprowadzić nas na zewnątrz zamku tak szybko, jak to możliwe. Innocenty i tak umrze, pewnie wcześniej niż później, i Borgia w końcu dostanie swoją szansę na pontyfikat.

Ale nie stanie się to wystarczająco szybko, żeby powstrzymać zagładę Żydów. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, szalony Morozzi będzie zdeterminowany, aby bezzwłocznie doprowadzić do podpisania edyktu.

– Kardynał... – zaczął Vittorio.

– Czy on cię tu wysłał? – Przerwałam, chcąc zatrzymać go, zanim powie to, co bałam się, że chciał powiedzieć.

Był człowiekiem Borgii, jasno dał mi to do zrozumienia. Ale czy to oznaczało, że postawi interes Il Cardinale ponad wszystkim innym?

– Nie – odpowiedział. – Nic o tym nie wie – dodał, wzruszając ramionami. – Myślałem o tym, co powiedziałaś, że nie będzie chciał wiedzieć. Zdecydowałem, że miałaś rację.

Dzięki Bogu. Może mimo wszystko była jeszcze szansa?

– Mogę to zrobić, Vittorio, naprawdę mogę. Ta metoda nie jest niezawodna, ale ma wszelkie szanse powodzenia. Nawet nie potrzebuję dużo czasu.

To ostatnie niekoniecznie było prawdą. Jeżeli od razu znalazłabym to, czego chcę, to owszem, ale w innym przypadku.

– Wyprowadź Franceskę – powiedział David. – Powiedz mi tylko, jak trafić do komnat Papieża, a ja zajmę się resztą.

Zanim zdołałam zaprotestować, Vittorio pokręcił głową.

– Nigdy nie znajdziesz drogi. W tym miejscu nawet szczury się gubią. – I z ciężkim westchnieniem mówił dalej. – Jeżeli Morozzi dostanie to, czego chce, nie zatrzyma się na Żydach. Tacy jak on nigdy się nie zatrzymują. Nie będzie zadowolony, dopóki wszyscy nie znajdziemy się pod jego butem.

– Szkoda tylko, że większość ludzi nie zdaje sobie z tego sprawy – powiedział zgryźliwie David.

– Większość ludzi nie odróżnia tyłka od łokcia – odpowiedział Vittorio. I od razu dodał: – Przepraszam, Donna, jestem starym żołnierzem i mówię to, co myślę.

Ucisnęłam jego rękę świadoma tego, że mam wilgotne oczy.

– Nie przepraszaj, Vittorio, i na Boga, przestań wreszcie mówić do mnie Donna. Taka ze mnie dama, jak i z ciebie.

Obaj mężczyźni wybuchli śmiechem, chyba bardziej z ulgi niż z mojego marnego dowcipu. To przesądziło sprawę.

Posuwaliśmy się w górę – Vittorio, David i ja – pnącym się wokół zamku szybem wentylacyjnym. Jeszcze dwa razy minęliśmy wycięcia w murze i zerknęłam na rozciągające się w dole miasto. Wreszcie szyb skończył się dużym kwadratowym otworem, przez który widać było tylko nocne niebo.

– Gdzie jesteśmy? – zapytałam, gdy Vittorio zaczął przeciskać się na zewnątrz.

Za nim podążył David i wciągnął mnie na, jak odkryłam szybkim rzutem oka, dach zamku. Staliśmy u stóp przywódcy Armii Niebiańskiej, świętego patrona wojowników, tego, którego – jak właśnie się dowiedziałam – żydowski prorok Daniel nazywa wielkim księciem, który stanie w obronie Żydów, gdy nadejdzie czas męki. Nad nami Archanioł Michał wznosił się w majestacie z surowym, stanowczym wyrazem na przystojnej twarzy. A poniżej...

Na szczęście nie czuję lęku przed wysokością, ale z pewnością tej nocy zostałam wystawiona na próbę. Nawet David nie wyglądał najlepiej, gdy posuwaliśmy się po dachu i w dół kolejnym szybem wentylacyjnym, który wyprowadził nas na czwarte i najwyższe piętro fortecy. Opuściliśmy się do małego pasażu, którego ściany wypełniały łuszczące się freski oświetlonych słońcem willi, z których mężczyźni i kobiety z ciemnymi, rozmytymi oczami patrzyli na nas w milczeniu z odległych czasów. W końcu doszliśmy do małych drewnianych drzwi.

Vittoro przyłożył do nich ucho, słuchając uważnie. Po chwili wyprostował się i skinął na nas.

– Po drugiej stronie jest korytarz, który prowadzi do komnat papieskich. Jeżeli Morozziego jeszcze tam nie ma, to wkrótce będzie, ale najpierw na pewno wyśle po edykt.

– Co masz na myśli, mówiąc „wyśle”? – zapytałam.

– Nie ma go tu – wyjaśnił Vittorio. – Jest w Watykanie. Borgia uparł się, żeby trzymano go w Kurii, ale Morozzi nie będzie dłużej czekał. Nie, wiedząc o zagrożeniu dla Papieża. Będzie naciśkał, żeby sam Innocenty zażądał edyktu, i będzie próbował skłonić go do podpisania go bez zwłoki.

– Ale najpierw musi go tu sprowadzić – powiedział David, rozumiejąc sytuację tak samo, jak ja.

– Więc daje nam to trochę czasu, ale wciąż nie mamy go wiele – podsumowałam.

Vittoro przytaknął.

– Borgia zostawił instrukcje, że edykt nie może być nigdzie przeniesiony bez jego zgody, ale do rana...

Resztę zostawił niedopowiedzianą, ale mimo wszystko byłam pełna nadziei. Watykanem rządziła biurokracja, która mogła konkurować z największymi w świecie. Morozzi mógł wysuwać żądania w imieniu Papieża, jakie by tylko chciał, ale trzeba było przestrzegać procedur. Jakiś urzędnik będzie musiał zostać obudzony, trzeba będzie wytłumaczyć mu sytuację. Z kolei ta osoba będzie musiała wysłać wiadomość Borgii, którego trzeba będzie najpierw znaleźć. Zgadywałam, że raczej spędza noc w łóżu pięknej Giulii niż w swoim. Kiedy już zostanie znaleziony, będzie musiał ubrać się odpowiednio – Il Cardinale nigdy nigdzie nie chodził bez właściwego swojej godności odzienia.

Do tego czasu będzie już wiedział, że nie ma mnie i Vittorio. Domyśli się, że coś się dzieje, i będzie się poruszał ostrożnie, czyli powoli.

Co nie oznaczało, że my mogliśmy robić tak samo.

– Wie pan, gdzie są chłopcy? – spytałam.

– W przeciwnym końcu korytarza niż komnaty Papieża. Innocenty jest wrażliwy, nie chce, żeby byli zbyt blisko niego, ale jednocześnie chce, żeby byli pod ręką.

– Czy może być z nimi medyk? – zapytał David.

Vittoro skinął głową.

– Z tego, co mówili mi chłopaki, mniej więcej w tym czasie upuszcza im się krew.

– Dlaczego tak późno? – spytałam.

– Innocenty boi się nocy. – Wzruszył ramionami Vittorio. – Przemienił ją w dzień.

Wymknęliśmy się z ciasnego pasaży do korytarza. David pierwszy, ja tuż za nim. Vittorio został z tyłu, żeby odegrać swoją rolę w planie, który szybko opracowaliśmy. Nie był to idealny plan, ale mając na względzie to, co wiedzieliśmy, najlepszy z możliwych.

Przeszliśmy ledwie parę kroków, gdy zatrzymałam się i złapałam Davida za pelerynę.

– Słyszysz to? – szepnęłam.

Zaczął kręcić głową, ale wsłuchał się uważnie i po chwili skinął ponuro.

– Jesteśmy blisko.

Usłyszeliśmy kwilenie dziecka, cichutki, zawodzący jęk, który rozrywał mi uszy. Chociaż próbowałam się wziąć w garść, nie mogłam sobie z tym poradzić. Z niezrozumiałej przyczyny poczułam się nagle tak, jakbym była uwięziona za ścianą mojego koszmaru, wyglądając przez małą dziurkę, która odkrywała horror.

Kwilenie stawało się głośniejsze. Oddychałam z trudem, ale szłam dalej za Davidem. Na końcu korytarza zatrzymaliśmy się przed zamkniętymi drzwiami. Dźwięk dochodził z ich drugiej strony. Nabrałam powietrza. David zrobił to samo i uchylił drzwi.

Za nimi był mały pokój bez okien, oświetlony lampami ustawionymi w niszach ściennych, umeblowany jedynie w cztery wąskie łóżka, stół i parę stołków. Na łóżkach leżeli młodzi chłopcy, ośmio-, dziewięcioletni. Trzej z nich kulili się pod kołderkami, ale sztywność ich ciał wskazywała na to, że nie śpią. Czwarty nie spał na pewno. Był chudym, bladym chłopcem w podobnym wieku jak pozostali, z masą ciemnych loków i oczami wypełnionymi przerażeniem. Leżał na plecach, a jego lewa ręka była wyprostowana nad miską, do której z głębokiego nacięcia kapłała krew. Wzdłuż całej ręki widać było inne niezagojone rany.

Asystował mu medyk w aksamitnej purpurowej szacie i haftowanym nakryciu głowy. Nie zwracał uwagi na słaby płacz dziecka, uciskając jego ramię, żeby krew leciała szybciej. Odwróciłam się, bo poczułam mdłości. Oparłam się o ścianę, zamknęłam oczy i starałam się uspokoić. Nie mogliśmy nic zrobić, żeby pomóc chłopcu, zupełnie nic. Jego i innych mogła uratować jedynie śmierć Innocentego.

Kiedy znów otworzyłam oczy, medyk zakończył procedurę i przelewał krew z miski do słoja stojącego na stoliku przy łóżku. Nie troszczył się już o chłopca, który dalej krwawił. Zakwilił jeszcze raz, a ja musiałam włożyć w usta pięść, aby powstrzymać się od krzyku.

David dotknął mojego ramienia, pochylił głowę w cichym ostrzeżeniu, żebym trzymała się z tyłu, a sam wszedł do pokoju. Mnisi habit i kaptur całkiem go zakrywały. Ręce miał skrzyżowane i ukryte w rękawach szaty. Głowę trzymał schyloną i mówił cichym głosem.

– Signore dottore – zwrócił się do medyka. – Ojciec Morozzi pragnie zamienić z panem słowo.

Doktor uniósł wzrok, przyglądał się przez chwilę Davidowi i zmarszczył brwi.

– Wie, że jestem zajęty.

– Oczywiście, signore, ale mówi, że to pilne. Proszę pójść ze mną, jestem pewien, że zajmie to tylko kilka minut.

Medyk wyglądał, jakby miał się poddać. Myśl o odmowie Morozziemmu wydawała się napać go niepokojem, jednak nie bardziej niż potrzeba wypełnienia swojego zadania.

– Terapia Ojca Świętego nie jest jeszcze gotowa. Nie mogę tak po prostu wyjść...

– Mój brat w Chrystusie dopilnuje tu wszystkiego – powiedział David i odsunął się na bok, żebym mogła wejść do środka.

Ja również miałam opuszczoną głowę i ukryłam ręce, bo dobrze wiedziałam, że ich widok zdradziłby to, że jestem kobietą.

Bałam się przez chwilę, że medyk odmówi, ale potrząsnął tylko głową z irytacją i odszedł od łóżka.

– Niczego nie dotykaj – rzekł do mnie.

Wychodząc z pokoju, David rzucił mi szybkie spojrzenie, które miało mi przypomnieć, jak

mało mam czasu.

Gdy tylko medyk wyszedł, rzuciłam się przez pokój.

Chłopiec, któremu upuszczono krew, cały czas mnie bacznie obserwował. Przyłożyłam palec do ust, modląc się, żeby był cicho, i szybko wyjęłam spod habitu butelkę z krwią.

Inni chłopcy w ogóle się nie ruszali; podejrzewam, że byli zbyt przerażeni albo zbyt osłabieni tym, co im zrobiono, żeby w ogóle zwracać uwagę na to, co się działo.

Miałam teraz problem, co zrobić z krwią, która już była w słoju. Dochodzący z niego zapach miedzi wywoływał u mnie mdłości.

Wstrzymałam oddech, złapałam słój i gorączkowo rozglądałam się wokół. Kątem oka zobaczyłam, że chłopiec się poruszył. Uniósł drugą rękę, również noszącą ślady cięć, i wskazał pod swoje łóżko.

Schyliłam się ostrożnie, żeby nie uszkodzić butelki, i znalazłam tam nocnik. Z westchnieniem ulgi wlałam w niego krew i wsunęłam go z powrotem pod łóżko.

Potem parę razy wstrząsnęłam butelką, jak poinstruowała mnie Sofia, żeby krew, z której zaczęło oddzielać się wodniste, żółtawe osocze, pływające na powierzchni gęściejszej, bardziej zwartej czerwonej podstawy, znów się wymieszała. Gdy tylko zobaczyłam, że tak się stało, wlałam ją do słoja i odstawiłam go na stół, dokładnie tam, gdzie przedtem.

Przez cały ten czas chłopiec cichutko mnie obserwował. Kiedy skończyłam, usłyszałam głos Vittorio na korytarzu, gdzie czekał, aby przejąć Davida i medyka.

– Tysięczne przeprosiny, dottore – mówił Vittorio. – Ojciec Morozzi musiał niespodziewanie wyjść, ale jestem pewien, że później będzie chciał z wami rozmawiać.

– To niesłychana niedogodność tak kogoś odrywać od pracy – uskarżał się medyk. – Ojciec Święty czeka. Nie można ode mnie oczekiwać, że będę wszędzie jednocześnie.

Wszedł do pokoju, gdzie ja przyciskałam bandaż do ręki chłopca. Oczywiście nie powinnam była tego robić. Nie, nie mam na to, co zrobiłam, żadnego usprawiedliwienia. Z wyjątkiem tego, że był dzieckiem, przerażonym i cierpiącym. Wy na pewno zrobilibyście to samo.

– Co robisz? – zdenerwował się medyk. – Powiedziałem, żeby niczego nie dotykać!

David szybko podszedł do przodu.

– Brat... Franciszek chciał tylko pomóc, dottore. Kiedyś dbał o... konie. Jestem pewien, że nie chciał cię urazić, prawda, bracie?

Nic nie mówiąc, pokręciłam głową, pragnąc tylko, aby dottore i jemu podobni znaleźli się w Siódmym Kręgu Piekła. W zasadzie nawet sprawiało mi przyjemność wyobrażanie go sobie zamurzonego we Flegetonie, rzece wrzącej krwi, gdzie – jak miałam szczerą nadzieję – spędzi całą wieczność.

– Pójdziemy już – powiedział Vittorio. – Przepraszam ponownie, dottore.

Medyk wciąż zrzędził pod nosem, gdy pędziliśmy z powrotem korytarzem.

– Udało ci się? – zapytał po drodze David.

Zapewniłam go, że tak, i prześlizgnęliśmy się z powrotem do pasażu, a później na dach, który ponownie przebyliśmy, schodząc do kolejnego pasażu, z którego wyszliśmy na drugi dziedzińiec na poziomie wojskowym. Do tego czasu miałam już pełną jasność, że to, co powiedział Vittorio, iż nawet szczury gubią się w zamku, jest szczerą prawdą. Byłam zupełnie zdezorientowana i nie miałabym najmniejszego pojęcia, w którą stronę iść, gdyby kapitan nas nie prowadził.

Dochodziliśmy właśnie do dziedzińca, gdy natknęliśmy się na patrol – dwunastu strażników w napierśnikach i hełmach z pióropuszcami, uzbrojonych w piki i halabardy. Poruszali się truchtem po otwartej przestrzeni. Gdzie indziej też dało się słyszeć tupot stóp.

Wciśnięci w cień pod ścianą poczekaliśmy, aż patrol nas minie. Serce waliło mi o bolące żebra. Jeżeli teraz zostalibyśmy złapani, Morozzi miałby wszystko, czego potrzebował, żeby nas oskarżyć, a nawet więcej. Ktoś mógłby uświadomić sobie, że byliśmy blisko krwi przeznaczonej dla Papieża. Przesłuchano by chłopców...

Żółć podeszła mi do gardła. Modliłam się, jak jeszcze nigdy w życiu, ale i tak moje modły nie były najlepsze. Składały się głównie z ostrzeżeń rzuconych Bogu, że jeśli pozwoli, aby tym dzieciom coś się stało, będę wiedziała, że jest tylko oszustwem i błagą, boskim naciągaczem nie-

godnym naszej czci. Nie jest to pewnie najlepszy sposób na uzyskanie łaski Wszechmogącego.

– Będą blokować wyjścia – powiedział Vittorio, gdy patrol posuwał się dalej. – Jediną szansą Morozziego jest nie pozwolić wam opuścić zamku.

– Ale już o tym pomyślałeś – powiedział David. – Prawda?

Kapitan wzdrygnął się.

– Po prawdzie bardziej byłem zainteresowany tym, żeby was znaleźć. Pomyślałem, że o resztę zatroszczę się później.

– Może moglibyśmy się gdzieś ukryć – zasugerowałam szybko. – Dopóki to wszystko się nie uspokoi. Potem moglibyśmy się wymknąć.

Vittoro pokręcił głową.

– Są setki miejsc, może nawet więcej, ale w każdym z nich narażacie się na odkrycie.

Byłoby lepiej teraz was wyprowadzić. Zostanę i spowoduję jakieś zamieszanie. Koledzy nie będą mi tego mieli za złe. Jak mówiłem, sprzyjają Borgii.

– Kapitan ma rację – powiedział David. – Poza tym, jeżeli nam się udało i Innocenty umrze, *castel* zostanie zamknięty, dopóki nie skończy się walka o łupy.

Z tym musiałam się zgodzić. Zbyt dobrze pamiętałam, co działo się osiem lat temu, gdy umarł Papież Sykstus IV. Razem z ojcem i większością domowników Borgii ewakuowaliśmy się na wieś, podczas gdy Kardynał toczył swoją wielką – i przegraną – walkę, żeby objąć papieżstwo. Bandy ruszyły na ulice, w całym Rzymie rozszalały się pożary i rządził chaos, dopóki konklawe kardynałów nie osiągnęło w końcu kompromisu, wybierając kandydata.

– Musicie iść – powiedział Vittorio. Rozejrzał się szybko i zdecydował. – Tędy.

Szliśmy w dół po schodkach, zanim musieliśmy się zatrzymać, żeby przepuścić kolejny patrol. Przyciśnięta do ściany wstrzymałam oddech, gdy młody strażnik obejrzał się za siebie i zmarszczył czoło, jakby coś zobaczył albo usłyszał. Po chwili poszedł dalej, a ja znów odetchnęłam, ale było dla mnie jasne, że nie możemy dłużej zostawać w zamku i dalej mieć nadziei, że uda się ukryć.

Wreszcie doszliśmy do obszernej sali wypełnionej glinianymi garncami, które sięgały mi aż do pasa i były ustawione na drewnianych podporach utrzymujących je w pionie. Byliśmy w zamkowym magazynie oliwy, w którego odległym krańcu Vittorio się zatrzymał.

W oddali dało się słyszeć kroki patroli przeplatane wykrzykiwanymi rozkazami.

– Tu zaczyna się mała komplikacja – powiedział Vittorio.

To nie były słowa, które chciałam wtedy usłyszeć, ale zatrzymałam tę myśl dla siebie, a on mówił dalej.

– Jest tu szyb. Ciągnie się prosto w dół murów i wychodzi nad fosą. – Popatrzył na nas. – Umiecie pływać?

Przytaknęłam, podobnie jak David. Żadne z nas nie wykazywało wielkiego entuzjazmu na perspektywę nurkowania w fosie, która z pewnością była tak brudna, jak zwykle takie miejsca bywają.

– Nie zobaczą nas? – zapytał David.

Vittoro pokręcił głową.

– Szyb wychodzi z tej strony zamku, gdzie nie ma bram czy przejść; wygląda tak, jakby była tam tylko lita ściana. Standardowa procedura jest taka, że zbiera się większość straży przy głównej bramie i rozmieszcza mniejsze siły po dwóch stronach, gdzie są ukryte wejścia. Tam będą szukać.

Mówiąc to, rozwinął linę, której użył, żeby nas wyciągnąć z komnaty więziennej.

– Kolejną przyczyną, dla której nie będą zawracać sobie głowy strzeżeniem tej strony murów, jest to, że szyb jest prawie pionowy. Każdy, kto by spadł z tej wysokości, na pewno by się zabił.

– Więc nie możemy się po prostu ześlizgnąć? – zapytał David.

– Nie, jeżeli ci się nie spieszy, żeby się spotkać ze swoim Stwórcą. – Unosząc linę, Vittorio się uśmiechnął. – Kto chce iść przodem?

David rozpiął czarną pelerynę i zdjął przez głowę biały habit. Rzucił obie rzeczy na podłogę magazynu.

– Będą mnie obciążać w wodzie – wytłumaczył, błędnie interpretując moje zdziwione spojrzenie.

Doskonale wiedziałam, dlaczego zdejmuję ubranie. Jeżeli jednak zakładał, że pójdzie pierwszy, to bardzo się mylił.

– Nie wiemy, jaki szeroki jest szyb, prawda? – podkreśliłam. – Ja mam większą szansę przejścia, a tym samym określenia, czy ty dasz radę się precyzyjnie. Inaczej możesz utknąć i zostaniesz tam uwięziony bez możliwości wyjścia.

– Ma rację – powiedział niechętnie Vittorio. – Zrzucam tam linę, ale nigdy nie schodziłem w dół. Mogę tylko zgadywać, jaką ma szerokość.

– To zbyt niebezpieczne – upierał się David. – Znajdzie się w wodzie sama.

– Nic mi nie będzie – powiedziałam.

I nie czekając na ich zgodę, zdjęłam swój habit, a przy tym również wierzchnią suknię.

Vittorio zawiązał pętlę na końcu liny. Wzięłam ją i przełożyłam przez głowę, mocując pod pachami.

Spojrzałam w ciemny szyb i wzięłam głęboki oddech.

– Jestem gotowa.

Oczywiście nie byłam, ale przecież na coś takiego nie można się przygotować. Najlepiej jest po prostu mieć to z głowy. Postępując zgodnie z instrukcjami Vittorio, usiadłam na krawędzi otworu.

– Opuszczaj się powoli – polecił. – Będę luzował linę po kawałku. Jeżeli będzie za mocno cię uciskała, możesz ją trochę odciążyć, opierając się rękami i nogami o ściany szybu. Jak będzie jakiś problem, szarpnij, a wtedy wciągnę cię z powrotem.

Skinęłam głową, jakbym rozumiała, kiedy w rzeczywistości wiedziałam jedynie, że wchodzę w ciemną, głęboką dziurę, która, jeżeli uda mi się przeżyć opuszczanie, zrzuci mnie w cuchnącą fosę.

W ostatniej chwili, zanim chwyciłam linę, spojrzałam na Davida.

– Gdy dotrzesz do wody, cokolwiek by się stało, pamiętaj, żeby nie połknąć ani kropli. Jeżeli się zanurzysz, nie wdychaj powietrza od razu, jak wypłyniesz. Każda stojąca woda może nosić czerwonkę, ale to, co jest w tej fosie, na pewno by nas zabiło.

– To szkoda, że nie mogliśmy napić tym Innocentego – powiedział z wymuszonym uśmiechem.

Vittorio czekał gotowy. W jego oczach dostrzegłam niepokój, więc postarałam się o uśmiech.

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Nie po to ratowałeś nas przed Morozzim, żebym teraz utopiła się w paru metrach brudnej wody.

Szorstkim głosem powiedział:

– Modlę się, żeby tak było.

Uścisnęłam jego rękę.

– Mój ojciec uważał cię za przyjaciela. Teraz rozumiem dlaczego.

– Giovanni byłby z ciebie dumny – powiedział Vittorio. – Każdy ojciec by był.

Ścisnęło mi się gardło. Skinęłam szybko głową i wzięłam najgłębszy oddech, jaki mogłam. Pokładając ufność w Bogu, Świętym Michale, a ponad wszystko w niezłomnym żołnierzu, który wszedł do jaskini Iwa, żeby uratować grzesznika, opuściłam się do szybu. Powietrze od razu zrobiło się wilgotne. Z dołu docierał do mnie odór ludzkich nieczystości, odpadków, szlamu, padliny i Bóg wie czego jeszcze, co wrzucano albo co wpadało do fosy. Przełknęłam ciężko ślinę i próbowałam nie myśleć o braku stałego oparcia pod zwisającymi stopami ani o protestach nadwyrężonych żeber.

Bardzo szybko światło komnaty powyżej zmniejszyło się do małego kwadraciku i nastąpiła

ciemność. Vittorio powoli popuszczał linę. Obawiając się, że nie zostanie mu zbyt dużo siły, aby opuścić Davida, rozłożyłam ręce i nogi na boki i zaczęłam posuwać się w dół z ich pomocą. Wymagało to poświęcenia i było bolesne. Ostre kamienie raniły mi skórę, a ciemność naciskała ze wszystkich stron. Nie mogę powiedzieć, że bym obawiała się przebywać w ciasnych pomieszczeniach, na pewno nie w sposób, jak to opisują niektórzy ludzie, ale takie okoliczności potrafią przywołać myśli o moim koszmarze, bez których wówczas chętnie bym się obyla.

Żeby zebrać się w sobie, zamknęłam oczy. Za zamkniętymi powiekami zobaczyłam opadający błysk stali i przez chwilę wydawało mi się, że czuję zapach krwi. Szybko je otworzyłam i odkryłam, że na tyle przyzwyczaiły się do ciemności, że zaczynałam widzieć kamienie, z których zbudowany był szyb. Przyglądając się uważnie, mogłam lepiej układać na nich dłonie, kolana i stopy, aby uniknąć dalszego poranienia.

Kontynuując drogę w dół, cieszyłam się, że szyb jest wystarczająco szeroki i może pomieścić Davida, ale wciąż bałam się, że zanim dotrę do końca, mogę natrafić na jakąś przeszkodę. Jednak w dalszej drodze również obyło się bez incydentów, jakby w odpowiedzi na moje modlitwy.

Przepełniło mnie podniecenie, gdy zdałam sobie sprawę z tego, że widzę plamkę słabego światła pode mną, tam, gdzie kończył się szyb. Przygotowywałam się na moment, gdy opuszczę się do cuchnącej wody, kiedy lina nagle się naprężyła, zatrzymując mnie w miejscu. Usłyszałam z góry przekleństwo Vittorio.

Chwilę później problem stał się oczywisty. Lina była za krótka. Gdyby Vittorio musiał wciągnąć mnie z powrotem, wszystko byłoby na nic i wciąż bylibyśmy uwięzieni.

Udało mi się podciągnąć trochę, opierając się plecami o jedną ze ścian szybu i przerzucając ciężar na stopy i kolana, żeby poluzować linę. Z trudnością przełożyłam pętlę przez głowę. Przez chwilę trzymałam się liny obiema rękami. Nie miałam pojęcia, jaka odległość dzieliła mnie od fosy albo czy woda jest tam na tyle głęboka, żeby zamortyzować upadek. Ale nie miałam innego wyjścia.

Wzięłam możliwie najgłębszy oddech, zacisnęłam oczy i usta, a potem puściłam linę.

Spadałam przez krótką chwilę, chyba nie więcej niż jakieś trzy metry. Łądując w fosie, od razu się zanurzyłam. Stopami dotknęłam obrzydliwego, miękkiego dna, które zdawało się mnie wciągać. Całą siłą odepchnęłam się ku powierzchni, przebijając się przez grubą warstwę szlamu.

Kiedy miałam już głowę nad wodą, strząsnęłam jej z siebie jak najwięcej, zanim otworzyłam oczy i nabrałam powietrza. Smród był przytłaczający. Rzuciłam się do przeciwnego brzegu, ale zaraz odkryłam, że poziom wody był kilka metrów poniżej ładu. Przez jedną straszliwą chwilę myślałam, że znów jestem w pułapce. Zobaczyłam jednak błysk wbitych w kamień żelaznych szczebli i o mało nie krzyknęłam z ulgą.

Do czasu, gdy wspięłam się po nich i opadłam na trawiasty brzeg naprzeciwko zamku, David wpadał już do fosy. Patrzyłam, wstrzymując oddech, dopóki się nie wynurzył, a potem pokazałam mu szczebelki. Dołączył do mnie. Razem, ociekając śmierdzącym szlamem, pobiegliśmy w stronę rzeki.

– Most jest strzeżony – powiedział David, gdy szliśmy. – Tamtędy nie możemy przejść.

Oczywiście miał rację. Musieliśmy znaleźć inną drogę, ale jaką?

Rozglądając się gwałtownie, pokazałam.

– Most Sisto, jakieś pół kilometra w górę rzeki, jeżeli uda nam się tam dotrzeć.

Poszliśmy tak ostrożnie, jak można, przemykając się w cieniu. Był odpływ, co jeszcze wzmacniało odór, ale dzięki Bogu, szybko straciłam wrażliwość na jakiegokolwiek zapachy. Przy każdym kroku zapadaliśmy się w błoto, które nas spowalniało. Dwa razy się potknęłam i byłabym upadła, gdyby nie mocne ręce Davida. Tam, gdzie do rzeki wpadał jeden ze starożytnych kanałów, wystraszyliśmy kolonię szczurów, które rozlały się wokół nas, a ich wysokie piski wypełniły ciemność. W innych okolicznościach chyba zamarłabym z przerażenia. Ale po wszystkich wydarzeniach nocy i w obliczu groźby, która wciąż nad nami wisiała, oboje, David i ja, biegnęliśmy po masie szczurów, które rozstępowały się przed nami jak wielka szara fala.

– Musimy ostrzec Rocca – powiedziałam, cały czas biegnąc.

I proszę, Boże, obyśmy zdążyli na czas.

Gdy byliśmy już blisko mostu, David pociągnął mnie w dół. Ostrożnie szukaliśmy jakiegoś znaku, że był pod strażą. Dowódca zamku mógł wysłać ludzi, żeby go chronili. Vittorio mógł się mylić. Ale jeżeli miał rację, jeżeli garnizon sympatyzował z Borgia...

– Jest pusty – powiedział David.

Na moście Sisto nie było widać żadnego poruszenia, nie było również straży na żadnym z jego końców.

Przebiegliśmy przez niego razem. Po drugiej stronie rozciągały się starożytne mury Rzymu. Wzniesione, żeby chronić miasto przed barbarzyńskimi hordami, podupadły tak bardzo, że nawet już nie rozważano ich naprawy. Prześlizgnęliśmy się przez coś, co pewnie kiedyś było bramą, i puściliśmy się biegiem dalej.

Po niedługim czasie doszliśmy do Campo de' Fiori. Kilka tawern i burdeli wokół rynku wciąż robiło interesy, ale poza tym było tu cicho. Dotarliśmy do uliczki wytwórców szkła, ale i tu zatrzymaliśmy się, żeby upewnić się, że nie ma straży.

Wszystko wyglądało spokojnie, więc poszliśmy dalej, skręcając w alejkę, która doprowadziła nas na tyły warsztatu Rocca, na podwórze z piecem.

Zapukałam cichutko i zawołałam:

– Rocco... to my.

Drzwi natychmiast stanęły otworem. Wytwórca szkła był rozczochrany i zmęczony, ale powitał nas z niesłychaną ulgą.

– Francesca! – wykrzyknął i już zdawało mi się, że zamierza wziąć mnie w ramiona, gdy cofnął się gwałtownie, niewątpliwie czując bijący ode mnie odór.

– Gdzie ty...? Co jest...? – Nie mogąc znaleźć słów, po prostu odsunął się na bok, robiąc nam przejście.

Kiedy drzwi za nami bezpiecznie się zamknęły, Rocco zapalił lampę i długo przyglądał się naszej parze. Nie mogę sobie wyobrazić, jaki stanowiliśmy widok, ale doskonale pamiętam ten smród.

– Byliśmy w zamkowej fosie – powiedziałam. – Ale to nieważne. To była pułapka. Morozzi nie jest jednym z nas. Jest szaleńcem, który chce zniszczyć Borgia i zabić wszystkich Żydów. Musimy stąd uciekać, wszyscy.

Muszę przyznać, że Rocco nie wahał się ani chwili. Zdmuchnął płomień lampy, chwycił płaszcz z haka i powiedział zdecydowanie:

– Chodźmy.

– Masz jakieś konkretne miejsce na myśli? – zapytał David, gdy w pośpiechu opuszczaliśmy warsztat i wchodziliśmy z powrotem w noc.

– Tylko jedno przychodzi mi do głowy – odpowiedział Rocco i nie mówiąc nic więcej, przyspieszył kroku.

David i ja biegliśmy za nim, nie mogąc złapać na tyle tchu, żeby zadawać pytania. Za Campo de' Fiori przemknęliśmy w cieniu pokrytego kopułą Panteonu, jedynej starożytnej budowli w Rzymie, której czas oszczędził ruiny i która stanowiła przypomnienie o tym, jak naprawdę wygląda świetność. Po przejściu kilku ulic weszliśmy na Plac Minerwy poświęcony starożytnej bogini mądrości.

Przez cały czas trzymaliśmy się blisko ścian i podcieni budynków, nasłuchując, czy nie nadchodzą patrole. Minęła już godzina, kiedy najemni łotrzy, zmęczeni panoszeniem się po ulicach, pokazując swoją władzę, udają się, by odpocząć w jednej z całonocnych tawern. Ci, którzy nie upili się do nieprzytomności, wyjdą znowu później, napędzani młodym czerwonym winem z Umbrii, jeszcze bardziej niebezpieczni niż przedtem.

Zanim to nastąpi, musieliśmy znaleźć schronienie. Chwilę później domyśliłam się, gdzie Rocco nas prowadził.

– Jesteś pewny? – zapytałam, starając się mówić jak najciszej, żeby David nie usłyszał moich wątpliwości.

Ze wszystkich miejsc, gdzie mogliśmy się ukryć, a zwłaszcza on... Santa Maria Sopra Minerwa, kościół zbudowany przez dominikanów, który spełnia również funkcję ich kapitułarza

w Rzymie, stoi na miejscu dawnej świątyni bogini mądrości. Ciało Świętej Katarzyny, o której już mówiłam, jest tu pochowane, ale nie jej głowa, która spoczywa w Siennie. Niepokoi mnie to, choć wydaje się to satysfakcjonować jej wyznawców w obydwu miastach.

– Mam tu przyjaciela – powiedział Rocco.

Musiałam wierzyć, że ma rację.

To smutny fakt, że wiele kościołów w Rzymie, jak i gdzie indziej, zamyka się na noc, żeby zapobiec grabieżom. Każdy z potrzebą strawy duchowej musi czekać do rana. Ale autorytet dominikanów jest tak duży i tak duży strach wywołują, że dom dzielony przez Matkę naszego Pana i Boginię Mądrości jest tu wyjątkiem.

Staliśmy u małych bocznych drzwi zwieńczonych kamienną belką rzeźbioną w wyobrażenia ogarów goniących za zdobyczą, pewnie, żeby zobrazować nazwę – *Domini canes*, bo ta nazwa ustanawia zakon jako ogary boskie. Przez moment obawiałam się, że David odmówi wejścia. Najwyższy niesmak i podejrzliwość wyraźnie malowały się na jego twarzy.

Wzięłam go za rękę i powiedziałam pospiesznie:

– Rocco jest dobrym człowiekiem. Nie ma nic, w czym bym mu nie zaufała, a on też sprwadza na siebie niebezpieczeństwo, przychodząc tutaj.

David nie wyglądał na przekonanego, ale zgodził się wejść. Znaleźliśmy się w przejściu przy bocznej nawie, w pobliżu ołtarza Matki naszego Pana. Przed posągami Maryi Dziewicy paliły się świece, oświetlając wnętrze. Byłam wcześniej w tym kościele, ale zapomniałam o jego wspólności kontrastującej z prostą fasadą. Łukowe sklepienie z czerwonym ożebrowaniem obejmowało niebieskie, rozgwieżdżone niebo. Wypolerowane marmurowe kolumny po każdej stronie głównej nawy odbijały światło wiecznej lampy, przypomnienia o obecności Chrystusa. Próbowałam policzyć, jak długo byliśmy w zamku i ile zajęła nam późniejsza ucieczka. Wydawało mi się, że jesteśmy gdzieś między kompleta, która tak łagodnie przyzywa noc, a jutrznią. Musieliśmy się ukryć, zanim bracia zjawią się na modły, które zwiastują nowy dzień.

– Tędy – powiedział Rocco, wskazując na kamienne schody prowadzące z ołtarza w dół, do krypty.

Weszłam niechętnie, mając na dzisiaj dość ciemnych, wąskich pomieszczeń. Na szczęście wieczyste lampy paliły się przed jakimiś dwunastoma grobowcami, włączając ten samej Świętej Katarzyny. Pokrywa ukazywała wizerunek pełen pogodnego spokoju, ale ja myślałam tylko o jej bezgłowym ciele pod nią i przeszedł mnie dreszcz.

Katarzyna nie była osamotniona. Na tyłach krypty, gdzie ja i David w końcu usiedliśmy, ze ściany wyłaniała się rzeźbiona twarz innej kobiety. Jej rysy były szlachetne, włosy ułożone w warkocz okalający głowę. Wyglądała na bardzo rzeczową.

– Minerwa? – zapytałam Rocca.

Przytaknął.

– Prawdopodobnie. Kiedy to była jeszcze jej świątynia, była tu studnia. Bracia utrzymywali ją w dobrym stanie. – Zniknął w mroku na kilka minut i wrócił z wiadrem wody.

Oboje z Davidem rzuciliśmy się na nią. Piliśmy, a kiedy zaspokoiliśmy pragnienie, umyliśmy się najlepiej, jak mogliśmy, zważając na wymogi przyzwoitości i brak czystej odzieży. Wyczerpani oparliśmy się o ścianę.

Oczy mi się zamykały, gdy David zapytał:

– Na ile jest możliwe, że ktoś tu zejdzie?

– Ktoś zejdzie – odpowiedział Rocco. – Liczę na to.

Czułam, jak ciało Davida zeszywniało. Nie mogłam naprawdę go winić, biorąc pod uwagę fakt, że już raz byliśmy dziś w pułapce.

– Twój przyjaciel? – zapytałam.

Rocco skinął głową.

– Kilka lat temu, po tym, jak Guillaume został przeniesiony tutaj do kapitulacza, minęliśmy się na ulicy. On rozpoznał mnie, podobnie jak ja jego, i zastanawiałem się, czy mnie wyda. Ale nie zdradził mojej tajemnicy.

– Jakiej tajemnicy? – zapytał David najwyraźniej wciąż pełen podejrzeń.

Zostawiłam tę odpowiedź Rocco, który zrobił to z pełną godności prostotą.

– Byłam kiedyś dominikaninem.

David wydał z siebie dźwięk oscylujący między niedowierzaniem a obrzydzeniem.

Nie było mi trudno zrozumieć jego reakcji. Z jego punktu widzenia mógłby równie dobrze powierzyć życie samemu diabłu.

– Nie wiedziałem, że można opuścić zakon – powiedział w końcu.

– Bo nie można – odparł Rocco. – Uciekłem. Guillaume, rozpoznając mnie, mógł narobić mi mnóstwo kłopotów, ale nie zrobił tego. Nikomu nie powiedział.

– Dlaczego? – spytałam.

– Ma swoje powody – odpowiedział Rocco i opierając się o ścianę, zamknął oczy, kończąc tym rozmowę.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w ciszy. Zasnęłam i budziłam się. Kiedy nie spałam, myślałam o Nando, wysłanym na bezpieczną wieś, i o tym, że jego ojciec może być ścigany, dlatego że mi pomógł. Tak nierozważnie wplątałam go w moje problemy, przekonując samą siebie, że nie miałam innego wyjścia, a prawda jest taka, że zawsze mamy jakieś wyjście. Jeżeli cokolwiek by mu się stało, ponosiłabym za to całkowitą odpowiedzialność.

Chwilę później usłyszałam ciche głosy. Nie mogłam rozpoznać słów, ale nie brzmiały jak sprzeczka. Wkrótce wrócił Rocco, prowadząc ze sobą mężczyznę w białym habicie i czarnej pelerynie.

Był w wieku Rocca, ale trochę niższy i szczuplejszy, z ciemną, gładko przystrzyżoną brodą i wąsami. Jego twarz była otwarta i szczerze zaciekawiona. Nie wydawał się zaniepokojony naszą obecnością.

– To Brat Guillaume – powiedział Rocco. – On nam pomoże.

– Rocco mówi, że uciekliście z *castel* – powiedział braciszek, patrząc to na jedno, to na drugie z nas. Tak intensywnie się w nas wpatrywał, że nawet mu nos nie drgnął, gdy poczuł nasz zapach. – Jak wam się to udało?

David wstał. Zgiął ramiona, złożył dłonie w pięści i spojrzał na Guillaume wyzywająco.

– A dlaczego chcesz wiedzieć?

Guillaume lekko się zarumienił na tak niedelikatne potraktowanie, ale się nie wycofał.

– Jestem ciekaw. *Castel* jest jak łamigłówka. Żeby ją odgadnąć, potrzeba mądrości, intuicji i pewnie odrobiny szczęścia.

– Guillaume lubi łamigłówki – powiedział z uśmiechem Rocco. Patrząc na mnie, dodał: – A szczególnie lubi łamigłówki, które można znaleźć w naturze. Najlepiej zapytaj go o pszczoły.

– Pszczoły? – spytałam zdziwiona.

Braciszek wydawał się trochę zakłopotany, ale jego entuzjazm był na tyle duży, że nie mógł się powstrzymać.

– Pszczoły to najbardziej zadziwiające ze stworzeń boskich, bardziej niż sam człowiek.

Trudzą się pilnie i bezinteresownie, aby osiągnąć wyznaczony cel. A w czasie tej pracy mają miejsce fascynujące formy zachowania. Na przykład wracając do ula, pszczoła może przysiąść i wykonać coś na kształt skomplikowanego tańca, którego kroki różnią się, jak przypuszczam, w zależności od różnych potrzeb. Inne pszczoły, które ten taniec oglądają, odlatują często w tym samym kierunku, z jakiego tańcząca pszczoła przyleciała.

– Fascynujące – powiedział David.

Powoli opuścił pięści i patrzył na braciszka niemal z rozbawieniem.

– Ale to nie wszystko – ciągnął Guillaume. – Jestem prawie pewny, że jest jakiś wzorzec rozrodu pszczół, mam tu na myśli przyrost ich ilości. Liczba pszczół w ulu wzrasta zgodnie z cyklem odkrytym przez wielkiego matematyka Leonarda Fibonacciego. Ta sama zależność pojawia się w innych tworach natury... Płatki słonecznika, na przykład, skręty uformowane przez łuski szyszki...

– Niezwykłe – powiedziałam i naprawdę tak uważałam. Ale czas mijał zbyt szybko, a trzeba było opracować plan naszej ucieczki.

– Wybaczcie mi – powiedział Guillaume, zupełnie niezmięszany. – Kiedy już zacznę, to nie

mogę skończyć. Może właśnie dlatego mistrz naszego zakonu zezwala mi oddawać się moim studiom w prywatności – na chwałę Boga, oczywiście.

Dopiero wtedy przypomniałam sobie, że ten sam zakon dominikanów, który wydał Torquemadę, za swoich lepszych czasów wychował takich ludzi, jak Święty Albert Wielki, który starał się dowieść, że nauka i wiara mogły zgodnie współistnieć, a ponad wszystko Świętego Tomasza z Akwinu, na którego barkach, można uczciwie powiedzieć, opiera się cały Kościół. Jak nisko zakon upadł z wyżyn takiej światłości do rozgorączkowanych pasji Wielkiego Inkwizytora.

– Znalazłeś dziwne miejsce na swoją pracę, bracie – powiedział David.

Guillaume rozłożył ręce.

– Jestem tam, gdzie wysłał mnie Bóg. Ale teraz przejdźmy do bieżących okoliczności. Na razie możecie tutaj bezpiecznie zostać. Ja zajmuję się lampami w krypcie, sprawdzam je przed modłami w każdą godzinę kanoniczną. Teraz już prawie czas na jutrznię. Moi bracia będą w kościele nad wami, ale żaden z nich tu nie zejdzie. Kiedy nadejdzie dzień, zobaczymy, jak się sprawy mają, i jeżeli trzeba, poczynimy inne ustalenia. Czy to jest dla was do przyjęcia?

Kiedy zapewniliśmy go, że tak, dodał:

– Przed prymą powinienem wrócić ze strawą i jeśli to będzie możliwe, z jakimiś wiadomościami. Do tego czasu zostańcie tutaj i spróbujcie odpocząć.

Rocco odprowadził go do schodów, a David i ja ponownie usiedliśmy. Zanim zapadłam w sen, przyszło mi do głowy, że wreszcie spotkałam człowieka, jakim miał być Morozzi; poszukiwacza prawdy, ukrytego w murach samego Świętego Kościoła. Jeżeli byli również inni i jeśli mieli odwagę Guillaume'a, mogła jeszcze istnieć nadzieja, że Torquemadowie tego świata zostaną pokonani.

Z tą myślą zasnęłam i spałam głęboko, bez snów, unosząc tylko na chwilę głowę, gdy usłyszałam sączące się w dół po schodach słowa psalmu: „W Bogu odpoczywa dusza moja. On jest źródłem mojej nadziei”.

Francesca? – Usłyszałam niski, głęboki głos.

Poczułam delikatny dotyk na ramieniu.

Otworzyłam oczy. Rocco nachylał się nade mną z twarzą zdjętą niepokojem. Nad nim, u wylotu schodów prowadzących do ołtarza, zobaczyłam blade światło dnia.

– Która godzina? – zapytałam, próbując szybko wrócić do rzeczywistości.

Spałam mocno, ale nie odpoczęłam. Miałam ciężką głowę i obolałe ciało. Rocco podał mi rękę, pomagając mi wstać. Przyjęłam ją, dziękując za jego siłę i stałą obecność.

– Już prawie pryma – powiedział. – Guillaume przyniósł jedzenie i wieści, jak obiecał.

– Jakie wieści? – zainteresował się David, który też się obudził; wstał żwawo, jakby całą noc przespał w najwygodniejszym łóżu.

– W mieście jest spokój – odparł Rocco. – Nie słyhać o tym, jakoby ktoś uciekł z zamku zeszłej nocy, nie widać też zamętu w okolicach getta ani gdziekolwiek indziej na ulicach. Wszystko wydaje się być w porządku.

Błogosławieństwo, a przynajmniej na razie. Vittorio miał rację: bez twardych dowodów na spisek mający na celu zabicie Papieża Morozzi nie mógł powiedzieć słowa, nie wystawiając gardła na zemstę Borgii. Jednakże to go nie powstrzyma i dalej będzie robił wszystko, aby edykt został podpisany, a Żydzi skazani na zgubę. Mogła temu zapobiec jedynie śmierć Innocentego.

– Nic o Papieżu? – spytałam.

Rocco pokręcił głową.

– Nic nowego.

Nie mogłam uwierzyć, że tyle przeszliśmy, aby ponieść klęskę. Choć przecież zawsze wiedziałam, że nie było gwarancji sukcesu. Udało mi się podmienić krew, ale nie miałam pewności, że Innocenty ją dostał. A jeśli nawet, mogła nie podziałać na niego tak jak na Rebekę. Jednak mógł jeszcze umrzeć z powodu chorób wywołanych swoim hulaszczym życiem, a tych było mnóstwo. Albo Bóg, w swojej nieskończonej łasce, mógł zdecydować, że usunie swojego sługę z tego świata jakimś innym sposobem. Zanim narobi więcej szkód. Mając do czynienia z tyloma niewiadomymi, mogliśmy zrobić tylko jedno.

– Musimy się dowiedzieć, co dzieje się w zamku – powiedziałam z zamiarem natychmiastowego wyruszenia.

Mój żołądek miał jednak inny pomysł. Wyczuwając jedzenie, wydał z siebie dźwięk godny głodnego wilka. W tej samej chwili zadzwoniły dzwony na prymę.

Czekając, aż nabożeństwo dobiegnie końca i bracia opuszczą kościół, rozkoszowaliśmy się smakiem chleba i sera, które dostarczył nam Guillaume. Kiedy droga była już wolna, wysłizgnęliśmy się z krypty, a później drzwiami, przez które weszliśmy. Wynurzyliśmy się z trzewi ziemi i staliśmy, mrugając w świetle poranka tak jasnym, że raziło w oczy.

W pobliżu Panteonu rozdzieliliśmy się. Bałam się o bezpieczeństwo Rocca i błagałam go, żeby nie wracał do warsztatu, ale od razu odrzucił moje obawy.

– Pozwólmy Morroziem mnie znaleźć – powiedział. – To odciągnie go od ciebie na wystarczająco długi czas, żeby Borgia mógł się z nim rozprawić.

Innego mężczyznę podejrzewałabym w takiej sytuacji o brawurę, ale nie Rocco, który był uosobieniem siły i determinacji. Chwyciłam go jednak mocno za rękę.

– Proszę, bądź ostrożny. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby...

– Wyślij mi wiadomość – powiedział, oddając mi uścisk. – Jeśli coś będzie nie tak. A o mnie się nie martw.

Chciałam mu odpowiedzieć, ale z jakiegoś powodu w gardle urosła mi gęsia skóra, a oczy zaczęły szczypać. Do czasu, gdy byłam w stanie coś wykrztusić, już go nie było. Ale odwrócił się, zobaczył, że na niego patrzę, i się uśmiechnął. Oddałam mu uśmiech, ale nie sądzę, żeby to zauważył; był już

za daleko.

Brudni, w oplakanym stanie, przeciskaliśmy się z Davidem przez tłum, który jak zwykle gromadził się na ulicach. Chronił nas smród. Wielu przechodniów rzucało na nas podejrzliwe spojrzenia i usuwało się z drogi.

Do czasu, gdy dotarliśmy do palazzo, miałam już coś na kształt planu.

– Musimy się dowiedzieć, gdzie jest Borgia i co się dzieje z edyktem. Możesz ukryć się w moich komnatach, a ja...

David mnie zatrzymał, delikatnie kładąc rękę na moim ramieniu.

– Nigdzie się nie ukryję, Francesco. Kiedy już będziesz bezpieczna w pałacu, ja wrócę do Dzielnicy Żydowskiej.

Zaczęłam protestować, ale nie chciał mnie nawet słuchać.

– Jeżeli edykt został podpisany – powiedział – będzie wkrótce ogłoszony. A kiedy to się stanie, zaatakują nas, tak jak hiszpańskich Żydów zaatakowano, gdy tylko został wydany nakaz ich wydalenia. Nie byli przygotowani na to, żeby się bronić, ale my jesteśmy. – Twarz mu stężała. – Czas bezkarnego zabijania Żydów się skończył.

Ogarnął mnie strach. Wśród nas, ludzi, potomków pierwszych upadłych rodziców, zawsze znajdują się tacy, którzy będą chcieli przenieść własne lęki na tych, którzy są zbyt słabi, aby odpłacić im tym samym. Ale jeżeli to, o czym mówił David, doszłoby do skutku, konsekwencje byłyby w najwyższym stopniu potworne. Ilu by gojów nie poniosło śmierci, atakując labirynt ulic i alejek getta, cały świat chrześcijański by nie spoczął, dopóki każdy Żyd w Rzymie nie zostałby zabity.

– Musisz znać cenę tego, na co się ważysz – powiedziałam.

– Zginiemy. Ale jeśli nie będziemy walczyć, większość z nas tak czy inaczej czeka to samo. Ci, którzy przeżyją, będą jak Rebeka, samotnie mierząc się ze śmiercią w świecie, w którym odmawia się nam prawa do istnienia. Jeżeli nasza śmierć zachęci Żydów w innych miejscach do powstania albo przynajmniej zmusi tych, którzy chcieliby nas atakować, żeby jeszcze raz to przemyśleli, nie oddamy życia na próżno.

Oczy mnie paliły. Ledwo udawało mi się mówić.

– Dzieci... Benjamin... Cała reszta?

Nie mogłam znieść smutku w oczach Davida. Przez chwilę wydawało mi się, że jego postanowienie słabnie, ale powinnam była wiedzieć lepiej. W swojej arogancji nie rozumiałam, że tę bitwę stoczył ze sobą dawno temu. Walczył i wygrał, choć to zwycięstwo musiało nieść ze sobą straszne brzemienie.

– Wybacz mi – powiedziałam, zanim zdążył odpowiedzieć. – Nie mam prawa zakładać, że wiem lepiej.

Uśmiechnął się słabo i ścisnął mi rękę.

– Jesteś zadziwiająco kobietą, Francesco. Zawodowa trucicielka, a ceni życie daleko bardziej niż inni, którzy bez zastanowienia wrzuciliby nas w otchłanie piekła. Ale nie rozpaczaj jeszcze. Nie pokładam wielkiej ufności w Bogu, za to dużo większą w Rodrigu Borgii. Jego ambicja może odmienić dzisiejszy dzień.

Byłam w stanie się tylko modlić, żeby miał rację, zakładając, że mogło mi się to udać.

Rozdzieliliśmy się wtedy, a David szybko zniknął w ulicznej cizbie.

Ja wspierałam się schodami w murze i niezauważona dotarłam do swoich komnat. Z westchnieniem ulgi zrzuciłam ubranie, sztywne i śmierdzące fosą. Stałam naga przed miedzianą umywalnią w rogu pokoju, szorując się od stóp do głów, łącznie z włosami. Czas był cenny, ale nie mogłam się nikomu pokazać w takim stanie bez wzbudzania podejrzeń co do tego, gdzie wcześniej byłam. Kiedy już ubrałam się w czyste rzeczy, zaplotłam mokre włosy w warkocz i owinęłam go wokół głowy. Wciąż jeszcze upinałam spinki, pospiesznie opuszczając mieszkanie w poszukiwaniu odpowiedzi.

Miałam nadzieję znaleźć Vittorio i dowiedzieć się od niego, co wydarzyło się w *castel* po naszej ucieczce, ale nie było po nim śladu. Kardynał również był poza palazzo; jego biuro świeciło pustkami i nie spotkałam żadnego z sekretarzy. Szkoda, bo przynajmniej mogliby mi powiedzieć, gdzie przebywa.

Nie mając innego wyboru, poszłam do ciasnego pokoiku usytuowanego tuż obok głównego wejścia do palazzo, co dawało przebywającym w nim osobom możliwość obserwowania tych, którzy wchodzili i wychodzili. Nadzorca Renaldo pochylał się nad swoimi księgami. Tak był zajęty kolumnami cyfr, że nie uniósł nawet głowy, gdy weszłam, jednak zeszywniał, słysząc mój głos.

– Przepraszam, signore. Ma pan chwilę czasu?

Postanowiłam być uprzejma, chociaż musiałam się również wykazać dużą dozą cierpliwości, obcując z tym niespokojnym człowieczkiem, które zawsze wyglądał tak, jakby miał zaraz wyskoczyć z własnej skóry. Obcy zakładali, że po prostu bał się Kardynała, ale prawda była bardziej skomplikowana i smutniejsza. Renaldo był jedną z tych biednych dusz, które idą przez życie w ciągłym strachu przed popełnieniem błędu. Pomyłka – czy to źle podliczona kolumna, przestawiona cyfra, zgubiony, czy nieczytelny rachunek, cokolwiek – mogła sprawić, że jego praca została zakwestionowana przez kogoś stojącego wyżej niż on, a tego nie mógłby znieść. Najwyższa dokładność była obroną, którą wybrał przed światem, tarczą, za którą się kulił.

Odwrócił się i spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Czego pani chce?

– Nic takiego – zapewniłam go. I powiedziałam uspokajającym tonem: – Myślałam tylko, że mógłby mi pan powiedzieć, gdzie znajduje Jego Eminencję.

Renaldo wzruszył ramionami i poświęcił całą uwagę kolumnom cyfr, siadając do mnie tyłem.

– Jeżeli chciałby z panią mówić, wiedziałaby pani, gdzie jest.

Jogo logika była niepodważalna, podobnie jak intensywny przyływ irytacji, którą za sobą niosła. Pomimo kilku godzin snu, którymi cieszyłam się, jeśli można użyć tego słowa, w krypcie Minerwy, wciąż byłam wykończona. Napięcie poprzedniej nocy zebrało większe żniwo, niż chciałam przyznać, zwłaszcza gdy dodać do niego wszystko, co działo się wcześniej.

Zmuszając się do uprzejmości, powiedziałam:

– Ma pan oczywiście rację, signore. Ale pewna sprawa wymagająca uwagi Kardynała dopiero teraz się pojawiła.

– Doprawdy? A cóż to może takiego być? – Jego głos sugerował, że odczuwa przyjemność, wywołując moją frustrację.

Desperacja podsunęła mi rozwiązanie. Nachyliłam się do niego tak blisko, że aż podskoczył, trudno powiedzieć, czy ze strachu, czy z emocji.

Cichutko, jakbym zdradzała mu właśnie wielką tajemnicę, powiedziałam:

– Szybciej, niż się spodziewałam, zakończyłam prace nad nową trucizną. Jest nadspodziewanie efektywna. Jego Eminencja poinstruował mnie, żebym dała mu znać, gdy tylko będzie gotowa, aby mógł mi powiedzieć, dla kogo mam ją przeznaczyć.

Boże, przebacz, ten biedny człowiek poczerwieniał jak burak, a potem gwałtownie zbladł. Upuścił księgę, zrzucił na podłogę pióro, schylił się, żeby je podnieść, i uderzył głową o spód biurka. Wstrząs poruszył kałamarz, który przesunął się na brzeg i byłby spadł, gdybym go nie złapała i delikatnie nie odstawiała na miejsce.

Ale teraz przynajmniej zyskałam pełną uwagę Renaldo. Patrzył na mnie wytrzeszczonymi oczami.

– Nie powie pan nikomu, prawda? – zapytałam. – Ludzie tracą głowę, gdy mówi się o truciznie.

– Nie! To znaczy, nie, oczywiście, że nie... powiem nikomu. Co chciałabyś pani, żebym zrobił?

– Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie się udał Kardynał. – I zanim mógłby się sprzeciwić, dodałam: – Wiem, że pan wie, Renaldo. Widzę, że ma pan tu na wszystko oko. Panu nic nie umknie.

Czasami naprawdę wstydzę się za siebie, ale bywają chwile, kiedy wstyd trzeba schować do kieszeni.

Zarumienił się, odetchnął głęboko i wyprostował wątle ramiona.

– No tak, istotnie, podejrzewam, że wszystkiego dobrze pilnuję, ale to niezbędne w takim

domostwie. W końcu Jego Eminencja na mnie polega.

– Oczywiście, że tak, Renaldo. Podobnie jak my wszyscy. Ja na przykład w tej chwili bardzo na pana liczę.

Jego grdyka podskoczyła w podnieceniu.

– Oficjalnie nic nie wiem na temat tego, gdzie udał się Jego Eminencja, ale...

– Ale...?

Jego głos przeszedł w natarczywy szept.

– Posłańcy przybyli do niego w środku nocy. Nikt nie wiedział, co im powiedzieć. Oczywiście wszyscy wiedzieliśmy, gdzie jest, był z La Bellą. Ale nikt nie chciał tego przyznać.

– Oczywiście, że nie – zgodziłam się. – Wszyscy wiemy, że Jego Eminencja nade wszystko ceni dyskrecję.

– Właśnie. Mam nadzieję, że wie, że nikt z nas niczego nie powiedział. – Opuszczając głos, mówił dalej. – Wreszcie zjawił się tutaj o świcie. Posłańcy musieli go znaleźć. Trzeba przyznać, że był w okropnym nastroju, porykiwał jak byk. Krzyczał, żeby znaleźć ciebie, pani, i kapitana. Kiedy dowiedział się, że żadnego z was nie ma... to było, jakby Wezuwiusz wybuchł! A potem został ubrany i wyszedł... Do Kurii, jak mniemam, choć nie mógłbym tego przysiąc.

– Kiedy to było? – zapytałam lekko podekscytowana.

Renaldo myślał przez dłuższą chwilę.

– Nawet nie godzinę temu. A czy to ważne? – powiedział w końcu.

To mogło być ważne... albo może nie było. Borgia mógł zwlekać tak długo, jak się dało, ale najwyższa władza wciąż spoczywała w rękach Innocentego. Jeżeli był zdeterminowany, żeby podpisać edykt, zrobi to... zakładając, że jeszcze mógł oddychać.

Dzień robił się coraz cieplejszy, mnie jednak przeszedł chłodny dreszcz. Stojąc w zagracojonej norze Renaldo – otoczona przez stopy ksiąg, umów, zwojów i tym podobnych dokumentów – czułam się, jakbym balansowała nad krawędzią przepaści. Mogłam niemal słyszeć, jak ziemia usuwa się pod moimi stopami.

Tak wielu ludzi, tyle bólu, a wszystko zależne od tego, co mogło zdarzyć się w ciągu krótkiej chwili, pomiędzy jednym uderzeniem serca a kolejnym.

– Proszę, Boże...

– Dobrze się pani czuje? – Jak przez mgłę usłyszałam słowa urzędnika.

Wstał, czego nie zauważyłam, i przyglądał mi się teraz z niepokojem.

– Proszę... dla Davida, Sofii, Benjamina, i wszystkich innych...

– Signorina...? – Wydawało mi się, że słyszę alarm w jego głosie i zastanawiałam się, co mogło go spowodować.

I nagle już wiedziałam. Zanim zobaczyłam w myślach przerażający krajobraz, zrujnowany i wyschnięty, gdzie nie było życia, które można by rozpoznać jako ludzkie. Świat, w którym dym unosił się z ziemi do pociemniałego nieba. Gdzie wilki wyły z żalu.

Cofnęłam się i krzyknęłam przerażona. Dopiero wtedy ujrzałam małe promienie światła, który mógł zaferować wyjście. Zobaczyłam go i chwyciłam.

– Panie, błagam cię, jeżeli ceną ma być moja dusza, oddam ją z radością...

– Signorina!

W mojej głowie wybuchł dźwięk trwogi. Wszechobecne, potężne brzmienie, które blokowało wszystkie myśli, cały lęk, wypełniało każdy oddech, ogarniające wszystko, co kiedykolwiek było i kiedykolwiek miało nadejść. Dźwięk niepodobny wszystkim innym, które słyszałam wcześniej czy później.

Coraz głośniejszy, coraz bardziej nagłący... Dzwony każdego z setek rzymskich kościołów złączyły się w jedno, aż powietrze zadrgało ich siłą. Zewsząd dochodziło dudnienie stóp, zadygotała ziemia, a potem dały się słyszeć głosy, z pałacu, z ulic, z każdej dzielnicy Rzymu i całego wielkiego świata.

Wszystkie te głosy jak jeden krzyczały: *Il papa e morto! Il papa e morto!*

Papież nie żyje.

Odpowiedź na moje modlitwy? Może, ale na pewno również pytanie, z którym żyłam od tej

pory w mrocznej ciszy własnej duszy: z czyjej ręki?

Borgia nie wrócił do palazzo przez trzy dni po śmierci Innocentego. Pozostał w murach Watykanu, doglądając przygotowań do papieskiego pogrzebu, co leżało w zakresie jego obowiązków jako wicekanclerza Kurii.

Tymczasem Rzym wrzał plotkami. Papież został zamordowany. Nie, umarł z powodu swojego stanu. Albo przez przekleństwo cygańskiej dziwki. Albo z powodu starożytnej przepowiedni znalezionej w grobowcu jednego z cesarzy. Albo...

Czułam ulgę, nie mogąc być pewna własnej winy. Innocenty był martwy i nie miało znaczenia, czy było to dzieło moich rąk, czy samej natury – no, może tylko dla mnie. Edykt nie został podpisany, tyle byłam w stanie odczytać z pospiesznie nabazgranej przez Davida wiadomości, którą przesłał mi z Dzielnicy Żydowskiej. Wielkie bogactwa zgromadzone przez Żydów z całej Europy lały się na konto Borgii w banku Spannocchi w Siennie, gdzie udał się Cesare. Pozornie przygotowywał konie do wyścigu na święcie Palio, które każdego lata odbywało się w tym mieście, a w rzeczywistości pilnował pieniędzy.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie cień, który mnie prześladował. Człowiek, który jak wiedziałam, był architektem śmierci mojego ojca, pozostawał na wolności, najprawdopodobniej wciąż gdzieś w obrębie Watykanu.

Nie próbowałam nawet sobie wyobrazić, jak wściekły musi być Morozzi, że jego plan został udaremiony przez śmierć Innocentego. Jeśli miałby chociaż cień podejrzenia, że ta śmierć nie była naturalna, jego furia byłaby jeszcze większa. Nie można było powiedzieć, co zamierzał zrobić – a miał przecież moją pigułkę. O tym, ponad wszystko, nie mogłam zapominać. Czy miał dostęp do innych trucizn, czy nie, posiadał tę w najbardziej śmiertelnej formie, którą stworzyłam, żeby zakończyć własne życie, gdyby zaszła taka potrzeba.

Teraz mogła równie dobrze zakończyć życie Borgii – i to w sposób, który mógł mnie z tą śmiercią powiązać. Moja zawodowa odpowiedzialność kazała mi chronić Il Cardinale i nie myłcie się, podchodziłam do tego naprawdę poważnie. Byłam również zainteresowana ochroną siebie. A co najważniejsze, byłam zdeterminowana, żeby wypełnić przysięgę, że pomścę ojca, i wytknąć Morozziemmu przegraną, zanim go zabiję. W tamtej chwili nie miałam jeszcze pomysłu, jak tego dokonać.

Z głową pełną tak ponurych myśli szukałam Vittorio. Był zajęty wydawaniem rozkazów dotyczących obrony palazzo, ale przerwał rozmowę z porucznikami, kiedy mnie zobaczył.

– Francesca – powiedział z uśmiechem – jak się czujesz?

– Nie najgorzej. A pan?

– Wyśmienicie. Nie masz żadnych objawów?

Zapewniłam go, że nurkowanie w zamkowej fosie nie wyrządziło mi wyraźnej krzywdy, i zwróciłam uwagę na przygotowania, które były w toku. Wszędzie widać było strażę, od holu wejściowego, aż do wież obserwacyjnych. Wielu rozpoznawałam, ale innych nie, co oznaczało, że Vittorio sprowadził posiłki z innych włości Kardynała. To mnie zdziwiło.

– Nie wyjeżdżamy? – zapytałam.

Podczas poprzedniego konklawe, po śmierci Sykstusa IV, Borgia wysłał domowników na wieś i nieprzypadkowo pojechały też z nami jego cenne dobra – wszystkie arrasy, obrazy, niektóre meble, skrzynia pełna skarbów, każdy talerz i kielich, jaki tylko był, został spakowany i przetransportowany poza granice Rzymu. Były to rozważne środki ostrożności, jakie podejmował człowiek uważany przez wszystkich za *papabile*, kandydata do pontyfikatu.

Jednym z dziwniejszych zwyczajów rzymian jest napadanie i grabienie rezydencji nowego papieża. Nie uważa się tego za grzeszny brak szacunku i nawet niekoniecznie jest to bezprawne, to jedynie wynik rozumowania mieszkańców miasta, że kiedy już ktoś zostanie wyniesiony na Tron Piotrowy, nie będzie potrzebował swoich prywatnych, doczesnych dóbr.

W związku z powyższym *papabili* zwykli opróżniać swoje rezydencje przed nastaniem konklawe. Patrząc na wozy z dobytkiem wytaczające się z Rzymu, można było wywnioskować, jak każdy z kardynałów odbiera swoje szanse. W zasadzie opróżnianie domu z kosztowności można nawet interpretować jako deklarację, że dana osoba będzie kandydować na papieża.

Więc co można było sądzić o decyzji Borgii, aby nie wysyłać domowników i dobytku w bezpieczne miejsce?

– Maskuje się – powiedział Vittorio. – Ogłasza w ten sposób, że jego skromność i pokora nie pozwalają mu uważać się za jednego z kandydatów.

Aż się zakrztusiłam. Borgia był kardynałem prawie czterdzieści lat, a przez większość tego czasu podsyczał plotki o sobie jako o przyszłym papieżu.

– To bzdura.

Vittorio uśmiechnął się.

– Oczywiście, ale dobra bzdura. Sieje zamieszanie, a w sytuacji, jaką teraz mamy, to zawsze jest pomocne.

– Jak jest sytuacja? – Miałam ogólne wyobrażenie, ale potrzebowałam więcej szczegółów.

– Taka, jak można się było spodziewać. Mamy dwie frakcje. Jedna się skupia wokół della Rovere, a druga wokół Sforzy.

Wymienił nazwiska dwóch najbardziej potężnych kardynałów w świecie chrześcijańskim.

Giuliano della Rovere był bratankiem Sykstusa IV, papieża, który poprzedzał Innocentego. Był człowiekiem wielkiego temperamentu, nawet większego niż sam Borgia, który osobiście prowadził wojska do walki i rozkoszował się zgniataniem każdego, kto tylko buntowałby się przeciwko Kościołowi. Obdarzony wielką ambicją i nieskończoną pewnością własnych możliwości wierzył podobno, że jego przeznaczeniem nie tylko było zostać papieżem, ale poprowadzić chrześcijaństwo do większej świetności, niż kiedykolwiek znało.

Osiem lat wcześniej on i Borgia rywalizowali w walce o tron papieski zwolniony przez Sykstusa IV. Kiedy della Rovere zdał sobie sprawę, że nie ma wystarczającego poparcia, żeby sam mógł zostać papieżem, przerzucił swoje wsparcie na rozpustnego Kardynała Cibo tylko po to, aby Borgia nie objął pontyfikatu. Była to zniewaga, której Borgia ani nie wybaczył, ani nie zapomniał w kolejnych latach. Tym razem della Rovere zabezpieczył sobie poparcie francuskiej korony, weneccjan i potężnych rodów Colonna i Savelli powiązanych z Królestwem Neapolu. Każdemu, kto myślał, że nic go nie powstrzyma, można więc było wybaczyć.

Jego rywal, Ascanio Sforza, był bratem Ludovico Sforzy, władcy Mediolanu. Jego frakcja cieszyła się poparciem Orsinich i Contich, jak również całego zastępu kardynałów, którzy byli przeciwni mieszanu się w ich sprawy czy to Francuzów, czy Neapolitańczyków.

Na pierwszy rzut oka rzecz nawet nie była warta walki. Della Rovere miał więcej sojuszników, prawdopodobnie więcej pieniędzy i zdecydowanie większe szanse na sukces. Ale nie doceniać siły Sforzy można było tylko na własne ryzyko.

No i poza tym był Borgia... Byk... Człowiek, który przyjął ciężką lekcję przegranej i przysięgał, że więcej tego nie doświadczy.

– Zakłady w tawernach obstawiają pięć do trzech na della Rovere przeciwko Sforzy – powiedział Vittorio. – Obstawia się również, że della Rovere wygra, nawet jeśli będzie musiał przekazać wsparcie innemu kandydatowi, którego będzie kontrolował tak jak Innocentego.

Tego nie można było lekceważyć.

Jeżeli plotki były podstawowym zajęciem Rzymu, hazard był na drugiej pozycji.

W kolejnych dniach olbrzymia ilość pieniędzy przejdzie z rąk do rąk, bo stawiano duże i mniejsze kwoty na to, kto zostanie nowym papieżem.

– A co z Borgią? – zapytałam. – Jakie są jego szanse?

– Jest trzeci, może czwarty, ale stawia się na niego coraz więcej, bo poszła plotka, że wyda krocie, żeby tym razem wygrać.

– Ciekawa jestem, kto rozpuszcza taką plotkę?

Vittorio zaśmiał się.

– Oczywiście on sam. Chce, aby kardynałowie zrozumieli, że jest otwarty na propozycje.

– Nawet, jeśli pokazał się im jako zbyt pokorny, żeby brano go pod uwagę? – zapytałam. Vittorio uśmiechnął się.

– Nawet. Kardynał powiedział, żebym zabrał cię ze sobą, gdy będę wracał. Chce z tobą mówić.

– Nie mieszkasz teraz tutaj?

– Nie do powrotu Jego Eminencji. Uważam za rozsądne przebywanie tam, gdzie on.

Spojrzelśmy na siebie z milczącą zgodą. Z Morozzim na wolności i prawdopodobieństwem, że wkrótce stowarzyszy się z della Rovere, Il Cardinale potrzebował najlepszej opieki.

– Jak dużo wie o tym, co się wydarzyło? – zapytałam, gdy opuściliśmy palazzo.

Vittoro siedział na swoim ulubionym siwku. Ja na łagodnej kasztance, jednym z koni, które trzymano w pobliżu dla takich jeźdźców jak ja, którym, powiedzmy szczerze, brakowało pewnych umiejętności. Nie to, żebym nie lubiła jazdy konnej, nie widziałam po prostu wielu powodów, żeby często jej się oddawać. Bóg z jakiegoś powodu wyposażył nas przecież w nogi.

Dzień był pochmurny, powietrze ciężkie bez krztyny wiatru, który mógłby zdmuchnąć całun dymu zwieszający się nad miastem nawet latem, z kuchni, pieców i temu podobnych. Ulice były nadzwyczaj spokojne, do czego pewnie przyczyniły się też szwadrony wojska sprowadzone do patrolowania miasta. Pamiętając, co działo się po śmierci poprzedniego papieża, ludzie woleli raczej zostać w domach, sklepach czy warsztatach, grupując się i czekając, żeby zobaczyć, czy Rzym ponownie wybuchnie przemocą.

– Rozmawiałem z nim tylko przez chwilę – powiedział Vittorio. – Nie było czasu na więcej. I on, i della Rovere byli przy łożu śmierci. Niemal wdali się w kłótnię, kiedy Papież wydawał ostatnie tchnienie.

Tę scenę mogłam sobie doskonale wyobrazić – dwóch kardynałów, zaprzysiężonych wrogów, zdeterminowanych, żeby wydrzeć dla siebie najwyższą władzę.

Zastanawiałam się tylko, czy któryś z nich albo ktoś inny w ogóle pomyślał, aby dać Innocentemu ostatnie namaszczenie. Nie to, żebym wierzyła, że namaszczenie go świętym olejem i odmówienie nad nim paru modlitw pomoże Papieżowi, gdy zostanie wezwany, żeby odpowiedzieć za swoje ziemskie uczynki.

Interesowało mnie jednakże coś innego. Z pewnym wahaniem zapytałam:

– Czy wiesz, w jakim był stanie przed końcem?

– Czyli co go zabiło?

Powiedział to prosto z mostu, więc mogłam tylko skinąć głową.

– Zastanawiałam się.

Vittoro spojrzął na mnie.

– Nie powinnaś się nad tym rozwodzić, Francesca. Zrobiłaś to, co trzeba było zrobić.

– Więc to była krew?

Ja też zostanę pewnego dnia wezwana przed oblicze Pana, żeby się rozliczyć. Mogłabym się usprawiedliwić tym, że zabiłam człowieka, który miał właśnie popełnić potworną zbrodnię. Ale jak można rozliczyć się z zabicia Wikariusza Chrystusa na ziemi? Kiedy kończy się człowiek, a zaczyna święte oficjum? Nie miałam pojęcia, ale tak czy inaczej obawiałam się odpowiedzi.

– Może była, a może nie – powiedział Vittorio takim tonem, jakby chciał podkreślić, że nie sądzi, aby to miało znaczenie. – Liczy się to, że już go nie ma. Powinniśmy cieszyć się z tego, a nie martwić o całą resztę.

Dojeżdżaliśmy do mostu Aeliusa, przez który przeszliśmy z Morozzim, żeby dostać się do zamku.

Patrzyłam na złowieszcze mury fortecy i nie mogłam się nadziwić, że Davidowi i mnie udało się z niej wymknąć. Unosząc wzrok na figurę Świętego Michała, złożyłam mu ciche podziękowania. Natomiast na fosę ledwo rzuciłam okiem.

Wjechaliśmy na teren samego Watykanu. Odmienne od reszty miasta rozległy plac przed Bazyliką Świętego Piotra tętnił życiem. Duchowieństwo i świeccy z całego Rzymu i okolic pospieszyli tu na wieść o śmierci papieża, żeby wybadać, jakie korzyści mogliby z tego osiągnąć, prowadzić kampanię na rzecz swojego kandydata albo zwyczajnie czerpać uciechę z intryg i całego za-

mieszania.

Wkrótce można się też było spodziewać przybycia delegacji zarówno z innych stron Włoch, jak i z większości Europy. Niedługo każda gospoda w Rzymie i wiele prywatnych domów będą wypełnione po same strzechy.

Rozpoczął się wyścig, aby dotrzeć do miasta, zanim zaczną się konklawe, a kardynałowie zostaną zamknięci w Kaplicy Sykstyńskiej i będzie można jedynie czekać na ich decyzję.

Gdzieś w kompleksie budynków, które składały się na Watykan, Morozzi układał własne plany. Na pewno wiedział, że teraz jego jedyna nadzieja na podpisanie edyktu leżała w wyborze takiego papieża, który nienawidziłby Żydów tak samo jak on. Było wielu kandydatów, którzy odpowiadali temu opisowi, ale wśród nich prym wiódł sam Giuliano della Rovere. Potężny rywal Borgii stał za działaniami Innocentego, więc Morozzi musiał zabezpieczyć sobie jego zgodę na edykt, zanim zaproponował go Papieżowi. Można było wnioskować, że teraz kardynał był patronem szalonego księdza i go ochraniał.

Nie było wątpliwości, że della Rovere posunie się daleko, żeby dalej kontrolować papieństwo. Jeżeli i tym razem nie uda mu się zasiąść na Tronie Piotrowym, był wciąż na tyle młody, aby pogodzić się z wyborem kandydata, którego popierał, i czekać na następną szansę. Dla Borgii sprawy przedstawiały się zupełnie inaczej. W wieku sześćdziesięciu jeden lat nie mógł pozwolić sobie na to, żeby znowu przegrać i dalej żyć nadzieją na to, że kiedykolwiek zostanie papieżem. Pragnął pontyfikatu już zbyt długo i zbyt żarliwie, żeby się teraz zatrzymać. Jedynie della Rovere dorównywał mu w niepohamowanej sile ambicji.

– Starcie tytanów – mruknęłam, patrząc na surową fasadę Kaplicy Sykstyńskiej, gdzie miała zostać rozegrana walka.

Nikt inny niż sami kardynałowie i ich pomocnicy nie wiedzieli, co dokładnie działo się w czasie konklawe, ale proces, dzięki któremu, jak się mówiło, Bóg ogłasza swojego namiestnika na ziemi, wydaje mi się więcej niż zaproszeniem dla ludzkiej zachłanności i sprzedajności.

– Co powiedziałaś? – zapytał Vittorio.

Odwrociłam się w siodle i spojrzałam na niego.

– Jak myślisz, jak daleko posunie się della Rovere, żeby wygrać?

– Tak daleko, jak musi, podobnie jak Borgia – odpowiedział, kiedy zsiadaliśmy z koni. – Żaden z nich nie będzie mógł się wycofać.

Nasze wodze zostały przejęte przez giermka noszącego czerwono-złotą liberię Borgiów. Podnosząc wzrok, zauważyłam chorągiew wicekanclerza powiewającą nad Pałacem Apostolskim. W tej chwili Borgia był głową Kościoła w Rzymie. Ale to mogło szybko się zmienić. I zmieniłoby się, gdyby wszystko poszło po myśli Morozzi.

Wspięliśmy się schodami w górę, przeszliśmy między dwoma uzbrojonymi strażnikami i dalej korytarzem w labirynt biur, w których tłoczyli się urzędnicy, niezwracający na nas uwagi, zajmując się pilnymi sprawami, które im zlecono.

– Poczekaj tu – powiedział Vittorio i zniknął za lśniącymi dębowymi drzwiami nabijanymi mosiądzem.

Zostawiona sama czułam na sobie spojrzenia petentów stojących w kolejce pod ścianą kancelarii, oczekujących na swoją szansę, aby błagać Borgia o taką czy inną przysługę, nie bacząc na to, że mogły go teraz zaprzętać ważniejsze sprawy. Prawnicy, urzędnicy, pośrednicy, a także paru artystów, jakiś muzykant, wszyscy poddawali mnie uważnej obserwacji. Byłam tam jedyną kobietą i wydawało się jasne, że moja obecność stanowiła okazję do komentarzy. Pulchny ropuch, wyglądający na prawnika, nachylił się do tak samo dobrze odżywionego sąsiada i szeptał mi w ucho. Spojrzeli na mnie i się roześmiali.

Powstrzymałam impuls, żeby poinformować ich, że nie byłam, jak pewnie założyli, jedną z kobiet Kardynała. Że właściwie byłam jego trucicielką. Ich reakcja na pewno bardzo by mnie zadowoliła, ale nie kosztem zwrócenia uwagi na moją tu obecność. Zamiast tego, przez niedługi czas, jaki minął do powrotu Vittorio, wpatrywałam się przed siebie.

Biura Kardynała wychodziły na plac przed bazyliką. Wysokie okna były otwarte, żeby wpuścić tu choć trochę powietrza. Otoczony gzymsem sufit zdobiły rzeźbienia przedstawiające se-

rafinów. Ściany pokrywały gobeliny. Długie stoły zavalone były stosami dokumentów – zwojami i księgami. Widziałam sekretarzy Borgii, wszystkich trzech, pracujących ciężko obok zastępu księży i mnichów, którzy wbiegali i wybiegali, z pewnością załatwiając ważne sprawy.

Sam Borgia siedział za szerokim lśniącym biurkiem z drzewa kasztanowego i marmuru. Uniósł głowę, gdy weszłam, i uśmiechnął się.

Kardynał powstał, żeby mnie powitać, wyszedł zza biurka i powiedział serdecznie:

– Donna Francesca! Cieszę się, że cię widzę!

Wszystko zatrzymało się w miejscu. Sekretarze, urzędnicy i inni zamarli i gapili się na nas. A dokładnie gapili się na mnie. Taka pokazowa kurtuazja, o której nawet nie słyszano w miejscu, gdzie kobiety mogły liczyć na tak niewiele, na pewno była czymś, co mogło rozkręcić języki. Ponieważ Il Cardinale nigdy nie robił niczego bez przemyślenia i powodu, było dla mnie jasne, że właśnie taki efekt zamierzał wywołać.

Jak długo potrwa, zanim wszyscy się dowiedzą, że Francesca Giordano, córka truciciela, która – jak plotkowano – zajęła jego pozycję, złożyła Kardynałowi wizytę w jego biurach w Kurii i została przyjęta przez niego z wielką uprzejmością i szacunkiem? Że oddalili się trochę od ogółu, co faktycznie zrobiliśmy, żeby porozmawiać przez chwilę na osobności, obserwowani, ale nie podsłuchiwani? Że wydawali się mieć do przedyskutowania sprawy wielkiej wagi?

– Czego pan chce? – spytałam Borgię, gdy przeszliśmy w róg biura, gdzie mieliśmy odrobinę prywatności.

Chodziło mi o to, co miał na myśli, sprawiając, że nasza rozmowa odbywała się w tak publicznym miejscu, ale Kardynał zrozumiał mnie opatrnie.

Spojrzał na mnie zdziwiony i powiedział:

– Zostać papieżem, oczywiście. Myślałem, że o tym wiesz.

Zanim dałam przemówić swojej irytacji, zobaczyłam w jego oczach błyski rozbawienia.

Jednak usłyszałam, jak dodał z pełną powagą w głosie:

– Ale najpierw musisz postarać się o to, żebym żył.

Grecki generał Tukidydes w swoim dziele historycznym *Wojna peloponeska* mówi, że musimy zawsze zakładać, iż nasz wróg jest kompetentny, a nie pokładać nadzieje w tym, że popełni błąd. Nie czytałam jeszcze Tukidydesa, gdy postawiłam wszystkie swoje umiejętności na zadanie utrzymania Borgii przy życiu, ale miałam wystarczający instynkt, żeby wiedzieć, że nie mogę, w żadnym przypadku, nie doceniać swojego przeciwnika.

Morozzi był oszalałym fanatykiem, ale był również inteligentnym hipokrytą, który znał działania Świętego Kościoła o wiele lepiej, niż ja kiedykolwiek bym mogła. W szczególności znał Watykan, pole, na którym miała się rozegrać wielka bitwa między Borgia a della Rovere. Zostało mi bardzo mało czasu, żeby zapoznać się z tym miejscem.

Vittoro był moją eskortą. Z nim u boku skoncentrowałam swoją uwagę na kaplicy, gdzie miało się odbywać konklawe papieskie.

Kaplica Sykstyńska, nazwana tak na cześć Papieża Sykstusa IV, który zaordynował jej budowę, została poświęcona jedynie dziewięć lat wcześniej. To pierwszy raz, kiedy to właśnie tu miało odbyć się konklawe, ale wydawała się do tego celu dobrze przystosowana. Wzorowana na Świątyni Króla Salomona w Jerozolimie – czy nie powinniśmy zatrzymać się tu na chwilę, żeby nacieszyć się ironią takiego uznania dla dzieła Żydów? – za niemal surową fasadą, w której widnieje tylko rząd niewielkich okien pod dachem i seria drzwi wiodących z niższego poziomu do zamkniętego dziedzińca, kryje się bogactwo niezwykłych dzieł sztuki.

Nie można się do niej dostać ze świata zewnętrznego. Jedyne wejście prowadzi przez Pałac Apostolski. Takie rozwiązanie oferuje bardzo poważną korzyść, jeśli chodzi o bezpieczeństwo, podkreślając jednocześnie jej rolę jako kaplicy papieskiej, oddzielonej od większej i publicznie dostępnej bazyliki.

Widziałam ją wielokrotnie, ale za każdym razem zapierała mi dech w piersiach. Czego by nie powiedzieć o Sykstusie, miał dar wyzwalania najlepszego w artystach naszej ery i dostosowywania tego do własnych potrzeb.

Mój ukochany Botticelli, podobnie jak Perugino i Ghirlandaio wnieśli wkład w niezwykłą serię fresków, które pobudzają ściany do życia. Poniżej sklepionego sufitu, pomalowanego jak rozgwieżdżone niebo, Mojżesz, Aaron, Jezus, Święty Piotr i wielu innych głoszą nieprzerwany rodowód autorytetu papieskiego, od Boga, wręczającego Mojżeszowi Dziesięć Przykazań, do Jezusa, dającego Świętemu Piotrowi klucze do bram niebieskich. Wszędzie pojawia się także łuk Konstantyna, który ma przypominać, że papież ma nie tylko najwyższą władzę duchową, ale i ziemską.

Zatrzymałam się przed fragmentem, który zawsze najbardziej mnie fascynował, gdy przechodziłam tu z ojcem. Jego pozycja w domu Borgiów zapewniała nam pewne przywileje, a wśród nich możliwość wchodzenia do miejsc zamkniętych dla publiczności. Myślałam o nim, stojąc przed fragmentem fresku poświęconego ukaraniu Koracha, który sprzeciwił się autorytetowi Mojżesza i Aarona, przywódców wybranych przez Boga.

– Nieprzyjemna sprawa – powiedział stojący obok mnie Vittoro.

Obrzucił fresk żołnierskim okiem, które uchwyciło, jak Korach buntuje się przeciw Mojżeszowi, Aaron go odpiera, a Korach i jego zwolennicy, poddani gniewowi Boga, są żywcem pochłanianymi przez rozstępującą się pod nimi ziemię. Żeby być pewnym, że wszyscy zrozumieją przesłanie, Aaron ma na sobie purpurowe szaty papieża, a inskrypcja ostrzega przed niebezpieczeństwem, na jakie naraża się każdy, kto bierze na siebie taką godność, z wyjątkiem tych, którym nadał ją Bóg.

– Owszem – zgodziłam się – i trafia w samo sedno. Ale jak myślisz, ilu z nich rzeczywiście w to wierzy?

Mówiąc „nich”, oczywiście miałam na myśli kardynałów, którzy wkrótce zgromadzą się w kaplicy, żeby odgadnąć boski wybór swojego kolejnego ziemskiego namiestnika. Będzie ich

dwudziestu kilku, bo jeszcze nie wiadomo, ilu zdąży na czas do Rzymu. Prawie wszyscy z nich byli mocno skupieni na życiu doczesnym, jak Borgia i della Rovere. Jedynie nieliczną garstką rządziły względy duchowe, a wszyscy oni byli starymi ludźmi, którzy raczej nie mogli odegrać prawdziwej roli w przebiegu wydarzeń.

– Jak wielu z nich w ogóle wierzy w to wszystko? – odparował Vittorio. – A przynajmniej dopóki nie znajdą się na łożu śmierci, z bojaźnią oczekując na spotkanie ze Stwórcą. Do tego czasu postępują jak banda pogańskich hien klójących się nad ścierwem.

– A mimo to wspierasz Borgia – przypomniałam mu.

Kapitan wzdrygnął się.

– Lepsze jest znane zło.

Odwrócił się przodem do przeciwległej ściany, gdzie Botticelli namalował prześwietne wyobrażenie kuszenia Chrystusa. Ja także mu się przyjrzałam. W końcowej próbie nęcenia naszego Pana, żeby zdradził swoją świętą misję na Ziemi, Szatan zaoferował mu wszystkie bogactwa świata, które jednak zostały odrzucone. Może i kiedyś znajdziemy papieża, który uczyniłby to samo, ale do tego czasu musimy sobie radzić z tym, co mamy.

Przypominając sobie o celu, dla którego tu przebywam, przyjrzałam się krzesłom – a może bardziej tronom – na których kardynałowie mieli zasiąść na czas formalnych rozważań. Ciągnęły się z obu stron ołtarza, a każde osłonięte było czerwonym baldachimem. Po wyborze papieża wszyscy oprócz wybranego mieli powstać i osobiście opuścić swój baldachim, żeby zaznaczyć akceptację wyniku. Siedzenie Borgii – jako dziekana Kolegium Kardynalskiego – znajdowało się najbliżej ołtarza. Byłam pewna, że tę pozycję uznawał za stosowną.

Borgia będzie dotykał podłokietników, linki baldachimu i niewątpliwie wielu więcej rzeczy. Na pewno nie mogłam być jedynym trucicielem znającym sposób na zabijanie przez kontakt ze skórą, taki jak wykorzystałam w przypadku Hiszpana. Nie mogłam też mieć nadziei na ograniczenie ilości miejsc, których mógł dotknąć Borgia. Ale mogłam upewnić się, że będzie miał na dłoniach rękawiczki, które mu dostarczę. Podobnie, jak mogłam sprawić, że nie będzie jadł i pił nic z wyjątkiem tego, co zostanie mu przyniesione i będzie wcześniej opieczętowane przeze mnie.

Nie oznaczało to jednak, że nie będzie można go zabić. Każdy człowiek jest śmiertelny, jeżeli założy się, że prawdopodobny zabójca będzie chciał się posunąć najdalej, jak można, włączając w to oddanie własnego życia w celu wykonania zadania.

Jak daleko mógł się posunąć Morozzi?

Jak daleko ja bym się posunęła?

– Nie wydaje mi się to w porządku – powiedziałam.

– Dlaczego? – zapytał Vittorio.

– Jeżeli którykolwiek z przeciwników Borgii nagle umrze, będzie się podejrzewać jego, tak jak byłby podejrzewany, gdyby śmierć Innocentego nie wydała się naturalna. Żaden z kardynałów nie odda najwyższej władzy człowiekowi, który gotów jest zabić kardynała, więc byłaby pewność, że nie mógłby być dłużej kandydatem na papieża. Ale jeśli to on by umarł, ilu z przychylnych mu książy by się tym przejęło?

– Bardzo niewielu. Na pewno nie pohamowałyby to ich własnych ambicji.

Mogłabym nawet odrobinę współczuć Kardynałowi, gdyby nie to, że doskonale wiedziałam, że nie dbał o nic innego, jak o La Famiglia, i poświęciłby wszystko – i wszystkich – dla tego celu. Spojrzałam na katafalk ustawiony przed ołtarzem, na którym miało spocząć ciało Innocentego, które było teraz przygotowywane do pochówku w paru trumnach – ołowianej wewnątrz cedrowej, a ta wewnątrz trumny z białego dębu. Mogłam tylko mieć nadzieję, że to wystarczy, żeby powstrzymać smród, bo pogrzeb miał się odbyć dopiero za kilka dni. Jeżeli zawiodłabym i Borgia umarłby z ręki Morozzi, kolejny pogrzeb musiałby poczekać, aż zakończą się uroczystości związane z pierwszym.

– Zobaczmy resztę – powiedziałam i przeszłam za Vittorio na zewnątrz kaplicy do graniczącego z nią budynku, który dostosowywano do potrzeb konklawe.

Każdy z kardynałów miał mieć swoje prywatne pomieszczenia, gdzie będzie mógł się posilać, odpoczywać i oddawać rozważaniom. Paru może się nawet pomodli. Ich wyposażenie trudno

było nazwać skromnym, ale też daleko im było do wielkich luksusów, do których książęta Świętego Kościoła Rzymskiego byli przyzwyczajeni.

– Powiedziałbym, że to lekkie obniżenie standardów – zaobserwował Vittorio.

Zgodziłam się z nim i przypomniałam sobie, że ojciec powiedział mi, dlaczego musiało tak być. W trzynastym wieku konklawe trwało dwa lata i osiem miesięcy. Mogłoby trwać i do dzisiaj, gdyby wierni nie wzięli spraw w swoje ręce i nie zamknęli kardynałów, dopóki nie podjęli decyzji. Od tego czasu nikt nie chciał, żeby im było za wygodnie.

Tak czy inaczej nie wyglądało raczej na to, żeby mieli szczególnie cierpieć. Poza umeblowaniem każdego z apartamentów zauważyłam takie udogodnienia, jak nocniki zamknięte w drewnianych skrzynkach wyposażonych w miękkie siedziska, emaliowane pudełeczka na słodkości, wypełnione solne piwniczki i temu podobne.

Sprawdzając kwatery przeznaczone dla Borgii, ogarnęłam ręką wszystko, co się tam znajdowało.

– Oczywiście to wszystko musi stąd zniknąć. Sami przyniesiemy to, czego Kardynał może potrzebować.

Urzędnik nadzorujący przygotowania usłyszał mnie i spojrzał na mnie oburzony, ale ostry wzrok Vittorio usadził go w miejscu.

Wkrótce wróciliśmy do kaplicy, żeby jeszcze raz jej się przyjrzeć. Później przedyskutujemy, jakich pomocników Borgia weźmie ze sobą na konklawe – będzie mu wolno zabrać trzech – i jak będzie się komunikować ze światem zewnętrznym, oczywiście łamiąc wszelkie reguły. W tej chwili chciałam tylko być pewna, że mam ogólny ogład.

Nagle pojawienie się w wejściu do kaplicy gwardii honorowej zasygnalizowało, że ciało Innocentego miało być wkrótce złożone na katafalku przy ołtarzu. Wolałam nie być tam, gdy to się stanie, więc musiałam szybko skończyć inspekcję. Stałam pośrodku kaplicy, patrząc na sufit, który zawsze sprawiał na mnie wrażenie raczej skromnego w porównaniu z resztą, kiedy mój wzrok przyciągnął ruch wzdłuż najwyższego poziomu budynku. To piętro mieści pomieszczenia dla straży, ale ma również otwarty chodnik, który otacza wnętrze, dając doskonały widok na wszystko, co dzieje się poniżej.

Na galerii stał mężczyzna i patrzył na nas z góry. Rozpoznałam go od razu. Pomijając czarną sutannę, Morozzi był podświetlony promieniami słońca przesączającymi się przez małe okna za nim. Wydawał się otoczony złotym nimbem, jakby zamknięty w ulotnej chmurze.

Potem poruszył się i wrażenie się rozwiało. Bez światła wydawał się taki, jakim go znałam, niezwykle przystojnym mężczyzną wypełnionym pokładami potwornego zła. Nasze spojrzenia się spotkały i w tej chwili się uśmiechnął.

– Kanalia – mruknął Vittorio.

Jego ręka odruchowo poszukała miecza.

Kątem oka zauważyłam ten ruch i położyłam mu rękę na dłoni. To, że ksiądz z taką śmiałością pojawił się przed nami, potwierdziło moje podejrzenia, że był dobrze chroniony. Staowało go to poza moim zasięgiem do czasu, gdy Il Cardinale nie będzie więcej potrzebował wsparcia innych kardynałów, żeby zostać papieżem. Wtedy, i tylko wtedy, będę miała wolną rękę.

– W odpowiednim czasie – powiedziałam cicho. – Ale jeszcze nie teraz.

Ksiądz zauważył mój gest powstrzymujący Vittorio i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Posunął się nawet do tego, aby unieść rękę i pomachać nam kpiąco, zanim zniknął gdzieś w górze kaplicy.

Ja stałam na dole, nieopodal katafalku Innocentego, zastanawiając się, jak długo jeszcze będę musiała narażać swoją duszę, aby upewnić się, że wybór Boga padnie na Rodrigo Borgia.

Minął dzień, który spędziłam w biegu między dwoma pałacami – Borgii i Orsinich – robiąc, co tylko w mojej mocy, żeby zapewnić bezpieczeństwo obu domostw Kardynała. Madonna Adriana wróciła już ze wsi i przyjęła mnie z czymś, co w jej przypadku można było nawet uznać za serdeczność. W jej zachowaniu wobec mnie wyczuwałam nowo zyskany szacunek, który – jak podejrzewałam – wywodził się z jej własnej oceny tego, co się wydarzyło, i mojej w tym roli. Nie to, żeby wspominała o śmierci Papieża; była na to zbyt ostrożna. Ale zaoferowała, abym usiadła w jej obecności na krześle, a nie jak dotąd na stołku. Posunęła się nawet tak daleko, że skomplementowała moją suknię z nieokreślonej szarej wełny, którą wrzuciłam na siebie dla wygody.

Lukrecja była bardziej bezpośrednia. Znalazła mnie w magazynach, gdy kończyłam sprawdzać butelki, kosze, bele, paczki i baryłki, które ostatnio dostarczono, pieczętując wszystkie tak, żeby nikt przy nich nie majstrował.

– Czy to prawda? – zapytała. – To, co mówią?

Zerknęłam na nią znad księgi – Renaldo wyposażył mnie w nią i poinstruował, jak z niej korzystać, za co byłam mu serdecznie wdzięczna. Od czasu incydentu w jego biurze – tak właśnie o tym myślałam, jak o incydencie, niczym więcej – zrobił się dla mnie bardzo uprzejmy. Doceniam organizację i dokładność, a Renaldo w obydwu był mistrzem, więc miałam nadzieję, że będzie nam się w przyszłości dobrze współpracowało.

Oczywiście, jeśli będę miała jakąś przyszłość.

– Nie wiem – odpowiedziałam. – A co mówią?

– Że jesteś największą i najbardziej zuchwałą trucicielką, jaka kiedykolwiek żyła.

Odważyłaś się zabić Papieża i sprawiłaś, że wyglądało to na naturalną śmierć.

Wzdrygnęłam się i upuściłam księgę. Upadła na kamienną podłogę u moich stóp, gdzie pozostała, bo byłam zbyt oszołomiona, żeby ją podnieść.

– Ludzie naprawdę tak mówią? Taka plotka krąży?

Gdyby to była prawda, oznaczałaby katastrofę. Nadzieja Borgii na papiestwo spoczywała na jego zdolności do bycia papabile. Czy naprawdę robiłam takie potworności – Rebeka na zawsze pozostała w moich myślach – po nic?

– No... nie – przyznała niechętnie Lukrecja. Posłała mi czarujący uśmiech, jakby chciała prosić o wybaczenie. – Ale ja się zastanawiałam. Papa tak się niecierpliwił, a teraz w końcu ma szansę zaspokoić swoje największe pragnienie.

Wypuściłam powietrze, schyliłam się i podniosłam księgę. Przyciskając ją do piersi, powiedziałam:

– Posłuchaj, Lukrecjo. Nigdy, przenigdy nie mów tego, co przed chwilą powiedziałaś. Cokolwiek myślisz, cokolwiek sobie wyobrażasz, musisz wiedzieć, że twój ojciec nie może nigdy być podejrzewany, że przyłożył rękę do śmierci Innocentego.

– Oczywiście, wiem o tym – powiedziała urażona podejrzeniem, że mogłam wziąć ją za taką ignorantkę. – Ale tylko między nami...

– Nie ma żadnego między nami, nie w tej sprawie. – Widząc, że wydyma wargi, złagodziłam trochę ton. – Ale tylko w tej sprawie. Możemy rozmawiać o wszystkim innym.

– Dobrze – powiedziała. – To powiedz mi, kim jest ten przystojniak, który czeka na ciebie na dziedzińcu.

– Nie mam pojęcia, o kim mówisz...

Ale chyba miałam pojęcie, a przynajmniej taką miałam nadzieję, tak przewrotne było to, co nazywałam swoim sercem.

Pospieszyłam na fali niepokoju, potem zmusiłam się, żeby zwolnić krok, pragnąc wyglądać na spokojną i opanowaną. Ale kiedy zobaczyłam mężczyznę, którego odrzuciłam jako męża, ale który stał przy mnie w obliczu prób, od których niemal wszyscy inni by uciekli, podbiegłam, aby go

powitać.

– Rocco! Wszystko u ciebie dobrze? Co cię tu sprowadza? Nando...?

– Mój syn dalej jest na wsi – powiedział.

Spojrzał na mnie i się uśmiechnął, a ja obserwowałam, jak w owej chwili jego rysy się zmieniły, powodując, że wyglądał młodziej i bardziej beztrusko.

– Przyszedłem się upewnić, że z tobą wszystko w porządku – oznajmił. – Jakiś człowiek w palazzo, chyba urzędnik, powiedział mi, że tu jesteś. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe...

– Na Boga, Rocco, jak mogłabym mieć? Ale powiedz mi, że nic złego się nie dzieje.

Nie wiem, czy mogłabym znieść, gdyby tak nie było. Zaryzykował tak wiele w wyniku moich nieprzemyślanych próśb. Jeżeli coś by mu się stało, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła.

Roześmiał się; dźwięk, który tak rzadko słyszałam, sprawił, że zamarłam, rozkoszując się nim, i spojrzałam w kierunku Lukrecji. Stała z boku, z uniesionymi brwiami i szerokim uśmiechem.

– Kto to jest, Francesco? Zapomniałaś o swoich manierach? Musisz nas sobie przedstawić.

Tak też zrobiłam, a Rocco wykonał najbardziej poprawny ukłon. Dało się zauważyć, że Lukrecja go zaaprobowała, co sprawiło, że się zarumieniłam. A to było bez sensu, bo z pewnością musiał mnie tylko szukać w jakiejś ważnej sprawie. Nie byliśmy przecież kochankami ani nie mieliśmy się ku sobie.

– Wytwórca szkła! – wykrzyknęła. – Jakie to fascynujące! Często zastanawiałam się, jak powstają te cuda, które widziałam. Może mógłbyś mi kiedyś pokazać?

Cała Lukrecja – uwodzicielka i czarodziejka, ale mimo wszystko właścicielka dobrego i życzliwego serca.

Rocco zaśmiał się rozbawiony, ale myślę, że także zadowolony, że miałam taką przyjaciółkę. Przez chwilę tam, na zalanym słońcem dziedzińcu, było tylko nas troje, młodych i swobodnych.

Oczywiście nie mogło to długo trwać. Jego uśmiech zbladł, przywołał się do porządku.

– Musimy porozmawiać – powiedział do mnie cicho.

Skinęłam głową do Lukrecji, która skinęła do mnie i znikła z powrotem w pałacu, ale wcześniej zerknęła przez ramię i się uśmiechnęła.

Rocco i ja przeszliśmy kawałek dalej, w stronę fontanny.

– Guillaume przyszedł do mnie – powiedział. – Bardzo się martwi.

– Czy nasza obecność w Santa Maria Sopra Minerwa została odkryta?

Bałam się myśleć, co może spotkać miłego braciszka, jeżeli by się wydało, że udzielił nam schronienia.

Rocco pokręcił głową.

– Nie, nie chodzi o to. Chodzi o to, co słyszał. – Rozejrzał się wokół, żeby upewnić się, że nie ma nikogo, kto mógłby nas usłyszeć, i powiedział: – Torquemada jest w drodze do Rzymu.

Nabrałam głośno powietrza. Ze wszystkich wiadomości, jakie mogłam wtedy usłyszeć, ta była najgorsza. Jakby sprawy nie były wystarczająco napięte, musimy jeszcze znosić obecność Wielkiego Inkwizytora Hiszpanii? Jednego z głównych autorów i zwolenników edyktu wyganiania Żydów? Nieprzejednanego fanatyka, przy którym Morozzi wydawał się niemal niewinną owieczką?

– Dlaczego? W jakim celu mógłby tu teraz przybywać?

– Guillaume nie jest pewien, ale z tego, co mówi się w kapitulniku, wygląda na to, że chce zrobić wszystko, żeby następnym papieżem został ten, który będzie gotowy wystąpić przeciwko Żydom.

– Zatem przyjeżdża pokonać Borgię.

Rocco był raczej sceptyczny.

– Możliwe, ale plotka głosi, że król Ferdynand był na granicy odrzucenia edyktu wyganiania Żydów w zamian za olbrzymie kwoty, które chcieli zapłacić. Jeżeli można wierzyć tej historii, kiedy już miał to zrobić, Torquemada wpadł do niego, cisnął krzyż na podłogę i z krzykiem spytał, czy Ferdynand chce zostać nowym Judaszem. To wystarczyło, żeby wprowadzić edykt w życie.

– Borgia nie jest Ferdynandem.

Jeżeli Torquemada myślał, że mógł wyperswadować Kardynałowi przyjęcie żydowskich pieniędzy, grożąc mu wiecznym potępieniem, to czekało go ciężkie przebudzenie. Jak na człowieka, który był księciem Kościoła, Borgia najbardziej zajmowały doczesne, ziemskie sprawy. Niektórzy poszliby dalej i powiedzieliby, że wykazywał tendencje pogańskie, i może by się za bardzo nie mylili. W końcu zachowywał się bardzo swobodnie przebrany za Jowisza.

– Kardynał całkowicie gardzi Torquemadą i wszystkim, co reprezentuje – zapewniłam Rocca. – Sama słyszałam, jak to mówił. – I to częściej niż przy jednej okazji. Borgia mógł być najbardziej dyskretnym i zręcznym z polityków, ale nie wahał się wyrażać jasnych opinii na pewne tematy.

– W takim razie masz rację – powiedział Rocco – i przybywa, żeby pokonać Borgia. Jeżeli on i Morozzi jeszcze się nie sprzymierzyli, wkrótce to zrobią.

– Trzeba ostrzec Kardynała.

Choć było prawdopodobne, że już o tym wiedział. Borgia miał najlepszy wywiad w całym chrześcijaństwie, lepszy niż jakikolwiek papież, inni kardynałowie, królowie czy książęta. Z tego powodu rozpierała go duma, chociaż ciągle uskarżał się na koszty. Była duża szansa, że słyszał szept o planach Torquemady, zanim sam Wielki Inkwizytor w pełni je przemyślał.

Rocco przytaknął, ale z jego twarzy nie zniknął niepokój.

– Obiecuj mi, że będziesz ostrożna, Francesco. Torquemada to bardzo niebezpieczny nieprzyjaciel.

Nie musiał mnie przekonywać. Tylko zeszłego roku dominikanin oskarżył ośmiu Żydów i *conversi* o ukrzyżowanie chrześcijańskiego dziecka. Pomimo całkowitej nieobecności ciała albo jakiegokolwiek dowodu, że zbrodnia w ogóle została popełniona, oskarżeni zostali spaleni na stosie. Torquemada obwieścił, że ich śmierć była wielkim zwycięstwem Jezusa, który, jak mi się wydaje, raczej zapłakałby nad nimi.

Najwyraźniej Wielki Inkwizytor lubił płomienie i agonię, którą wywoływały.

– Będę ostrożna – obiecałam. – Ale nie mogę się przed tym kryć.

Staliśmy bardzo blisko siebie na dziedzińcu pałacu. Nieopodal szumiała fontanna, a kolibry podfrwały do niej, aby się napić. To była idylliczna sceneria i jednocześnie bardzo nieprzystająca do naszych niespokojnych czasów.

– Chciałbym coś zrobić, żebyś mogła – powiedział Rocco i przyciągnął mnie do siebie.

Niemal nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, ujęłam w dłoń jego twarz.

– Nikt z nas nie może ukryć się przed tym, co się dzieje – powiedziałam. – Możemy jedynie mieć nadzieję, że uda nam się obrócić wydarzenia we właściwym kierunku.

– Ja mam również inne nadzieje – powiedział i pocałował mnie.

Gdy cały Rzym czekał na pogrzeb Innocentego i złożenie jego doczesnych szczątków w krypcie pod głównym ołtarzem Bazyliki Świętego Piotra, Il Cardinale wpadł na pomysł zorganizowania uczty. Nie powinniśmy chyba posuwać się aż do tego, aby nazywać to świętowaniem. Miała to być po prostu okazja do zaskarżenia sobie głosów w okolicznościach bardziej przyjaznych, niż byłoby to możliwe po rozpoczęciu konklawe.

Przygotowania do tego wydarzenia zbytnio mnie zajmowały, żebym miała czas zastanawiać się nad tym, co znaczył pocałunek na dziedzińcu, zakładając, że w ogóle coś znaczył, a uparcie powtarzałam sobie, że nie.

Bardziej niż zwykle byłam teraz przekonana, że zasługiwał na coś znacznie lepszego, niż ja mogłam mu ofiarować. Znał mnie już na tyle dobrze, że dziwiłam się nawet, iż tego nie dostrzega.

Sprawdzałam wszystko, co Kardynał miał ze sobą zabrać na konklawe, zabezpieczałam jego obydwie domostwa, niepokoiłam się tym, co mógł zamierzać Morozzi, a także ze strachem oczekiwałam przybycia do Rzymu Wielkiego Inkwizytora, myślałam o Roccu i zastanawiałam się, kiedy przybędzie Cesare, bo przybędzie na pewno...

Zbyt przytłoczona tym wszystkim poszłam po pomoc do Renaldo.

– Nie dam sobie sama rady z tym przyjęciem – powiedziałam, gdy wyśledziłam go wreszcie w jego biurze, którego to miejsca zdawał się ostatnio unikać.

Renaldo straszliwie poczerwieniał, opuścił głowę i zezował na sufit, unikając patrzenia na mnie.

– To nie ma nic wspólnego ze mną.

– Oczywiście, że ma, nawet wszystko! Jest pan tu przecież nadzorcą. Wszystko, co się dzieje w tym domu, jest pańską sprawą.

– To sprawa polityczna – bronił się słabo.

Z wyrazu jego twarzy wyczytałam, że byłby uradowany, mogąc się zaangażować. Ale również, że się tego bał, jak to Renaldo.

– Ktoś może spróbować zabić Borgię – postraszyłam go. – Może pan sobie wyobrazić, jakie będą tego konsekwencje?

Ja osobiście nie mogłam, następstwa byłyby zbyt szerokie. Ale najwyraźniej wyobraźnia Renaldo przewyższała moją. Zbladł i pospiesznie skinął głową.

– Oczywiście, zrobię, co w mojej mocy.

Jego zadaniem było dopilnowanie, żeby jedzenie i wina zostały dostarczone w wystarczającej ilości.

– Ja wszystko sprawdzę – zapewniłam go. – Ale jest bardzo ważne, żeby nic nie przedostało się do pałacu bez mojej wiedzy.

Zapewnił mnie solennie, że nic takiego się nie wydarzy, więc pospieszyłam zbadać miejsce przyjęcia – dziedziniec, który naprędce przemieniono tak, aby przypominał salę mauretańskiego pałacu. Jak wielu Hiszpanów Borgia miał zamiłowanie do stylu przywiezionego do jego ojczyzny przez niewiernych najeźdźców, dopiero niedawno usuniętych stamtąd dzięki *reconquista* ich najbardziej katolickich mości Ferdynanda i Izabellę. Z uwagi na swój charakter, na pewno cieszyłby się, mając cztery żony, jednak pod warunkiem, że mógłby również utrzymywać konkubiny. Ale żył tu i teraz, więc musiał zadowolić się ucztą wśród mauretańskich luksusów.

A jaka to miała być noc! Zadowalanie gości Kardynała nie znało granic, choć w tych okolicznościach niezbędne było zachowywanie odrobiny przyzwoitości. W związku z tym „tancerki”, które miały występować na przyjęciu, musiały ograniczyć swoją zwykłą aktywność do dyskretnie zaaranżowanych schadzek. Podobnie jak akrobaci, żonglerzy, muzykanci i połykacz mieczy, zatrudnieni specjalnie na tę okazję, ale o tym nie chciałam za bardzo myśleć.

Tak czy inaczej wszyscy musieli zostać sprawdzeni, co byłoby zadaniem niemożliwym do

wykonania w tak krótkim czasie, gdyby nie to, że zostali zaangażowani przez samego *maestro dei maestri*¹⁵, impresaria uwielbianego przez rzymskie elity, który, jeśli nie byłby zmuszony kilka lat temu uciekać z miasta po skandalu z pięknym chłopcem, mógłby wciąż wystawiać ekstrawaganckie przedstawienia, które wszyscy kochali.

Znalazłam Petrocchio, jak się kazał nazywać, na dziedzińcu, gdzie nadzorował instalację obszernego namiotu wyposażonego w egzotyczne dywany oraz bogato rzeźbione stoły i siedziska – te ostatnie miały zostać pokryte miękkimi poduchami dla wygody znakomitych pośladek. Słudzy machali kadzidłami nasycającymi powietrze miłą wonią i aromatami mającymi odpędzić robactwo. Przybywali już muzycyści i zaczęli stroić instrumenty. Akrobaci robili próbne figury na trawie. Wszystko to sprawiało jednocześnie obce, chaotyczne i pociągające wrażenie.

Petrocchio był wysokim, potężnym mężczyzną z brzuchem; *goloso*¹⁶, który bardzo lubił jeść i używał słownictwa robotnika z doków. Wykrzykiwał przekleństwa w stronę pracowników, którzy mocowali się z linkami namiotu. Jego inwektywy były tak soczyste, że zatrzymałam się na chwilę pełna podziwu. Gdy doszedł do punktu, w którym zaczął dokładnie opisywać, w jaki sposób matki pracowników kojarzyły się z małpimi samcami, wtrąciłam się.

– Wydaje się, że wszystko dobrze idzie – powiedziałam.

– Ale! To sami idioci! Nie sposób znaleźć nikogo, kto mógłby zrobić najmniejszą rzecz bez... – Przerwał, dopiero teraz zauważając, z kim rozmawia. – O, to pani, Donno Francesco, tysięczne przeprosiny. Złapałaś mnie w złym momencie, ale zapewniam, że wszystko będzie tak, jak obiecałem.

– Jestem o tym przekonana. Chciałam jedynie porozmawiać z panem o wykonawcach.

Maestro otarł twarz rękawem koszuli i uśmiechnął się kwaśno.

– Tak, nie wątpię. Oczywiście każdego z nich znam. To wszystko profesjonaliści, których zatrudniałam już niezliczoną ilość razy. Nie ma między nimi ani jednego nowicjusza, ani nikogo, kto mógłby rozważać wycofanie się z zawodu, a przez to rozglądać się za dużym portfelem, żeby to sfinansować, jeżeli rozumie pani, co mam na myśli.

Zapewniłam go, że tak, i zapytałam:

– I wszyscy rozumieją... że w przypadku jakiegoś niefortunnego zdarzenia... – przerwałam przekonana, że nie muszę mówić nic więcej.

Petrocchio zbladł. Machnął dłonią na pomocnika, który podbiegł i włożył w nią puchar schłodzonego wina. Kiedy Maestro już się odświeżył, powiedział:

– Ma się rozumieć, że rozumieją, Donno Francesco. Jak mówiłem, wszyscy są zawodowcami. Nie musi się pani o nic obawiać, zupełnie o nic. Ma pani na to moje słowo.

Był najlepszym i najbardziej poszukiwanym impresario w Rzymie od prawie dziesięciu lat i nie zdarzył mu się jeszcze żaden incydent, który by zszargał jego imię, co przekonało mnie, że przynajmniej rozrywka nie powinna stanowić ryzyka.

Zostawało więc tylko jedzenie, wino i sami goście.

Pierwsze dwie rzeczy zapewniły mi pracę na resztę dnia, co wzbudziło w kucharach Il Cardinale tyle wrogości, że nie starczyłoby mi życia, żeby ją wymazać. Po stronie pozytywów można zapisać to, że posiadałam przy okazji imponujący zasób obscenicznych słówek, które dalej mi się czasem przydadzą.

Kwestia gości była zdecydowanie trudniejsza.

Renaldo poinformował mnie, że Borgia był dosyć tajemniczy w tej sprawie, mówiąc tylko, że będą obecni „różni i rozmaici księżęta kościoła oraz inne osobistości”. Odebrałam to tak, że nie był całkowicie pewny, kto przyjmie jego zaproszenie, ale nie chciał się do tego przyznać. Potrafiłam to zrozumieć, jednak musiała nadejść chwila, kiedy on i ja odbędziemy poważną rozmowę o tym, że powinnam być dokładnie informowana o pewnych sprawach.

Mijały godziny, a ja nie mogłam otrząsnąć się ze zdenerwowania, chociaż złożyłam to na karb okoliczności. Uczta była pierwszym dużym wydarzeniem, które nadzorowałam, odkąd objęłam swoją pozycję, więc naturalnie byłam zainteresowana tym, żeby wszystko dobrze się ułożyło. Pomiedzy jednym obowiązkiem a drugim ledwo miałam czas wykapać się i przebrać przed powrotem na dziedziniec, zanim przybył tam Il Cardinale, aby powitać gości. Jasno dał mi

wcześniej do zrozumienia, że moja obecność jest wymagana. Prawie od razu odkryłam dlaczego.

Borgii towarzyszyła Lukrecja. Powinniście mieć świadomość, że w owym czasie Kardynał, gdy szło o jego dzieci, był uważany za wzór dyskrecji. Nigdy się nimi nie afiszował, jak to zwykli robić inni książęta kościoła, a pośród nich zmarły Innocenty. Lukrecja i jej trzech bracia, z których najstarszym był Cesare, żyli z dala od ojca, w swoich kwaterach. Chociaż synowie traktowani byli w sposób uprzywilejowany, dostawali tytuły i dochody, jakie w innym przypadku by im nie przysługiwały, większość rzymian mogła jedynie spekulować o ich prawdziwych związkach z Borgią, który wprost twierdził, że jest ich wujem. To wszystko uważano za dowód na dobry smak Il Cardinale i, co nadzwyczajne, nawet za oznakę jego powściągliwości.

Ale była tu Lukrecja, śliczna i podekscytowana dwunastoletnia mała kobietka drżąca na krawędzi przeszłości, jaką miał zgotować jej ojciec.

– Francesca! – wykrzyknęła i podbiegła, żeby mnie przytulić. – Wyglądasz tak ładnie! Te kolory bardzo ci pasują.

Miałam na sobie fiołkową suknię i suknię wierzchnią w kolorze topazu, podarunki od ojca na Wielkanoc. To były ostatnie prezenty, jakie od niego dostałam. Założyłam je, żeby dodać sobie odwagi, ale też dlatego, że nie miałam nic lepszego na podobną okazję.

Lukrecja była ubrana w suknię w królewskim błękitie haftowaną srebrem, co doskonale podkreślało jej złote włosy. Jeżeli tylko potrafiłaby ustać spokojnie, wyglądałaby jak statua wyrzeźbiona z kości słoniowej, cennych metali i kamieni, w której jedynym dysonansem byłby lekki róż policzków i szybkie unoszenie się i opadanie piersi.

Odwróciła się i spojrzała na ojca z takim uwielbieniem, że zabolowało mnie serce.

– To tak miło ze strony papy, że pozwolił mi tu dzisiaj przyjść, prawda? Moje pierwsze wielkie przyjęcie. Powiedział, że poznam tu wielu ważnych ludzi.

O tak, o tym byłam przekonana. Jeden rzut oka na Borgię patrzącego na swoją jedyną córkę z łagodnym pobłażaniem, a poznałam prawdziwą przyczynę jej obecności tamtego wieczoru.

Il Cardinale miał rozegrać największą partię swojego życia, a Lukrecja – słodka, śliczna Lukrecja – była tylko kolejnym żetonem, który mógł wyłożyć na stół.

– Zostań z nią – powiedział do mnie tak, żeby nie usłyszała. – Jej miejsce jest obok Sforzy. Upewnij się, że nic nie stanie temu na przeszkodzie.

Jedynie Borgia mógł nie widzieć nic niewłaściwego w uczynieniu swojej trucicielki opiekunką córki. Nie to, żeby Madonna Adriana nie była obecna; stała tam w sukni z czerwonego jedwabiu, udrapowanej sznurami lśniących pereł, z koroną złotych piór na głowie. Ujęła właśnie dłoń i całowała pierścień – czy oczy mnie nie zwodziły? Czy ten młodo wyglądający mężczyzna z czujnym spojrzeniem i sztywnym uśmiechem to naprawdę kardynał...?

Zawodowa dyskrecja wymaga, żebym spuściła kurtynę nad pewnymi wydarzeniami owego wieczoru, szczególnie wtedy, gdy dotyczą osobistości, które, choć nam współczesne, nie grały bezpośredniej roli w dalszym rozwoju spraw. Wystarczy powiedzieć, że całkiem dziwne towarzystwo zgromadziło się u stołu Borgii, złożone z wielkich i większych potomków szlacheckich rodów, często ze sobą walczących, ale zdolnych wykrzesać z siebie uprzejmość, kiedy im to pasowało.

Nic dziwnego, że Petrocchio, który kręcił się nieopodal, był zdenerwowany. Daleko lepiej niż ja potrafił pływać w rzece plotek, która wzbiera w Rzymie o każdej porze roku. Maestro i ja wymieniliśmy się spojrzeniami, moje bez wątpienia wyrażało szok, jego zwykłą rezygnację. Posunął się nawet do tego, żeby rozłożyć ręce i wstrząsnąć ramionami, jakby chciał powiedzieć: „A czego oczekiwałaś?”.

„Otwarty na propozycje”, jak powiedział Vittorio, i najwyraźniej miał rację. Ale tupet Borgii przewyższał zwykły oportunizm. Skupiając tu tak wielu potężnych, skłóconych ze sobą ludzi, mógł być postrzegany jako ten, który zamierza zakończyć stare waśnie i zagoić stare rany. O takie rozwiązanie z pewnością modliło się całe chrześcijaństwo. Mogło to również sprawić, że Borgia stałby się ulubieńcem rzymskiej populacji, która zwykle najbardziej cierpiała w wyniku wyniszczających walk książąt Świętego Kościoła Rzymskiego.

Nie można też nie wspomnieć o wielkich nieobecnych – della Rovere, naturalnie, i kilku kardynałów, którzy byli z nim najbliższe związane. Inni, którzy wciąż byli w drodze do Rzymu, więc

nie mogli się tu znaleźć, nawet gdyby chcieli. Pozostali obecni to biskupi na wyższych pozycjach w Kurii, którzy w większości byli ludźmi Borgii, oraz paru duchownych, dobrze ustawionych i pnących się w górę. Madonna Adriana, Lukrecja i ja byłyśmy tam jedynymi niewiastami.

– Czy to nie wspaniałe? – szepnęła Lukrecja, gdy zajęłyśmy miejsca w jedwabnym namiocie, w którym unosił się zapach jaśminu i paczuli.

Stoły lśniły złotymi nakryciami i najcieńszą porcelaną. Ziemię pod naszymi stopami pokrywały tureckie dywany. Za każdym krzesłem czekali lokaje, żeby nam usługiwać, rozkładając nam na kolanach serwety z najlepszego białego lnu i oferując wino w kielichach wysadzanych drogimi kamieniami.

– Niesamowite – odpowiedziałam, chociaż tak naprawdę, mówiłam raczej o próżnych i przesyconych ambicją ludziach, a nie o rozpasanych zbytkach owej nocy.

Przy takiej ilości zebranych przy jednym stole rywali i wrogów mogłam się tylko modlić o to, że nikt nie znajdzie sposobności, żeby przemycić coś do kieliszka czy talerza swojego oponenta. Gdy działa się z wystarczającym sprytem, takie otrucia nie są raczej możliwe do wykrycia w czasie wystarczającym, aby zapobiec ich śmiertelności skutkom. Co więcej, jeżeli sprawca wykaże się dużą odwagą, może odeprzeć podejrzenia, podając kilku innym osobom, włączając siebie, niewielką dawkę trucizny, tak, żeby wyglądało na to, że i on miał być ofiarą. Małe przedstawienie z udziałem wymiotów zapewnia doskonałe alibi. Ale niepotrzebne są wam takie instrukcje i nie powinnam wam ich dostarczać.

Gdy siadaliśmy do stołu, miałam okazję przyjrzeć się Sforzy, który był w tym czasie zajęty rozmową z biskupem siedzącym po jego prawej stronie. Krążyła plotka, że bankiet, który wydał parę miesięcy temu na cześć księcia Neapolu, Ferdynanda di Capua, w swoim pałacu na Zatybrzu był tak bogaty, że nie sposób tego opisać. Borgia z pewnością też o tym słyszał. Zastanawiałam się, jak będzie próbował to prześcignąć.

Brat Księcia Mediolanu zbliżał się do czterdziestki, ale wyglądał młodziej. Był w dobrej formie, miał gładką, okrągłą twarz z rysującym się miękkim podwójnym podbródkiem. Mówiło się, że sam aspiruje do władzy papieskiej, ale nawet potęga jego brata nie mogła przyćmić faktu, że jest zbyt młody, żeby brano go poważnie pod uwagę.

Niebezpieczeństwo wyboru zbyt młodego papieża jest oczywiste. Nie to, żeby musiał okazać się niekompetentny – kompetencje są co najwyżej drugorzędym warunkiem, dużo mniej istotnym niż zwierzęcy spryt – ale, że będzie zbyt długo żył, odmawiając innym szansy na tron. Starsi, a zwłaszcza rozpustnicy w habitach, którzy raczej długo nie pożyją, byli zdecydowanymi faworytami.

W wieku sześćdziesięciu jeden lat Borgia również powinien być tak postrzegany, ale wiadano, że jest silnego zdrowia i bardziej żywotny niż większość mężczyzn w jego wieku. To mogło działać na jego niekorzyść.

Sforza zwrócił uwagę na Lukrecję, która się wdzięcznie zarumieniła. Pytał ją o to, czy podoba jej się muzyka, a ona odpowiadała, że tak, gdy przypominałam sobie, że kardynał był kuzynem młodego, a w obecnej chwili wolnego stanu, Giovanniego Sforzy, lorda Pesaro i Gradary. Jeżeli pamięć mnie nie myliła, miał dwadzieścia parę lat, co czyniłoby go mniej więcej dwukrotnie starszym niż Lukrecja. Nawet w standardach naszych czasów była zbyt młoda na małżeństwo, ale z pewnością mogła zostać przyrzeczona, jeżeli jej ojciec pragnąłby zaręczyć.

Uczty takie, jak ta, są okazją dla *maesrti della cucina*¹⁷, aby pokazać swoje najbardziej egzotyczne umiejętności, więc roztropnie jest dobrze się najeść, zanim zasiądzie się do stołu. Przybycie języków skowronków zainicjowało wieczór pełen łabędzi, morświnów, odyńca nadziewanego dziczyzną nadzianą prosięciem, który był popularnym daniem w tym sezonie, choć nie pytajcie mnie dlaczego. Wystarczy mi dobry kurczak. Ale bez dygresji.

Sączyłam przyjemne, czerwone wino, lekko schłodzone i niezbyt mocne, odpowiednie na ciepły wieczór, gdy mój wzrok powędrował w stronę wejścia do namiotu. Lubię myśleć, że kielich nie wypadł mi z rąk jedynie z powodu mojego silnego charakteru, ale byłam tego naprawdę bliska. Ledwo udało mi się postawić go bezpiecznie na stole, kiedy patrzyłam na człowieka, który właśnie wszedł.

Kilka kroków od Borgii, dosłownie w zasięgu ręki, prześlizgnąwszy się najwyraźniej przez wszystkie pałacowe straże, z uśmiechem na ustach stał ojciec Bernardo Morozzi.

Na jego widok wyrwał mi się z piersi jęk. Błyskawicznie podniosłam się z krzesła, ale mój wzrok napotkał oczy Borgii.

Il Cardinale pokręcił głową i uczynił nieznaczący, ale oczywisty gest mówiący, że bym usiadła. Posłuchałam z najwyższą niechęcią.

Morozzi podszedł od razu do Borgii, skłonił lekko głowę i powiedział:

– Tysięczne przeprosiny za spóźnione przybycie, Eminencjo. Zatrzymały mnie pilne sprawy.

Wszystkie uszy skierowały się w ich stronę, chociaż nikt nie zdawał się zwracać na niego uwagi. Zwykły ksiądz, choć niewątpliwie dobrze ustosunkowany, z powodu pilnych spraw spóźnia się na ucztę wydawaną przez wicekanclerza Kurii, który z pewnym prawdopodobieństwem zostanie następnym papieżem?

Tak wyraźna arogancja aż zapierała dech. Nawet ta światowa i zblazowana audiencja zamarła w uważnej ciszy. Razem z innymi czekałam na bolesną lekcję manier, której jak byłam pewna, miał udzielić mu Borgia.

– Nonsens, mój synu, nie musisz przeproszać. Usiądź i baw się dobrze – powiedział z uśmiechem Il Cardinale.

Morozzi przez chwilę wyglądał na zaskoczonego. Wyraźnie przygotował się na konfrontację z Kardynałem i wydawało się, że taki przebieg rozmowy sprawił mu zawód. Nie miał jednak wyboru, więc usiadł na miejscu, które mu wskazano. Z pewnością nie w wyniku zbiegu okoliczności było to dokładnie naprzeciwko mnie.

Spojrzelśmy na siebie. Jeżeli Morozzi czuł jakikolwiek dyskomfort, siedząc u stołu nieprzyjaciela, nie okazywał tego. Złociste włosy otaczały jego twarz w idealnych puklach, których mogła mu pozazdrościć każda kobieta. Jego rysy były gładkie i nienaznaczone zmarszczkami, uśmiech wydawał się przyjazny i niewymuszony. Naprawdę przypominał anioła.

Przyglądając się księdzu, zastanawiałam się, ile ma lat. Jak zaobserwowałam, prawdziwi szaleńcy wydają się starzeć wolniej niż reszta z nas. Niektórzy wzięliby to za dowód na pakt zawarty z mocami piekielnymi w celu zachowania młodości. Ja doszłam do wniosku, że to raczej dowód na to, że nic, co robią, nie odnosi na nich większego wpływu. Brakuje im niezbędnego uczucia łączności, które kieruje naszą świadomością i wypisuje historię naszego życia, tą dobrą i tą złą, również na naszych obliczach. I to właśnie sprawia, że ci ludzie są tak niebezpieczni.

I czyni zasadniczym to, żebyśmy im nigdy nie ulegali.

Odwrociłam się i wypatrzyłam Petrocchio, który szybko wietrząc kłopoty tam, gdzie nie powinno ich być, przyglądał się Morozziem równie intensywnie, co ja. Maestro zauważył moje spojrzenie i podszedł do mnie. Nachylił się tak blisko, żeby nikt nas nie usłyszał.

– Wie pan, kto to jest? – zapytałam gotowa, żeby mu wytłumaczyć, ale jak się spodziewałam, wiedza Petrocchia przewyższała moją.

– Słyszałem plotki. Był bardzo blisko Innocentego, organizował chłopców, którzy byli dla niego wykrwawiani. Tak przynajmniej mówią. Co on tu robi?

– To wie tylko Borgia. – A ja powinnam się tego dowiedzieć przy najbliższej sposobności, ale najpierw... – Myślę, że ten ksiądz zasługuje na to, żeby go trochę sponiewierać.

– Ja myślę, że na zdecydowanie więcej – odpowiedział mądrze Petrocchio. – Ale na początek dobre i to.

Wyprostował się, potakując gorliwie, jakby właśnie usłyszał ode mnie jakieś instrukcje. Rozmowy przy stole zostały wznowione, ale Maestro mówił wystarczająco głośno, żeby wszyscy go usłyszeli.

– Tak, Donno Francesco, oczywiście. Tak jak mówisz, w tej chwili, Donno Francesco.

Odszedł pospiesznie, strzelając palcami na kilku służących, którzy od razu podążyli za nim.

Parę chwil później przed Morozzim znalazł się złoty talerz. Były na nim porcje każdego de-

likatesu, jaki do tej pory podano. Obok stanął zdobiony drogimi kamieniami kielich wypełniony tym samym winem, które ja popijałam. Petrocchio kręcił się w pobliżu, jakby chcąc się upewnić, że wszystko jest w idealnym porządku.

Morozzi zeszywniał, patrząc to na mnie, to na swoje dania i z powrotem. Po jego przystojnej twarzy przemknął wyraz niepokoju, a może nawet strachu. Przecież nie śmiałabym zaatakować go w tak bezpośredni sposób, w obecności tak wielu prałatów Kościoła i samego Borgii?

Ale byłam również kobietą, która weszła do zamku, żeby zabić Papieża. I wyszła stamtąd żywa.

Przyszedł wreszcie czas na mój uśmiech.

Rozpoczęły się rozrywki. Zaczęli akrobaci z pełnym zachwytem aplauzem. Po nich wystąpili żonglerzy, mężczyzna z parą tresowanych małpek i połykacz mieczy. Małpki szczególnie mnie zafascynowały. Przesadnie wystrojone, w stylu ulubionym przez bogatych handlarzy, krzątały się, nakrywając sobie do stołu, a potem usiadły i posilały się z taką pewnością, że znosi się powyżej śmiertelnych granic, żeby stać się, jak śmiem powiedzieć, jednością z samym Stworzeniem.

Byli bardzo... podniecający.

Nie zapominając o swoich obowiązkach, oderwałam od nich wzrok, aby przyjrzeć się gościom. Do tego czasu wino lało się już przez parę godzin i raczyli się nim wszyscy, oprócz Morozziego. Pewnie nie tylko ja się oszczędzałam, ale niewielu było podobnie ostrożnych.

Sforza rozparł się w krześle, z uwagą przypatrując się tancerzom. Jego oddech wydawał się trochę nierówny, z czego wywnioskowałam, że tej nocy na pewno odwiedzi swoją nałożnicę, choć nie wiedziałam, kto nią teraz był. Madonna Adriana była zarumieniona, Lukrecja wykazywała zrozumiałe zażenowanie dziewicy, a Borgia... Il Cardinale opierał się w swoim krześle tak ciężko, że można by pomyśleć, że zasnął. Zajęło mi chwilę, zanim zrozumiałam, że był najzupełniej przytomny, a jego uwaga nie była skierowana na tancerzy. Poświęcał ją wyłącznie Morozzemu.

Ksiądz siedział na swoim krześle prosty jak struna. Jego twarz była czerwona i wydawał się... Na pewno nie mogło tak być?! Wydawał się poruszać gwałtownie rękami pod stołem.

Gapiałam się na niego, najpierw nie rozumiejąc, potem z niedowierzaniem. Jego oczy, palące się światłem obłędu, napotkały moje. Zobaczyłam w nich nagromadzenie perwersyjnej namiętności i jadowitej przyjemności, jakiej nigdy nie widziałam u żadnej osoby przez wszystkie lata, które minęły od tej pory.

Przez mignienie oka poczułam litość. Zniknęła szybko w fali odrazy, gdy zażyłość jego spojrzenia napełniła mnie poczuciem gwałtu.

Odwrociłam się, walcząc z mdłościami. Ręka mi się trzęsła, kiedy sięgnęłam po kielich i napiłam się wina w nadziei, że mnie uspokoi. Rozpaczliwie pragnąc odwrócić od niego uwagę, znowu spojrzałam na innych gości. Byli tak skupieni na tancerzach, że nikt nie zdawał się go zauważać. Oczywiście nikt prócz Borgii, który dalej patrzył na księdza spod półprzymkniętych powiek, chociaż teraz miał na twarzy nikły uśmieszek.

Taniec się skończył i najwyraźniej skończył również Morozzi, chociaż nie mogę powiedzieć, żeby wyglądał, jakby znalazł ulgę. Tancerze wybiegli w brzmieniu oklasków, aby przygotować się do kolejnych zadań. Oddychałam głęboko. Ksiądz wstrząsnął mną bardziej, niż myślałam, że jest to możliwe. Przetrwałam konfrontację w *castel*, więc byłam chyba zbyt pewna siebie. Na co, jak zdałam sobie teraz sprawę, nie mogłam sobie pozwolić. Szaleństwo Morozziego stawiało go poza granicami normalnych ludzkich zachowań i sprawiało, że był nieprzewidywalny. To było jego największą siłą i najtrudniejszą przeszkodą, z jaką się zetknęłam, starając się go pokonać.

Muzyka dalej grała, ale już bardziej spokojnie. Ze zmianą nastroju nadeszły dragee, które podane na koniec posiłku miały poprawić trawienie. Korzenny napój został rozlany, podano również talerze słodzonych migdałów łącznie z wyborem dojrzałych serów i świeżych fig oraz pomarańczy. Były też ciasta marcepanowe, sorbet z płatków róży i moje ulubione tureckie czapeczki, smażone rurki z ciasta wypełnione puszystym serem. Zwykle się nimi zajadam, ale tego wieczoru jakby utraciły swój urok.

Godzina była późna, powietrze się ochłodziło, sprawiając, że goście wracali do przytomności. Jutro znów będą mogli oddać się rywalizacji, a nawet wrogości, ale w tej chwili śmiali się

serdecznie, gdy Borgia wstał i wygłosił krótką mowę o tym, jak to przyjaźń była jednym z największych darów Boga i że powinniśmy wszyscy troszczyć się o swoich przyjaciół tak, jak troszczymy się o nasze ogrody. Nie słuchałam uważnie, ale miałam wrażenie, że zrobił dobrą robotę.

W czasie, gdy przemawiał, pojawili się słudzy, wnosząc złote – nie były pozłacane, a splecione z pasm litego złota, jak odkryłam, oglądając jeden z bliska – koszyczki wypełnione selekcją przemyślanych podarków dla gości. Zauważyłam tam wysadzone klejnotami nożyki, kryształowe flakony z rzadkimi olejkami i najbardziej ze wszystkich niezwykle miniaturowe mechanizmy w kształcie ptaków, które nakręcone niewielkim kluczykiem w plecach machały skrzydłami i poruszały głową. Ten ostatni dziw wzbudził taki zachwyt, że kilkunastu prałatów i książąt wciąż się nimi bawiło, gdy wychodzili odprowadzani przez rozpromienionego Borgię, który wydawał się tak świeży i pełen energii, jakby przespał całą noc.

Morozzi nie dostał koszyczka ani nie pożegnał się z Borgią, próbował cichcem wymknąć się w ciemności. Powiedziałam „próbował”, bo podążył za nim Vittorio, który wyszedł z cienia za namiotem, gdzie – jak się domyśliłam – musiał ukrywać się od przybycia Morozziiego. Byłam spokojna, wiedząc, że na pewno sprawdzi, czy szalony ksiądz opuścił palazzo.

Lukrecja niemal spała na stojąco, gdy obejmowała ojca, dziękując mu ciepło za pozwolenie uczestniczenia w przyjęciu. Sforza stał tuż za nią. Zauważyłam spojrzenie, które wymienili między sobą obaj mężczyźni. Jak również to, że kiedy Lukrecja odeszła z Madonną Adrianą, dwaj kardynałowie oddalili się nieco od ogółu i stojąc pod drzewami, odbyli krótką rozmowę. Sforza również wkrótce opuścił pałac, a Borgia wszedł do środka.

Zmęczony Petrocchio siedział rozparty w krześle, z kielichem w jednej dłoni i udkiem kapłona w drugiej, doglądając porządków. Usiadłam obok niego.

– Wszystko poszło bardzo dobrze – powiedziałam.

– Tak było, dzięki Bogu. Choć mało brakowało przez tego wariata. Czy widziałaś pani, co zrobił?

Skrzywiłam się.

– Niestety. Co jeszcze o nim wiesz?

Maestro westchnął, wypił łyk wina i powiedział:

– Pojawił się dwa lata temu, niektórzy mówią, że przybył z Genui i że miał jakieś powiązania rodzinne z Innocentym, inni mówią, że z Florencji. Z początku miał drugorzędną posadkę w domu papieskim, ale jego znaczenie zaczęło szybko rosnać. Powiadają, że zdobył władzę nad Papieżem, obiecując mu tajemnicę długowieczności.

– A Innocenty był na tyle głupi, żeby mu wierzyć?

– Raczej na tyle zdesperowany. Tak czy inaczej teraz, kiedy nie ma już Innocentego, będzie rozglądał się za nowym patronem.

Petrocchio nie wspomniał nic o edykcji czy związku z nim Morozziiego. Potwierdziło to tylko moje przypuszczenia, że uważano ten temat za tak drażliwy, że nawet karmiąca się plotkami Kuria utrzymywała go w sekrecie. Drażyłam jednak dalej.

– Czy słyszałaś panie coś o Morozzim w kontekście Żydów?

Maestro spojrzał na mnie zdziwiony.

– Co masz na myśli? Czy chcesz powiedzieć...?

– Zastanawiam się tylko, czy może być *converso*.

W końcu sam twierdził, że jest, ale nie wierzyłam mu, traktując to jedynie jako manewr mający na celu zdobycie mojego zaufania.

Reakcja Petrocchia utwierdziła mnie w tym przekonaniu.

– O Panie, to by dopiero było! Ale nie, nigdy o tym nie słyszałam. Oczywiście zawsze krążyły plotki o *conversi* wewnątrz Kurii, tak samo, jak są plotki o narodzeniu się dwugłowych cieląt. Ani jednego, ani drugiego nigdy nie brałam zbyt poważnie.

Uniósł się, odrzucił ogryzione udko w ciemność i pochylił się do mnie ufnie.

– A mówiąc o *conversi*, czy słyszałaś to, co ostatnio rozpoczyna della Rovere?

Kiedy pokręciłam głową, spojrzał na mnie z pełną powagą.

– Mówi, że Borgia jest *marano*.

Świnią. Nieczystą świnią. Sekretnym Żydem, który tylko udaje chrześcijanina. Nazwanie mężczyzny czy kobiety *converso* mogło podawać w wątpliwość szczerą ich oddania chrześcijaństwu. Ale etykieta *marano* wrzucała taką osobę w potępioncze towarzystwo heretyków i czarownic.

– Della Rovere ogłasza wojnę – powiedziałam.

Nie można było inaczej tego interpretować.

Petrocchio westchnął.

– Będzie dużo gorzej, zanim zrobi się lepiej. Zapamiętaj pani moje słowa. Myślę o tym, żeby na jakiś czas wyjechać na wieś. – Spojrzał na mnie. – Wykazałabyś się mądrością, robiąc to samo.

Podniosłam się i spróbowałam się uśmiechnąć.

– Nie, kiedy Borgia zostaje w Rzymie.

Maestro pokiwał głową ze współczuciem. Przywołał pomocnika, który pomógł mu wstać.

– Naprawdę, Donna Francesca – powiedział, szykując się do odejścia. – Nie powinnaś lekceważyć sił, które sprzysięgły się przeciw twojemu panu. Wielu kardynałów zrobi wszystko, żeby Hiszpan nie zasiadł na papieskim tronie. A jeszcze wielu więcej boi się samego Borgii. Podejrzewają go o to, że chce stworzyć dynastię, która będzie przewyższać wszystkie inne rody. Chodzą nawet plotki o tym, że marzy nawet o zjednoczeniu całej Italii pod rządami papieskiej linii Borgiów.

Nie słyszałam tego wcześniej, ale wcale mnie to nie zdziwiło. Dziesięć lat mieszkania pod dachem Il Cardinale nie pozostawiło we mnie wątpliwości, że był człowiekiem bezgranicznej żądzy i ambicji.

– Czy takie zjednoczenie byłoby naprawdę złe? – zapytałam. To pytanie gnębiło mnie przez całe lata. Będąc podzieleni na państwa-miasta, pomniejszych królestwa, księstwa i temu podobne, my, mieszkańcy Italii, staliśmy się ofiarą humorów naszych bardziej potężnych sąsiadów, w szczególności Francji i Hiszpanii. Nie mogłam jednak zdecydować, co mogłoby oznaczać dla nas koniec podziałów. Nasza odrębność daje nam możliwość znajdowania różnych dróg, próbowania różnych sposobów, a pewnie również zrzucania jarzma strachu i podejrzeń. Zjednoczenie pod niewłaściwym przywódcą – a jak często zdarza nam się znaleźć właściwego? – mogłoby to wszystko zniszczyć.

– Kto to wie? – powiedział Petrocchio. Wsparł się na młodym pomocniku, który ze stoicyzmem znosił jego ciężar. – Ale nie licz pani na to, że ktokolwiek pozwoli, żeby Borgia to osiągnął. Trzymaj go przy życiu, jeśli zdołasz. Pomóż mu zostać papieżem, jeżeli taka jest wola Boga. Ale nigdy nie lekceważ jego wrogów.

I poszedł, ten mistrz rozrywek, który tak błyskotliwie maskował rzeczywistość, choć widział ją bardziej wyraźnie, niż kiedykolwiek uda się to większości z nas.

Jeszcze chwilę pozostałam na dziedzińcu, próbując zebrać myśli. Na wschodzie pojawiały się już pierwsze promienie szarego światła, ale w oknach biura Borgii wciąż paliły się lampy. Il Cardinale nie mógł łatwo znaleźć odpoczynku, podobnie jak ja.

Zwlekałam tak długo, jak mogłam, ale w końcu weszłam do środka i szybko wspięłam się po schodach, żeby się przed nim znaleźć.

Mądrzejsza niewiasta poszłaby prosto do łóżka. Odłożyłaby tę sprawę na kolejny dzień. Pomyślałaby dwa razy i może jeszcze kilka, zanim stanęłaby przed Kardynałem.

Ja byłam młoda i zdeterminowana, no i może nie do końca trzeźwa.

Podwójne drzwi prowadzące do biur Borgii nie były strzeżone, były za to lekko uchylone. Prześlizgnęłam się przez nie i weszłam do przedsionka, gdzie zwykle pracowali urzędnicy. Ich biurka były pokryte starannie ułożonymi kupkami dokumentów i ksiąg czekających na przejrzenie. Tuż obok stał stół do liczenia, z dużym abakusem wbudowanym w jego powierzchnię, a kamienie wielkości pięści aż lśniły od wielokrotnego używania. Po drugiej stronie sali wewnętrzne drzwi prowadziły do przedpokoju, w którym czekałam podczas swojej pierwszej wizyty. Ewa i wąż wciąż radośnie tu hasali. Dalej stały otworem drzwi do najważniejszego pomieszczenia. W jego końcu zauważyłam światło, które widziałam z dziedzińca.

Borgia był przy biurku. Siedział rozparty w fotelu, z twarzą okrytą cieniem. Przez chwilę wydawało mi się, że śpi. Jeżeli by tak było, zostawiłabym go w spokoju, sama wiedząc, jak ciężko jest żyć z bezsennością. Ale gdy miałam się już oddalić, poruszył się.

– Dobrze, że jesteś – powiedział, jakby mnie oczekiwał.

W przypadku Borgii mogło to być możliwe.

Kardynał zrzucił dworne szaty i był odziany tylko w luźną koszulę i spodnie. Kiedy się wyprostował, spostrzegłam, że zmarszczki wokół jego oczu i ust były głębsze niż zwykle. Wreszcie wyglądał na swój wiek albo przynajmniej bliżej niego.

– Czy Petrocchio odszedł zadowolony?

Takie pytanie może się wam wydać dziwne, ale Borgia miał wielkie uznanie dla roli, jaką odgrywa właściwa prezentacja w pozyskiwaniu i utrzymywaniu władzy. Wysoce cenił Maestro.

– Tak było – powiedziałam. – Z ulgą przyjął to, że wszystko doskonale się udało.

– Tak też myślałem – zgodził się Borgia. – A jakie jest twoje zdanie?

Podeszłam kilka kroków. Na biurku stał dzban wina i dwa kielichy. Jeden z nich był w połowie opróżniony. Nie wiedziałam, że pija w samotności, ale niewątpliwie było wiele aspektów jego życia, z którymi nie byłam zapoznana.

– Na pewno pan wie, o czym myślę – powiedziałam. – Dlaczego Morozzi tu był?

Borgia zaśmiał się sucho i pochylił do przodu, opierając łokcie na blacie. Wpatrywał się w cienie pokoju, jakby tam mógł znaleźć odpowiedź.

– Podejrzewam, że go zaprosiłem. Chyba dlatego, nie sądzisz?

– Jest pan szalony?

To na pewno nie było najrozsądniejsze pytanie. W najmniejszym stopniu. Ale tak właśnie czułam, wyczerpana tym wszystkim, co się działo i gnębiona świadomością tego, że największe niebezpieczeństwo wciąż było przed nami.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedział Borgia z łagodnością większą, niż na to zasługiwałam. I jakby to samo nie stanowiło wystarczającej wielkoduszności, wskazał krzesło stojące naprzeciwko biurka. – Usiądź, Francesco.

Ośmielona jego wyrozumiałością i czując z tego powodu niespodziewane wzruszenie, zrobiłam, jak mi kazano. Wylała się ze mnie litania skarg wzbierających we mnie od chwili, gdy spojrzałam ku wejściu do namiotu i zobaczyłam szalonego księdza stojącego tak niebezpiecznie blisko człowieka, którego miałam chronić.

– Jestem pańską trucicielką czy nie? – mówiłam z wielką żarliwością. – Ufa mi pan na tyle, żebym dbała o pańskie bezpieczeństwo albo nie. Żeby zapraszać tutaj Morozziego i nawet nie ostrzec mnie, że pan to zrobił... – Pokręciłam głową. – Nie jestem w stanie zrozumieć, co mogło panem kierować.

Borgia machnął ręką w stronę ksiąg, które od podłogi do sufitu wypełniały półki na jednej

ze ścian biura. W większości były to ręcznie spisane manuskrypty, niektóre stare na parę wieków. Inne były produktem nowych pras do drukowania, które ostatnio zaczęły się wszędzie pojawiać.

Borgia był wielkim miłośnikiem książek, chociaż nigdy nie miał wystarczająco dużo czasu, aby czytać ich tyle, ile by chciał.

– Co takiego mówi Terencjusz? *Auribus tenere lupum*¹⁹.

Nie dziwiłam się, że słowa opisujące swoją sytuację znalazł nie w Świętej Księdze, a w dziełach rzymskiego niewolnika wyzwolonego w uznaniu jego talentu pisarskiego. Ale wciąż byłam zaskoczona, jak lekko traktuje tę sprawę.

– Trzyma pan wilka za uszy – powiedziałam. – Puści pan je i wilk pana pożre. A Morozzi... Kardynał machnął ręką na moje obawy, zanim w pełni mogłam je przedstawić.

– Odkryłem – powiedział – że najlepszym sposobem na poznanie człowieka jest wyrzucić na niego presję i zobaczyć, jak wtedy zareaguje. Zgadzasz się ze mną?

– Chyba tak, ale...

– Morozzi mógł odrzucić moje zaproszenie. Co więc mówi nam to, że tego nie zrobił, a w dodatku przyszedł tu i dał nam pokaz swojej zuchwałości? Czy znaczy to, że jest na tyle próżny i tak w sobie zadufany, żeby być typem człowieka, który jeżeli da mu się linę, to znajdzie sposób na to, aby się powiesić?

– Możliwe, ale...

– A może mówi nam to, że wierzy, że ma powód do takiej pewności siebie? Czyli w skrócie, że ma plan, który, jak sądzi, nie może się nie powieść?

– Plan, żeby pana zabić? – Jak mówili starożytni Rzymianie, *in vino veritas*²⁰. Mój język kierował się teraz własną wolą.

Zanim mogłam pożałować swojej szczerości, Borgia nalał wina do drugiego kielicha i przesunął go w moją stronę.

– Wydawałoby się to logicznym wnioskiem – powiedział.

Obawa o to, że mogę stać się jeszcze bardziej nietrzeźwa, zbladła w obliczu nieubłagalnej prawdy tego, przed czym stanęliśmy. Wychyliłam wino, zanim znowu przemówiłam.

– Morozzi jest w posiadaniu śmiertelnej trucizny. – Zwlekałam z wyznaniem tego tak długo, jak mogłam.

Czekać dłużej byłoby zaniedbaniem moich obowiązków. Ale konieczność przyznania się mocno ubodła moją dumę.

Kardynał uniósł brwi.

– Skąd o tym wiesz?

– Bo sama ją sporządziłam przed pójściem do *castel*. Była przeznaczona dla mnie, gdyby zaszła taka konieczność. Miałam ją w medalionie, który dostałam od ojca.

– Byłaś gotowa się zabić, gdyby cię złapano?

Spojrzał zdziwiony, jakby nigdy nie brał pod uwagę tego, że mogłabym posunąć się tak daleko.

– Pomyślałam, że i tak zabiją mnie tortury, ale wcześniej zmusiliby mnie nimi do mówienia. Lepiej byłoby umrzeć przed tym.

Pomiędzy nami wyrósł duch człowieka z medalionem, który zginął dokładnie w sposób, jakiego się bałam.

– Rozsądne podejście... – powiedział Borgia. – Ale takie, z którym większość ludzi nie jest w stanie się zmierzyć.

– Może dlatego, że nie są zaznajomieni ze sposobami sprowadzania śmierci. – I może również dlatego, że boją się o swoje nieśmiertelne dusze, dzięki naukom Kościoła, który sam reprezentował. Tego samego Kościoła, który w dzisiejszych czasach zwracał się ku temu, żeby narzucać swoją wolę torturami i terrorem. – Tak czy inaczej, zanim poszliśmy do zamku, Morozzi upierał się, żebym pokazała mu, w jaki sposób zamierzam uśmiercić Papieża. Zamiast powiedzieć mu prawdę, pokazałam to, co miałam ukryte w medalionie. Wydarł mi medalion, kiedy nas złapał w pułapkę.

– Kiedy złapał ciebie i Żyda?

– Nazywa się David ben Eliezer. – Ktoś musiał przyznać, że miał nazwisko, że był człowie-

kiem, że był ważny. To zadanie spadło na mnie.

Borgia wzruszył ramionami.

– Wiem, jak się nazywa i wiem, co zamierza. Powstanie w Dzielnicy Żydowskiej jest szalonym planem.

To zabolalo. Jeszcze bardziej dlatego, że nie mogłam temu zaprzeczyć. Mogłam tylko znaleźć ucieczkę w oczywistości.

– Zdesperowani ludzie popełniają desperackie czyny.

– Żydzi mają prawo być zdesperowani. Stoją na krawędzi noża. Jeżeli nie zostanę papieżem, to zapewne zmierzą się z zagładą i tutaj, i w całym chrześcijańskim świecie.

– Bo Morozzi przekona każdego innego papieża, żeby podpisał edykt?

Borgia napełnił nasze kielichy i napił się, zanim odpowiedział. Wino sprawiło, że zrobił się gadatliwy.

– Edykt przeciwko Żydom jest jedynie oczywistym sygnałem czegoś znacznie większego. Świat, który istniał przez wieki, jedyny świat, jaki znamy, jest na krawędzi wielkich zmian. – Jego wzrok skupił się na mnie. – Są niezbędne i dobre, ale jest wielu, którzy chcą, aby wszystko zostało po staremu. Postrzegają zmianę jako śmiertelne zagrożenie i mają rację, bo ich wymiecie.

Usłyszeć jasno to, co nieśmiało przemykało mi przez głowę, było jak zobaczyć świeczkę zapaloną w ciemności.

– Jak daleko się posuną, żeby się uchronić? – spytałam.

Borgia wzruszył ramionami.

– Tak daleko, jak będą musieli. Żydzi będą tylko pierwszymi, którzy zginą. Ich krew sementuje zaprawę, która pogrzebie nas wszystkich.

W moim gardle urosła gula. Prze chwilę znów znalazłam się za ścianą z koszmaru, patrząc bezradnie, jak strugi krwi topią mój świat.

– Co możemy zrobić?

Borgia opróżnił kielich i postawił go na biurku.

– Możemy uczynić mnie papieżem, Francesco. Jedynie to pomoże.

– Della Rovere...

– Może nadejdzie jego kolej, z bożą pomocą, kiedy mnie już nie będzie wśród żywych, ale nie wcześniej. Na Boga, nie wcześniej!

Uderzył pięścią w biurko tak mocno, że kielich i dzban podskoczyły. A po prawdzie i ja.

– To on kieruje Morozzim? – zapytałam, gdy już odzyskałam oddech.

– Della Rovere tak myśli, ale jest w błędzie. Panem Morozziego jest sam Diabeł i nikt inny.

Przez okno wdarł się powiew wiatru, a płomienie lamp zadrgały. Światło przesunęło się po jego twarzy, cofnęło i znów wróciło.

– Wkrótce przybędzie jeszcze jeden tego rodzaju – powiedział. – Masz tego świadomość?

– Torquemada. – Jego nazwisko parzyło mi język.

Borgia przytaknął.

– Chciałbym, żebyś udała się do Żydów i przekonała ich, aby nie robili niczego głupiego.

Muszą cierpliwie czekać i wierzyć. Ja zwyciężę, przysięgam. Ale jeżeli pozwolą się sprowokować Torquemadzie, nie będą mogli szukać u mnie pomocy.

– Spróbuję...

– Musisz się bardziej postarać. I, Francesco...

Czekałam, przygotowując się na to, co jeszcze miało nadejść.

– Gdybyś mi powiedziała, że to Morozzi jest twoim kontaktem w Watykanie, przestrzegłbym cię przed nim. Zdecydowałaś się zatrzymać tę informację dla siebie i niemal nie doprowadziło to do katastrofy. Nie możesz już nigdy tego robić.

Oczywiście miał rację.

Nie miałam nic na swoją obronę, chociaż starałam się jakoś wybrnąć.

– Bez Morozziego nie miałabym sposobu na to, żeby dostać się do Innocentego. A chyba to było warte ryzyka?

– Czy to znaczy, że go zabiłaś?

Czy zgładziłam następcę Boga na ziemi, dziedzica Piotra i Mojżesza, małego, nikczemnego człowieczka, który zamierzał dopuścić się strasznej zbrodni? A może nie? To, czy mi się udało, czy nie, stanowiło rzeczywistą różnicę, jeżeli podjęłam same działania, aby go zabić? Czy nie byłam i tak potępiona?

– Nie wiem.

– A ma to dla ciebie znaczenie?

Drwina, którą usłyszałam w jego głosie, ubodła mnie.

– Oczywiście, że ma! Wierzę, że znalazłam sposób, który mógł spowodować naturalną śmierć. Próbowałam go zastosować. Tego wszystkiego jestem winna. Ale czy przyniosłam mu śmierć, czy nie, tego nie wiem. Możliwe, że i tak by wtedy umarł, bez mojej pomocy.

– Podobnie jak możliwe jest, że wypełniałaś wolę Boga. Czy nigdy nie przyszło ci to do głowy?

– Nie – powiedziałam szczerze. – Bóg ma tysiące sposobów... setki tysięcy... na to, żeby unicestwić człowieka bez wciągania mnie w to.

– A wolałabyś nie być wciągnięta?

– Oczywiście, że bym wolała! Czy nie myśli pan w ogóle o mojej duszy?

Nawet wówczas wiedziałam, że to pytanie nie miało sensu. Paru starców mogło jeszcze trzymać się swoich mitr i klepać pacierze, ale byli już na wymarcu. Nowi, jak Borgia, stanowili teraz Kościół. Przemienili go w pantomimę wypełnioną pozowaniem i udawaniem, w przedstawienie mające odwrócić uwagę tłuszczy, podczas gdy oni oddawali się na boku swoim doczesnym sprawom.

Gdzie był pasterz, który mógłby sprzeciwić się takim wilkom?

Borgia westchnął głęboko.

– Chciałabyś rozgrzeszenia? Jeśli tak, musisz tylko powiedzieć słowo.

– Nie może pan...

– Oczywiście, że mogę. Jestem księciem Świętego Kościoła Rzymskiego. Mam moc odpuszczania grzechów. A może w to nie wierzysz?

Jeżeli bym nie wierzyła, byłabym heretyczką.

– Powiedz tylko słowo, a będzie ci odpuszczone. – Spojrzał na mnie uważnie i czekał.

– Nie mogę...

– Dlaczego, Francesco? Dlaczego nie możesz?

Dlaczego nie mogłam uklęknąć przed nim, wyznać wszystkich swoich grzechów i odebrać błogosławieństwa boskiego przebaczenia?

*Ego te absolvo a peccatis tuis, in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen*²¹

– Bo nie czuję skruchy. Boję się, owszem, o zbawienie mojej duszy, ale nie mogę prosić Boga o wybaczenie tego, czego naprawdę nie żałuję.

Skinął głową, jakbym podała odpowiedź, której oczekiwał. Ale jeszcze nie skończył.

– Jest jakiś inny powód?

Mogłam myśleć tylko o jednym, a ten był najmroczniejszy ze wszystkich. Oczy mnie piekły. Zamrugałam, żeby powstrzymać łzy.

– Bo zabiję znowu.

– Morozziego?

Przytaknęłam.

Dla ojca, dla Davida i Sofii, i Benjamina, za szaleństwo, które chciał wokół nas rozpętać. Nie mogłam spocząć, dopóki ten ksiądz nie będzie martwy.

– Morozziego na pewno, ale także innych. Bóg wie, kim są. Ja nie, a przynajmniej jeszcze nie.

– I to cię niepokoi?

Borgia brzmiał teraz niemal jak ksiądz. A na pewno wydarł ze mnie wyznanie, którego nie miałam zamiaru poczynić.

– Tak, Eminencjo, to bardzo mnie niepokoi.

Westchnął ponownie i pochylił się do przodu.

– Uklęknij, Francesco.

Patrzyłam na niego oszołomiona. Pokazał dłonią podłogę przed swoim krzesłem.

– Klęknij i przyjmij boże miłosierdzie. On kocha nas bardziej, niż możesz wiedzieć.

To było wino. Późna godzina. To było moje serce, ciężkie jak kamień, które mnie ściągnęło w dół.

Uklękłam i uniosłam wilgotną twarz, patrząc, jak Borgia czyni nade mną znak krzyża. Jak przez mgłę docierały do mnie jego słowa.

– Odpuszczam ci grzechy w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Byłam i pozostaję wąpiąca; to moje przekleństwo. Ale w tym świecie, tuż przed świtem odkryłam prawdę, której istnienia nie podejrzewałam. Może jedynie z własnej rozpaczliwej potrzeby, a może przez boską interwencję, która mogła przemawiać nawet przez tak głęboko zepsutego człowieka, odnalazłam pociechę i sens w akcie przebaczenia.

Podniosłam się jako narzędzie Borgii, i jak pragnęłam wierzyć, również jako narzędzie Boga.

Po spotkaniu z Kardynałem nie było już po co iść do łóżka. Wykąpałam się i przebrałam przed wyjściem z palazzo. Vittorio został przy Borgii, więc towarzyszył mi znowu Jofre, młody strażnik, który przykładowie ukarany, został zwolniony z obowiązku czyszczenia latryn, żeby mieć na mnie oko. Ja czułam potrzebę trzymania oka również na nim, bo gdy już znaleźliśmy się w getcie, ręka dobywająca miecz wydawała się go świerzbic.

– Nie ma się tu czego obawiać – zapewniłam go.

Z konieczności szliśmy bardzo wolno. Edykt wyganiający Żydów z Hiszpanii był w swojej końcowej fazie, więc Dzielnica Żydowska była teraz zatłoczona jeszcze bardziej niż wcześniej. Bogatsi uchodźcy, ci, którym udało się przeschmuglować złoto i drogie kamienie, znaleźli schronienie za wysokimi murami kupieckich domów, ale dla większości nowym domem stały się ulice.

– Jesteśmy tu zupełnie bezpieczni – upierałam się i naprawdę tak czułam.

Getto nie było już dla mnie czymś obcym, a poza tym wiedziałam, że wśród tylu bacnych spojrzeń mój związek z Sofią i Davidem nie mógł pozostać niezauważony. Wątpiłam, żeby ktokolwiek chciał rozbudzić ich gniew, niepokojąc nas.

Oczywiście Jofre nie mógł o tym wiedzieć. Patrzył na mnie, jakbym była wariatką. Kiedy dotarliśmy do pracowni aptecznej i zobaczył zebrany tam jak zwykle tłum, kolory zniknęły mu z twarzy. W nadziei, że względnie świeże powietrze pomoże mu ustać na nogach, zostawiłam go na zewnątrz i weszłam do środka, aby poszukać Sofii.

Była w pracowni, przygotowując zioła. Kiedy mnie zobaczyła, wyciągnęła spod stołu stółek, żebym mogła usiąść.

– Wyglądasz okropnie – powiedziała.

Usiadłam z wdzięcznością. Spowiedź może być dobra dla duszy, ale wydawała się siał spustoszenie w ciele. Choć, mówiąc prawdę, nadmiar ciężkiego jadła i zbyt dużo wina były tu kluczowe.

– Nie śpiam dobrze.

To najprostsze wytłumaczenie i jedyne, jakie miałam zamiar przedstawić.

Sofia przerwała swoje zajęcie i przygotowała dla mnie herbatę z kopru, mniszka i piołunu. Zignorowała moje protesty i postawiła przede mną napar, aby naciągnął, a potem usiadła i spojrzała na mnie z uwagą.

– Udało nam się odroczyć wyrok. Myślałam, że będziesz się z tego cieszyć.

Zamiast wyznać jej, jak dalekie mojemu wzburzonemu sercu było wrażenie szczęścia, rzekłam tylko:

– Musimy postarać się, żeby nie było jedynie czasowe. Wiesz, gdzie jest David?

– Mogę się domyślać. Jeśli chcesz, wyślę po niego zaraz Benjamina.

– Proszę. Muszę z nim porozmawiać.

Wstała, aby tego dopilnować, ale nie bez kolejnego upomnienia.

– Wypij tę herbatkę. Zanim wystygnie.

Wypiłam i chociaż na początku miałam odruch wymiotny, potem zrobiło mi się trochę lepiej.

Wkrótce nadszedł David. Spojrzał na mnie i pokręcił głową.

– Było aż tak źle?

– Co było źle? – zapytała Sofia.

Rozgniatała w moździerzu suszony tasznik. Rozpoznałam roślinę jako jedną z tych, które przyniosłam na jej życzenie. Poprawnie zastosowana powstrzymuje krwawienie i pomaga w leczeniu ran.

David usiadł i wyciągnął swoje długie nogi. Był nieogolony i miał czerwone oczy, co odebrałam jako dowód, że i on nie spał tej nocy. Benjamin przykucnął przy drzwiach. Podejrzywałam,

że nie chciał się rzucać w oczy, ale i tak nie miałam ochoty go stąd odsyłać.

– Przyjęcie Kardynała – odpowiedział David. – Nie traci czasu, wydając nasze pieniądze. – Spojrzał na mnie uważnie. – Czy to prawda, że była tam większa część Kolegium Kardynalskiego?

– Tak, podobnie jak Morozzi.

Wzrok Davida stał się zimny jak stal.

– Dlaczego Borgia wpuścił go pod swój dach?

– Żeby sprawdzić, jak reaguje pod presją. Ale nie sądzę, aby to miało teraz znaczenie. Są ważniejsze sprawy. – Nabrałam powietrza i powiedziałam: – Torquemada jest w drodze do Rzymu. Sofia i David wymienili spojrzenia.

– Tak – powiedział – wiemy o tym.

Spodziewałam się tego. Borgia miał swój wywiad, ale Żydzi mieli tysiące uchodźców płynących z Hiszpanii. Z pewnością słowo o planach Wielkiego Inkwizytora podróżowało wraz z nimi.

– Borgia doradza cierpliwość. – Żeby być w zgodzie z prawdą, w zasadzie ją nakazał, ale nie widziałam powodu, żeby to podkreślać. – Doradza, abyście nie podejmowali żadnych działań, które mogą włożyć Torquemadzie argumenty w ręce.

Przez dłuższą chwilę David nic nie mówił. Wreszcie spojrzał na mnie i powiedział:

– Tu nie jest La Guardia. Kardynał musi to zrozumieć. W żadnych okolicznościach nie pozwolimy Torquemadzie, aby zrobił tutaj to samo, co tam.

Pomimo ciepłego dnia przeszedł mnie dreszcz. La Guardia to hiszpańskie miasto, gdzie, jak twierdził Wielki Inkwizytor, Żydzi ukrzyżowali chrześcijańskie dziecko z zamiarem wykorzystania jego serca w rytuale, który miał zatruć miejscowe źródło wody. Bez żadnych dowodów, z wyjątkiem tych, które mógł zdobyć za pomocą wyjątkowo okrutnych tortur, przywiódł ośmiu Żydów i wrzucił na stos. Wykorzystał również tę rzekomą zbrodnię, aby przekonać ich najbardziej katolickie mości Ferdynanda i Izabellę do wydania edyktu. Więc w rzeczywistości wszyscy hiszpańscy Żydzi byli ofiarami La Guardii i samego Torquemady.

– Musicie pokładać ufność w Il Cardinale – odpowiedziałam, ale to zalecenie było chyba skierowane bardziej do mnie niż do nich. – On doskonale rozumie powagę sytuacji i zrobi wszystko, co niezbędne, żeby odnieść zwycięstwo. – Nie widziałam powodu, aby wspominać, że obejmowało to również kupczenie małżeństwem córki i przytulanie do piersi zaprzysięgłych wrogów.

– Dobrze – powiedział David. – Zapłacono mu jak stąd do nieba i z powrotem. Zobaczmy teraz, jak na to zarobi. – Spojrzał wprost na mnie. – Powiedz mu to, Francesca, i upewnij się, że rozumiał. Nie może płynąć do papieżstwa na naszej krwi. Jeżeli my upadniemy, on również.

Może dlatego, że ohydna herbatka Sofii nie całkiem pozbawiła mnie mdłości, a może to brak snu odpowiadał za mój zły nastrój. Jaka by nie była przyczyna, powiedziałam do niego chłodno:

– Wystarczająco nieprzyjemnie jest być posłańcem Borgii. Nie mam zamiaru być również twoim. Powiedz mu to sam.

– A gdzie miałbym to zrobić? – zdenerwował się David. – Czy powinienem wpaść do jego biura w Kurii, tak ja ty możesz, czy może chciałby zaprosić mnie na obiad w palazzo? A może jeszcze lepiej, mógłbym go zaprosić tutaj. Sofia, nie miałabyś nic przeciwko temu, prawda? Mogłabyś upichcić coś, co zaspokoiłoby podniebienie Kardynała.

– David... – zaczęła, ale jej przerwałam.

Moja cierpliwość, której nigdy nie miałam w nadmiarze, wyczerpała się.

– Przedstawiłeś swój punkt widzenia – powiedziałam. – Teraz posłuchaj mnie. Cokolwiek myślisz o Borgii, w jednym na pewno ma rację. Torquemada przybywa, żeby zapobiec wyborowi papieża, który mógłby sprzyjać Żydom. Nic innego nie zmusiłoby go teraz do opuszczenia Hiszpanii. Pytanie jest takie – w tak niedługim czasie, jaki został do rozpoczęcia konklawe, jak mógłby spowodować, że Borgia nie wygra?

– Masz zamiar powiedzieć, że będzie chciał nas sprowokować... – powiedział David.

Tak jednak nie było. Myśli, które zaczęły mi krążyć po głowie, odkąd dowiedziałam się o przyjeździe Wielkiego Inkwizytora, zaczęły do mnie docierać w szalonym tempie. Wreszcie

byłam w stanie poświęcić im uwagę, na którą zasługiwały.

– Dlaczego miałby w ogóle myśleć, że można was sprowokować? – zapytałam. Nie zdając sobie z tego sprawy, przejęłam zwyczaj Borgii zadawania pytań w celu rozwiązania łamigłówki. – Czy Żydzi kiedykolwiek podnieśli bunt, tak jak wy grozicie, że zrobicie tutaj?

David powoli pokręcił głową.

– Była o tym mowa...

– Ale nigdy nie przeszli do działania. Przez całe wieki Żydzi w całej Europie trzymali spuszczone głowy i cierpieli w milczeniu, cokolwiek by im robiono. Wy chcecie to zmienić, prawda? Chcecie pokazać, że zabijanie Żydów ma swoją cenę. Czy nie jest tak?

– Wiesz przecież, że jest, ale...

– Myślę, że rozumiem, o czym mówi Francesca – wtrąciła się Sofia. – Borgia wie, co zamierzamy, i garstka innych prawdopodobnie też się domyśla. Ale Torquemada nigdy by w to nie uwierzył. Mając na uwadze jego doświadczenia z nami, raczej by się uśmieł na samo wspomnienie, że mogliśmy się bronić.

– Więc dlaczego przyjeżdża? – zapytałam. – Jeżeli nie planuje sprowokować powstania w getcie...

– Ma zamiar sprowokować chrześcijan – powiedział David. – Dokładnie tak jak w La Guardii. Ale z naszej strony rezultat będzie taki sam. Nie pozwolimy, aby to się tutaj stało.

– Bo się nie stanie – powoli powiedziała Sofia. – Nie może. Sprawa La Guardii zabrała Torquemadzie prawie dwa lata. Tak długo musiał pracować, żeby przekonać władze, aby skazać tych, którzy, jak twierdził, byli winni. A i tak był to w stanie zrobić, jedynie poddając oskarżonych potwornym torturom. Teraz nie ma na to czasu.

– Więc co ma nadzieję osiągnąć? – zaczął David.

– Czego nie miał w La Guardii? – zapytałam i odpowiedziałam na tym samym oddechu. – Nie było ciała. Jego twierdzenie, że ukrzyżowano chrześcijańskie dziecko, nie było poparte dowodem. Nie było nawet pogłosek o zaginięciu żadnego dziecka.

Skierowałam wzrok na Benjamina, który z uwagą nas obserwował. Benjamin, dziecko, które dawało sobie radę na ulicach, jak tyle innych porzuconych czy osieroconych, ale o ironio, również takie, które w tym konkretnym przypadku było bezpieczne, bo nosiło znaną Abrahama. Benjamina nie można było wziąć za dziecko chrześcijańskie, a właśnie takiego potrzebował Torquemada.

– Mój Boże... – szepnęła Sofia i zakryła usta ręką.

Nawet David zbladł. To, że ksiądz może ukartować rytualne morderstwo dziecka, żeby osiągnąć swoje chore cele, wydawało mu się niemożliwe. Ale nie mnie. Dla mnie było to zupełnie jasne, bezdyskusyjne.

– Nawet Torquemada nie mógłby przyjechać do Rzymu i dopuścić się takiej zbrodni w ciągu kilku dni – powiedziałam, a mój umysł popędził poszybował do przodu. – Musi mieć jakiegoś sprzymierzeńca, kogoś, kto już tu jest i jest gotowy do działania.

David i Sofia powiedzieli jednocześnie:

– Morozzi.

Skinęłam głową.

– To musi być on. Czy Wielki Inkwizytor byłby gotów jechać całą drogę do Rzymu z własnej inicjatywy, obciążony wszystkimi problemami, jakie ma teraz w Hiszpanii? Morozzi musi być z nim w kontakcie.

– Jeżeli edykt zostałby podpisany, Torquemada przyjechałby, żeby to uczcić – powiedział powoli David. – W połączeniu z hiszpańskim edyktem byłby to wielki triumf dla tych, którzy marzą o naszej zagładzie. Ale skoro nie został jeszcze podpisany...

– I czeka na podpis nowego papieża – zakończyłam jego myśl. – Biorąc to wszystko pod uwagę, Morozzi ma wszelkie powody, żeby chcieć mieć obok siebie najsłynniejszego pogromcę Żydów, który mógłby użyć swojego nazwiska i prestiżu w celu pokonania Borgii.

Wstałam, mając teraz pełną jasność tego, co musi się wkrótce wydarzyć.

– Trzeba wysłać wiadomość do Rocca. On może dotrzeć do brata Guillaume. Torquemada

będzie mieszkał u dominikanów. Musimy się jakoś dowiedzieć, co on i Morozzi zamierzają i jak można ich powstrzymać.

David też już był na nogach. Wydawało się, że otrząsnął się już z szoku i starał się sam wymyślić, co powinno zostać zrobione.

– Mamy swoje źródła – powiedział, a podejrzewałam, że miał przez to na myśli *conversi* w całym Rzymie, którzy bojąc się o odkrycie swojej tożsamości, mogli zostać zmuszeni do współpracy. – Postaram się dowiedzieć tak dużo, jak się da.

U jego boku stał Benjamin i patrzył na mnie poważnie.

– Ja również. – Skinął głową w kierunku bramy prowadzącej na zewnątrz getta. – Tam nikt nie wie, że jestem Żydem. W okolicach Campo i wszędzie myślą, że jestem tylko kolejnym dzieckiem ulicy, jak oni. Jeżeli ktokolwiek zaginie, na pewno o tym usłyszę.

– Morozzi rekrutował chłopców w celu zdobycia krwi dla Innocentego – powiedziałam. – Jeżeli mógł to robić, może...

– Czy Vittorio mógłby wprowadzić kogoś do szkoły cantoretti, żeby miał na nich oko? – zapytał David.

– Jeżeli nie on – odpowiedziałam – to sam Borgia będzie musiał się tym zająć.

Z oddali, spoza getta, dobiegły mnie dźwięki dzwonów bijących na tercję. Ranek powoli zbliżał się do końca. Za cztery dni kardynałowie mieli zostać zamknięci na konklawe. Zanim to się stanie, Morozzi musiał przekonać obywateli Rzymu, aby wystąpili przeciwko Żydom.

A żeby to osiągnąć, musiał zabić dziecko.

– Mamy bardzo mało czasu – powiedziałam i wyszłam szybko, zgarniając po drodze zaniepokojonego Jofrego.

Popędziłam w stronę palazzo.

Do wieczora dowiedzieliśmy się wiele. Choć nadal sporo spraw pozostało niewyjaśnionych.

Dzięki bratu Guillaume mieliśmy świadomość tego, że Torquemada jest już w Rzymie.

Wielki Inkwizytor przyjechał w tajemnicy tego samego dnia i zainstalował się w dormitorium dominikanów przy kościele Santa Maria Sopra Minerwa, w którym David i ja, z pomocą Rocca, znaleźliśmy schronienie po ucieczce z zamku.

Rocco osobiście przyniósł mi wiadomość o miejscu pobytu Torquemady. Odnalazł mnie na dziedzińcu, w pobliżu koszarów gwardzistów, gdzie udałam się, żeby porozmawiać z Vittorio. Pomiędzy krzątający uzbrojonych straży i zabieganych sług udało nam się znaleźć odosobnienie w cieniu balkonu.

Nie widzieliśmy się od ostatniego spotkania w palazzo. Jego widok wywołał we mnie wspomnienie pocałunku, więc niestety umknęło mi kilka pierwszych słów z tego, co mówił.

– ...prześlizgnął się do Rzymu jedynie z kilkunastoma towarzyszami. Wyglądali jak bracia zakonnicy przybywający na konklawe. Od wejścia do dominikanów Torquemada nigdzie się nie oddalał, ale przyjmował gości.

– Czy był wśród nich Morozzi? – zapytałam, starając się szybko wrócić do rzeczywistości.

– Nie, ale Guillaume w dwóch z nich rozpoznał domowników della Rovere.

Żołądek mi się ścisnął. Jeżeli największy rywal Borgii dostarczał ludzi Torquemadzie, Il Cardinale mógł znajdować się w jeszcze większym niebezpieczeństwie, niż się obawiałam.

– Muszę powiedzieć o tym Jego Eminencji – oznajmiłam.

Ale niespieszno mi było stamtąd odejść. Przyglądałam się człowiekowi, który narażał się na wielkie ryzyko dla ludzi, o których nie miał powodu się troszczyć, włączając w to jedną kobietę, która go odrzuciła.

– Zrobiłeś już więcej, niż trzeba – powiedziałam. – Myślę, że byłoby mądrze, gdybyś teraz dołączył do Nando na wsi.

Podziękowałam Bogu za to, że Rocco był na tyle przewidujący, aby odesłać syna w bezpieczne miejsce.

Uśmiechnął się i delikatnie dotknął dłonią mojego policzka. Wpatrywałam się w niego tak intensywnie, że nie przyszło mi nawet do głowy, żeby się odsunąć. Był przystojnym mężczyzną, w inny sposób niż żywiłowy Cesare czy fałszywy anioł Morozzi. Miał w sobie spokój, który ukazywał się we wszystkim, co robił. Dzieła, które wydobywał z powietrza i ognia, odznaczały się niezwykłą delikatnością, ale zaczynałam zdawać sobie sprawę z tego, że on sam był jak dąb, który nie poddawał się największym sztormom.

– Mój syn jest dzieckiem, Francesco, ja jestem mężczyzną. Zostanę tu do końca.

Ścisnęłam tylko jego rękę i skinęłam głową, nie ryzykując żadnych słów, żeby się nie ośmieszyć. Zostaliśmy tam jeszcze przez chwilę, zanim nie rozdzieliły nas wstrząsy tego świata, nieubłagane w swoich żądaniach. Stałam i patrzyłam, jak odchodzi z dziedzińca i znika mi z pola widzenia. Dopiero wtedy odszukałam Borgię i zreferowałam mu to, czego się dowiedziałam.

– Cholerny Giuliano – zdenerwował się Kardynał, gdy poinformowałam go o gościach Torquemady. – Czy zniży się do wszystkiego?

Takie słowa wypowiedział człowiek, który ochoczo czynił przygotowania do śmierci papieża.

Musiałam przedstawić mu swoje podejrzenia dotyczące zamiarów Torquemady i Morozziego.

Wysłuchał mnie w ciszy, chrząknął parę razy, a potem wydał werdykt.

– Twój ojciec byłby z ciebie dumny.

Oszolomiona rzekłam:

– Jak to? Nigdy nie pragnął dla mnie takiego życia. – Zupełnie odwrotnie, chciał dać mi

męża, którego bym akceptowała, i chciał mieć wnuki, które mógłby rozpieszczać. A nie doczekał ani jednego, ani drugiego. Był martwy, zabity na rzymskiej ulicy; jeden z kolejnych zakrętów życia.

– Widział rzeczy wyraźniej niż większość ludzi – powiedział Borgia. – Może dlatego, że nie miał zbyt wielu iluzji.

Z wyjątkiem głupiej wiary, że uda mu się w jakiś sposób powstrzymać swoje jedyne dziecko przed pójściem w jego ślady.

– Co mamy robić? – zapytałam Kardynała, bo był tam on, a nie mój ojciec, którego zdecydowanie chętniej poprosiłabym o radę.

Borgia wzruszył ramionami.

– Co możemy zrobić? Myślę, że masz rację co do planów Morozziego i Torquemady. Nic innego nie usprawiedliwia obecności Wielkiego Inkwizytora w obecnej chwili. A czy uda nam się ich powstrzymać, to się okaże.

– A jeśli nie...

– Będziemy mieli Święte Dzieciątko z Rzymu – odpowiedział, odnosząc się do nieznanego dziecka z La Guardii, zabitego rzekomo przez Żydów.

Budowano już dla niego świątynię, która miała przyciągnąć tłumy wiernych.

– Boże broń! – powiedziałam z pełnym przekonaniem.

Jeżeli coś takiego wydarzyłoby się w Rzymie, przepadłyby zabiegi Borgii o papieństwo, a Żydzi razem z nimi. Della Rovere już przecież rozpuszczał pogłoski, że Borgia jest *marano*, ale nastroje ludności wciąż były przychylnie II Cardinale, bo odbierano go jako człowieka praktycznego, który raczej rozwiązuje problemy, niż je kreuje, a za to często otwiera swój portfel. Nic o znaczeniu mniejszym niż wydarzenie podobne temu w La Guardii nie zwróciłoby mieszkańców Rzymu przeciwko niemu. Ale jeżeliby coś takiego nastąpiło, objęłoby zasięgiem nie tylko Rzym, a całe chrześcijaństwo.

– Jak nam wiadomo – poinformowałam – nie zaginęło dotychczas żadne dziecko z ulicy.

Benjamin zgłosił nam to po wypadzie za bramy getta. Uchodząc za chrześcijanina, przeszedł od Campo, przez Tyber, prawie pod same bramy Watykanu, przez cały ten czas słuchając, patrząc, szepcząc w odpowiednie uszy. W Rzymie było wiele bezdomnych dzieci, ale były anonimowe jedynie dla tych, którzy chcieli, aby nimi pozostali. Tworzyli jakby odrębne plemię, w którym każdy każdego znał. Gdyby którekolwiek zniknęło, jego nieobecność musiała zostać zauważona.

A co do szkoły cantoretti Vittorio potwierdził, że stamtąd też nie ubyło chłopców.

Z wyjątkiem tych, których zabrał Morozzi, żeby zdobyć krew dla Innocentego. Obawiałam się o ich bezpieczeństwo, choć byłam pewna, że żaden z nich nie zostanie ofiarą Torquemady. Gdzie indziej stan ich ciał będący wyraźnym dowodem na to, że byli przez dłuższy czas wykrwawiani, podniósłby najstraszniejsze oskarżenia przeciwko Żydom. Ale byliśmy w Rzymie – plotkarskim, wyrafinowanym Rzymie. Opowieści o rozpaczliwych próbach odpędzenia śmierci przez Innocentego krążyły po mieście miesiącami. Niechby tylko pokazało się ciało chłopca ze śladami wielokrotnego upuszczania krwi, a miasto odebrałoby to jako znak na deprawację Kościoła, nie Żydów. Nie, dziecko musiało przyjść skądinąd.

Stamtąd, gdzie był Morozzi. Bo po nim nie było śladu.

– Nie widziano go, odkąd opuścił uczcę – powiedziałam Borgii, kiedy spotkałam się z nim ponownie wczesnym wieczorem. – Nie ma go w *castel*, nie ma w obrębie Watykanu. Nikt nie wie, gdzie może być.

– To niedobrze – zafrasował się Kardynał. – Trzeba go znaleźć.

Nie mogłam się z tym nie zgodzić, ale nie licząc na pomoc aniołów z nieba, nie miałam pojęcia, jak odkryć miejsce pobytu szalonego księdza. Mógł być wszędzie.

– Możemy kazać śledzić Torquemadę – zasugerowałam. – Na wypadek, gdyby Morozzi poszedł się z nim spotkać.

Borgia skinął głową.

– Vittorio już się tym zajął, ale po co mieliby się teraz spotykać? Kiedy dziecko zostanie znalezione, Torquemada od razu się o tym dowie. Pojawi się, twierdząc prawdopodobnie, że sam Bóg w cudowny sposób go tutaj przysłał, i podburzy mieszkańców do ataku na Żydów.

Westchnął głęboko i przez krótką chwilę wyglądał jak stary, zmęczony człowiek. Jak gdyby nieskończona liczba ludzkich grzechów połączyła się z jego własnymi i go przytłoczyła.

– Nie mamy tak wielu gwardzistów, żeby postawić ich przy każdym chrześcijańskim dziecku w Rzymie i w okolicach – powiedział – więc nie bardzo wiem, co moglibyśmy zrobić.

Na przestrzeni lat, które minęły od tego czasu, zaakceptowałam fakt, że to mroczność mojego umysłu sprawia, że w pewnych okolicznościach widzę wszystko bardzo jasno.

Jednak Borgia wiedział to już wtedy.

Nie okazał zdumienia, gdy powiedziałam:

– W zasadzie, jeśli naprawdę dojdzie do najgorszego, nie musimy odnajdować dziecka. Musimy tylko trafić na ciało, zanim zrobi to ktoś inny.

Kardynał przyjrzał mi się uważnie.

– Ale na pewno wołałabyś odnaleźć dziecko, żeby zapobiec jego morderstwu?

– Oczywiście, że bym wołała. To Morozzi jest potworem, nie ja. Ale jeżeli nie będziemy mogli...

– Jeżeli nie będziemy mogli... – Borgia usiadł na chwilę i zatopił się w myślach. – Gdybyś była Morozzim, gdzie zaplanowałabyś takie wydarzenie?

– Co ma pan na myśli?

Gdybym była Morozzim? Czy próbował nas porównywać? Czy wrzucał nas do jednego worka jako tych, którzy nie mają nic przeciwko zabijaniu?

– Punktem zwrotnym będzie znalezienie ciała – powiedział poważnie. – Co musi nastąpić w takich okolicznościach, które od razu wskażą na winę Żydów. Gdzie mogłoby to być?

Wiedziała, do czego zmierza, choć nie patrzyłam na to z optymizmem. Jeżeli moglibyśmy wydedukować, gdzie odbędzie się zbrodnia, można by, przy dużym szczęściu, w ogóle jej zapobiec.

– Nie wiem – odpowiedziałam powoli. – Może gdzieś w pobliżu getta?

Borgia pokręcił głową.

– Zbyt oczywiste. Rzymianie są bardziej wyrobieni niż pospólstwo w La Guardii. Zastanawiałiby się, dlaczego Żydzi byli na tyle głupi, żeby wskazywać na siebie. Nie, to musi być gdzieś indziej.

– A gdzie rzekomo zostało zabite to dziecko w La Guardii? – zapytałam.

– Na zboczu jakiegoś wzgórza. To nam tu nie pomoże.

Nie, to nie pomagało, chociaż... Rzym zbudowano na siedmiu wzgórzach. W mieście i w jego okolicach można znaleźć sporo stromych stoków. Zdecydowanie zbyt wiele, żeby domyślić się, który z nich mógłby być dobrym miejscem na popełnienie takiej zbrodni.

Pomimo największych wysiłków i powagi sytuacji nie byłam w stanie powstrzymać ziewnięcia. Borgia skarcił mnie wzrokiem.

– Kiedy ostatnio spałaś?

– Jakiś czas temu. To nie ma znaczenia...

– Ma. Idź i się połóż. Jeśli coś się stanie, od razu wyślę ci wiadomość.

Zawahałam się niechętna zsyłce do swoich komnat, gdzie – jak byłam przekonana – będę się jedynie przewracać z boku na bok. Ale Kardynałowi nie można było odmówić. Wysłał mnie w drogę ze srogim upomnieniem, że nie będę dla niego żadną pomocą, nie mogąc zachować otwartych oczu.

W drodze kompromisu zdjęłam buty, ale pozostałam w odzieniu i położyłam się na wierzchu łóżka, nie pod przykryciem. Przez chwilę wpatrywałam się w sufit, odtwarzając wydarzenia kilku ubiegłych dni. Nie była to najlepsza recepta na sen, a jednak wkrótce się zdrzemnęłam, chociaż tak lekko, jakbym była zawieszona w połowie drogi między świadomością a snem.

Prawdziwy sen mnie omijał. Morfeusz jest kapryśnym bogiem; do niektórych przychodzi bez problemu, do innych trafia z największą trudnością. Żeby go zwabić, najlepiej udawać brak zainteresowania. Zająć myśli sprawami niezwiązanymi z tym, czego się naprawdę pragnie, i nie pozwolić się rozproszyć tym myślom. Mnie dobrze robi przechadzka po Rzymie.

Ojciec uwielbiał chodzić; często zabierał mnie na małe wycieczki, w czasie których odkrywaliśmy zakątki miasta. Patrzyłam na Rzym jego oczami, zanim nauczyłam się sama go oglądać.

Nie będzie prózną przechwałką, kiedy powiem, że mogę znaleźć się w każdej dzielnicy i rozpoznać, gdzie jestem tylko dzięki dźwiękom i zapachom. Przynajmniej przy jednej okazji, wiele lat po tym, jak miały miejsce przytoczone tu wydarzenia, ta umiejętność ocaliła mi życie. Ale znów wpadam w dygresję.

Starając się zasnąć, odbywałam w myślach przechadzkę. Zaczęłam od palazzo. Idąc na wschód, przez antyczne Mury Serwiańskie, doszłam do starego miasta. W oddali widziałam Kwirynał, wzgórze, z którego uprowadzono Sabinki. Ślubna skrzynia mojej matki, zachowana przez ojca i wciąż będąca w moim posiadaniu, jest dekorowana scenami z ich porwania. Nie myślcie, że to dziwne ozdoby jak na posąg panny młodej. Nawet taki autorytet, jak Liwiusz, mówi nam, że w zamian za zgodę na rzymskich mężów zagwarantowano Sabinkom prawa, jakie pragnęłyby mieć każda dzisiejsza niewiasta.

Jeśli tylko bym mogła, spytałabym matkę, czego spodziewała się po swoim małżeństwie i czy odnalazła spełnienie swoich nadziei w tym krótkim czasie, gdy ona i ojciec byli razem. Ale pozostaje tylko cieniem bez twarzy i głosu, który od czasu do czasu ukazuje mi się w snach, żeby szybko zniknąć w chwili, gdy wyciągam do niej rękę.

Co innego z ojcem.

W tym krótkim śnie, w który teraz zapadłam, siedł obok mnie, ale nie śmiałam patrzeć na jego cichą obecność przy moim boku z obawy, że on również zniknie. Od swojej śmierci śnił mi się tylko martwy, jako pobite i pokrwawione ciało, nad którym szlochałam. Tak dobrze było teraz czuć jego żywą obecność, więc nie zrobiłabym nic, żeby ją zaburzyć.

W milczeniu szliśmy przez Wiminał, najmniejsze z rzymskich wzgórz i najmniej interesujące, aż do Eskwilinu, który wznosi się stromo nad ruinami Koloseum. Znajduje się tam Bazylika di Santa Maria Maggiore, gdzie razem z ojcem często chodziliśmy, żeby podziwiać jej wnętrze i zapalić świeczkę przed obrazem Najświętszej Dziewicy, którą, jak powiadają, namalował sam Święty Łukasz. Podczas gdy przyglądałam się malowidłu, migoczący płomień świecy rósł, aż zmienił się w słońce wystające nad Kapitołem.

– Najwyższe z rzymskich wzgórz, jego chwała – powiedział ojciec.

Jego blada, niemal przezroczysta ręka otoczyła wszystko, co rozpościerało się przede mną. Na szczycie wzgórza stał kościół Matki Boskiej Ołtarza Niebiańskiego, gdzie, jak mówiono, jedna ze starożytnych sybilli przepowiedziała przyjście na świat Jezusa.

Zatrzymałam się, nie chcąc wspinać się po monumentalnych schodach, które prowadziły do kościoła. U ich stóp wykonuje się egzekucje skazanych kryminalistów – jak powiadają, z widokiem na niebo, do którego nigdy nie trafiają.

Ojciec, czy raczej jego cień, nie przymuszał mnie. Poszliśmy dalej, skrajem Celiusa z jego antycznymi ruinami, dążąc na południe, do Palatynu, gdzie zostali znalezieni bliźniacy Romulus i Remus i gdzie były początki Rzymu. Jak to się zdarza w snach, nagle znaleźliśmy się w innym miejscu, na szczycie Awentynu, na którym Remus, podczas auspicjów, czyli wróżb z zachowania ptaków, miał zobaczyć złowieszcze znaki na krótko przed tym, jak poniósł śmierć z ręki brata.

– Rzym wyrósł na krwi – usłyszałam słowa ojca. – Tu wszystko się zaczęło, ale ta skaza jest wieczna.

Na zachodzie widziałam rzekę, a jej wody lśniły czerwono w blasku zachodzącego słońca. Myślę, że wtedy krzyknęłam, ale nie mogę być pewna. Chciałam się obudzić, ale jakiś dziwny ciężar ciągnął mnie w dół, zakotwicząc w snach.

– Nie bój się, Francesco – mówił ojciec, a ja odwróciłam się gwałtownie, widząc przed sobą nie ducha, a człowieka.

Wyglądał bardzo realistycznie, jak z krwi i kości, ubrany w codzienne pończochy i kaftan, dokładnie tak, jak widziałam go w ostatni ranek jego życia, kiedy wyszedł przez drzwi już na zawsze.

– Wybacz mi – powiedziałam, ale wątpię, że mnie usłyszał.

Świat, w którym wciąż był żywy, już się rozmywał. Wróciłam do tego świata, który stworzyłam, idąc ścieżką, której nigdy dla mnie nie chciał, bo wiedział, że mogła prowadzić jedynie w ciemność.

Musiałam w nocy przebudzić się na tyle, żeby zdjąć ubranie, ale nie pamiętałam, żebym to robiła. Spałam niespokojnie, jak w gorączce, w której widziałam chłopców ze szkoły cantoretti wyciągających do mnie pokryte bliznami ramiona, jakby ukazywali stygmaty. Zaraz potem przemienili się w obraz Nando trzymającego szklany krzyż, który rozpadł się, gdy mi go podawał, zostawiając na jego rękach krwawe ślady.

Obudziłam się, trzęsąc się z zimna, chociaż dzień już zapowiadał się ciepły. Zbudziło mnie mocne walenie w drzwi i głos Vittorio wołający moje imię.

Pokój śmierdział wymiocinami i strachem. Wysokie okna z widokiem na rzekę były otwarte, wpuszczając unoszący białe zasłony wietrzyk, który jednak nie wystarczył, żeby rozwiać przytłaczający odór. Młoda pobladała pokojówka machająca kadzielnicą z żarzącym się drzewem sandałowym też nie odniosła większego sukcesu.

Tłoczyło się tu zbyt wiele osób, z których większość nie mogła się do niczego przydać. Ale tak zawsze bywa w podobnych przypadkach.

Lukrecja przechyliła się przez łóżko, próbując zepchnąć z niego maltańczyki, które piszcząc, kulily się pośród rozkopanych prześcieradeł. Odskoczyła gwałtownie, gdy La Bella uniosła się, żeby znowu zwymiotować w miskę trzymaną przez kolejną nieszczęsną pokojówkę, a potem z jękiem opadła na mokre od potu poduszki.

Wokół kręciły się akuszerki, chociaż dla nich nie było tu już nic do zrobienia. Odziani na czarno medycy, którzy jak cała ich brać niechętnie zjawiali się na podobne wezwania, rzucali ukradkowe spojrzenia na drzwi, chcąc jak najszybciej uciec.

Patrzyłam na dowody mojej katastroficznej porażki i gorączkowo starałam się wymyślić, jak wyrzeć to życie ze szponów śmierci.

Twarz La Belli była blada, oczy głęboko zapadnięte, oddech płytki, a puls słaby. Była przytomna, ale nie w pełni zdawała sobie sprawę z tego, co się wokół niej działo. Mogłabym przypisać jej stan różnym możliwym przyczynom, gdyby nie to, że jej członki i tors pokryte były dowodami w postaci czerwonych plam.

Nie mógł ich spowodować żaden naturalny czynnik. Podejrzywałam antymon. Albo to, albo arsenik, bo objawy po ich zażyciu są podobne. Ale żadnego z nich nie można było winić za szybkość poronienia, które zabrało jej dziecko. W tym przypadku myślałam o wrotyczu, potężnym środku poronnym, gdy zastosuje się go w odpowiedni sposób i w odpowiedniej dawce.

Wkrótce po przybyciu podałam jej roztwór emetyny, przytomnie zabierając go ze sobą, gdy dowiedziałam się od Vittorio, co przytrafiło się kochance Borgii. Może to i dziwne, żeby używać leku, który wywołuje wymioty w przypadku kogoś, kto już na nie cierpi, ale instynkt podpowiadał mi, że trzeba jak najszybciej opróżnić żołądek. Następstwa tego mogły wydawać się okrutne, ale miałam nadzieję, że działanie będzie wystarczająco dobre.

Medycy cmokali i potrząsali głowami na moje poczynania, ale żaden nic nie powiedział. Byli tam, bo nie śmieli przeciwstawić się Madonnie Adrianie, która ich wezwała i która stała pod ścianą z dłońmi w rękawach sukni, jakby obawiała się zarażenia. Medycy przyszli – i niewątpliwie przedstawiają za to swoje rachunki – ale żaden z nich nawet nie zamierzał powiedzieć, czy zrobić czegokolwiek, co mogłoby skierować w ich stronę palec odpowiedzialności, gdy nadejdzie śmierć, która jak wszyscy zdawali się myśleć, była nieunikniona.

Ze mną było inaczej. W obliczu takiej katastrofy nie miałam już nic do stracenia.

– Musimy podeprzeć ją jak najwyżej – powiedziałam do Lukrecji, która, jak czułam, była moim jedynym sprzymierzeńcem w tym pokoju, a prawdopodobnie również jedynym sprzymierzeńcem samej La Belli. – Jeżeli będzie leżeć zbyt płasko, będzie miała problemy z oddychaniem.

Ale to był najmniejszy problem. Czy zwymiotowała wystarczająco dużo, żeby wydalić jak największą ilość trucizny? Czy powinnam podać jej więcej emetyny, czy może przestać ją podawać i spróbować ją napoić, zanim brak płynów stanie się kolejnym zagrożeniem dla życia? Czy akuszerki naprawdę powstrzymały krwawienie, czy może umrzeć od niego, zanim zabije ją trucizna?

Po prawdzie moja wiedza o tym, jak radzić sobie ze skutkami otrucia, była żałośnie niedoścześnie. Wiedziałam, jak zapobiec podłożeniu trucizny, a przynajmniej tak sobie wmawiałam w mojej próżności, i wiedziałam, jak je stosować. Oprócz tego byłam trochę lepiej wyposażona niż medycy, żeby próbować uratować ofiarę sztuki trucicielskiej.

Dziecko La Belli – i Kardynała – zapłaciło za mój błąd życiem. Jedyne, co pozostało, to do-

pilnować, aby osiemnastoletnia niewiasta, zwijająca się przede mną w agonii, przetrwała.

Wrotycz już zrobił to, co miał zrobić. Opuści jej ciało, a jeżeli przeżyje, będzie miała szansę wyleczyć się z efektów jego działania. Antymon – albo arszenik, a może i oba razem – to zupełnie inna sprawa. Wszystko zależało od tego, jak dużo ich przyjęła, ale nie miałam wtedy czasu, żeby próbować to ustalić.

– Musi pić – powiedziałam, decydując się nie czekać dłużej.

Przy odrobinie szczęścia płyny wypłuczą jej ciało i będzie mogła wydalic pozostałości truci-
zny, zanim jeszcze bardziej jej zaszkodzi.

Z pomocą Lukrecji przyłożyłam kielich do ust La Belli i wlałam w nie trochę herbatki z ru-
mianku i mięty. Większość wypłynęła na zewnątrz, ale połknęła wystarczająco dużo, żeby wzbu-
dzić moje nadzieje na to, że mieliśmy szansę. Serce mi prawie stanęło, gdy znowu szarpnął nią od-
ruch wymiotny, ale pomimo kilku skurczów, nic już nie wydalila.

Przez resztę dnia walczyłyśmy z Lukrecją ręką w rękę. Zachęcałyśmy i przymuszałyśmy La
Bellę do picia, uprzętałyśmy tego skutki, utrzymywałyśmy ją w cieple, kiedy trzęsły nią okrutne
drgawki i obmywałyśmy ją chłodną wodą, gdy była w gorączce. Nikt inny nie spieszył się, żeby jej
dotykać, w obawie, że i jego dotknie jej przypadłość. Pokojówki przynosiły ciągle nowe przeście-
radła, medycy czekali cierpliwie, aż moje wysiłki spełzną na niczym, a Madonna Adriana wciąż
tkwiła na swoim miejscu, obserwując nas w milczeniu.

Gdzieś w pobliżu słyszałam modlitwy, wiedziałam też, że Vittorio stał na posterunku, ale
niewiele więcej naruszało walkę skoncentrowaną na ratowaniu życia Giulii. Bo gdy mijały godziny,
stawała się dla mnie Giulią – nie była już wspaniałą La Bellą, o której opowiadano historie i dla
której pisano pieśni, a młodą kobietą, która nie ze swojej winy znalazła się w tej sytuacji i która
próbowała radzić sobie z tym najlepiej, jak mogła. Kobietą, która polegała na mnie, wierząc, że
sprawię, iż będzie bezpieczna.

Do zapadnięcia nocy wiedziałam już, że wygrałyśmy, a przynajmniej na tyle, ile było
możliwe w tych okolicznościach. Giulia zasnęła głęboko, jej oddech był regularny, puls się popra-
wił i kolory wracały na twarz. Podziękowałam Bogu za jej młodość i siłę, które – jak byłam pewna
– ocaliły ją w nie mniejszym stopniu niż moje działania. Lukrecja natomiast była blada i wyczerpa-
na. Miała ciemne cienie pod oczami, a jej usta krwawiły w miejscach, gdzie przygryzała je w niepo-
koju. Podejrzywałam, że ja wyglądam jeszcze gorzej. A na pewno czułam się tak, jakby mnie pobi-
to; każda kość i mięsień w moim ciele były obolałe.

Jednak nie było czasu, aby o tym myśleć. Podniosłam się z łóżka, rzuciłam ostatnie spojrze-
nie na Giulie, żeby upewnić się, że nie myliłam się, wierząc, iż najgorsze ma już za sobą, i po-
deszłam do Madonny Adriany.

Wciąż była w tym samym miejscu, ale już nie stała. Skuliła się w wygodnym krześle, skąd
mogła obserwować nasze poczynania z bezpiecznej odległości.

Nie traciłam czasu na uprzejmości, przeszłam od razu do ataku.

– Co pani wiadomo o tym, jak do tego doszło?

Powinniście zrozumieć, nie chciałam w ten sposób uchylać się od własnej odpowiedzial-
ności. Ale choć byłam młoda, wiedziałam, że najlepszych odpowiedzi można oczekiwać wtedy, gdy
bierze się kogoś z zaskoczenia. Bo czegokolwiek się po mnie spodziewała – może pełnej łez skru-
chy czy błagania ją o protekcję przed gniewem Kardynała – na pewno nie było to takie pytanie.

– O co ci chodzi? – nastroszyła się.

– Zbadałam wszystko, co trafiło do tego domu, każdy kawałek jedzenia, każdy skrawek tka-
niny, każdą kroplę napoju. Wszystko zostało przeze mnie opieczętowane, jak to robił przede mną
mój ojciec. – Pomyślałam, że warto jej przypomnieć o długiej historii służby mojej rodziny u Bor-
giów.

– Coś musiało przejść poza moją kontrolą – kontynuowałam, przyznając to, co oczywiste,
zanim ona mogłaby to wytknąć. – Muszę się dowiedzieć, co to było i jak do tego doszło. Ty pani je-
steś tu Domina. Muszę cię prosić o pomoc. – Z pełną premedytacją użyłam tytułu, który uznawał ją
za żeńską głowę domu, bo niosło to za sobą prawa, ale i wielką odpowiedzialność.

Przez jej oczy przemknął cień, wzdrygnęła się lekko. Zaskoczyło mnie to. Przyglądałam się

jej uważnie, starając się odkryć, co mogło wywołać taką reakcję. Szybko zrodziło się we mnie przekonanie, że Madonna Adriana nie była w tej sprawie całkiem niewinna. Nie to, żeby otruła Giulię, tego nie sugeruję. Ale wiedziała, a przynajmniej miała konkretne podejrzenie, jak do tego doszło.

– Proszę mi powiedzieć – zażądałam.

Czułam, że była zdenerwowana, a może nawet się bała, ale wciąż była Madonną Adrianą i nie miała zamiaru pozwolić na to, żeby rozkazywali jej tacy jak ja.

– Jak śmiesz... – zaczęła, ale ja nie myślałam się jeszcze poddawać.

Straciliśmy już cenne godziny – poświęcone, co prawda, na walkę o ocalenie życia Giulii, ale nie mniej jednak stracone. Morozzi był gdzieś tam, polując na ofiarę z dziecka, a może już nawet ją miał. Musiałam działać szybko.

– Będę robić wszystko, co potrzeba, żeby dowiedzieć się, co tu się stało – powiedziałam jej.

– Będę szukała tam, gdzie muszę i pytała, kogo będę musiała. – Spojrzałam na nią wyzywająco.

Twarcz jej poczerwieniała, ale trzeba przyznać, że powstrzymała swój temperament.

Wzięłam to za znak tego, iż boi się tak bardzo, że musi się kontrolować nawet przy mnie.

Jednak wciąż nic nie mówiła, chociaż widziałam, jak porusza ustami, jakby słowa starały się same wydostać na zewnątrz.

Zostawiła to Lukrecji, która trwała przy łóżku pilnując La Belli, ale obserwowała scenę, jaka się przed nią rozgrywała. Powiedziała:

– Figi...

Prawie ją zignorowałam. To prawda, że świeże owoce mogą być śmiertelne, bo czasem powodują gwałtowne biegunki, które pozbawiają ciało niezbędnych do życia składników. Mycie, a jeszcze lepiej obieranie ich przed zjedzeniem, wydaje się skutecznym środkiem zapobiegawczym. Jednak wprowadzenie trucizny do świeżych owoców jest w zasadzie niemożliwe. Każda próba zmieniałaby ich wygląd i zostawiła gorzkawy posmak, co niewątpliwie natychmiast wywołałoby podejrzenia. Poza tym sama zjadałam wszystkie owoce w domu i nawet je opieczetowałam.

Tak pomyślałam, spekulując, że słowa Lukrecji były tylko majaczeniem młodego umysłu, usilnie starającego się przyjść z pomocą.

Ale zastanowił mnie wygląd Madonny Adriany.

– Jakie figi? – zapytałam.

Lukrecja czekała, aż starsza kobieta odpowie. I zrobiła to, ale nie od razu. Najpierw machnęła ręką w kierunku drzwi.

– Wyjść stąd, wszyscy!

Służba, akuszerki i medycy rzucili się do wyjścia. W drzwiach zrobił się tłok, bo starali się jednocześnie je sforsować, ale w końcu medykom – oczywiście jako mężczyznom – udało się przechnąć przed wszystkich, z wyjątkiem krzepkich akuserek, a reszta wylała się za nimi nierównym strumieniem, zanim w końcu ostatniej, najmniejszej pokojówce również udało się uciec.

– Zamknij drzwi! – zażądała Madonna Adriana.

Zrobiłam to i odwróciłam się do niej. Wstała z krzesła i chodziła wzdłuż okien. Powietrze trochę się ochłodziło, a białe zasłony unosiły się u brzegów jej sukni, jakby spacerowała w chmurach.

Odrząciła je kopnięciem, spojrzała na mnie i powiedziała:

– Mój pasierb nie zrobił nic złego.

Mąż Giulii, przystrojony rogami, dzięki požądaniu, jakie żywił Kardynał do jego młodej żony. Orsino Orsini był potomkiem jednego z najbardziej potężnych rodów w całej Italii, ale równocześnie szczególnie brakowało mu wartości oczekiwanych od człowieka o jego pozycji. Czyżby taka miernota odważyła się w końcu podnieść rękę, aby pomścić zniewagę, którą mu uczyniono?

– Nie ma z tym nic wspólnego – upierała się Adriana. – Z pewnością nikt nie może go obarczyć winą za to, że troszczy się o Giulię.

– Wciąż się o nią troszczy? – Podejrzewałam już, jaka będzie odpowiedź, ale chciałam usłyszeć to z ust Adriany. – Kontaktują się?

– Piszą listy – powiedziała, ale zaraz przygryzła wargi i dodała bardzo niechętnie. – On do

niej pisze krótkie, słodziutkie listy, w których pyta ją o zdrowie i opowiada o tym, co robi na wsi.

– Czy ona na nie odpowiada?

– Oczywiście, że tak. Nie chce zranić go bardziej, jeżeli może temu zapobiec. Wysyła wiadomości przez posłańca. To wszystko jest bardzo niewinne.

– Więc Borgia o tym wie?

– Nie, nie wie – odparła Adriana, nie kryjąc pogardy dla pytania, które musiała uznać za bardzo głupie. – Dlaczego miałybyśmy martwić Il Cardinale taką błahą sprawą?

Kochanka Kardynała i jej mąż wymieniali w sekrecie listy pod nosem kuzynki, której ufał, żeby pilnowała i Giulii, i jego córki. I naprawdę żadnej z nich nie przyszło do głowy, że chciałby o tym wiedzieć?

Pokręciłam głową na taką głupotę, ale drążyłam dalej, aby wydrzeć z niej tak wiele, jak się dało.

– Co jeszcze przesyłał oprócz listów?

Zacisnęła usta i unikała mojego wzroku.

– Na Boga, nie ma na to czasu! Proszę mi powiedzieć albo przysięgam, że pójdę prosto do Kardynała i wskażę panią jako odpowiedzialną za wszystko, co się stało.

– Jak śmiesz... – zaczęła znowu, tym razem z taką furją, że myślałam, iż mnie uderzy.

Zanim mogła to zrobić, Lukrecja odskoczyła od łóżka i stanęła pomiędzy nami.

– Przestań! – krzyknęła. – Dzieciątko nie żyje, na litość boską, a Giulia też prawie umarła. Francesca próbuje tylko pomóc. Musimy jej wszystko powiedzieć.

Adriana spojrzała w bok, odmawiając wypowiedzi, ale nie zabroniła tego zrobić Lukrecji.

Z cichą powagą córka Borgii opowiedziała mi to, co musiałam wiedzieć. Kiedy skończyła, zrozumiałam, w jaki sposób trucizna dostała się do *il harem* i wykonała swoje straszne zadanie.

Wiedziałam też, że stanęłam twarzą w twarz z wrogiem, który był jeszcze bardziej zdeterminowany i pomysłowy, niż miałam odwagę wierzyć.

Listy? – Powtórzył powoli Borgia. – Pisali do siebie listy?

Wrócił z Kurii do palazzo i poszedł prosto do biura. Nie czekając, aż zostanie wezwana, też tam podażyłam. Pomimo późnej godziny – było już po jutrzni – jego sekretarze pospieszyli w ślad za nim. Próbowali mnie zatrzymać, ale usłyszał mój głos w przedpokoju i zawołał do nich, żeby pozwolili mi wejść.

W biurze paliło się tylko kilka lamp. Ich cienie załamywały się na ścianach, ale większość pokoju kryła się w ciemności. Prawie pożałowałam, że wdarłam się tutaj.

Kardynał, wciąż ubrany w swoje duchowne szaty, wyglądał jak stary, przygarbiony człowiek, zmęczony na ciele i duszy. Ale kiedy tylko zaczęłam mówić, wróciło trochę jego zwykłej energii. Wyprosił gestem sekretarzy, zrzucił swoje ciężkie szaty i usiadł za biurkiem, żeby usłyszeć, co mam do powiedzenia.

Spadł na mnie smutny obowiązek poinformowania go, że straciliśmy dziecko, ale przynajmniej mogłam również powiedzieć, że Giulia wyzdrowieje.

Gdy to robiłam, wytłumaczyłam mu, co zaszło. Nie próbowałam oczyszczać siebie z winy, ale miałam nadzieję odwrócić jego gniew od młodej kobiety, która i tak już wiele wycierpiała za swoje złe pojęte działania.

– Mam wrażenie – powiedziałam ostrożnie – że te listy były tylko przyjacielskie i że odpowiedzi La Belli stanowiły jedynie przejaw uprzejmości.

Widziałam listy Orsiniego do Giulii i sądziłam, że były żenujące i przygnębiające. Martwił się w nich o jej zdrowie, zdradzał nadzieję, że wkrótce znów będą razem, i opowiadał o polowaniach, co wydawało się być jedyną aktywnością, jakiej oddawał się na wsi, i o tym, jaki był samotny. To pisał człowiek, który miał wszelkie środki ku temu, aby robić w życiu dużo więcej, niż większość z nas mogła nawet marzyć.

Jej odpowiedzi nie widziałam, bo nie zachowała kopii. Ale obejrzałam drobne podarunki, jakie jej przysyłał – zwój haftowanej tkaniny, jeszcze nieużytej, księgę z wierszami, która wyglądała, jakby nikt jej nie otwierał, a ostatnio przysłał, pudełko fig konserwowanych w miodzie, szczególnie przez nią ulubionych.

Trucizna była w figach. Gdy tylko wróciłam do swoich komnat, ostrożnie, w rękawiczkach, zbadałam owoce. Na stole do pracy, pod najbardziej jasnym światłem, jakie udało się uzyskać ze świec i lamp oliwnych, za pomocą soczewek, które zamówił ojciec, a które mają efekt powiększania wszystkiego, co się przez nie ogląda, delikatnie wyjęłam kilka fig i je otworzyłam. W owocach błyskały drobnutkie białe płatki, tak dobrze zmieszane z pestkami, że widoczne tylko dla wprawnych oczu. Patrząc bardzo uważnie, natrafiłam także na ślady drobno zmielonego brązowego proszku, którym, jak podejrzewałam, był wrotycz.

Oprócz miodu figi były również doprawione szafranem, cynamonem i siekanymi migdałami. To bardzo smaczna kombinacja, którą sama delectowałam się od czasu do czasu. Taka mieszanka aromatów wystarczyłaby, aby zamaskować smak trucizny. Sądząc po pustych miejscach w pudełku, Giulia zjadła trzy figi. Jeżeli byłoby ich więcej, wątpię, czy udałoby się jej przeżyć.

– A wysyłał podarki? – zapytał Borgia.

– Niewielkie, nie klejnoty czy inne ekstrawagancje.

Nie pytajcie, dlaczego próbowałam oszczędzić jego uczucia, ale nie robiłam tego tylko po to, żeby uniknąć gniewu Il Cardinale. Naprawdę w tamtej chwili było mi go żal. Wyraz głębokiej melancholii i sposób, w jaki drżały mu ręce, gdy nalewał nam wina, mówiły mi, że w przypadku Giulii troszczy się o coś więcej niż tylko zmysłowe przyjemności, jakie dawało mu jej młode ciało. Odkrycie, że mógł mieć rywala w osobie jej męża, który miał moralne i prawne roszczenia do niej, musiało bardzo go zaniepokoić.

– A mimo to – powiedział Borgia – nie wierzysz, że to Orsini odpowiada za wszystko?

Tu właśnie był pies pogrzebany. Kardynał polegał na wsparciu Orsinich w walce o pontyfikat. Jeżeli mieliby go zdradzić, musiał o tym wiedzieć jak najszybciej. Tak samo, jeśli jeden z nich się wyłamał i działał z własnych powodów, Borgia musiał mieć tego świadomość.

Ale ja byłam przekonana, że chodzi o coś innego.

– To próba wbicia klina pomiędzy pana a Orsinich – powiedziałam z przekonaniem.

Była to również próba wbicia klina między Borgia a mnie, ale nie byłam jeszcze gotowa, żeby poruszyć tę kwestię. W zasadzie miałam nawet nadzieję na to, że Kardynał sam dojdzie do takiego wniosku.

– Orsini wysyłał listy do Giulii przynajmniej raz w tygodniu – powiedziałam. – Zawsze były dostarczane przez posłańca noszącego jego liberię. Każdy, kto obserwował palazzo, mógł to zauważyć. List, który nadszedł wraz z figami, wydaje się być oryginalny, ale nie ma w nim wzmianki o podarku. Jak sądzę, zatrute owoce zostały do niego dołączone przez człowieka, który zajął miejsce posłańca.

– A to mógł być... – zastanowił się Borgia.

– Pokojówka, która odebrała przesyłkę od posłańca, jest bardzo młoda i przerażona tym, co się stało. Zajął trochę czasu, żeby ją uspokoić na tyle, żeby powiedziała nam to, co zapamiętała.

W rzeczywistości zabrało to prawie godzinę i sporo brandy, zanim przestała szlochać na tyle, żeby udzielić sensownych odpowiedzi na moje pytania.

– Opisała wysokiego mężczyznę z jasnymi włosami, który, jak twierdzi, był bardzo przystojny.

Borgia gwałtownie wyprostował się w krześle. Powieki miał opuszczone, ale dostrzegłam błysk w jego oczach. Wieczór był ciepły, jednak przeszedł mnie zimny dreszcz.

– Morozzi – powiedział, i nie było to pytanie, a stwierdzenie nieuniknionego faktu.

Przytaknęłam.

– Na to wygląda. Myślę, że gdybyśmy przeszukali drogę między pałacem Orsinich a ich większą rezydencją, znaleźlibyśmy ciało prawdziwego posłańca.

Nie sugerowałam, żeby naprawdę to robić, bo to była zbyt duża przestrzeń, żeby udało nam się wyciągnąć z tego jakieś korzyści. Ale Borgia zrozumiał, o co mi chodzi, i skinął głową.

– Żeby to zrobić – powiedział – musiał wcześniej przygotować plan.

– Na pewno, ale pański związek z La Bellą nie jest właściwie tajemnicą, podobnie jak jej ciąża. Morozziemu nie było trudno znaleźć pańskiego czułego punktu.

Przecież właśnie z powodu tej słabości wysłał mnie do jej domu. Czekałam, aż o tym wspomni.

– Nie masz żadnych wątpliwości, że trucizna była w figach?

Zapewniłam go, że nie, i dodałam:

– Nikt inny ich nie jadł i nikt inny nie zachorował.

Przez parę minut patrzył przed siebie, a później powiedział cicho:

– Lukrecja lubi figi.

Wiedziałałam, o czym myślał. Tym jednym atakiem Morozzi mógł zabić obie kobiety Borgii i jego córkę. A przy tym obciążyć winą członka rodu, którego poparcia Borgia potrzebował w celu zdobycia papieżstwa. Naprawdę ta intryga była idealna.

– Nie doceniliśmy go – powiedział cicho Kardynał. Uniósł wzrok i spojrzał na mnie. – Jak to się stało, że o tym nie wiedziałas?

I przyszło pytanie, którego się obawiałam. Pomimo wszelkich wysiłków, żeby ustrzec przed niebezpieczeństwem tych, o których troszczył się Borgia, jak mogłam nie dowiedzieć się, że Giulia dostawała od męża podarunki? Jak zdołały ujść mojej uwadze?

– O ile rozumiem – powiedziałam ostrożnie – La Bella nie chciała niepokoić cię, panie, wiedząc, że jej mąż się z nią kontaktował.

– Chciała utrzymać to w tajemnicy?

Borgia sam był człowiekiem pełnym sekretów ujawniał swoich zamiarów w takim stopniu, jak nie widziałam tego u nikogo innego. Ale dla wszystkich, poza nim, reguły były inne. Utrzymywanie czegoś w tajemnicy przed sobą odbierał jako zdradę i stosownie do tego reagował.

– Na to wygląda – powiedziałam. – Wie, że ród Orsinich jest ci lojalny, i jestem pewna, że nigdy nie pomyślała, że w jego małych podarkach może się kryć jakieś zagrożenie.

– Więc jest głupia.

No tak, to prawda, chociaż usłyszeć to z jego ust, powiedziane tak wprost, było szokiem.

Rzekłam ostrożnie:

– Drogo zapłaciła za swoją głupotę.

Borgia westchnął i napił się wina. Odstawił kielich, zanim znowu przemówił.

– To dziecko... czy wiesz... czy to był chłopiec?

Mężczyźni zawsze chcą synów, a przynajmniej tak się mówi, i cenią ich znacznie bardziej niż córki. Ale Borgia miał dwóch synów, a pewnie trzech, jeśli wierzyć ich matce, jak również starszych chłopców z kochanką, z którą żył w młodych latach. Miał jednak tylko jedną córkę.

– To była dziewczynka – powiedziałam łagodnie.

Odwrócił wzrok, jednak zanim to zrobił, zobaczyłam w jego oczach łzy.

Dałam mu trochę czasu i wróciłam do bieżących spraw.

– Morozzi musi być przekonany, że będziesz panie winił jej męża. Będzie oczekiwał, że zechcesz się zemścić, a tym samym stracisz poparcie Orsinich.

Wyraz twarzy Borgii był nieprzenikniony.

– Będzie również oczekiwał, że uderzę w ciebie.

W głowie pojawiła mi się od razu wizja komnaty tortur w podziemiach pałacu. Z całych sił starałam się ją wymazać.

– Zgadzam się – powiedziałam ze spokojem, który mnie samą zaskoczył. Po tym wszystkim, co się dotychczas wydarzyło, byłam niemal odrętwiała. – Podejrzewam nawet, że na to liczy – kontynuowałam. – Konklawe zaczyna się za dwa dni... – Ten fakt napawał mnie wielkim niepokojem, bo do tej pory nie miałam wiele czasu, żeby zaplanować, w jaki sposób zadbać o bezpieczeństwo Borgii w kaplicy.

– Cztery dni – poprawił mnie. – Kuria otrzymała wiadomość od biskupa Wenecji. Jest w drodze do Rzymu i błagał, żebyśmy opóźnili zgromadzenie, dopóki nie przybędzie. Mając na uwadze jego wiek i wielki szacunek, którym się cieszy, musieliśmy wyrazić na to zgodę.

Próbowałam przypomnieć sobie, co wiem o biskupie, człowieku na tyle starym, że wspomnieniu jego nazwiska towarzyszyło zwykle zdumienie, że wciąż jeszcze żyje. Jeżeli pamięć dobrze mi służyła, dawno przekroczył osiemdziesiąt lat. Czekał na czerwony biret kardynalski dłużej niż jakikolwiek inny książę Kościoła, a doczekał się go wreszcie w ostatnich dniach życia Innocentego. To, że Maffeo Gherardo w ogóle chciał w swoim wieku podróżować do Rzymu, już było niespodzianką. Jednak mnie bardziej zaskoczyło to, że spodziewał się dotrzeć tu w dobrym stanie, choć nieco spóźniony. Ale oczywiście cieszyłam się z każdego opóźnienia. Zakładając, że dożyje czasu, gdy będę je mogła wykorzystać.

– Jeżeli Morozziememu uda się wyeliminować mnie z pańskiej służby – jakże delikatnie udało mi się przedstawić ewentualne uwięzienie i prawdopodobną śmierć – zdecydowanie zbliży się do osiągnięcia swojego celu.

– Wierzysz więc, że możesz go powstrzymać?

Czy w to wierzyłam? Na razie szalony ksiądz mnie wyprzedzał. Uciekłam mu w *castel* jedynie dzięki pomocy Vittorio i zwykłemu szczęściu. Wierzyłam, że rozpracowałam plany jego i Torquemady, ale jeżeli się myliłam? Jeżeli przygotował inny scenariusz, żeby zapobiec wyborowi Borgii? Nie sposób było odkryć, co się działo w jego pokreconym umyśle. Jedyne, co mogłam wtedy zrobić, to skupić się na ostatecznym celu, na wyborze Borgii na papieża. Kiedy to, z woli Boga, nastąpi, przyjdzie czas na wyrównanie innych rachunków z Morozzim, do których mogłam teraz doliczyć śmierć dziecka Giulii.

– Muszę spróbować – powiedziałam. – Dla dobra nas wszystkich, musi mi pan na to pozwolić.

Mówienie Borgii, co musi zrobić, nie było prawdopodobnie najmądrzejszym pomysłem, ale nie byłam wtedy w stanie zdobyć się na większą delikatność. Czekałam... aż wybuchnie gniewem, wezwie strażę, zrobi, co tylko będzie chciał.

Przez jakiś czas nic nie mówił, siedział tylko w swoim krześle zagubiony w myślach. Naprawdę nie widziałam go wcześniej tak zmęczonego i tak przygnębionego. Zaczynałam już się zastanawiać, czy w ogóle zamierza mi odpowiedzieć, gdy z cienia przy drzwiach usłyszałam dobrze mi znany głos.

– Ona ma rację, wiesz? – powiedział Cesare, wchodząc w krąg światła.

Najstarszy syn Borgii, ten, którego przeznaczył dla Kościoła, był odziany jak na bitwę. Hełm trzymał w dłoni, ale wciąż miał na sobie napierśnik z kutej stali. Przypięty do pasa miecz nie był zdobiony ornamentami, tylko służył do zabijania. Pod zbroję włożył surową czerń – koszulę, kubrak, pończochy; dogodne ubranie, żeby nie utrudniać walki. Gdyby tylko chciał, mógł ubierać się tak samo ekstrawagancko, jak każdy księżę czy biskup. Ale przez cały czas, gdy go znałam, preferował strój wojownika, na którego się urodził.

Borgia wydawał się oczekiwać syna. Wskazał mu gestem krzesło obok mojego, napełnił kolejny kielich i pchnął w jego stronę.

Cesare napił się, otarł usta i powiedział:

– Dostałem twoją wiadomość. Trzystu zbrojnych przybyło ze mną ze Sienny, a mogę zebrać jeszcze dwustu. Pięćdziesięciu jest tutaj, w pałacu. Pozostałych wysłałem w miasto, żeby szukali tego szalonego księdza. Są o nim jakieś wieści?

Takie przygotowania do wojny wcale mnie nie zdziwiły; w zasadzie nawet sprawiły mi ulgę. Chociaż bałam się tego, co miało nadejść.

– Jeszcze nie – powiedział Borgia. – Ale stało się coś innego.

Cichym głosem zrelacjonowałam wydarzenia ostatnich kilku godzin. Siedziałam sztywno, czekając na oskarżenie, które – jak byłam pewna – Cesare skieruje w moją stronę, ale choć kilka razy zerknął na mnie, nie przemówił, dopóki ojciec nie skończył.

– Przykro mi z powodu dziecka. – Wyrzyski swój żal, przeszedł do porządku nad moim oczywistym niedociągnięciem i mówił dalej: – Morozzi będzie wiedział, że go ścigamy. Gdzie może szukać schronienia?

– U Torquemady – rzucił Borgia tak szybko, jakby nie miał co do tego wątpliwości.

Usunięcie dwóch wrogów jednym cięciem byłoby obiecującym początkiem wspaniałego pontyfikatu, którego tak oczekiwał.

Zatrzymam się tutaj, żeby powiedzieć słowo o Wielkim Inkwizytorze. Niewątpliwie słyszeliście plotki, że sam Torquemada był potomkiem *conversi*. Jego stronnicy – nie ludźcie się, wciąż ich ma – zaprzeczają temu, ale ci, którzy mają wystarczającą pozycję, żeby wiedzieć, upierają się przy twierdzeniu, że ma w sobie żydowską krew. Przytaczają dokumenty, że jego babka była *converso* i przyszła na świat w żydowskiej rodzinie w Kastylii.

Możemy rozwodzić się tu o potwornych naciskach, z którymi musieli mierzyć się *conversi*, zwłaszcza po powstaniu, jakie wybuchło przeciw nim w Hiszpanii, kilkadziesiąt lat temu, mniej więcej w tym czasie, gdy Torquemada przyszedł na świat, ale nie chciałabym aż tak się w to zagłębiać. Wystarczy powiedzieć, że byłam przekonana, iż Wielki Inkwizytor był człowiekiem dogłębnie zaburzonym, który usiłował chronić siebie – w obecnym życiu i w przyszłym – przerzucając własną winę i strach na tych, których powierzał łatwo płomieniom.

Żeby wrócić do obecnych okoliczności, powiedziałam, zmagając się z uciskiem w gardle zrodzonym jednocześnie z ulgi i żalu:

– Wielki Inkwizytor może udzielić Morozzemu schronienia, ale mamy wśród dominikanów przyjaciela. Jeżeli Morozzi pójdzie do Torquemady, będziemy o tym wiedzieć.

Cesare skinął głową.

– To dobrze, ale co z della Rovere? Czy Morozzi nie uda się raczej do niego?

Na wspomnienie swojego wielkiego rywala do Tronu Piotrowego Borgia się zastanowił.

– Nie wątpię... Ale podejrzewam, że chociaż łączą ich wspólne cele, Giuliano będzie ostrożny, aby nie nadwyreżyć swojej reputacji. Będzie się starał trzymać go na dystans, próbując jednocześnie wyrwać dla siebie jak najwięcej korzyści.

– Będzie miał presję, żeby znaleźć jakiegokolwiek – powiedział Cesare. – Żydzi wypełnili swoją obietnicę. Kwota, na którą się zgodziliście, jest na miejscu. Nie będziesz miał problemów,

a na pewno nie z pieniędzmi.

Mówiono później, że suma wypłacona Borgii przez Żydów nie była mniejsza niż czterysta tysięcy srebrnych dukatów; królewski okup, żeby zapewnić coś w rodzaju bezpieczeństwa dla wzgardzonego narodu. Trudno mi przysiąc, czy ta kwota jest zgodna z prawdą, ale na pewno była wystarczająco pokaźna, aby skłonić Borgia do wysłania Cesare, żeby dopilnował jej odbioru.

Mówiło się też, że Borgia trzymał pieniądze w Siennie, pod ochroną Spannocchi, a nie sprowadził ich bezpośrednio do Rzymu, ponieważ nie ufał Medyceuszom, którzy od dawna nadzorowali banki nie tylko w swojej rodzinnej Florencji, ale i w wiecznym mieście. Za to również nie mogę poręczyć, chociaż jeżeli taka jest prawda, było to z jego strony rozsądnym zabezpieczeniem, biorąc pod uwagę kłopoty, jakie mieli mu sprawiać w przyszłości. Nawet w owym czasie, po niedawnej śmierci wielkiego Lorenzo, byli najgroźniejszym ze szlacheckich rodów stojących w opozycji do nuworyszowskich Borgiów.

– Mamy Sforzę – powiedział Borgia. – Nie wyszło tanio, ale go mamy.

Cesare uniósł kielich w stronę ojca.

– Ile?

Gdy Borgia mu powiedział, niemal przestałam oddychać. Mediolański kardynał nie sprzedał się, a może raczej nie wstrzymał swoich własnych aspiracji dotyczących papieżstwa tanim kosztem.

Jako dodatek do pięćdziesięciu tysięcy srebrnych dukatów oraz beneficjów i oficjów, które miały przynosić mu przynajmniej dziesięciokrotnie większy dochód, włączając w to urząd wicekanclerza, Sforza miał zostać nowym właścicielem dumy i radości Borgii, jego palazzo. Nie było mowy o zaręczynach między Lukrecją a kuzynem Sforzy, Giovannim, lordem Pesaro i Gradary, ale nie znaczyło to, że nie są po słowie. Borgia raczej nie wspominałby o tym synowi, który, jak później dobitnie zademonstrował, nie aprobował nikogo, kogo miałaby poślubić Lukrecja.

Cesare cicho gwizdnął.

– Jeżeli to się rozejdzie, zaraz zlecą się sępy domagające się podobnych korzyści.

– Nie dostaną nic, a przynajmniej większość z nich – powiedział Borgia z przekonaniem. – Kiedy głosy będą się rozkładać na moją korzyść, przyjmą wszystko, co tylko uda im się wyszarpać.

Jeżeli głosy będą się rozkładać na jego korzyść, pomyślałam, ale nie miałam zamiaru tego podkreślać. Właściwie, idąc za przykładem Benjamina, próbowałam nie rzucać się w oczy.

Jak często ktoś spoza La Famiglii miał okazję słuchać mistrza intrygi i jego żrenicy w oku w trakcie pracy? Mogłam nauczyć się więcej o strategii i taktykach w ciągu godziny z *padre e figlio*²² Borgiami niż z długotrwałego studiowania w innym miejscu.

Dyskrecja wymagana od profesjonalisty powstrzymuje mnie przed opowiadaniem o specyfice tego, co usłyszałam tej nocy. Wystarczy powiedzieć, że Il Cardinale lepiej niż każdy inny człowiek rozumiał absolutną zachłanność i sprzedajność, która rządziła książętami Świętego Kościoła Rzymskiego. Znał ich wszystkich chyba lepiej, niż znali samych siebie.

Czego każdy najbardziej pragnął? Czego się bał? Czego pożywał w najskrytszych zakamarkach swojego serca?

Dziesięciolecia starannych, poświęconych temu wysiłków przygotowały go idealnie do chwili, gdy on, jeden pośród nich, zawładnie Tronem Świętego Piotra.

Jeżeli Bóg kocha bezwzględną ambicję i zimną inteligencję, musiał naprawdę kochać Rodrigo Borgia.

Po ponad godzinie, podczas której ojciec i syn wymieniali informacje i układali strategię wspomagani paroma butelkami wina, Cesare powiedział:

– Francesca już prawie zasypia.

– Nieprawda – zaprzeczyłam, ale język trochę mi się plątał, chyba zdrzemnęłam się na chwilę.

– Weź ją do łóżka – zasugerował Borgia, a Cesare wydawał się to rozważać.

Pochylił się, wziął mnie za rękę i uniósł ją do ust. Jego oddech był ciepły, wzrok zniwielający. Czas jakby zwolnił i przez chwilę byłam gotowa się poddać. Jeżeli życie dziecka i cała przyszłość chrześcijaństwa nie wisiałyby na włosku...

Wyszarpnęłam dłoń, powodując, że westchnął, co zabrzmiało jakby fala oblała się o brzeg.

Wszystkie zmysły miałam napięte do granic.

Powietrze przesycił zapach świec i wina, ale przez ułamek sekundy mogłabym przysiąc, że poczułam również zapach miedzi, a na języku miałam posmak krwi. To uczucie wybudziło mnie z letargu.

– Morozzi nie będzie odpoczywał – usłyszałam swój głos jak przez mgłę. – Musimy go znaleźć, zanim weźmie się do działania.

– Jeżeli aniołowie darzą nas miłością, będzie na pogrzebie – powiedział Borgia.

Przypomniałam sobie wtedy, że ceremonia pogrzebowa Innocentego była planowana na nadchodzący ranek. Mieli w niej uczestniczyć ci kardynałowie, którzy byli już obecni w Rzymie, razem z pomniejszych biskupami i wielmożami. Borgia miał grać pierwszoplanową rolę jako wicekanclerz Kurii. Ale nie żywiłam większych nadziei, że człowiek, którego mieliśmy powstrzymać, będzie na tyle głupi, żeby przybyć na tę uroczystość.

Gdzie więc mógł się udać? Na pewno nie do zamku, teraz, kiedy już nie było Innocentego, a wraz z nim jego opieki. Może do dominikanów? Albo do della Rovere, mimo iż nie wierzył w to Borgia. Gdzie mógł być Morozzi, że szpiedzy Il Cardinale jeszcze go nie znaleźli?

Rzym jest labiryntem ulic, starych i nowszych, z tumultem burzenia i budowania, całkowitym chaosem nawet w najbardziej spokojne dni. Jest też miastem odwiecznym, zamieszkiwanym w sławie i niesławie przez tysiące lat, obejmujących jego najlepsze czasy, a także najgorsze. Pod pałacem samego Borgii leżały pokłady ruin wcześniejszych zabudowań. Podobnie jak w całym mieście. Gdzie nie wbiło się miecza w ziemię, można było się nadziać na ukryty świat, który nazywamy przeszłością.

A przede wszystkim jest to miasto tajemnic, które trzeba ukrywać ze względu na rzymskie umiłowanie plotek. Większość miasta chowa się za otoczonymi murem ogrodami, w zamkniętych bramami alejkach, do których można dotrzeć, jedynie kierując się pasażami prowadzącymi przez niewinnie wyglądające budynki. Idealne miejsce dla kogoś, kto nie chce zostać znaleziony.

Jeżeli byłabym Morozzim, gdzie bym się ukryła?

Kiedy tylko ta myśl pojawiła się w mojej głowie, odepchnęłam ją. Nie byłam Morozzim, zdecydowanie nie. On był szalony, a ja...

Zapach krwi stawał się mocniejszy na tyle, że rozejrzałam się, niemal oczekując, że ktoś może krwawi gdzieś w pobliżu. Patrzyłam, ale widziałam tylko krajobraz swoich wspomnień.

Giulia wijąca się w agonii na łóżku... Chłopiec wyciągający do mnie okaleczone ręce... Człowiek w komnacie tortur wykrwawiający się pod moim cięciem... Hiszpan z czarną pianą na ustach... Ojciec leżący na ulicy bez życia, z rozłupaną czaszką.

– Francesca...

Byłam z powrotem za ścianą, patrzyłam na rzekę krwi i czułam, jak świat się obraca, zapadając się w nicość.

Zapach krwi się oddalał, poczułam teraz świece – dużo, dużo świec, o wiele więcej niż paliło się w pokoju, w którym wciąż siedziałam, ale nie miałam już tej świadomości. Zobaczyłam morze migoczących świateł, a z oddali doszły mnie głosy wyśpiewujące psalmy.

Kłęczałam, unosząc wzrok do kobiecej postaci, która patrzyła na mnie z góry zafrasowana.

– Na litość boską, Francesca!

W powietrzu zawisł nikły zapach kamfory i cytrusów. Odwróciłam głowę i zobaczyłam Morozziego, upadłego anioła, który mi się przyglądał.

– Signorina Giordano?

– Tak?

Cesare kłęczał obok z rękami na moich ramionach. Potrząsał mną mocno:

– Francesca, nic ci nie jest?

Mrugnęłam raz, dwa razy i zobaczyłam ich obu patrzących na mnie z wielkim niepokojem. Miałam wysuszone gardło. Ledwo mogłam mówić, a kiedy mi się to udało, mój głos był wysoki i skrzeczący.

– W porządku.

To nie była prawda. Koszmary nocne były wystarczająco potworne. Ale te wizje, myślę, że

tak mogę je nazwać, to zupełnie inna sprawa. Każdy od czasu do czasu miewa złe sny, niektórzy częściej niż inni. Ale zostać tak całkowicie wyrwanym z tego świata, z widokami, dźwiękami, nawet zapachami i smakami zupełnie innej rzeczywistości...

Rocco twierdził, że wierzy, iż Bóg ma dla mnie cel, którym jest usunięcie zła, jakim był Innocenty. Pragnęłam mu wierzyć, ale w głębi serca obawiałam się czegoś innego.

Pośród wszystkich dusz na tym świecie, dlaczego Wszechmogący sięgnąłby po tak niedoskonałą, jak moja? Moglibyście odpowiedzieć, że przecież jego syn wyciągnął rękę do Marii Magdaleny. Ale jedyne, co ona zrobiła, jeżeli wierzyć Kościołowi, to spała z mężczyznami, a ja jestem gotowa ich zabijać.

Z pewnością jestem dużo większym grzesznikiem.

– Nie – ocenił Borgia. – Za dużo na siebie wzięłaś. Powinienem być wiedzieć...

– Nie! – Wstałam tak szybko, że Cesare musiał zrobić to samo. Nagły ruch spowodował, że zakręciło mi się w głowie, ale zignorowałam to i ciągnęłam dalej: – Nie mówcie, że nie jestem władna zrobić tego, co muszę!

Poza wszystkim nie mogłabym znieść, gdyby powiedział, że coś jest ze mną nie tak. Że cierpię na jakąś bolączkę, którą można by wytłumaczyć okresy, gdy wydawałam się opuszczać swoje ciało i stawać się kimś innym, istotą wyczulonych zmysłów i postrzegania, którą pociąga krew, mimo uczucia obrzydzenia do niej.

Gdyby tak powiedział, wyartykułowałby moje najgłębsze i najgłębiej skrywane lęki, które narastały we mnie z każdym upływającym dniem. Że naprawdę byłam przeklęta, nie tylko z powodu swoich działań, ale dzięki ciemnej naturze mojej duszy, skazie, której nawet rozgrzeszenie Świętego Kościoła nie mogło nigdy wymazać.

Zanim strach na dobre mnie opanował, wzięłam głęboki oddech i zmusiłam się do tego, aby spokojnie odpowiedzieć.

– Nic złego się ze mną nie dzieje. Wszystko jest w najlepszym porządku. To, co nie jest w porządku, to siedzenie tu i rozmawianie, kiedy Morozzi gdzieś tam przygotowuje się do ataku.

– Mamy kilkuset ludzi, którzy przeczesują miasto – wytknął Cesare, całkiem rozsądnie. – Jako dodatek do armii szpiegów ojca. Co my moglibyśmy zrobić, czego oni nie robią?

– Nie wiem – przyznałam. – Ale dwie dodatkowe pary oczu i uszu mogą się przydać. – W przyptywie intuicji, a także dlatego, że nie mogłam nic innego wymyślić, dodałam: – Możemy zacząć w bazylice.

– Dlaczego tam? – zapytał Borgia.

No właśnie, dlaczego? W swojej wyobraźni spacerowałam po Rzymie, próbując odgadnąć, gdzie Morozzi mógł uderzyć, ale za każdym razem odnajdywałam się, klęcząc przed ołtarzem Świętej Katarzyny, jak tego dnia, gdy szalony ksiądz śledził mnie do Bazyliki Świętego Piotra. Ta święta kobieta otrzymała od naszego Pana widzenia Nieba, Piekła i Czyśćca. Moje wizje, jeżeli były wizjami, nie wydawały się tak błogosławione.

– Bo Torquemada twierdził, że święte dzieciątko z La Guardia zostało zabite na zboczu góry – przypomniałam mu. – Morozzi może chcieć odtworzyć tę zbrodnię. To prawda, że ma do wyboru wiele wzgórz, od Kapitolu do Palatynu i Awentynu. I to prawda, że wszystkie mają wielkie znaczenie dla przeciętnego rzymianina, ale Watykan też został zbudowany na wzgórzu, a Morozzi jest księdzem. Dla niego nie może istnieć miejsce o wyższej wadze niż skała Świętego Piotra.

Cesare był raczej sceptyczny.

– Ja bym wolał wyrwać Torquemadę z łóżka i zobaczyć, co możemy z niego wycisnąć strachem.

– Zachęcająca myśl – powiedział Borgia, ale nie dał synowi błogosławieństwa, tylko spojrział na mnie.

– Wiesz, że w całym Watykanie są tysiące straży, włączając w to bazylikę. Jak sobie wyobrażasz, że Morozzi mógł się przez nie prześlizgnąć?

– Nie wiem – przyznałam. – Ale po tym, jak rozmawialiśmy przy ołtarzu Świętej Katarzyny ze Sienny, jakby rozplynął się w powietrzu. Może w tym miejscu powinniśmy zacząć?

– Jeżeli mógł w ten sposób zniknąć – powiedział nerwowo Cesare – to może jest demonem,

a nie człowiekiem. – Odruchowo zrobił znak krzyża, żeby odegnąć zło.

– Weź to – odparł Borgia i zdejmując złoty krzyż, który nosił pod koszulą, podał go swojemu synowi, którego charakter doskonale rozumiał.

Cesare wziął go i powiesił na własnej szyi. Jego wiara, chociaż mocno odbiegała od dogmatów Kościoła, była zawsze dużo większa niż moja. Oby mu kiedyś wyszła na dobre.

– Idź z nią! – rozkazał Kardynał. Wstał ożywiony nową energią. – Nie spuszczaaj jej z oczu. Znajdźcie Morozziego. Jeżeli zdołacie, weźcie go żywcem, zabijcie, jeśli będziecie musieli. Ale zróbcie wszystko, co niezbędne, żeby upewnić się, że nie będę miał z jego strony więcej problemów.

Cesare skłonił głowę i nałożył hełm. Z jedną ręką na krucyfiksie, a drugą na rękojeści miecza wyszedł z pokoju.

Od razu podążyłabym za nim, gdyby nie zatrzymał mnie Borgia.

– Co widziałas, Francesco? – zapytał tak cicho, że przez chwilę nie byłam nawet pewna, czy mówi do mnie.

Odwróciłam się i spojrzałam na niego z wystudiowaną niewinnością, której kłam zadawało gwałtowne bicie mojego serca.

– Kiedy, Eminencjo?

– Gdy wydawało się, że nie ma cię z nami. Jaka wizja ci się objawiła?

Nabrałam powietrza i wypuściłam je powoli. Bacznie mnie obserwował. Obawiałam się, że widział zbyt dużo.

– Z całym szacunkiem – powiedziałam, na wypadek, gdyby pomyślał, że go instruuję w kwestii, o której na pewno dużo wiedział. – Jedynie ci, którzy znajdują uznanie w oczach Pana, mogą mieć nadzieję zajrzeć poza zasłonę tego świata.

Oparł się w krzesło, a w kącikach jego ust błąkał się nikły uśmiech. Nie oszukałam go nawet na chwilę.

– W to właśnie wierzysz? – zapytał.

– Tak uczy nas Święty Kościół, prawda?

– A Święty Kościół nigdy się nie myli, tak?

Przez okno wpadła ćma przyciągnięta blaskiem migających świec. Okrążając płomień, zbliżyła się do niego się tak bardzo, iż myślałam, że osmałyły się jej kruche skrzydełka.

– Na to pytanie pan, Eminencjo, jest w stanie lepiej odpowiedzieć.

Odezwał się cicho:

– Powinienem być w stanie, Francesco. Znam cię, odkąd byłaś dzieckiem, patrzyłem, jak dorastałaś w moim domu, zauważyłem twoje szczególne talenty i twoją wrażliwość. Mimo wszystko, gdy chodzi o ciebie, muszę się przyznać do pewnego zagubienia.

– Nie powinien pan – odparłam zaskoczona tym, że tak pilnie mnie obserwował. – Ponad wszystko jestem pańską wierną sługą. I zanim mógł odpowiedzieć, dodałam:

– Proszę coś dla mnie zrobić. Proszę wysłać ludzi do warsztatu wytwórcy szkła Rocco Moroniego na Via dei Vertarari. Miał już do czynienia z Morozzim i może mieć pomysł na to, gdzie mógłby się ukryć.

Miałam nadzieję, że taka wizyta przed świtem nie będzie dla Rocca zbyt wielkim kłopotem, choć byłam przekonana, że zrozumie jej potrzebę. Jeżeli myliłam się co do prawdopodobnego miejsca pobytu Morozziego, musiałam dowiedzieć się o tym jak najszybciej.

– Dobrze – powiedział Borgia i chyba jeszcze chciał coś dodać.

Zanim mógł to zrobić, wymamrotałam podziękowania i szybko wyszłam z jego biura, zbiegając w dół po szerokich schodach w ciemną noc.

Czekał tam na mnie Cesare, przechadzając się niespokojnie jak wspaniałe zwierzę i tak samo jak ja nie mogąc się doczekać polowania.

Powiadają, że Rzym zbudowano na siedmiu wzgórzach, ale obecnie jedynie Kapitol naprawdę przypomina wzgórze, pozostałe sześć uległo zmniejszeniu wskutek osuszania i zabudowy bagien, które kiedyś rozpościerały się między nimi. Ale zanim Jezus zaczął chodzić po ziemi, zanim powstał Święty Kościół Rzymski, istniało ósme wzgórze, które dawni mieszkańcy zasiedlający te ziemie jeszcze przed Rzymianami zwali Vaticum. Mieszkały na nim złe duchy, tuż u wejścia do bram Hadesu, szalony cesarz Neron urządzał tam wyścigi rydwanów i egzekucje, a biedacy chowali swoich zmarłych. W jednym z takich skromnych grobów spoczęły doczesne szczątki jednego z męczenników, Apostoła Piotra, towarzysza i ucznia naszego Pana.

Mówi się, i nie mam żadnego powodu, żeby w to nie wierzyć, że gdy tylko złożono tam ciało, uczniowie zaczęli czcić jego grób. Ustawiali przed nim strażę, grzebali w pobliżu swoich zmarłych i robili wszystko, żeby nikt nie niepokoił tego miejsca.

Oczywiście to działo się dawno temu i wielu rzeczy już się nie dowiemy z powodu zawirowań i wieków ciemności, które potem nastąpiły. Ale wielki cesarz Konstantyn zostawił po sobie dokumentację kościoła, który wybudował ponad tysiąc lat temu, wznosząc go nad grobem Piotra i wzorując na starych rzymskich bazylikach. Po cichu mówiono, że aby wznieść ten pomnik swojej własnej wielkości, nie mniejszej niż wielkość wiary, Konstantyn zniszczył wiele chrześcijańskich mogił, rzucając kości wiernych na pożarcie wilkom. Ale najlepiej o tym nie wspominać.

Wystarczy powiedzieć, że to jego wizja dała początek rozpadającej się kupie kamienia, która dzisiaj grozi nam przygnieciem.

Weszliśmy z Cesare do przedsionka, obok mozaiki Navicella i poszliśmy dalej, do wnętrza bazyliki. Pomimo późnej pory w tej uświęconej przestrzeni nie byliśmy sami. Oprócz kilkudziesięciu zbrojnych, którzy przybyli z nami z palazzo, wszędzie widać było strażę watykańską. Nasze nadejście zwróciło uwagę, ale widok liberii Borgii zniechęcał każdego, kto by chciał nas zaczepić.

Wnętrze oświetlały świece modlitewne i wieczne lampki palące się przed ołtarzami po obu stronach szerokiej nawy. Ale i tak było tam ciemno. Bez pomocy pochodni niesionych przez naszych gwardzistów nie widziałam nic na więcej niż trzy, cztery metry w każdą stronę.

– Klęczałam tutaj – powiedziałam, wskazując boczny ołtarz dedykowany Świętej Katarzynie. – Morozzi pojawił się tutaj.

Pokazałam do tyłu i na lewo.

– Widziałaś, skąd nadszedł? – zapytał Cesare.

Pokręciłam głową.

– Myślę, że śledził mnie z palazzo, ale zobaczyłam go dopiero, jak tu stał.

– Jak długo z nim rozmawiałaś?

– Nie więcej niż kilka minut. Odwróciłam na chwilę wzrok, a kiedy znowu spojrzałam, już go nie było.

– Każdy mógłby zniknąć w tym cieniu.

Mówił, jakby chciał wierzyć, że tak właśnie było, ale jego ręka mocno trzymała krzyż, który wisiał na szyi.

– Spotkaliśmy się tu w dzień, nie w nocy.

Uniosłam wzrok nad ołtarz, na okna pod okapem dachu. Nocą oczywiście nie rozjaśniały ciemności, ale za dnia wpuszczały wystarczająco dużo światła, żeby móc widzieć większość wnętrza.

Cesare rozejrzał się z niepokojem.

– Więc gdzie mógł się podziać?

– Pod nami są podziemia bazyliki – odpowiedziałam, przypominając sobie, że ojciec, który widział je na własne oczy, opisał mi rozległy labirynt przejść, komnat i ruin zakrytych sklepieniem, gdy rozpoczęła się budowa Konstantyna. – Może tam poszedł – dodałam.

Chociaż, przynajmniej w tamtej chwili, dziwiło mnie, jak udało mu się to zrobić w takim tempie.

– A może rozplątał się w powietrzu? – zasugerował Cesare. – Jeżeli faktycznie ma układ z diabłem, mógł posiadać takie moce.

To by znaczyło, że nie dałoby się go pokonać.

Nie byłam w stanie tego zaakceptować, podobnie jak nie mogłam pozwolić, żeby Cesare dał się opętać tego rodzaju lękom.

– Jeżeli jest demonem – zapytałam rozsądnie – to jak mógł wejść do tak uświęconego miejsca, jak to? Padłby przecież trupem, gdy tylko przekroczyłby próg.

– Nie, jeżeli by nie dotknął wody święconej – odparł z pełną powagą Cesare. – Gdyby jej unikał, mógłby być całkiem bezpieczny.

Nigdy czegoś takiego nie słyszałam, ale nie jestem przecież specjalistką od demonów. Mam jednakże odrobinę rozsądku i zamierzałam to wówczas wykorzystać.

– On jest księdzem, Cesare. Jego święty urząd wymaga codziennego odprawiania mszy. Jak mógłby przemieniać wino i chleb w krew i ciało naszego Pana, jeżeli byłby demonem?

– Na pewno tylko udaje. W końcu to ty powiedziałaś, że zniknął ci z oczu. Jeśli masz lepsze wytłumaczenie, to powiedz mi, jakie.

Nie miałam żadnego, ale ponaglona z determinacją próbowałam znaleźć odpowiedź, która mogła umiejscowić Morozziego w świecie żywych, co by oznaczało, że mogliśmy go schwycić. Inaczej zostalibyśmy pokonani, zanim jeszcze zaczęliśmy.

Gestem nakazałam gwardziście, żeby szedł za mną, powoli podeszłam do ołtarza Świętej Katarzyny i uklękłam przed nim. Przyjęłam dokładnie taką pozycję, jak wtedy, gdy zdałam sobie sprawę z obecności Morozziego i obejrzałam się w stronę, gdzie się pojawił. Utrzymując oczy w tym punkcie, wstałam i zrobiłam parę kroków do przodu, tak jak wtedy.

Cesare pilnie mi się przyglądał, podobnie jak gwardziści, którzy nawet nie próbowali ukrywać niepokoju. To interesujące, że ludzie często nie czują się dobrze w świętych miejscach, a zwłaszcza w nocy. Co by nie miało czaić się wśród ołtarzy, na pewno nie chcieliby tego spotkać.

– Tracimy tylko czas – powiedział nerwowo Cesare. – Torquemada...

Zignorowałam go i wyciągnęłam ręce w stronę ciemnej przestrzeni, w której rozplątał się Morozzi. Jeden krok... drugi... Dotknęłam czegoś twardego.

– Przynieść światło – powiedziałam.

Głęboko w cieniu, między kolumnami były ukryte małe drzwi. Tak bardzo przypominały panele ścienne po obu ich stronach, że były prawie niezauważalne. Gdy położyłam na nich dłoń i lekko pchnęłam, otworzyły się, nie wydając żadnego dźwięku. Najwyraźniej zawiasy były dobrze naoliwione. Zaraz za nimi zauważyłam żelazny uchwyt na pochodnię. Na małej półeczce obok niego leżało krzesiwo, ale uchwyt był pusty.

– No i tyle by było, jeśli chodzi o demoniczne moce Morozziego – powiedziałam z uśmiechem.

Cesare miał na tyle przyzwoitości, żeby się zawstydić.

– To przebiegalnia – zasugerował, mając na myśli komnatę, gdzie księża przywdziewają szaty liturgiczne, zanim odprawiają mszę.

Ale ja zauważyłam już schodki prowadzące w dół.

Cesare, co muszę mu przyznać, zostawił w spokoju swój krzyż i uparł się, że będzie prowadzić. Ja poszłam za nim, razem z gwardzistami, którzy unieśli pochodnię wysoko, oświetlając pasaż, którym schodziliśmy.

Uderzyło mnie w twarz chłodne, wilgotne powietrze. Wzięłam głęboki oddech i poczułam w płucach, jak było gęste. Wilgoć ściekała ze ścian wyłożonych antycznymi ceglami. Kamienie pod stopami pokrywały porosty. Czułam zapach ilów ze wzgórza, na którym zbudowano bazylikę, i poświęciłam chwilę, żeby pomodlić się o to, żeby to była prawda, że Konstantyn opróżnił starożytne groby.

Szliśmy dalej, pasaż lekko schodził w dół, a później gwałtownie się poszerzył. W migoczącym świetle pochodni zobaczyłam zwieńczone łukami otwory w ścianach po każdej jego stro-

nie; miejsca pomiędzy nimi wypełnione były nadkruszonymi murami. Było w tym coś tak znajomego, że aż się zatrzymałam.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Cesare szeptem, który wydawał się pasować do tego miejsca.

– Wciąż w podziemiach bazyliki, tak myślę...

W ciemnościach oświetlonych jedynie przez poruszające się płomienie nie wiedziałam, jak daleko zaszliśmy. Próbując odzyskać orientację, zmrużyłam oczy i starałam się patrzeć jak najdalej przed siebie w głąb pasażu.

– Wygląda zupełnie jak ulica – powiedziałam. – Ze sklepami po obu stronach, ale przykryta i pogrzebana pod ziemią. Jak to możliwe?

Cesare stał na tyle blisko, że widziałam, jak mimo chłodu jego czoło pokrywają kropelki potu.

– Kto wie? I kogo to obchodzi? Wciąż myślisz, że Morozzi gdzieś tu jest?

– Jeżeli porwał dziecko, musi je ukryć do czasu, aż zrobi to, co zamierza. Pogrzeb zaczyna się za parę godzin. Nie sądzę, żeby chciał czekać dłużej, a czy jest lepsze miejsce, gdzie mógłby się schować do tego czasu?

Nie zaprzeczył, ale też zauważył coś, z czego sama zaczynałam sobie właśnie zdawać sprawę.

– Bazylika jest duża. Jeżeli ten pasaż ciągnie się pod większością budynku, mogą być setki miejsc, w których mógł się ukryć.

A jeśli pasaż ciągnął się dalej, poza granice kościoła, mogliśmy szukać przez wiele dni i nie wyśledzić Morozziego.

– Musimy spróbować. Jeżeli był tutaj, na pewno znajdziemy jakieś ślady jego obecności.

– Łatwo możemy się tu zgubić – powiedział Cesare.

Tej prawdzie nie można było zaprzeczyć. Nawet z pochodniami po kilku zakrętach i skrzyżowaniach mielibyśmy niewielkie pojęcie, jak wrócić do punktu wyjścia. A jeżeli błakalibyśmy się tam na tyle długo, żeby pochodnie zgasły...

– Hej, ty – powiedział Cesare, przyzywając jednego z gwardzistów. – Weź miecz i rób znak krzyża na ścianie po swojej prawej stronie co kilka metrów. Mają być na tyle duże i głębokie, żebyśmy, jeśli będzie trzeba, mogli je wyczuć dotykiem. Na twoje życie, nie zaniedbaj tego. Zrozumiałeś?

Młody człowiek przełknął z trudem ślinę i kiwnął głową. Wyciągnął miecz i szybko wyciął pierwszy krzyż.

Usatysfakcjonowany Cesare obrócił się do ciemnego pasażu.

Powiedział bez wahania:

– Chodźmy i niechaj dobry Pan nas chroni.

Odmienne niż ojciec, który, jak jestem przekonana, był prawdziwym poganinem, Cesare głęboko i szczerze wierzył. Nie udawał jednak, że surowo przestrzega nauk Świętego Kościoła, nawet wtedy, gdy przywdział czerwony biret i został kardynałem. A jeśli chodzi o to, co było w jego sercu, gdy prosił wtedy o boże błogosławieństwo, powiem tylko, że w Rzymie, ale nie tylko w nim, są ukryte miejsca, komnaty pogrzebane pod ziemią, gdzie znajdują się wizerunki młodego boga wojownika, o którym szeptano, że czynił cuda i zrodził się z dziewicy, i wznosił się do nieba w złotym rydwanie. Nigdy nie słyszałam, aby Cesare wymawiał jego imię, ale nie mam wątpliwości, że nosił go w sercu.

Poruszaliśmy się w niewielkim strumieniu światła otoczonym ze wszystkich stron nieprzeniknącą ciemnością. Z ulgą przyjmowałam to, że pochodnie dalej jasno się paliły. Nie potrafię wytłumaczyć dlaczego, ale kiedy płomień nie ma wystarczająco dużo powietrza, gaśnie. Na szczęście, choć byliśmy głęboko pod ziemią, czułam lekki podmuch na twarzy, który pozwalał myśleć, że są tam jakieś otwory prowadzące na powierzchnię.

Spojrzałam pod stopy i zobaczyłam, że podłoga pokryta jest warstwami pyłu, który musiał opadać z sufitu. Pył był wzruszony, co dało mi nadzieję, że inni przed nami, a w szczególności Morozzi, niedawno tędy przechodzili.

Pasaż rozszerzył się gwałtownie i znaleźliśmy się w rozległej przestrzeni, choć nie mo-

gliśmy dokładnie ocenić jej rozmiar, bo nie obejmowało jej światło pochodni. Ale zwróciłam uwagę na to, że ściany bieżą wokół, a podłoga jest pokryta ziemią, a nie wyłożona kamieniem jak w pasażu. Wzdłuż jednej ze ścian widać było pozostałości schodkowo ustawionych siedzeń, które ucinały się w miejscu, w którym sala została pokryta stropem.

Trochę dalej znów weszliśmy do pasażu, który wkrótce rozdwajał; jedna odnoga prowadziła prosto, a druga na prawo. Cesare zatrzymał się i zmarszczył brwi.

– W którą stronę poszedł?

Myślę, że nie oczekiwał ode mnie odpowiedzi, ale wzięłam to pytanie do siebie i postarałam się ją znaleźć. Patrząc pod nogi, poszłam prosto i zobaczyłam nienaruszoną warstwę pyłu, z wyjątkiem niewielkiego pofałdowania, takiego, jakie mogły z czasem spowodować podmuchy powietrza. Wróciłam do punktu wyjścia i skierowałam się w prawo. Od razu zobaczyłam, że ktoś tu niedawno przechodził.

– Tędy – powiedziałam, wskazując na prawo.

– Skąd możesz to wiedzieć?

Kiedy pokazałam mu pył, Cesare zarumienił się, jakby zawstydzony, że wyjaśnienie było tak prozaiczne, a jednak umknęło jego uwadze.

Żeby go uspokoić, powiedziałam:

– Ojciec nauczył mnie zwracać uwagę na szczegóły. Chyba natura jego pracy powodowała, że tak się na nich skupiał.

To było delikatnie powiedziane. Esencją trucizny jest to, żeby ukryć ją w najprostszyc, najbardziej zwyczajnych miejscach, gdzie niewielu nawet pomyśli, aby jej szukać. Zadaniem truciciela jest takie miejsca sprawdzać i zrozumieć, co można w nich znaleźć.

Cesare, ułagodzony, skinął głową i poszedł, ale nie uszedł daleko. Niemal od razu okazało się, że droga jest zablokowana czymś, co na pierwszy rzut oka wyglądało na rumowisko. Cesare wziął pochodnię i podszedł do przodu. Wrócił z niepokojącą miną.

– Jest wystarczająco dużo miejsca, żebyśmy mogli przejść.

– To dobrze... – zaczęłam.

– Ale nie będzie to przyjemne.

Nie czekając na moją odpowiedź, odwrócił się do swoich ludzi.

– Pamiętajcie, kim jesteście i co zrobię każdemu, który nie wypełni swoich obowiązków.

Zanim zdążyłam pomyśleć, dlaczego uznał za konieczne dać im takie ostrzeżenie, złapał mnie za rękę i z wysoko uniesioną pochodnią pociągnął w pasaż.

Nie krzyczałam. Nadal jestem z tego dumna, chociaż prawda jest taka, iż moje przerażenie było tak wielkie, że gdy otworzyłam usta, wyszedł z nich tylko cienki pisk.

Kupa gruzów, która prawie zupełnie blokowała drogę, okazała się stertą kości wylewających się z pomieszczeń po obu stronach pasażu, którego ściany prawdopodobnie zapadły się pod ich naciskiem. Kości udowe, ramienne, miedniczne, całe i częściowe klatki piersiowe, niektóre wciąż przytwierdzone do kręgosłupów, a ponad wszystko czaszki. Były tam tysiące i tysiące kości, różnych rozmiarów, niektóre całe, inne w trakcie rozkładu, ale można było rozpoznać, że wszystkie są ludzkie. Najwyraźniej Konstantyn opróżnił jednak chrześcijański cmentarz i złożył tu te żałosne szczątki jak niepotrzebne śmieci.

Ich pokłady były tak duże, że sięgały kilku metrów nad naszymi głowami, aż do sufitu. Miejsce, w którym można się było przecisnąć, nie miało więcej niż trzydzieści centymetrów szerokości. Było na tyle ciasne, że musieliśmy ustawiać się bokiem, żeby je pokonać. Kości kruszyły się nam pod stopami, wbijały w boki i zahaczały o ubrania, gdy przesuwaliśmy się do przodu.

Najgorsze były czaszki ze swoimi lubieżnymi uśmiechami i ślepymi oczodołami. Niektóre z nich wystawały ze sterty tak blisko mojej twarzy, że mój nos niemal dotykał miejsca po ich nosie. Boże, przebaczone, wiem, że kiedyś byli ludźmi, tak jak ja, ale trzęsłam się z obrzydzenia. Usłyszałam, jak za mną zwymiotował jeden ze strażników i trudno go było za to winić. Nie było czuć smrodu rozkładu, wszystkie kości były na to za stare, ale wciąż unosił się ciężki zapach śmierci pochodzący z pokruszonych, żółtawych szczątków. A on przypominał nam o własnej śmiertelności.

Słyszałam, że są ludzie w dalekich krajach, którzy palą swoich zmarłych. Nauki Kościoła tego zakazują, choć wydaje się to rozsądną praktyką, taką, jaką wybrałabym dla siebie. Oczywiście pod warunkiem, że byłabym martwa, zanim ogarną mnie płomienie.

Trzymałam rękę Cesare, a on bez wahania parł do przodu. Niezależnie od własnych lęków rozumiał odpowiedzialność dowódcy. Nawet przez chwilę nie pokazałby swoim ludziom nic oprócz odwagi i determinacji. Trzeba przyznać, że bezpiecznie przewiół nas przez ten horror na drugą stronę.

Ledwo pasaż znowu się poszerzył, zatrzymaliśmy się i zgodnie z pierwotnym instynktem zaczęliśmy się gwałtownie otrząpywać. Ja wstrzymałam nawet oddech, żeby nie wdychać już więcej śmiertelnego pyłu.

Cesare dał nam kilka minut, a potem uciął nasze wysiłki.

– Chodźmy – powiedział i poprowadził nas dalej.

Poszliśmy za nim i szybko znaleźliśmy dowód na to, że nie byliśmy jedynymi ludźmi, którzy odkryli miasto umarłych pod bazyliką.

Nie jest do końca sprawiedliwie mówić, że Rzym jest miastem bezprawia. Bywają czasy, gdy działania prawne są wyraźnie widoczne. Na przykład powiedzcie słowo przeciwko Świętemu Kościołowi Rzymskiemu, a możecie być przygotowani na spotkanie z ogniem. Ale jak to przecież w życiu bywa, wszystko jest kwestią wyważenia ryzyka i zapłaty.

Od czasu do czasu podejmowane są próby opodatkowania różnych rzeczy, które rzymianie uważają za podstawę swojego dobrobytu. Chodzi głównie o zbytkowne tkaniny, doskonałe wina i tym podobne. Ale okazjonalnie opodatkowuje się nawet ser, a pamiętam również jedną poronioną próbę nałożenia podatku na pszenicę.

W wyniku tego każdy rzymianin dąży do tego, żeby znać dobrego przemytnika. Ja nie jestem wyjątkiem. Jednakże nigdy nie zastanawiałam się poważnie nad tym, na czym polega przemyt. Na pewno potrzebne jest jakieś miejsce, gdzie składowe się dobra, zanim dotrą do klienta. Po przedarciu się przez pokłady kości znaleźliśmy się pomiędzy serią pomieszczeń, które zostały oczyszczone z gruzu i zabezpieczone solidnymi żelaznymi kratami. Za nimi widać było skrzynie, pudła i baryłki z różnymi przedmiotami zbytku.

– Warte zapamiętania – powiedział Cesare z uśmiechem wilka.

– Ludzie muszą sobie jakoś radzić – przypomniałam mu.

Miałam nadzieję, że gdy zdobędą władzę, Borgiowie będą potrafili utrzymać się w ryzach. Wszyscy potrzebujemy nadziei, choć czasem okazuje się płonna.

Byliśmy już pod ziemią na tyle długo, żebym zaczęła się niepokoić tym, że nie znaleźliśmy śladu Morozziego. Czas uciekał. Nie mogłam nie zastanowić się, ile jeszcze wysiłku w to włożymy, zanim stwierdzimy, że był stracony.

Miałam to właśnie powiedzieć Cesare, gdy pasaż znowu zakręcił. Stanęliśmy przez komnatę, która jak inne była wykorzystywana przez przemytników, ale w tym szczególnym przypadku łańcuch przy kłódce był przecięty, a metalowa krata wisiała na zawiasach, częściowo otwarta. Uznałam to za wystarczająco dziwne, żeby bliżej się temu przyjrzeć.

– Dlaczego ktoś by to zrobił? – zapytałam Cesare, wskazując na przecięty łańcuch.

Wzruszył ramionami i wszedł za mną do środka. W drugim końcu do ściany przymocowanych było kilkanaście żelaznych pierścieni. Z jednego z nich zwisał sznur. Nie jakiś stary, postrzępiony i wytarty, ale zupełnie nowy, widać było, że końcówka została świeżo ucięta.

– Ktoś był tu przywiązany – powiedział Cesare, sprawdzając jego koniec.

Przytaknęłam, ale starałam się za wiele o tym nie myśleć.

– Kłótnia pomiędzy przemytnikami? – zasugerowałam.

– Możliwe... Ale dlaczego sznur?

– Czy to ma znaczenie?

– Może mieć... Łańcuch wymaga kajdanów.

Wystarczająco małych, żeby więzień nie mógł się z nich uwolnić. Ale kajdany zrobione dla dorosłego mogły ześlizgnąć się z ręki dziecka.

– O Boże...

Cesare znów spojrzał na sznur i wyszczerzył zęby w grymasie, który ktoś niewinny mógłby uznać za uśmiech.

– Świeżo przecięty. Przy odrobinie szczęścia nie wyprzedza nas za bardzo.

Rzucił się w pasaż, a jego ludzie pobiegli za nim. Ja deptałam im po piętach, przeklinając suknię, która plątała mi się wokół nóg. Biegliśmy... Nie wiem, jak daleko. Kilka razy myślałam, że słyszałam przed nami jakieś dźwięki, ale sami robiliśmy tyle hałasu, że nie mogłam być pewna. Pasaż zaczął piąć się w górę. Poczulałam lekki zapach kadzidła unoszący się w powietrzu.

Cesare wypadł przez drzwi, reszta z nas tuż za nim. Usłyszałam krzyk i brzęk metalu spadającego na kamień. Ściana condotierri blokowała mi przejście. Choć próbowałam, nie widziałam nic przez ich szerokie plecy i ramiona, zanim w końcu nie zrobiła się między nimi wyrwa i zdałam sobie sprawę z tego, że byliśmy w zakrystii pełnej księży przygotowujących się do pogrzebu Innocentego.

Nagle pojawienie się uzbrojonych ludzi z płonącymi pochodniami i dzikim wzrokiem, którzy, jak mogło się wydawać, wyłonili się z podziemnego świata, było próbą wiary dla więcej niż kilku duchownych. Nastąpiły gorszące przepychanki, żeby jak najszybciej uciec, przerywane krzykami i wołaniem o pomoc.

Wszystko gwałtownie się zatrzymało, gdy Cesare, trzymając opuszczony miecz, krzyknął:

– Stać! – Jego ludzie, na rozkaz, rozproszyli się, blokując wyjścia.

– Szukamy księdza z dzieckiem – ogłosił. – Którędy poszli?

Nastąpiła cisza, a po niej bełkot odpowiedzi, niektóre w strachu, inne rozgniewane, ale żadna w najmniejszym stopniu nie była pomocna, dopóki stary ksiądz, zbierając do kupy resztki swojej godności, nie podszedł prosto do Cesare.

– Kim jesteś, panie? – zapytał. – Jakim prawem tutaj wchodzisz?

Na krótką chwilę Cesare stracił pewność siebie. No bo jakim prawem? Prawem miecza, oczywiście, ale czy naprawdę chciał wymachiwać nim w takim miejscu? Nie powinien przynajmniej stwarzać pozorów, że szanuje autorytet Kościoła Świętego, najwyższego sędziego, przed którym nawet najwięksi wojownicy muszą klękać?

– Jestem Cesare Borgia, syn Kardynała Rodriga Borgii! Zrobicie, co wam powiem, albo

zmierzycie się z moją siłą!

I tyle wynikało ze słynnej dyskrecji II Cardinale, który odbiegał od standardów naszych czasów, nie obnosząc się z dziećmi.

Stary ksiądz zbladł, ale nie ustąpił pola. Podczas gdy inni syczeli i szeptali między sobą, on wyprostował się i zmierzył z Cesare.

– To uświęcone miejsce! Schowaj miecz, synu Borgii, i więcej nie wyjmuj go pod tym dachem!

Bywają chwile, gdy mam odwagę myśleć, że jest jeszcze jakaś nadzieja dla Świętego Kościoła Rzymskiego.

Obawiając się, w jaki sposób Cesare może odpowiedzieć na tak przedstawione żądanie, miałam właśnie powiedzieć coś o tym, że ksiądz nie ma nic złego na myśli, że jest tylko starym człowiekiem, bez obrazy, i tak dalej, ale zanim udało mi się wydusić słowo, rozpętała się kakofonia krzyków i wrzasków, które przewyższały wszystkie, z którymi mieliśmy do tej pory do czynienia.

– Kobieta!

– Jak ona śmie!

– Świętokradstwo!

– *Strega!*

Czarownica. Za to, że ośmieliłam się postawić stopę w świętej bożej zakrystii. Sama moja obecność była źródłem skażenia tak wielkim, że zasługiwałam na śmierć na stosie.

Dla usprawiedliwienia starego księdza zignorował innych i powiedział poważnie:

– Pomógłbym wam, gdybym mógł, ale nikt nie pokazał się tu, zanim wy weszliście. Teraz musicie iść.

Odraza Cesare była wyczuwalna. Rozejrzał się, patrząc na święte postaci uzbrojone w religijną obłudę i przez moment naprawdę obawiałam się tego, co może zrobić. Mocno ściskając jego rękę, ciągnęłam go do drzwi.

– Tracimy czas – szepnęłam. – Morozzi musiał wyjść inną drogą.

Opierał mi się jednak, wciąż mierząc ich wzrokiem. Żaden z nich, nawet starzec, nie zapytał o dziecko. Żaden nie wyraził niepokoju o nic, poza nimi samymi. Później, gdy Cesare był tak krytykowany za swoje działania przeciw Kościołowi, przypominałam sobie tę chwilę i dziwiłam się, że nie był bardziej brutalny.

Opuściliśmy zakrystię i znaleźliśmy się w pobliżu głównego ołtarza. W czasie, gdy byliśmy na dole, do bazyliki wkradło się miękkie szare światło poranka. Zauważyłam, że znajdowaliśmy się tylko kilkadziesiąt metrów od miejsca, z którego wyruszyliśmy. A Morozzi mógł być wszędzie.

– Jak dużo czasu nam zostało? – spytałam.

Cesare schował miecz do pochwy i patrzył na przygotowania, które toczyły się wokół nas. Słudzy ustawiali w szerokiej nawie ławy, które miały pomieścić tych o wystarczającej randze, żeby zasłużyć na miejsce siedzące. Katafalk, na którym miał spocząć Innocenty, ustawiony był przed głównym ołtarzem. Powyżej, na galerii, chór przygotowywał się do próby. Papieskie flagi i flagi kolegium kardynalskiego wisały pomiędzy kolumnami, oddzielając obie strony nawy od bocznych transeptów. Wielkie świece, niektóre tak duże, jak obwód pasa rosłego mężczyzny, były wciągane na miejsca.

Pośród tego kręciło się już paru duchownych zajętych rozmowami. Przybyło również kilku świeckich gości.

– Parę godzin – powiedział Cesare.

Pomimo porażki w poszukiwaniu Morozziego byłam bardziej niż kiedykolwiek przekonana, że nie będzie chciał stracić szansy, jaką dawały mu takie okoliczności. I biskupi, i świeccy uczestniczący w pogrzebie na pewno zostaliby rozjuszeni rzekomą zbrodnią popełnioną przez Żydów w samym sercu Świętego Kościoła. Najbardziej też nadawali się do tego, żeby w ciągu jednej chwili przekształcić swój gniew w krwawe porachunki. Ale jak szalony ksiądz miał nadzieję uniknąć uwagi setek straży, które patrolowały zarówno sam Watykan, jak i jego okolice? Jak dobrze by nie znał podziemnego świata pod bazyliką, będzie się musiał w końcu z niego wynurzyć.

Cesare chyba myślał podobnie, bo powiedział:

– Postawię ludzi, żeby obserwowali drzwi przy ołtarzu Świętej Katarzyny i przed zakrystią. Jeżeli przyjdzie z tej lub z tamtej strony, będziemy go mieli.

– Ale muszą być jakieś inne wyjścia – powiedziałam.

Przecież przemytnicy nie mogli wchodzić i wychodzić przez bazylikę. Choć, biorąc pod uwagę gotowość do współpracy wielu księży, nie mogłam tego zupełnie wykluczyć.

– Zrobimy, co w naszej mocy, żeby je znaleźć – powiedział. I dodał ze szczerym uśmiechem: – Nie rozpaczaj, Francesco. Liczę na to, że będziesz panowała nad jasnością mojego umysłu.

Był wtedy najbliżej przyznania się do mrocznego lęku, który go ogarnął, zanim zdał sobie sprawę z tego, że Morozzi był tylko człowiekiem.

Mój nastrój bardzo się poprawił na te słowa, ale kilka minut później znalazł się powód, żebym straciła humor.

Ludzie, których Borgia wysłał na moją prośbę, aby wypytali Rocca, czy znał jakieś miejsce, gdzie szalony ksiądz może się ukrywać, wrócili. Przynieśli wiadomość, że nie można znaleźć wytwórcy szkła. Jego sąsiedzi na Via dei Vertrarari powiedzieli, że poprzedniego dnia opuścił nagle warsztat i od tej pory go nie widziano.

Nie chciałam nawet myśleć o tym, co mogło się kryć za nagłym zniknięciem Rocca. Obawiałam się, że mogło mu się przytrafić coś złego, bo udzielił pomocy Davidowi i mnie, gdy uciekliśmy z zamku. Wypytywałam właśnie strażę, próbując się dowiedzieć, co dokładnie powiedzieli sąsiedzi, gdy Cesare skończył rozstawiać swoich ludzi i dołączył do nas.

– Dlaczego tak się denerwujesz? – zapytał.

Sam był trochę nerwowy, ale nie miało to nic wspólnego z okolicznościami, a raczej z tym, że przyszedł kardynał nigdy dobrze się nie czuł w żadnym kościele.

– Boję się, że coś mogło się przydarzyć przyjacielowi – odpowiedziałam. – Nie ma go w warsztacie i nikt nie wie, gdzie jest.

Szansa, że Cesare zainteresuje się, a tym bardziej zaniepokoi losem prostego rzemieślnika, była bardzo niewielka; zwykle nie zauważał nawet istnienia takich osób. Ale zadziwił mnie.

– O kim mówisz?

Gdy mu opowiedziałam, zapytał:

– Myślisz, że Morozzi mógł mu coś zrobić?

Nie sądziłam, żeby to było możliwe. Rocco był silnym i zręcznym mężczyzną. Nie miałyby pewnie dużych szans z kimś takim, jak Cesare, ale z księdzem...

– Nie wiem... Nie wydaje mi się to prawdopodobne, ale...

Ale Rocco nie był osobą, po której spodziewałabym się, że zniknie bez słowa, a zwłaszcza w takich okolicznościach.

Cesare popatrzył na mnie uważnie.

– Zależy ci na nim?

Na myśl o tym, że naprawdę mógł znaleźć się w niebezpieczeństwie, było mi trudno oddychać. Skinęłam tylko i powiedziałam:

– To stary przyjaciel.

– A jego żona również jest starą przyjaciółką?

– Jest wdowcem i ma małego synka.

Raptem zdałam sobie sprawę z tego, co mu chodzi po głowie. Moje zdziwienie było tak wielkie, że wyrwała mi się pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy.

– Na litość boską, Cesare, nie możesz przecież dbać o to, czy ja...

Ale najwyraźniej dbał, a przynajmniej na tyle, żeby wyglądać jak nadąsany chłopiec, który myślał, że zabawka, która, jak zakładał, jest tylko dla niego, w rzeczywistości nie była.

– Nie ma to dla mnie znaczenia – mruknął. – Nie chcę tylko, żebyś teraz się rozpraszała.

– Więc mi pomóż – poprosiłam, mając nadzieję, że zdołam go ułagodzić i skierować jego gorący temperament w bardziej produktywną stronę.

Coś w moim zachowaniu musiało go ująć, bo rozluźnił się nieco, a po chwili skinął głową.

– Gdzie ten Rocco Moroni mógł pójść?

Próbowałam się szybko zastanowić. Jeżeli naprawdę był w kłopotach, miałam nadzieję, że przyszedłby do mnie, zakładając, że był w stanie. Ale i palazzo, i Watykan były otoczone strażami. Mogli go więc nie wpuścić. Zostawiało to jedną możliwość.

– Ma zaufanego przyjaciela w kapitularku u dominikanów – powiedziałam. – Brat Guillaume. Może znać miejsce pobytu Rocca.

– Czy to ten sam przyjaciel, o którym mówiłaś, że da nam znać, jeśli Morozzi będzie próbował szukać schronienia u Torquemady?

Gdy to potwierdziłam, Cesare odwrócił się do swoich ludzi, którzy natychmiast stanęli na baczność. Powiedział im krótko o Roccu i rzekł:

– Popytajcie w kapitularku, ale bądźcie dyskretni. Tylko ten braciszek może wiedzieć, dlaczego tam przyszedliście.

Skłonili głowy i poszli. Patrzyłam, jak idą długą nawą bazyliki i wychodzą w jaśniejsze teraz światło dnia, a potem odwróciłam się do Cesare.

– Dziękuję, że to zrobiłeś.

Wzruszył ramionami, jakby uznał to za nieważne, ale spojrzenie, które mi rzucił, sugerowało, że przyjdzie mi za to zapłacić. Podobnie jak jego ojciec Cesare nigdy nie robił niczego za darmo.

– Jeżeli możesz się już skoncentrować... – powiedział. – Moi ludzie znaleźli inne ukryte drzwi. Bazylika wydaje się być ich pełna. Ale wciąż nie ma śladu Morozziego.

– Może go tu nie ma.

Najbardziej obawiałam się tego, że myliłam się co do intencji szalonego księdza. On i Torquemada mogli mieć zupełnie inny plan, który umknął mojej wyobraźni.

Drugą rzeczą, której obawiałam się najbardziej, było to, że miałam rację.

Jeżeli byłabym Morozzim...

Kiedy ta myśl przyszła mi do głowy, musiałam zwalczyć impuls, żeby ją odrzucić.

Bazylika była ogromna, a trzeba było jeszcze dodać otaczające ją budynki. Jeśli chcieliśmy znaleźć szaleńca, zanim zaatakuje, musiałam zmusić się do tego, aby zrozumieć jego tok myślenia.

Zakładając oczywiście, że rozumowanie ma sens w przypadku, gdy ma się do czynienia z kimś obłąkanym. Ale to sprawa dla filozofów. Ja miałam bardziej przyziemne zadania.

– Nie możemy zrobić tego błędu i znowu go nie docenić – powiedziałam. – Jest odważny i sprytny, atakuje tam, gdzie się tego nie spodziewamy.

– Myślisz o Giulii – powiedział ponuro Cesare.

Przytaknęłam.

– Jedyne, na czym zależy Morozziemiu, to zniszczenie Żydów. W tej sprawie jest co najmniej takim samym fanatykiem, jak Torquemada. Nie obciążają go takie błahostki, jak sumienie czy moralność. Musimy zakładać, że jest w stanie zrobić absolutnie wszystko, żeby osiągnąć cel.

– Miał sprzymierzeńca w Innocentym. Mój ojciec wierzy, że jeśli Papież żyłby dłużej, podpisałby edykt. Niepowodzenie w doprowadzeniu tej sprawy do końca musi być bodźcem pchającym Morozziego do przodu.

– Być może – powiedziałam. – Ale kiedy Innocenty umarł, a edykt nie został podpisany, Morozzi nie uznał swojej porażki. Od razu zaczął opracowywać plan, który miał na celu spowodowanie, aby jedyny człowiek, który, jak wie, nie podpisze edyktu, nie mógł zostać papieżem.

– Powodując rozłam między moim ojcem a Orsinimi, których poparcie jest mu niezbędne, żeby miał szansę na wygraną?

– Właśnie. Jeśli Morozziemiu udało by się sprawić, żeby zwrócili się przeciw sobie, ze wszelkim prawdopodobieństwem wybór padłby na della Rovere, a w drugiej kolejności na inną osobę, która by podpisała edykt.

– Ale plan się nie powiódł – podkreślił Cesare.

– Tak, jednak właśnie to sprawiło, że zdałam sobie sprawę z tego, że Morozzi nie działa spontanicznie, a zdobywa wiedzę i z wyprzedzeniem planuje swoje ruchy.

Myślałam głośno, ale przynajmniej nareszcie myślałam, widząc teraz to, czego wcześniej nie pozwoliły mi zauważyć szok i zmęczenie.

– Wiedział o listach wymienianych przez Giulie i jej męża – powiedziałam. – Wiedział nawet o tym, że lubi figi. Myślę, że planował dużo wcześniej, co zrobi, gdy Innocenty umrze, nie podpisawszy edyktu, i będą szanse na to, że twój ojciec zostanie papieżem.

Cesare wolno pokiwał głową. Było jasne, że to wszystko miało dla niego sens.

– A teraz znów się przegrupowuje – powiedział. – Tym razem zamierza podburzyć tłumy przeciwko Żydom.

– I możemy być pewni, że po raz kolejny wszystko dokładnie z dużym wyprzedzeniem opracował – odpowiedziałam. – Dlatego właśnie jest tu Torquemada. Ma być obecny w chwili, gdy „zbrodnia” zostanie odkryta, i ogłosić wszem i wobec, że to Żydzi są jej winni. A to sprawi, że żaden kardynał, który wykazuje wobec nich najmniejszą tolerancję, nie będzie mógł zostać wybranym.

Twarz Cesare pociemniała. Dla kontrastu kostki jego dłoni ściskającej głównię miecza zrobiły się białe.

– Della Rovere już rozpowiada, że ojciec jest *marano*.

– Prawdopodobnie wie, co planują Morozzi i Torquemada, ale będzie próbował trzymać się od nich z daleka. Jednak della Rovere nie stanowi problemu; twój ojciec sobie z nim poradzi. To Morozziemu musimy powstrzymać za wszelką cenę.

– Jak? – zapytał Cesare. – Mogę zwołać tu więcej ludzi i przetrząsnąć całą bazylikę, ale przecież jest bardzo mało czasu...

– Gdybyś tak zrobił, od razu podniósłby się alarm, że jeśli twój ojciec zostanie papieżem, to i on – i jego rodzina – będą nadużywać władzy.

Nie powiedziałam mu o tym, co, jak wiedziałam, krążyło ostatnio po ulicach, że Borgia był wilkiem w owczej skórce. Że nie było wcześniej bardziej zachłannego i ambitnego człowieka, który ośmieliłby się sięgnąć po Tron Świętego Piotra. Oczywiście rozpowiadano to wszystko na zlecenie rywali Borgii. Jak dotąd rzymianie, którzy przez sam fakt, że mogli wywołać zamieszki, mieli spory wpływ na elekcję, wyśmiewali te plotki. Musiałam mieć nadzieję, że nie stanie się nic, co skłoni ich do zmiany zdania – albo do zmiany ich lojalności.

Nigdy nie widziałam, żeby Cesare był tak posępny, a nawet tak bliski rozpaczki.

– No to jesteśmy skończeni – powiedział. – A Morozzi już w zasadzie wygrał.

– Nie! Wciąż mamy czas. Choć nie mamy go zbyt wiele, więc musimy dobrze wykorzystać każdą minutę.

Rozejrzałam się nękana uczuciem, że coś mi umyka, że czegoś jeszcze nie wzięłam pod uwagę. W latach, które nastąpiły po tych wydarzeniach, gdy zmagalam się z jakimś trudnym problemem, często uznawałam, że warto szukać dowodów nie tylko na to, co jest, ale i na to, czego nie ma. Czasami prawda patrzy na nas z pustych, niezapisanych miejsc.

Czego brakowało w bazylice pośród tych wszystkich przygotowań do pogrzebu?

– Ciało Innocentego dalej leży w kaplicy – powiedziałam wolno.

Cesare przytaknął.

– Zostanie wniesione, gdy zbiorą się już żałobnicy.

W procesji, w której zmarłego Papieża odprowadzą najwyżsi urzędnicy Kościoła i najznamienitsi świeccy uczestnicy. A wszyscy oni najpierw zbiorą się w Kaplicy Sykstyńskiej.

– Może szukamy w niewłaściwym miejscu – powiedziałam niepewnie.

Żeby dotrzeć do kaplicy, Cesare i ja, wraz z kilkunastoma gwardzistami, musieliśmy wyjść z bazyliki i przejść do Pałacu Apostolskiego. Nie było możliwości, żeby nie zostało to zauważone. Już mówiono, że syn Borgii jest na miejscu i że nie przybył w pokoju. Witwały nas spojrzenia księży i innych duchownych, z których wielu z premedytacją przyciskało się do ścian, gdy przechodziliśmy obok nich, jakby chcieli uniknąć skażenia przez sam kontakt z nami.

Cesare nie tyle ich ignorował, co wydawał się nawet nie zauważać ich istnienia. Zazdrościłam mu tego, starając się za nim nadażyć. Siła jego osobowości była tak wielka, że kiedy dowódca straży w kaplicy zobaczył, że wchodzimy, i chciał nam zablokować przejście, spojrzenie, które rzucił mu Cesare, zatrzymało go w miejscu.

Kiedy teraz to wspominam, zastanawiam się, czy to możliwe, że Cesare nigdy wcześniej nie był w Kaplicy Sykstyńskiej. Jeżeli taka była prawda, zgadzałoby się to z polityką Borgii utrzymywania dyskrecji w przypadku swoich dzieci, dopóki nie został papieżem, bo wtedy zmieniło się to radykalnie. Tak czy inaczej Cesare zatrzymał się, a potem obracał się powoli, patrząc na wspaniałe freski zdobiące ściany.

Spodobało mu się szczególnie malowidło przedstawiające kuszenie Chrystusa.

– Kto to namalował? – zapytał.

– Sandro Botticelli – odpowiedziałam.

Nie wiem, co myślał o wizerunku Diabła albo o wspaniałych skarbach, które Upadły Anioł oferował Synowi Boga. Wydawał się bardziej zaciekawiony niewielkim szczegółem widocznym na fresku, wizerunkiem kapłana trzymającego misę pełną krwi.

– O co tutaj chodzi? – zapytał.

Lata wcześniej zadałam to samo pytanie ojcu. Teraz podałam Cesare odpowiedź, jaką od niego usłyszałam.

– Widzisz tych ludzi? – powiedziałam, zwracając jego uwagę na niewielką grupę zbliżającą się do kapłana. – To Żydzi przygotowujący się do złożenia ofiary. Ta scena przypomina nam, że Bóg pozwolił Abrahamowi oszczędzić jego syna, Izaaka, przez złożenie w jego miejsce ofiary z baranka. Ale mamy również pamiętać o tym, że Bóg oddał swojego Syna, żeby zbawić nas od grzechu.

To, co Cesare zrozumiał z tych ojcowsko-synowskich zależności i ofiar, które się składa bądź nie składa z innych, pozostaje dla mnie tajemnicą. Mogę jedynie powiedzieć, że długo i uważnie przyglądał się freskowi, zanim zaczął rozglądać się po kaplicy.

Co do mnie, zastanawiałam się, czy ta scena nie miała przypadkiem jakiegoś znaczenia dla Morozziego. Mógł nawet na jej podstawie opracować swoje ofiarowanie dziecka. Przyznaję, że w tym rozumowaniu były luki, ale dało mi wystarczająco dużo nadziei, żeby działać.

Z wyjątkiem zwłok Innocentego, kilku gwardzistów, którzy trzymali przy nim straż, i nas, wewnątrz było puste. Nie było śladu Morozziiego.

– Nad nami są pomieszczenia dla gwardzistów – poinformowałam Cesare. – Powinniśmy je sprawdzić. – Miałam w pamięci scenę, gdy Morozzi pojawił się na galerii, kiedy byłam tu z Vittorio.

– Jeżeli sądzisz, że to warte zachodu – odpowiedział bez entuzjazmu.

Nie mogłam go winić. Czas upływał w błyskawicznym tempie, a my nie byliśmy bliżej znalezienia szalonego księdza niż parę godzin temu.

Pomimo tego byłam gotowa wspiąć się na schody usytuowane w północnym krańcu kaplicy, ale powstrzymało mnie nagłe pojawienie się grupy mężczyzn.

Wrócili gwardziści, których Cesare wysłał do dominikanów. I przywieśli ze sobą Rocco.

Tyle razy zmagalam się już ze strachem, że uważam go za starego kompana; nie jest mi obca również rozpacz. Ale to, co zobaczyłam na twarzy Rocca, kiedy szedł szybkim krokiem przez kaplicę, sprawiło, że poczułam się, jakby uderzył we mnie huragan, który miał zmieść nas wszystkich.

– Czy to prawda? – pytał. – To, co powiedział strażnik? Czy to prawda, że Morozzi porwał dziecko?

Był tak wzburzony, że Cesare podszedł i stanął między nami. Chwyciłam swojego nieoczekiwanego obrońcę za ramię i przeciągnęłam go na bok.

– To może być prawda – powiedziałam ostrożnie. – Co się stało?

Próbował mi powiedzieć, ale ściśnięte gardło nie pozwalało mu mówić. W końcu wydusił jedno słowo.

– Nando.

Oszczędzę wam reszty z wyjątkiem tego, że Rocco dostał wiadomość od matki, iż poprzedniego dnia jego syn poszedł łowić ryby w pobliskim potoku i nie wrócił. Obawiając się, że coś mu się przytrafiło – jakiś wypadek, jak wtedy myślał – Rocco pospieszył do La Giustiana, wsi leżącej parę godzin na północ od Rzymu, gdzie się urodził i gdzie wciąż mieszkała jego matka. Kiedy poszukiwania Nando okazały się bezowocne, wrócił do miasta, żeby zwrócić się o pomoc do mnie, ale odprawiono go z palazzo. Poszedł więc do brata Guillaume. Zastanawiali się właśnie, co robić, kiedy przybyli zbrojni wysłani przez Cesare.

– Nando zaginął?

W głowie mi się kręciło i nie byłam w stanie zapytać o więcej.

– Jest dobrym chłopcem – rzekł Rocco. W jego oczach błysnęły łzy, które wydawały się czekać na uwolnienie, jeśli tragedia, która się przed nami ukazywała, mogłaby się potwierdzić. – Nie poszedłby nigdzie bez słowa. Coś musiało mu się stać.

Zbyt późno zdałam sobie sprawę z tego, że wieś jego matki leżała przy drodze wiodącej na północ od Rzymu, która prowadziła do wiejskiej posiadłości Orsinich. Ktoś tak przedsiębiorczy, jak okazał się być Morozzi, mógł bez trudu przechwycić posłańca wiozącego ostatnie pismo do La Belli od jej zdradzanego męża i w tym samym czasie uprowadzić dziecko człowieka, który, jak wiedział, miał związek z tymi, którymi gardził i których się bał.

– Tak mi przykro.

To żałośnie niewspółmierne słowa, ale ból, który rozchodził się po moim ciele, był większą miarą poczucia winy.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby bezpiecznie do ciebie wrócił.

„I nie został przybity do krzyża, wydając ostatnie tchnienie w potwornej karykaturze śmierci naszego Pana”.

Boże, dopomóż.

Naprawdę o to prosiłam. Naprawdę błagałam Wszechmogącego o pomoc, ale jak zwykle wydawał się być zajęty czymś innym.

– Kto to jest Nando? – zapytał Cesare.

– To syn Rocca – odpowiedziałam. – Dziecko.

Powinniście mieć jasność co do tego, że Cesare był samolubnym i bezwzględny człowiekiem. Całe jego życie tego dowodzi. Ale pomimo tego od czasu do czasu okazywał się mężczyzną – i nie mam tu na myśli faktu posiadania moszny i penisa, ma je też najbardziej brudny wieprz ryjący w chlewie.

Instynktownie troszczył się o słabszych od siebie, a szczególnie o dzieci, które lubił i cenił dużo bardziej niż większość dorosłych.

Ale wtedy był jeszcze bardzo młody i brakowało mu cienkiego – a w przypadku Cesare bar-

dzo cieniutkiego – pokładu kultury, który większości mężczyzn udaje się pozyskać z biegiem życia.

W związku z tym wypowiedział to, co – jak mogę szczerze wyznać – było moją własną odruchową myślą na wieści przyniesione przez Rocca.

– *Merda*²³.

Nie mogłabym powiedzieć tego lepiej.

Wkrótce potem przeszukaliśmy pokoje gwardzistów, nie znajdując tam śladu Morozzi. I znaleźliśmy się z powrotem tam, gdzie zaczęliśmy, czyli w bazylice.

– Dlaczego miałby porywać Nando?

Rocco domagał się od nas odpowiedzi, gdy staliśmy przed głównym ołtarzem, obok miejsca, gdzie miało spocząć ciało Innocentego, kiedy zaczną się uroczystości pogrzebowe. W tych okolicznościach było to zrozumiałe pytanie, ale nie takie, na jakie chciałam odpowiedzieć.

– Jest obłąkany – powiedziałam z nadzieją, że mu to wystarczy.

Jednak Morozzi był tylko człowiekiem, nie magiem. Żeby zrealizować to, co – jak wierzyłam – planował, musiał sprawić, żeby ukrzyżowane dziecko pojawiło się przed wielkim tłumem. Jak mógł to zrobić i pozostać niezauważony?

Dziecko, krzyż. Jeden człowiek, który miał sobie z tym poradzić w tak dużej przestrzeni i przed setkami oczu.

Byłam w podziemnym świecie pod bazyliką i odkryłam tylko to, że Morozzi najprawdopodobniej jakiś czas ukrywał tam Nando. Nie znalazłam żadnego śladu samego dziecka ani krzyża, na którym miało zawisnąć.

Gdzie byli?

Jeżeli nie pod...

Spojrzałam w górę, w głębokie cienie wiszące pod sklepieniem bazyliki.

– Co jest nad nami? – zapytałam.

Cesare nie wiedział, podobnie jak żadne z nas. Ale ten sam ksiądz, który ośmielił się stawić nam czoła w zakrystii, odnaleziony na rozkaz Cesare i przyprawiony przed jego oblicze, był gotów udzielić nam odpowiedzi.

– Poddasze – sapnął. – W bardzo złym stanie. Nikt tam nie chodzi.

– Jak można tam dotrzeć? – zapytałam.

Tak zżerała mnie niecierpliwość, że musiałam się powstrzymać, żeby nie złapać starca za ramiona i wytrząsnąć z niego informacje.

Był zdecydowanie bardziej tolerancyjny niż większość jego braci, jednak gdy kobieta niewiadomego pochodzenia zwróciła się do niego bez okazania należnego szacunku, to było więcej, niż mógł znieść. W jego prawym oku pojawił się nerwowy tik. Odwrócił się ode mnie wściekły i zwrócił do Cesare.

– Signore, zaraz odprawimy ostatnie sakramenty dla zmarłego Ojca Świętego! Jestem pewny, że potrafisz zrozumieć, że wasza obecność tutaj, jak i tej waszej... – Tu się zatrzymał, niewątpliwie zastanawiając się, jak chciałby mnie nazwać. Instynkt samozachowawczy musiał przeważyć, bo powiedziały tylko: – ...towarzyszki, nie jest właściwa.

Cesare miał wiele umiejętności – wspominałam o kilku z nich – ale zdecydowanie brakowało mu najmniejszej odrobiny taktu. W rzeczywistości jego pojęcie dyplomacji oscylowało wokół spostrzeżenia, że najlepsza droga do uzyskania pokoju leży w zmieceniu z ziemi nieprzyjaciół tak dokładnie, że sam fakt ich egzystencji zostanie zapomniany wraz z wiatrem, który rozwieje ich prochy.

Ale był w Bazylice Świętego Piotra, obok Jerozolimy najświętszym miejscu całego chrześcijaństwa. I jeżeli by wywołał jakieś rzeczywiste problemy, miałby naprawdę duże kłopoty z ojcem.

W związku z tym zacisnął tylko zęby i powiedział:

– Nie pogrywaj ze mną, księżo. Pokaż nam tylko, jak dostać się na poddasze.

Starzec zbladł, a potem się zaczerwienił. Wydawał się mieć również problem z oddychaniem, jednak udało mu się wskazać nam drogę.

Chwilę później zorientowałam się, że mówił prawdę o kiepskim stanie wyższych partii ba-

zyliki. Ciemne poddasze, wilgotne, zatechłe, wypełnione powietrzem tak dusznym, że walczyłam o oddech, wydawało się zawierać tysiącletnie wyziewy ludzkiego potu, znoju, modlitw i cierpienia. Prawdziwe pokłady kurzu, tak głębokie, że zapadłam się w nie po kostki, pajęczyny tak grube, że przypominały ściany, i śmieci – odrzuty całych generacji, które, jak na to wyglądało, znajdowały poddasze jako dogodne miejsce, gdzie można było zabawić się na wszelkie niedozwolone sposoby. Niebiosa tylko wiedzą, jak bardzo mogłoby tu śmierdzieć, gdyby nie dziury w dachu, przez które ukazywało się niebo.

Dotarliśmy tam po wąskich schodach, które znajdowały się za kolumną w południowo-wschodnim skrzydle bazyliki. Ksiądz pokazał nam, gdzie jest wejście, ale nie poszedł z nami. Również nie życzył nam dobrze, ale mogę mu wybaczyć ten błąd.

Cesare szedł przodem, tuż za nim Rocco. Dalej ja i kilkunastu zbrojnych.

Wyprostowaliśmy się i rozejrzeliśmy wokół, a Rocco zapytał:

– Dlaczego Morozzi miałby tutaj przyjść? Muszą być lepsze miejsca, żeby się ukryć.

Dalej nie byłam gotowa zdradzić mu, czego się baliśmy. Zamiast tego powiedziałam tylko: „Szukaliśmy już wszędzie”. Poza tym Morozzi lubi robić to, czego się nikt nie spodziewa.

Rocco skinął głową, ale nie wydawał się przekonany. Z każdą chwilą widać było po nim większą desperację. Wokół oczu miał czerwone obwódki, był nieogolony, a usta wyglądały na wielokrotnie przygryzane, jakby robił to, żeby powstrzymać się od płaczu.

Żeby przyspieszyć poszukiwania, powiedziałam:

– Będziemy posuwać się szybciej, jak się rozdzielimy.

– Dobrze – powiedział Cesare. – Wytwórco szkła, będzie ci towarzyszyć dwóch moich ludzi. Francesca, ty pójdziesz ze mną.

Poszliśmy, wybierając drogę po dłuższej osi bazyliki. Prawdopodobnie to normalne dla tak starej budowli, że nie było tu jednej, otwartej przestrzeni, a rozległy labirynt komórek i wnęk, przytłaczany długimi korytarzami. Podejrzewam, że w odległej przeszłości wykorzystywano poddasze jako magazyn. Ale kiedy stan budynku zaczął się pogarszać i pogoda wykonała swoją pracę, podłoga stała się zbyt słaba, żeby utrzymać większy ciężar.

Może nawet ciężar jednej osoby.

– Ostrożnie – rzucił Cesare, wyciągając rękę, aby mnie podtrzymać.

Drewno pod moimi stopami wydawało się alarmująco miękkie.

– Nie miałam pojęcia, że tu jest aż tak źle.

Co prawda widziałam kawałki kamieni i cegieł odpadające od ścian, a słyszałam nawet historie o nieszczęsnych odwiedzających, których trafiły, ale nie zdawałam sobie w pełni sprawy z tego, w jak opłakanym stanie była ta ogromna budowla. Z jakiejś przyczyny – może powtarzających się najazdów barbarzyńców, oddania zwierzchności Bizancjum, porzucenia Rzymu w czasie Wielkiej Schizmy – myśl o tym, że konstrukcja powinna być konserwowana, najwyraźniej nie przychodziła do głowy następcom Piotra, którzy – jak wskazywały na to wszelkie dowody – zostawili ją, żeby niszczała. Zamiast rozwodzić się nad oczywistą metaforą na stan samego Świętego Kościoła Rzymskiego, powiem tylko, że to miejsce było śmiertelną pułapką.

Nie było mowy o używaniu na poddaszu pochodni, bo mimo iż gniło, było również suche jak pieprz. Musieliśmy radzić sobie przy smugach światła przebijających przez dziury w dachu. Niektóre z nich były niewiele większe niż dziurka po ukłuciu szpilką, ale inne tak szerokie, jak dobrze odżywiony ksiądz. Nie dziw, że zagnieździły się tu gołębie. Był dzień, więc większość ptaków była na placu albo w innych częściach miasta, goniąc za pożywieniem, ale te, które zostały, uniosły się z głośnym furkotem skrzydeł. Musieliśmy przedzierać się przez ich obfite guano.

Bazylika była długa na ponad sto metrów – wiedziałam o tym, bo ojciec na tyle interesował się tą starożytną budowlą, że zmierzył ją przy pomocy swojego przyjaciela matematyka. Poddasze ciągnęło się prawie nad całością. Weszliśmy na nie po stronie przeciwnej niż główny ołtarz. Gdy posuwaliśmy się powoli i z wysiłkiem do przodu, zaczęłam słyszeć chór, który rozpoczął już próby pod nami.

– Nie zostało nam dużo czasu – powiedziałam.

Oczy szczypały mnie od kurzu i brudu. Mrugałam, żeby je oczyścić, i nagle zobaczyłam

jakiś ruch w końcu poddasza. A może to tylko spełnienie moich żarliwych pragnień.

– Co to jest? – zapytałam.

Cesare spojrział w tamtą stronę. Ciemność była gęsta. To, co widziałam, mogło być jedynie ruchem gołębia albo zawirowaniem kurzu.

– Może tylko cienie? – odpowiedział.

Rozpaczliwie uchwyciłam się jego niepewności, biorąc ją za potwierdzenie, że cokolwiek tam widziałam, mogło być przynajmniej warte sprawdzenia. Unosząc niecierpliwie dół sukni, która zwalniała mi kroki, puściłam się do przodu.

Uszłam może jakieś pięć metrów, gdy Cesare szarpnął mnie do tyłu. Uniósł rękę, zatrzymując swoich ludzi.

Powiedział ściszym głosem:

– Cisza. Masz rację. Ktoś tam jest.

– Gdzie? – wyszeptalam, wytężając wzrok.

– Jakies sześćdziesiąt metrów przed nami, może bliżej. Jeżeli się nie mylę, to może być dokładnie nad głównym ołtarzem.

– To musi być Morozzi!

Cesare skinął głową. Na jego twarzy dostrzegłam groźną satysfakcję.

– Zostaw go mnie.

Pokręciłam zawzięcie głową.

– Gdy cię zobaczy, będzie wiedział, że znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nie można przewidzieć, co wtedy zrobi. Ale nie sądzę, żeby wierzył, że może się obawiać kobiety.

To wszystko była prawda, ale wyznam, że chciałam stanąć sama oko w oko z Morozzim. Nazwijcie to arogancką dumą, próżnością albo jak tam chcecie, ale nie mogło mnie zaspokoić chowanie się za plecami Cesare.

– Daj mi tylko chwilę – błagałam. – Mogę go zaskoczyć. A wtedy ty go złapiesz.

– Mogę go bez problemu złapać i bez ciebie – zaprotestował Cesare.

– Nie chodzi tu o twoje męstwo! On ma dziecko, na litość boską! Nie możemy ryzykować, że zrobi coś Nando.

Zakładając oczywiście, że już tak się nie stało, ale nie byłam w stanie o tym myśleć. Jedyne, co mogłam zrobić, to uwolnić się z rąk Cesare i rzucić w ciemność.

Drogę zatarasowała mi gruba warstwa pajęczyn, która zasłoniła mi widok. Ku mojemu przerażeniu zatkały mi nos i usta, wplątały się we włosy i kleiły do wszystkich części mojego ciała jak tysiące upiornych palców. Tyle, jeśli chodzi o moją wybujałą wyobraźnię. Pająk to tylko pająk, jeżeli jest niebezpieczny, trzeba zgnieść go stopą, a w innym przypadku zignorować. Starłam się uparcie przypominać sobie o tym i brnęłam do przodu, aż w końcu, sapiącej i brudnej, udało mi się uwolnić.

Jak tyle innych rzeczy w życiu było to i dobre, i złe. Widziałam przed sobą znacznie więcej, ale jednocześnie sama mogłam być widziana.

Postać, jakieś trzydzieści metrów przede mną, gwałtownie się odwróciła i spojrzała w moją stronę.

Ten ktoś nachylał się nad czymś, czego nie mogłam rozpoznać, ale gdy wpatrywałam się w niego, wyprostował się i pozwolił, żeby to, co trzymał, upadło na podłogę.

W mgnieniu oka zaczął iść w moją stronę.

Mam zwykły instynkt samozachowawczy, a przynajmniej tak mi się wydaje, ale bywają chwile, gdy wyłamuje się on spod reguły. To była jedna z takich chwil.

Bez zastanowienia czy zawahania, nie dbając o krzyki Cesare, które za sobą słyszałam, pognąłam jak najszybciej do przodu. Dwa razy przebiłam stopą podłogę i parę razy potknęłam się na tyle mocno, że bałam się, iż się przewrócę, odzyskując jednak w ostatniej chwili równowagę i pędząc dalej.

Dość szybko upewniłam się, ku mojej niezmiernej uldze, że postacią przede mną faktycznie był Morozzi. Miał na sobie księżą sutannę, niewątpliwie po to, żeby nie budzić pytań, przebywając w bazylice, i nie był sam. Niewielkie, skulone ciało dziecka leżało tam, gdzie je upuścił.

– Bękart! – krzyknęłam tak głośno, na ile mi sił w płucach starczyło i – może jednak jest coś nie w porządku z moją głową – rzuciłam się prosto na niego.

Zderzyliśmy się z głuchym łomotem i przewróciliśmy na deski.

– Potwór!

Złapałam go za złociste włosy, waląc jego głową o podłogę. Powiem szczerze, że mogłabym to robić tak długo, dopóki jego mózg nie rozprysnąłby się wokół, ale Morozzi miał chyba inny pomysł.

– *Strega!* – zawył i chwycił mnie za ramiona, zrzucając z siebie z taką siłą, że wylądowałam kawałek dalej pozbawiona tchu.

Gdy próbowałam się pozbierać i znowu rzucić do walki, zauważyłam Cesare, który biegł prosto na Morozziego z wyciągniętym mieczem. Jedno spojrzenie na niego wystarczyło, żeby ksiądz zaczął uciekać, ale najpierw złapał Nando.

Hałasy przyciągnęły uwagę Rocca. Widząc, co się dzieje, dołączył do Cesare w pogoni za Morozzim. Ja próbowałam zrobić to samo, ale potknęłam się i upadłam, przewracając na coś twardego o dziwnie znajomym kształcie. Unosząc się na tyle, żeby zobaczyć, co jest pode mną, zdałam sobie sprawę z tego, że byłam rozciągnięta na powierzchni drewnianego krzyża, wystarczająco dużego, żeby pomieścić dziecko.

Z krzykiem podniosłam się na nogi i pobiegłam za Morozzim. Na zamkniętym poddaszu na pewno go złapiemy! Musiałby frunąć jak archanioł Święty Michał, żeby przed nami uciec.

A przynajmniej tak myślałam. Jeden szalony ksiądz, jeden przerażony mały chłopiec, jeden podobnie przestraszony ojciec, jeden wojownik, sześciu zbrojnych i ja... Wszyscy w labiryncie poddasza Bazyliki Świętego Piotra. Wszyscy w biegu – tylko Nando niesiony – po niebezpiecznie kruchej podłodze, podczas gdy pod nami...

Kto wie, co działo się pod nami? Czy unosili głowy, dziwiąc się dziwnym dźwiękom roznoszącym się z rozgwieźdzonego nieba? Czy wyobrażali sobie, że załęgły się tam diabły? Nie miałam pojęcia i nie poświęcałam temu myśli. Cała moja uwaga skierowana była na uratowanie Nando z uścisku Morozziego. Nawet złapanie szalonego księdza stanęło na dalszej pozycji.

Choć bardzo mnie to boli, muszę powiedzieć, że miałam uznanie dla Morozziego. Jego myśli wyprzedzały moje nie o krok, a o wiele kroków. Z upływem czasu zrozumiałam, że zawsze miał kilka spójnych ze sobą planów, żeby móc wykorzystać ten, którego akurat wymagała sytuacja. Jeżeli skierowałby swoje zdolności w bardziej rozsądnym kierunku...

Bezsensowne spekulacje. Był szalony, a jako szaleniec myślał tylko o własnym przetrwaniu. Stając wobec i Cesare, i Rocco odwrócił się jak zapędzone w pułapkę zwierzę. Jego przepiękną twarz zniekształciło warknięcie pełne nienawiści.

– Spalicie się w piekle! Pożre was ogień potępienia!

Możliwe, ale zanim to się stanie, musiał zmierzyć się z mieczem Cesare. I gniewem Rocca. Któremu niemal udało się pierwszemu go dopaść. Był już od niego na długość ręki, kiedy szalony ksiądz rzucił w jego stronę swoim ładunkiem i uciekł. Nie zauważyłam, gdzie pobiegł, ponieważ całą uwagę skierowałam na chłopca. Nando upadł podłogę, która się pod nim załamała.

Wszystko toczyło się jakby w zwolnionym tempie. Pękające drewno, jego kawałki unoszące się pod kątem do podłogi, kruszące się po drodze, rozpadlina pod spodem i nagły widok na przestrzeń poniżej, która nie wiadomo gdzie się kończyła.

Rocco odwrócił się od Morozziego, ale nie był wystarczająco blisko, żeby zapobiec upadkowi Nando. Byłam tam tylko ja. Rzuciłam się na podłogę, z ręką wyciągniętą w stronę dziury i złapałam koszulę chłopca tuż przed tym, jak znalazła się poza moim zasięgiem.

Razem zsuwaliśmy się w nicość.

– Francesca! – krzyknął Rocco, ale ledwo go słyszałam.

Mogłam słyszeć tylko swój oddech i gwałtowne bicie serca, gdy mocno trzymałam dziecko na wysokości trzydziestu metrów ponad kamienną podłogą bazyliki.

Zakładałam, że wtedy musieliśmy już zostać zauważeni. Zakładałam, że wszystkie oczy zwróciły się w naszą stronę. Zakładałam, że pomiędzy osobami zgromadzonymi na dole można było usłyszeć pomruki.

Zakładam, bo tego nie wiem. Nikt nigdy o tym nie mówił. Może wcale nas nie widziano. Może naszą obecność zasłaniała jakaś pozostałość tynku. Może nastąpiła jakaś zmowa milczenia w sprawie tego, co niemal wydarzyło się tego dnia w Bazylice Świętego Piotra, a czego nikt nie chce przyznać.

Tak czy inaczej zaczęliśmy spadać, Nando i ja, w dziurę, która otworzyła się w podłodze. Trzymałam go jedną ręką, a drugą rozpaczliwie próbowałam się czegoś złapać, czegokolwiek, co mogłoby nas zatrzymać.

Znalazłam rękę Rocca.

– Francesca! – krzyknął znowu, kiedy ją chwyciłam. – Nie puszczaj!

Pamiętam, że poczułam się zaskoczona, a potem, co raczej bezsensowne w tych okolicznościach, urażona podejrzeniem, że mogłabym coś takiego zrobić. Czyżby nie miał do mnie zaufania? Do kobiety, która wciągnęła go w labirynt kłamstwa i zdrady otaczający śmierć Innocentego i naraziła przy tym na niebezpieczeństwo życie jego syna? Czy nie mógł oczekiwać z mojej strony najgorszego?

– Ratuj go! – krzyknęłam, słysząc swój głos jakby z wielkiej odległości. – Nie pozwól mu spaść!

Ale oboje byliśmy bliscy tego losu. Czulałam, jak moje palce słabną – i na ręce Rocco, i na koszuli Nando – i wiedziałam, że to tylko kwestia paru minut, a wszystko będzie stracone.

– Uratuj go! – krzyknęłam znowu i próbowałam przekręcić się tak, żeby Rocco mógł dosięgnąć syna.

Przez krótką chwilę mój wzrok spotkał się z jego wzrokiem. Zobaczyłam, że się zawahał, próbując ocenić, jak mógłby złapać nas oboje, ale nie miałam zamiaru się na to godzić. Z całych sił, których nie zostało mi wiele, podciągnęłam Nando do jego ojca. Rocco odwrócił oczy i wyciągnął rękę, chwytając syna mocno i pewnie. Usłyszałam jęk chłopca, usłyszałam, jak ojciec wymówił jego imię, usłyszałam własny jęk, gdy moje ręce się poddały. W jednej chwili dałam życie dziecku, a sobie to, czym tylko Bóg chciał mnie obdarować.

Uratował mnie Cesare.

W ostatniej chwili przestał ścigać Morozziego i rzucił się ku dziurze, chwytając mnie, gdy spadałam już w dół, na pewną śmierć.

Kiedy mnie podciągał, roztrzęsioną i jęczącą, kątem oka zauważyłam szalonego księdza znikającego w ciemności. Próbowałam krzyknąć, zwrócić na niego uwagę, ale moje gardło było pełne kurzu i ściśnięte strachem.

Tak czy inaczej było za późno. Chociaż kilku ludzi Cesare z łoskotem pobiegło za nim, Morozzemu niestety udało się uciec.

Ale Nando był żywy i bezpieczny w ramionach ojca. Chłopiec wydawał się oszołomiony, ale nic mu nie dolegało. Tuląc syna, Rocco spojrzał na mnie nad jego rozczochraną głową. Moja radość i ulga zniknęły pod jego mrocznym spojrzeniem. Patrzył na mnie z wyrazem potępienia, na które z pewnością zasłużyłam. Odwrócił się bez słowa i odeszli razem.

Niejasno pamiętam, jak Cesare znosił mnie po schodach z poddasza. Mamrotał pod nosem coś o głupocie kobiet, a w szczególności jednej kobiety, ale ledwo go słyszałam, tak bardzo cierpiałam po utracie Rocco jako przyjaciela i, wybaczenie mojemu głupiutkiemu sercu, może również kogoś więcej. Tak właśnie tęsknoty, do których nawet przed sobą nie chcemy się przyznać, znikają w ciemnych tunelach zapomnienia.

Co do Cesare i mnie, pojawiliśmy się w bazylice, gdy wypełniała się biskupami i wielkimi przybywającymi na pogrzeb. Widok groźnego wojownika niosącego półprzytomną kobietę wywołał zdumione spojrzenia. Zignorował je i przepychał się przez tłum, dopóki w końcu nie wyszliśmy na świeże powietrze.

Cesare posadził mnie na niskim murku otaczającym małą fontannę na skraju placu. Skuliłam się tam, obejmując się ramionami w próbie opanowania konwulsji, które mną wstrząsały. Przyklęknął, zmoczył w fontannie szmatkę i powoli obmył mi twarz z pokładów brudu, które ją pokrywały. Jego dotyk był kojący i jakby niczego w zamian nie oczekiwał, co było dla niego bardzo nietypowe.

– Jesteś ranna? – zapytał, kiedy usunął najgorszy brud tak, że mogłam swobodniej oddychać i otworzyć oczy bez ciągłego mrugania.

Pokręciłam głową. Rocco złamał mi serce jednym spojrzeniem, ale oprócz tego byłam cała.

– Ale tak wyglądasz.

Nic nie powiedziałam, znów tylko pokręciłam głową. Jednak Cesare, który zwykle był nieczuły na wszystko, co nie dotyczyło jego samego, wybrał właśnie tę chwilę, żeby dostrzec kogoś innego.

– Chodzi o wytwórcę szkła, prawda?

Znowu spróbowałam zaprzeczyć i może by mi się to udało, gdyby nie smugi łez, które rzeźbiły bruzdy w moich wciąż brudnych policzkach.

– Aj, Francesca, *il mio dio!*

– To nieważne – powiedziałam szybko i zwinęłam dłonie w pięści, bo tak było wygodniej otrzeć moje głupie łzy.

W jakiejś chwili, od dnia, kiedy pierwszy raz zwróciłam się do Rocco o pomoc, wpadłam w pułapkę wyobrażeń, że moje życie może się odmienić. Że ściana, która mnie otacza, może pęknąć, i że mogę przejść przez tę wyrwę nie w scenę mojego koszmaru, ale na światło.

Zamiast tego nakłoniłam dobrego człowieka, żeby zaryzykował nie tylko swoje życie, ale i życie swojego syna. Nie mogłam nawet przez chwilę wierzyć, że Rocco kiedykolwiek będzie mógł mi wybaczyć, nie myślałam również, że mogę na takie wybaczenie zasługiwać. Musiałam zmierzyć się z prawdą: Morozzi i ja byliśmy podobni, przynajmniej w tym, że oboje byliśmy tworamami ciemności, skazanymi na walkę, dopóki jedno z nas w końcu nie poniesie śmierci.

Cesare wstał i wyciągnął rękę. Przyjęłam ją i również wstałam, a on zapytał:

– Dasz sobie radę?

Jeżeli doszło do tego, że Cesare Borgia martwił się o moje zranione serce, musiałam być naprawdę w oplakanym stanie. Uniosłam się honorem i w bólu szukałam ucieczki.

– Lepiej, żeby nas tu nie oglądali – powiedziałam. – Musimy wracać do palazzo.

Bo musiałam wrócić do tego, kim i czym naprawdę byłam. Na razie udało nam się pokrzyżować plany Morozziego, ale nie pomściłam jeszcze ojca, a co równie ważne, wielkie zło, z którym walczył, gdy został zabity, wciąż mogło się wydarzyć, jeżeli Borgia nie zostanie papieżem.

Zbrojni Cesare uformowali wokół nas szyk, prowadząc przez rozstępujący się tłum. Jedynie garstka osób, które zebrały się na placu przed bazyliką, mogła wejść do środka, żeby uczestniczyć w pogrzebie, ale całe tysiące chciały być jak najbliżej. Tłumy wciąż przybywały, gdy staraliśmy się stamtąd wyjść, jednak wyglądało na to, że nie byliśmy odosobnieni w pragnieniu opuszczenia tego miejsca. Minął nas kontyngent straży eskortujący starszego mężczyznę w biało-czarnym habicie dominikanów. Pomimo wieku wydawał się iść w wielkim pośpiechu.

Cesare zatrzymał się gwałtownie, a jego wzrok wbity w mężczyznę skierował na niego także moją uwagę.

– Torquemada – mruknął pod nosem.

Patrzyłam na wysokiego, bladego zakonnika, który przechodził tuż przede mną. Miał gruby nos boksera i był łysy, z wyjątkiem pierścienia włosów nad bujnymi brwiami. Miał tak zawzięty wyraz twarzy, że podejrzewam, że zauważyłabym go w każdych okolicznościach.

– Jesteś pewny? – zapytałam.

– Widziałem go raz w Walencji, gdy byłem dzieckiem. Ojciec mi go pokazał. Powiedział wtedy, że determinacja Ferdynanda i Izabelli, żeby oskarżać Żydów o wszystkie krzywdy, nie przyniesie nic dobrego, ale myślę, że nawet sobie nie wyobrażał, że to zajdzie aż tak daleko.

Nie mogłam się powstrzymać i wpatrywałam się w tę postać, która nawiedzała w koszmarach tyle niewinnych osób.

Wtedy odwrócił głowę i przez sekundę nasze oczy się spotkały. Chciałabym wam powiedzieć, że gdy spojrzałam na Wielkiego Inkwizytora, zobaczyłam oblicze zła, ale w rzeczywistości wyglądał jak wielu innych, którzy służą Świętemu Kościołowi: jak biurokrata, dla którego cierpienie ludzkości nie znaczy nic, gdy porównać je z jego wyobrażeniem woli Boga. Mówi się, że Diabeł wchodzi tylnymi drzwiami i w przebraniu, ale ludzie tacy, jak Torquemada, nigdy nie wydają się tego rozważać. Kiedy przytaczam te wydarzenia, on już nie żyje. Zastanawiam się, jak gorąco ten, któremu służył, powitał go w świecie wiecznym.

Przebywając wtedy wciąż w naszym świecie, minął nas pospiesznie, jakby chcąc jak najszybciej zostawić za sobą to, czego – jak mu powiedziano – miał oczekiwać, a co nie miało już się wydarzyć. Bez ukrzyżowanego dziecka, które mógłby ogłosić dowodem na żydowską perfidię, jedynym, czego mógł się spodziewać od obywateli Rzymu, były podejrzania i upokorzenia. Oceeniłam, że Morozzi uczynił sobie z niego wroga. Jeżeli Borgia przetrwa i zostanie papieżem, szalony ksiądz będzie musiał szukać gdzie indziej miejsca na schronienie. A z bożą pomocą nigdzie go nie znajdzie.

Kiedy opuściliśmy okolice Watykanu, odezwały się dzwony Bazyliki Świętego Piotra; ich żałobny rytm ogłaszał rozpoczęcie pogrzebu. Chmary gołębi uniosły się do nieba. Wydawało się przez chwilę, że wymazały poranne słońce.

Ale nie, to nie jest możliwe. Jedynie poeci twierdzą, że ptaki mogą robić takie rzeczy. To mrok w moim wnętrzu znowu urósł i zasłonił mi wszelkie światło i nadzieję. Jeżeli na Styksie burzą się fale, jedna z nich groziła mi wtedy zalaniem.

Jak to się ma do poezji? Bardziej prozaicznym faktem jest to, że Cesare podsadził mnie na siodło, wskoczył za mnie i mocnym pchnięciem ostróg wysłał nas klusem z powrotem przez rzekę, do pałacu.

Kiedy przybyliśmy, czekał na nas Renaldo.

– Gdzie byłaś? – zapytał nadzorca z trochę zbyt wyraźnym rozdrażnieniem. – Jego Eminen-

cja przysłał wiadomość, że biskup Wenecji już dojechał. Konklawe rozpocznie się pojutrze. Jest bardzo dużo do zrobienia, a zostało na to bardzo niewiele czasu.

Nie musiałam pochwalać zachowania Renaldo, chociaż oczywiście wiedziałam, że ma rację. Co więcej wiedziałam, że ciężka, monotonna praca była dla mnie jedynym schronieniem przed zalem, który mnie rozrywał. Zanim Cesare zdążył zsadzić mnie z siodła, znalazłam się na ziemi.

– Muszę wszystko obejrzeć, każdy kawałek jedzenia, ubrań, wszystko, co Jego Eminencja zamierza ze sobą wziąć.

– Połowa z tego już pojechała. Nie możesz oczekiwać, że Jego Eminencja będzie czekał na twoją uprzejmość i ryzykował przyjazd jak obdarty cygan, z tobołkami na plecach.

– Mogę oczekiwać, że będzie rozsądny. Wie, jaka jest stawka. Morozzi...

Ksiądz udowodnił, że nawet jeśli nie jest mistrzem sztuki trucicielskiej, to nie jest w niej też nowicjuszem. Zabił dziecko Borgii doprawionymi figami i był bardzo blisko zabicia La Belli. To, że wybrał taki sposób, zamiast wykorzystać pigułkę, którą mi zabrał, znaczyło, że oszczędzał ją w jakimś poważniejszym celu.

Oczywiście mogłam się mylić. Może zamierzał zabić Borgia jakoś inaczej, a ja znowu dawałam się wprowadzić w błąd. Jednak wszystko, co wiedziałam o szalonym księdzu, mówiło mi, że nie użył mojej tabletki dla La Belli, bo była przeznaczona dla Borgii.

Jedyną zaletą, jeżeli można było mówić o zaletach, było to, że mieszanka tojadu, modli-groszku i śniedka, którą przyrządziłam, nie była trucizną kontaktową. Byłaby bezużyteczna rozsmarowana na tkaninie czy innej powierzchni, z którą zetknąłby się Borgia. To mogło działać na moją korzyść. Jeżeli byłabym pewna, że atak na Il Cardinale nastąpiłby za pośrednictwem stawy lub napitków, mogłabym przynajmniej skupić uwagę tam, gdzie miałyby szansę najlepiej zadziałać.

– A dokładnie, co już zostało wysłane? – zapytałam Renaldo. – Wszelka żywność musi natychmiast przyjechać z powrotem.

– Nic z tych rzeczy – zapewnił mnie. – Jego łóżko, ubrania, przedmioty, których wymaga wygoda i godność. Wszystko zostało zabrane z jego własnych komnat w palazzo, więc było już przez ciebie sprawdzane. To chyba akceptujesz?

Nie wiedziałam tego na pewno. Wiedziałam tylko, że miałam bardzo mało czasu i bardzo niebezpiecznego przeciwnika, który, z powodu swojej ostatniej porażki, na pewno będzie jeszcze bardziej zdeterminowany, żeby wygrać za wszelką cenę.

– Chodź ze mną – rzuciłam, i nie myśląc o tym, żeby cokolwiek powiedzieć Cesare, szybko się oddaliłam.

Jakiś czas później badałam w kuchniach zapasy pakowane dla Borgii na konklawe, kiedy u mojego boku pojawił się Vittorio.

– Tu jesteś – powiedział. – Słyszałem, że Morozzi znowu się wymknął?

Zajęta sprawdzaniem pieczęci na baryłkach z winem nie podniosłam wzroku i rzuciłam tylko:

– Przynajmniej jego plan, żeby podburzyć Rzym przeciwko Żydom, został udaremniiony.

– Czyli osiągnęliśmy końcową fazę partii.

Wtedy podniosłam oczy. Miałam wrażenie, że w jego słowach usłyszałam odrobinę radości. Był zapalonym szachistą i jako taki mógł w pełni docenić strategię, którą realizował Morozzi, patrząc zawsze na parę ruchów do przodu.

Ale za mniej niż dwa dni – alarmująco mniej sądząc po nachyleniu słońca – nowy papież zostanie wybrany ku radości całego chrześcijaństwa.

– Miałem wiadomość od twojego przyjaciela, Davida ben Eliezera – powiedział Vittorio, gdy już się upewnił, że zyskał moją pełną uwagę. – Twierdzi, że mówi się między Żydami, iż della Rovere jest gotowy zrobić wszystko, co tylko będzie musiał, żeby Borgia został pokonany. Pragnie tego bardziej niż swojego wyboru.

– Nie wątpię w to.

Della Rovere był wystarczająco młody, aby móc sobie pozwolić na czekanie. Z pewnością miał nadzieję, że zostanie wybrany kolejny bezwolny papież, ktoś podobny do Innocentego, ktoś, kogo będzie mógł kontrolować dla swoich własnych korzyści.

– Ja również – powiedział Vittorio. – Ale ben Eliezer podał szczegóły. Mówi, że della Rovere dowiedział się o układzie Borgii z Żydami. Żarliwie pracuje nad tym, żeby zgromadzić dowody, które raz i na zawsze zdyskredytują Il Cardinale.

– Zanim zostanie wybrany na papieża.

– Właśnie – przytaknął Vittorio. – Zgodnie z tym, co mówi ben Eliezer, della Rovere powstrzyma się do tego czasu, gdy okaże się, że Borgia ma duże szanse na elekcję. Wtedy uderzy bez litości. Jeżeli ma dowody, na pewno je wykorzysta. Inaczej...

– Może się zwrócić do Morozziego – powiedziałam. – Ale jak? Kardynałowie będą zamknięci na konklawe...

Głośne chrząknięcie sprowadziło nas na ziemię. Zupełnie zapomniałam o Renaldo.

Nadzorca niepokoił się, jak zwykle, ale również aż się palił, żeby coś powiedzieć.

– Co o tym wiesz? – zapytałam.

– A dlaczego miałbym coś wiedzieć? – wykręcał się.

– Bo, drogi Renaldo, już ustaliliśmy, że bardzo niewiele spraw ci umyka. Jesteś pomiędzy przyjaciółmi. Powiedz nam wszystko, co wiesz.

Nadzorca otarł pot z czoła, wyduł swoją wąską klatkę i powiedział:

– Tak się zdarzyło, że usłyszałem jedną czy dwie rzeczy.

– I dowiedziałeś się...

– Jak wiecie, każdy biskup może mieć trzech asystentów. Dwóch z tych, którzy służą della Rovere, już ogłoszono i nie ma w tym żadnej niespodzianki – obaj są jego sekretarzami. Nazwisko trzeciego nie było jeszcze podane, ale krążą plotki...

– Morozzi – powiedzieliśmy jednocześnie z Vittorio.

Chwilę później Renaldo to potwierdził.

To było spełnienie moich najgorszych obaw. Jeżeli Renaldo miał rację, Morozzi wpadł na pomysł, żeby usytuować się nie tylko tam, gdzie mógł wyrządzić największą krzywdę, ale gdzie ja, jako kobieta, nie będę mogła go dosięgnąć – wewnątrz papieskiego konklawe.

– To dla niego ryzykowne... – stwierdził Vittorio. – Jeżeli później pojawią się jakiegokolwiek podejrzenia dotyczące śmierci Il Cardinale...

– Na takie ryzyko go stać – powiedziałam. – Bo ma sposób na to, żeby to wyglądało tak, że to ja zabiłam Borgia.

Przynajmniej raz udało mi się zszokować Vittorio. Wytrzeszczył na mnie oczy.

– O czym ty mówisz?

Krótko powiedziałam mu, że sądzę, iż Morozzi zamierza wykorzystać i mój medalion, i pigułkę, które mi odebrał, aby pomyślano, że to ja uderzyłam w człowieka, którego miałam obowiązek chronić.

– Na rany Jezusa... – powiedział Vittorio.

Nerwowo otarł twarz.

Nie było tu nic więcej do dodania, więc przeszłam do tego, co najbardziej mnie niepokoiło.

– Kogo Borgia bierze ze sobą na konklawe?

– Nie powiedział... dokładnie – odparł Vittorio.

Nie umknął mi fakt, że odwrócił wzrok.

– A to znaczy... co?

– To znaczy, że przybędzie tutaj tak szybko, jak będzie mógł, i chce, żebyś była wtedy pod ręką.

To idealnie mi odpowiadało.

Potrzebowałam trochę czasu sam na sam z Borgia, jeśli miałam przekonać go do planu, który wyklął mi się w głowie.

– Kiedy skończysz z tym, co tu robisz – powiedział Vittorio – odpocznij trochę, wykąp się, zjedz coś, ale nawet nie próbuj się nigdzie oddalać. Mam wystarczająco dużo na głowie, żeby cię szukać. Rozumiemy się?

Zapewniłam go, że tak. Kiedy już poszedł, usiadłam na beczce wina i spojrzałam na Renaldo.

– Jeżeli uda nam się to przetrwać, skieruję dziękczynne modlitwy do Świętej Katarzyny ze Sienny i Świętej Joanny D’Arc.

– Może lepiej poproś je teraz, aby nam pomogły, a podziękowania zostaw na później – zaproponował jak zawsze praktyczny nadzorca.

Jeżeli jest możliwe, żeby się modlić, badając świeżo ubite jagnię, krążki sera, warkocze cebuli i jeszcze więcej wina, to robiłam to najbardziej żarliwie.

Dzień biegł dalej. Borgia nie wrócił do palazzo. Podejrzywałam, że był w Kurii, robiąc, cokolwiek musiał robić, żeby przekonać do siebie biskupów. David wysłał kolejną wiadomość, którą przyniósł Benjamin, z ostrzeżeniem, że della Rovere wysłał kilkunastu ludzi do Sienny. Musiałam wierzyć, że Cesare był na tyle przewidujący, że zostawił w tym mieście wystarczające siły, które mogłyby udaremnić każdą próbę odkrycia, gdzie podziały się pieniądze Żydów.

Do wczesnego wieczoru byłam już bardzo wyczerpana. Zdecydowałam, że na parę godzin udam się do łóżka. Renaldo poparł mnie w tym, podkreślając, gdy się zawahałam, że zbadałam ten sam pęk bazylii już cztery razy. Nie to, żeby bazylia była szczególnie dobrym miejscem na ukrycie trucizny. Choć ma intensywny zapach, jej liście, nawet kiedy są wysuszone, pokażą obecność każdego doprawiacza.

Ale znów wpadam w dygresje. Jak zawsze, to jest moje przekleństwo. Wystarczy powiedzieć, że poszłam i – cud nad cudami – odkryłam, że jakaś litościwa dusza przygotowała mi kąpiel w mojej komnacie. Pławiłam się w niej, dopóki woda zupełnie nie wystygła, a wtedy udało mi się porządnie wytrzeć i opadłam na łóżko, myśląc jedynie o błogim śnie.

Tylko po to, żeby odkryć, że nie jestem sama.

Jesteś niepoprawny – powiedziałam, stwierdzając tylko fakt, nie powinniście mylić tego z narzekaniem.

Nie miałam nawet zamiaru protestować, moje ciało ogarnął ten rodzaj rozluźnienia, jakie przychodzi w wyniku strasznych napięć, kiedy strach, siła, wola odchodzą i zostaje tylko dziwny, obezwładniający spokój. Poza tym naprawdę nie chciałam być wtedy sama – ani na jawie, ani we śnie.

Cesare leżał z rękami pod głową wyciągnięty pod lnianym prześcieradłem, które zakrywało go tylko do bioder. Musiał się niedawno wykapać, bo jego ciemne włosy wciąż były wilgotne. Pierś miał gołą, z wyjątkiem srebrnego medalionu z wizerunkiem Świętego Michała, który ostatnio zwykł nosić jako deklarację oddania wojowniczemu archaniołowi.

W cieniach, które otaczały łóżko, nie widziałam jego twarzy, ale usłyszałam, że się uśmiechnął.

– Wolałabyś, żebym był inny?

W milczeniu pokręciłam głową. Prawda była taka, że chociaż na początku się zdziwiłam, jego obecność sprawiła mi wielką ulgę, że nie wspomnę o miłym podnieceniu, które we mnie rosnęło. Zbliżyłam się do niego, a może to on mnie przyciągnął. Tak czy inaczej znalazłam się w jego ramionach, bezpiecznie wtulona w szerokie piersi, z jego nogami wplątanymi w moje. To dziwne, że wciąż pamiętam ciepło jego skóry, zapach mydła sandałowego, którego używał, nierówności blizny, która biegła wzdłuż prawej strony żeber, przypomnienia o walce na miecze, gdy jeszcze był w zasadzie dzieckiem, a która prawie go zabiła. To wszystko mogę przywołać tak dokładnie, jakbym miała wyciągnąć rękę, żeby znów go dotykać. Pamięć bywa naprawdę okrutna.

Jeżeli jego intencją było przypomnienie mi, jak bardzo do siebie pasowaliśmy, doskonale mu się to udało. Ciężar, jaki nosiłam w sercu z powodu utraty Rocco, pozostał ten sam; nie oczekiwałam, że kiedykolwiek się zmniejszy. Ale fakt, że to zrozumiałam, pozwolił mi łatwiej przyjąć pocieszenie mojego mrocznego kochanka.

Jakiś czas później – musiała już być wtedy późna noc – leżeliśmy zlni potem i zaspokojeni, ale oboje nie chcieliśmy zasnąć. Godziny, które mogliśmy spędzić razem, były zbyt rzadkie, żeby oddawać je Morfeuszowi, podstępnemu złodziejaskowi.

Cesare poruszył się.

– Powinienem być pobiec za Morozzim. Stanowi zagrożenie dla ojca – dodał, głaszcząc moje piersi. – Ale myśl o tym, że możesz umrzeć...

Byłam wdzięczna za te wypowiedziane z uczuciem słowa, naprawdę. Ale czas uciekał i nie zwlekał z powodu moich małych sprawek, choćby naprawdę wiele dla mnie znaczyły.

– Konklawe... – mówiłabym dalej, gdyby nie to, że Cesare jęknął, a jego głowa opadła na poduszki.

Podejrzewam, że był trochę przybity brakiem właściwej reakcji na to, co dla niego stanowiło prawdziwą deklarację oddania.

– O Boże, musimy? Czy nie możemy choć przez krótką chwilkę udawać, że tego nie ma?

Czasami zapominałam, że wtedy nie miał jeszcze nawet siedemnastu lat. Był nieogolony, a jego broda drapała mi skórę. Jego ciężar, tak miły w wirze namiętności, za bardzo mnie teraz przygniatał. Chwyciłam go obiema rękami za włosy i przyciągnęłam jego twarz, żeby na mnie spojrział.

– Ty możesz, ale ja nie mogę. Twój ojciec zostanie wkrótce zamknięty z najbardziej niebezpiecznymi i sprzedajnymi książętami Świętego Kościoła. Przynajmniej jeden z nich zawarł przymierze z szaleńcem, który ma w ręku sposób na zabicie Il Cardinale. Moim obowiązkiem jest temu zapobiec. Będę ci wdzięczna za radę.

– Zabij della Rovere – powiedział bez wahania.

Niektórzy błędnie zakładali, że Cesare był nieskomplikowanym człowiekiem, ja powiedziałabym raczej, że myślał tak jasno, że wielu z nas uznałoby to za godne pozazdroszczenia. Choć czasami się mylił.

– Nie jestem pewna, czy to rozwiązałyby sprawę.

Westchnął.

– Jesteś trucicielką. Dlaczego z taką niechęcią podchodzisz do zabijania?

– Nieprawda...

Odbieranie życia było dla mnie nie tylko kwestią praktyczną – jak odkryłam, mogło również być źródłem uwolnienia, a nawet przyjemności. Wiele bym dała, żeby nie być dotknięta tą przypadłością, jednak nie żywiłam nadziei, że jakkolwiek głębokie poświęcenie się czy Bogu, czy Borgii, czy też czemukolwiek innemu będzie mogło zmyć mrok z mojej duszy.

Nie było powodu, żeby tłumaczyć to wszystko Cesare, więc powiedziałam tylko:

– Zabijanie nie stanowi w tej chwili najlepszego podejścia.

– To jak chcesz dać sobie radę z tym bałaganem? O, wiem, czy Lukrecja nie mówiła mi, że chciałaś kiedyś uciec do L'Angleterre i zostać magiem na dworze ich króla – jak on się nazywa, Henryka coś tam? Wciąż masz na to ochotę?

– Może. Nie życzyłam sobie być zawstydzana przez swoją młodszą odślonę. To właśnie problem, gdy znasz kogoś zbyt długo; za dużo pamięta.

– Ale jeszcze lepiej będzie, jeśli będziemy mogli zrobić z twojego ojca papieża.

– Wiesz, że chce dla mnie tego samego?

Oczywiście wiedziałam, że Borgia pragnął oddać syna Kościołowi, ale zaskoczyło mnie to, że Cesare tak szczerze mówił o jego dynastycznych ambicjach.

– Chciałbyś kiedyś zostać głową Kościoła? – zapytałam.

– Na Boga, nie! – Nie można było błędnie zinterpretować żarliwości, z jaką to powiedział, ale żebym nie miała żadnych wątpliwości, dodał: – Daj mi konia i miecz, a zmienię świat, ale na litość, nie mieszaj do tego Boga.

– No cóż, czegokolwiek nie planuje twój ojciec i tak nic z tego nie wyjdzie, jeżeli della Rovere pokrzyżuje mu plany.

Cesare westchnął i przekręcił się na plecy. Odetchnęłam, wilgotna od potu, który na mnie zostawił, i zapytałam:

– Wiesz, co zamierza?

Odwrócił się, oparł na łokciu i spojrzał mi w oczy.

– Kto? Mój ojciec czy della Rovere?

– Twój ojciec oczywiście. Nic mnie nie obchodzi della Rovere. Il Cardinale zdaje sobie sprawę z sytuacji lepiej niż każde z nas. Jak zamierza sobie z nią poradzić?

– A skąd to mogę wiedzieć? Dostaję od niego rozkazy, wykonuję je i mam nadzieję, że jest zadowolony. Poza tym nic mi nie mówi.

– Nie doceniasz się. Czy ojciec nie wysłał cię do Sienny? Wyraźnie polega na tobie w delikatnych sprawach.

– Liczy na to, że będę straszył ludzi, żeby nie wychodzili poza szereg. W tym jestem dobry. A jeśli chodzi o resztę... – Wzruszył ramionami. – Myślę, że dowiemy się, jakie ma plany w odpowiednim czasie. Ale teraz...

Objął mnie, a ja mu się poddałam, bo krążyła mi myśl, że jeżeli Morozziemu się powiedzie, już nigdy nie będzie mi dane zaznać takiej przyjemności. A po prawdzie i niczego innego.

Kiedy się obudziłam, blask słońca wlewał się przez okna, a Cesare nie było. Zdażyłam się tylko umyć i ubrać, zanim nadszedł Vittoro, żeby mnie poinformować, że Il Cardinale życzy sobie mnie widzieć.

W ostatnich godzinach przed rozpoczęciem konklawe palazzo kipiał aktywnością. Zbrojni byli wszędzie, słudzy biegali we wszystkie strony i wydawało się, że spadła na nas plaga różnej maści duchownych i sekretarzy. Można było to wszystko przewidzieć, jednak ciągle mnie to zaskakiwało. Prawie się ucieszyłam, gdy dotarłam do stosunkowo spokojnych biur Borgii.

Kiedy przyszłam, był zajęty, ale nie musiałam długo czekać na to, aby doprowadzono mnie

przed jego oblicze. Mimo tego, że przez wiele dni nie zaznał dużo odpoczynku, był zauważalnie ożywiony. Kryzysy zawsze wydawały się dodawać mu energii, co szczęśliwie się składało, bo było ich w jego życiu wiele. Gdy mnie zobaczył, uśmiechnął się i pomachał ręką, oddalając sekretarzy, którzy wyszli, rzucając w moją stronę ponure spojrzenia.

– Francesca, dobrze wyglądasz. Muszę przyznać, że to wielka ulga po tym, co słyszałem. Nie zostałam więc ranna?

Nie dziwiło mnie, że wiedział o wszystkim, co wydarzyło się w bazylice. Cesare na pewno mu zrelacjonował, gdy ja byłam zajęta przygotowaniami do konklawe. Miałam tylko nadzieję, że Il Cardinale zdaje sobie sprawę z zagrożenia, jakie wciąż stanowił Morozzi.

Usiadłam na miejscu, które mi wskazał.

– Nie, Eminencjo, ale jestem wdzięczna za troskę.

Borgia usiadł na swoim krześle i popatrzył na mnie zza biurka. Jego badawcze spojrzenie wprowadziło mnie w zakłopotanie, ale mam nadzieję, że udało mi się tego nie okazać.

– To dobrze – powiedział. – Morozzi zdecydowanie udowodnił, że jest pomysłowym człowiekiem.

Tak właśnie określił plan ukrzyżowania dziecka i podburzenia gniewu tłumów, żeby zniszczył i jego, i Żydów.

– Obawiam się, że to nie koniec – odparłam. – Słyszałeś, panie, plotki, że ma być na konklawe?

Nie podejrzewałam, że była duża szansa, żebym ja wiedziała coś, czego nie wie Borgia. I nie zawiodłam się. Przytaknął, ale nie wydawał się tym zaniepokojony.

– Tak, rozumiem. Wciąż ma twój medalion i pigułkę, prawda?

Przypomnienie mojej głupoty, tego, że pozwoliłam Morozziemu zdobyć w tym punkcie przewagę, wciąż bolało.

– Musimy zakładać, że tak jest.

– Cóż więc proponujesz?

– Wszystko, co tylko możemy zrobić, żeby pana chronić, Eminencjo. Ale jeśli Morozzi będzie na konklawe, boję się, że środki ostrożności, które podjęłam, mogą nie wystarczyć. Jest, jak pan powiedział, bardzo pomysłowy. Jeżeli znajdzie sposób na dostęp do jakiegokolwiek pożywienia albo napoju przeznaczonego dla pana...

– Wtedy będziemy mieli poważny problem, prawda?

– Tak, Eminencjo – przyznałam i nabrałam powietrza gotowa zacząć przemowę, którą przygotowałam, żeby przekonać Il Cardinale, aby popełnił akt tak śmiały, że nawet on mógł na niego nie przystać.

– Widzę tylko jedno rozwiązanie – powiedział Borgia.

Wzdrażałam się na myśl o obcięciu włosów. Chociaż doznałam ulgi, że oboje z Borgia mieliśmy podobną opinię co do tego, kto powinien towarzyszyć mu na konklawe, tej jednej rzeczy zdecydowanie się sprzeciwiłam.

– Splotę je ciasno i owinę wokół głowy. Jeśli będę nosiła kapelusz, nikt ich nie zobaczy.

– Będziesz także spać w kapeluszu? – zapytał Borgia, gdy wyłoniłam się zza parawanu, gdzie nałożyłam czerwono-złotą liberię noszoną przez paziów i inne męskie sługi domu Il Cardinale.

Mój widok wydawał się go bawić.

– Dlaczego czujesz się tak skrępowana? Przecież to nie pierwszy raz, kiedy masz na sobie strój chłopca.

To, iż wiedział, że czasami się przebierałam, wcale mnie nie dziwiło. Podejrzewałam już, że pomysł, aby przemycić mnie na konklawe, nie wziął się z powietrza, ale dalej czułam się w obowiązku go ostrzec.

– Ma pan świadomość tego, że Morozzi zamierza pana zabić w taki sposób, żeby można było mnie obwinąć o pańskie morderstwo? Moja obecność na konklawe sprawi, że jeszcze łatwiej mu będzie przekonać do tego innych, a tym samym zdjąć podejrzenia z della Rovere.

– To masz kolejny powód, żeby mu się to nie udało.

Na potwierdzenie, że nasze losy się splatają, Borgia sięgnął przez biurko i nalał nam obojgu wina.

– Bądź dobrej myśli, Francesco – powiedział, podając mi kielich. – Wkrótce będziesz świadkiem niezwykłego spektaklu, kiedy to Bóg objawia swoją wolę książętom swojego Kościoła. Może się to nie wydawać budujące, ale zapewniam, że nigdy tego nie zapomnisz.

Mruknęłam pod nosem coś o tym, że będę miło zaskoczona, jeżeli przeżyję wystarczająco długo, żeby móc to wszystko zapamiętać. Przechyliłam kielich i wypłam wino duszkiem. Mój żołądek był pusty; wino mocno w niego uderzyło, ale po chwili się poddał.

Podobnie jak ja, czego by Bóg dla mnie nie przygotował.

Wkrótce po wschodzie słońca ja – najzwyczajniejsza kobieta, chociaż w męskim stroju – szłam w procesji biskupów i innych uczestników przez plac przed Bazyliką Świętego Piotra do Pałacu Apostolskiego, a stamtąd do Kaplicy Sykstyńskiej. Drogę umilały nam słodkie, wysokie głosy cantoretti. Słońce jasno świeciło, a tłumy zebrały się, żeby oklaskiwać nasz pochód i modlić się o spełnienie woli Wszechmogącego.

Kłęcząc na kamiennej podłodze kaplicy, z wizerunkami Mojżesza, Jezusa, Apostołów i Świętych nad sobą, uczestniczyłam w mszy Ducha Świętego. Jako wicekanclerz Kurii i dziekan Kolegium Kardynałów to Borgia powinien jej przewodniczyć, jednak przy ołtarzu, w czerwonym ornacie, stał della Rovere. Nie ja jedna byłam zaskoczona. Wiele osób w moim sąsiedztwie wymieniało zdziwione spojrzenia i szeptało komentarze. Czy takie nieposzanowanie protokołu oznaczało kapitulację Borgii? Czy przyznawał, że jego rywal był najbardziej odpowiedni spośród kandydatów? A może to po prostu sprytny krok, pokaz dyplomacji i gotowości do kompromisu, które miały pokazać, że nadaje się na papieża?

W obliczu tego wszystkiego niewiele uwagi poświęcano samemu sakramentowi, dopóki wszyscy nie powstaliśmy, żeby otrzymać Komunię Świętą. Wykorzystałam tę okazję, aby się szybko rozejrzeć, ale nigdzie nie widać było Morozziiego. Niepokój przyćmił trochę trudności, jakie miałam zwykle w podobnych momentach.

Przyjęłam ciało naszego Pana, ale udało mi się uniknąć choć jednej kropli wina, zmienionego przez cud przeistoczenia w krew naszego Zbawiciela. Mimo wszystko ręce mi się trzęsły, gdy wróciłam na swoje miejsce i znowu uklęknęłam. Rozpaczliwie się bałam, że może na mnie spaść jeden z moich, jak je nazywałam w myślach, „uroków”, ale dzięki Bogu nic się nie wydarzyło.

Dalej słychać było szepty, gdy zakończyła się msza i rozpoczęła przemowa. Tradycja nakazywała, że miała odnosić się do wielkiej odpowiedzialności, jaką pociąga za sobą wybór nowego papieża. Odpowiedzialność wyboru osoby, która miała ją wygłosić, spoczywała na Borgii, więc wszystkie głowy odwróciły się, aby zobaczyć, kogo takiego wybrał, żeby sprawował ten honor. Na widok rodaka Il Cardinale, hiszpańskiego ambasadora, wstającego, żeby przejść na mównicę, przez tłum przeszedł szmer.

Ambasador nie rozczarował. W prostych słowach upomniął kardynałów, aby odłożyli na bok wszelkie kwestie personalne związane czy to z ambicją, czy rywalizacją lub złą wolą, i wybrali człowieka, który najlepiej się nadawał, ze względu na swój temperament i umiejętności, na przewodzenie świętemu Kościołowi. Było powszechnie wiadomo, że sprzeciw della Rovere w stosunku do Borgii był czysto personalny, więc nie mogło być wątpliwości, do kogo ambasador skierował swoje wezwanie.

W końcu było po wszystkim i wstaliśmy, żeby odśpiewać *Te Deum*. Kiedy dziękczynne modły się skończyły, ci, którzy nie mieli zostać na konklawe, wyszli. Dźwięk zatraskujących się ciężkich drewnianych drzwi wciąż jeszcze drgał w powietrzu, gdy usłyszeliśmy brzęk łańcuchów, którymi je spinano.

Byliśmy zamknięci – dwudziestu trzech kardynałów, prawie siedemdziesięciu pomocników, jeden szaleniec opętany wolą mordy i ja.

I mieliśmy tam zostać, dopóki nie wypełni się wola Boga.

Po ceremonii otwarcia reszta pierwszego dnia konklawe została poświęcona szczegółom umowy ograniczającej liczbę kardynałów, których nowy papież będzie mógł mianować w czasie swojego pontyfikatu. Było to dokładnie tak nudne, jak brzmi. Poświęciłam więc temu niewiele uwagi.

Zajęłam się zamiast tego urządzaniem naszych kwater. Ogłoszono, że dormitoria mają być przygotowane tak, żeby zapewnić kardynałom spartańskie warunki w czasie ich rozważań. Mówiąc wprost, nie była to prawda, a przynajmniej nie odnosiło się do moich standardów dotyczących tego, co się składa na określenie spartański.

Razem z Vittorio w czasie naszej pierwszej wizyty w Kaplicy Sykstyńskiej oglądałam spory przylegający do niej budynek, który został przekształcony w prywatne apartamenty. Każdy składał się z trzech pokoi, z których pierwszy zapewniał jedyne wejście bądź wyjście, a jego drzwi mogły zostać zaryglowane. Tu mieli spać pomocnicy. Za nim była większa i bardziej luksusowa komnata, gdzie kardynał miał spożywać posiłki, spać, modlić się – jeśli miałby taką potrzebę – a co najważniejsze, prowadzić poufne rozmowy. Trzeci, dużo mniejszy pokój, połączony z dwoma poprzednimi, w zamierzeniu miał zapewniać dyskretny przepływ odwiedzających. Zagarnęłam go dla siebie.

Tak czy inaczej miałam taki zamiar, ale moja potrzeba została wzmocniona faktem, że w ciągu godzin, które nastąpiły po zamknięciu na konklawe, odkryłam, że moje igraszki z Cesare nie przyniosły owoców. Jestem wystarczająco przewidująca, żeby przygotowywać się na takie ewentualności, więc miałam ze sobą wszelkie niezbędne rzeczy, ale z uwagi na to, że postanowiłam w tej opowieści być prawdziwie szczerą, powiem wam, że nieunikniony dyskomfort nie poprawił mojego i tak wisielczego nastroju.

Pomimo ciągłego niepokoju o miejsce pobytu Morozziego nie mogłam ignorować tych bardziej przyziemnych spraw. Borgia miał spędzać większość dnia na posiedzeniach, ale w końcu przyjdzie odpocząć, a wtedy będzie musiał coś zjeść. Kuchnie watykańskie przygotowały na konklawe proste pożywienie, które miało manifestować pokorę – chleb, ryby, zupa z soczewicy były podawane przez otwór w zaryglowanych drzwiach. Paru kardynałom, znanym ze swojej świątobliwości i niepotrzebującym obawiać się otrucia, mogło to wystarczyć. Reszta, podobnie jak Borgia, dbała sama o siebie.

Nie mam wielu umiejętności, którymi szczycą się panie domu, ale gdy jestem do tego zmuszona, potrafię przygotować posiłek. Nauka zatruwania pokarmów może nie jest najbardziej konwencjonalnym sposobem na naukę gotowania, ale w moim przypadku odegrała i taką rolę. Poza tym było to odpowiednie zajęcie dla pazia, takie, które nie wywołuje pytań.

Wyposażenie było raczej skromne – miałam jedynie mały koksowy piecyk, na którym mogłam gotować – ale udało mi się sporządzić całkiem przyzwoitą potrawkę z jagnięciny. Właśnie miałam spróbować, żeby ją lepiej doprawić, gdy nadszedł Borgia.

– Co robisz? – zapytał.

Wyglądał na zmęczonego, ale też zadowolonego, z czego wywnioskowałam, że sprawy pomyślnie się układały. Sekretarze kręcili się za nim. Byłam pewna, że wiedzieli, kim jestem, ale rozsądnie zatrzymali tę wiedzę dla siebie.

– Upewniam się, że pana nie otrułam.

Uniósł brwi.

– Byłabyś skłonna to zrobić?

– Nie w tej chwili.

Niezbyt polityczna odpowiedź, ale moje nerwy były mocno napięte. Miałam właśnie spróbować jedzenia, które zgodnie ze zdrowym rozsądkiem powinno być bezpieczne, ale zawsze mogło się okazać, że się myliłam. Takie okoliczności nie polepszają humoru.

I chociaż są truciciele, którzy zrzucają obowiązek próbowania potraw na bezbronne sługi, nie jest to powszechna praktyka. Próbowanie potraw jest pokazem zawodowej dumy i profesjonalnej pewności. Bogaty mocodawca, który powierza życie swoje i swojej rodziny umiejętnościom truciela, nie będzie na dłuższą metę tolerował takiego, który okazuje w tej kwestii wahanie.

Nalażyłam nieco potrawki do miski i zaczęłam jeść tam, gdzie stałam.

– Jak smakuje? – zaciekawiał się po chwili Borgia.

– Nie jest zła. Mięso jest trochę twarde, ale jest całkiem zjadliwa.

A co ważniejsze, nic mi nie było. Nie czułam palenia w ustach i w gardle, nie miałam gwałtownych skurczów żołądka, niczego, co mogłoby wskazywać, że w składnikach, których użyłam, znalazło się coś nieprzewidzianego. Trochę się rozluźniłam i nawet zdołałam się uśmiechnąć.

Borgia nie powiedział nic na moją gotowość do śmierci w celu ochrony jego osoby, ale też się tego nie spodziewałam. Poszedł do swojej komnaty, a chwilę później poprosił o obiad. Zaniosłam mu go i na jego zaproszenie towarzyszyłam mu przy jedzeniu.

– Nie jest zła – powiedział po kilku kęsach. – Wygląda na to, że nie będziemy głodować.

Skloniłam w podziękowaniu głowę i napełniłam mu kielich.

– Proszę tylko nie jeść ani nie pić niczego poza tym apartamentem. Jeżeli Morozzi naprawdę tu jest, będzie próbował otruć cię, panie, jak najdalej od kwater della Rovere. A w tym przypadku...

– Jest tutaj – przerwał mi Borgia. Widząc moje zaskoczone spojrzenie, dodał: – Mignął mi w przelocie kilka godzin temu i nie sądzę, żeby to było przypadkowe. Myślę, że chce, żebym wiedział, że jest w pobliżu.

– Żeby pana rozproszyć, a może nawet wystraszyć?

Il Cardinale prychnął i wypił łyk wina.

– Jeżeli o tym myśli, to się rozczaruje. Potrzeba dużo więcej, żeby mnie wystraszyć niż śliczniutki ksiądz opętany swoją chępliwością.

Ten opis rozbawił mnie na tyle, że prawie się uśmiechnęłam, ale upomniałam się sama i powiedziałam poważnie:

– Błagam, Eminencjo, nie można go nie doceniać. Ja ten błąd już popełniłam i gorzko tego żałuję.

Spojrzał na mnie przenikliwie znad brzegu kielicha.

– Winisz się za to, co się stało w bazylice.

– Jak mogłabym tego nie robić?

Nie dodałam, że Rocco również mnie winił i że w pełni zasługiwałam na jego potępienie.

– Jeśli byś się nie domyśliła, jakie są plany Morozziego, chłopiec by zginął, a my wszyscy zmagalibyśmy się teraz z chaosem.

– Jeżeli od początku widziałabym pewne rzeczy jaśniej, to chłopiec nigdy by się nie znalazł w niebezpieczeństwie, a Morozzi nie stanowiłby już teraz zagrożenia.

Borgia zmiotł resztki potrawki z talerza i oparł się w krzesło. W pokoju było ciepło pomimo grubych kamiennych ścian. Powietrze stało. Po plecach spłynęła mi kropla potu.

– Z tego, co widzę – powiedział – jedynym prawdziwym błędem, jaki zrobiłaś, był ten, że nie poinformowałaś mnie, iż Morozzi zgłosił się do ciebie. A to ci można wybaczyć.

Widząc moje zaskoczenie, dodał:

– Wszyscy popełniamy błędy, każdy z nas. Chodzi o to, żeby nie powtarzać ich w kółko.

– Jak tak nie robię – powiedziałam mało skromnie, ale prawdziwie. – Wciąż popełniam nowe błędy. Podejrzewam, że mam do tego wyjątkowy dar.

Borgia zaśmiał się.

– Jesteś jeszcze młoda. Czas cię zahartuje.

To, że zakładał, iż nadejdzie taki czas, można by wziąć za oznakę pewności, że jego własne umiejętności pozwolą mu uporać się z tym, co go czekało. Mogłam jedynie mieć nadzieję, że ma rację. Chwilę później pozwolił mi odejść, za co byłam mu wdzięczna. Niepokój o to, jaka, jeżeli w ogóle jakaś, przyszłość była przede mną, nie mógł wygrać ze zmęczeniem. Przecią

